

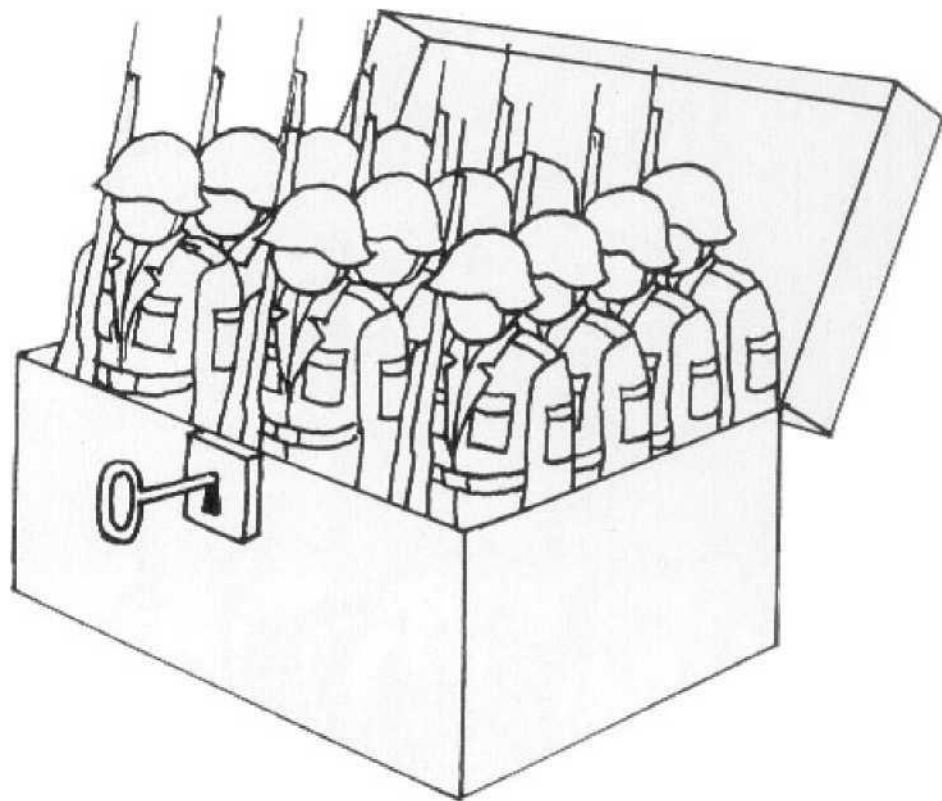


**WALDEMAR
ŁYSIAK**

FLET Z MANDRAGORY



WALDEMAR ŁYSIAK
FLET Z MANDRAGORY

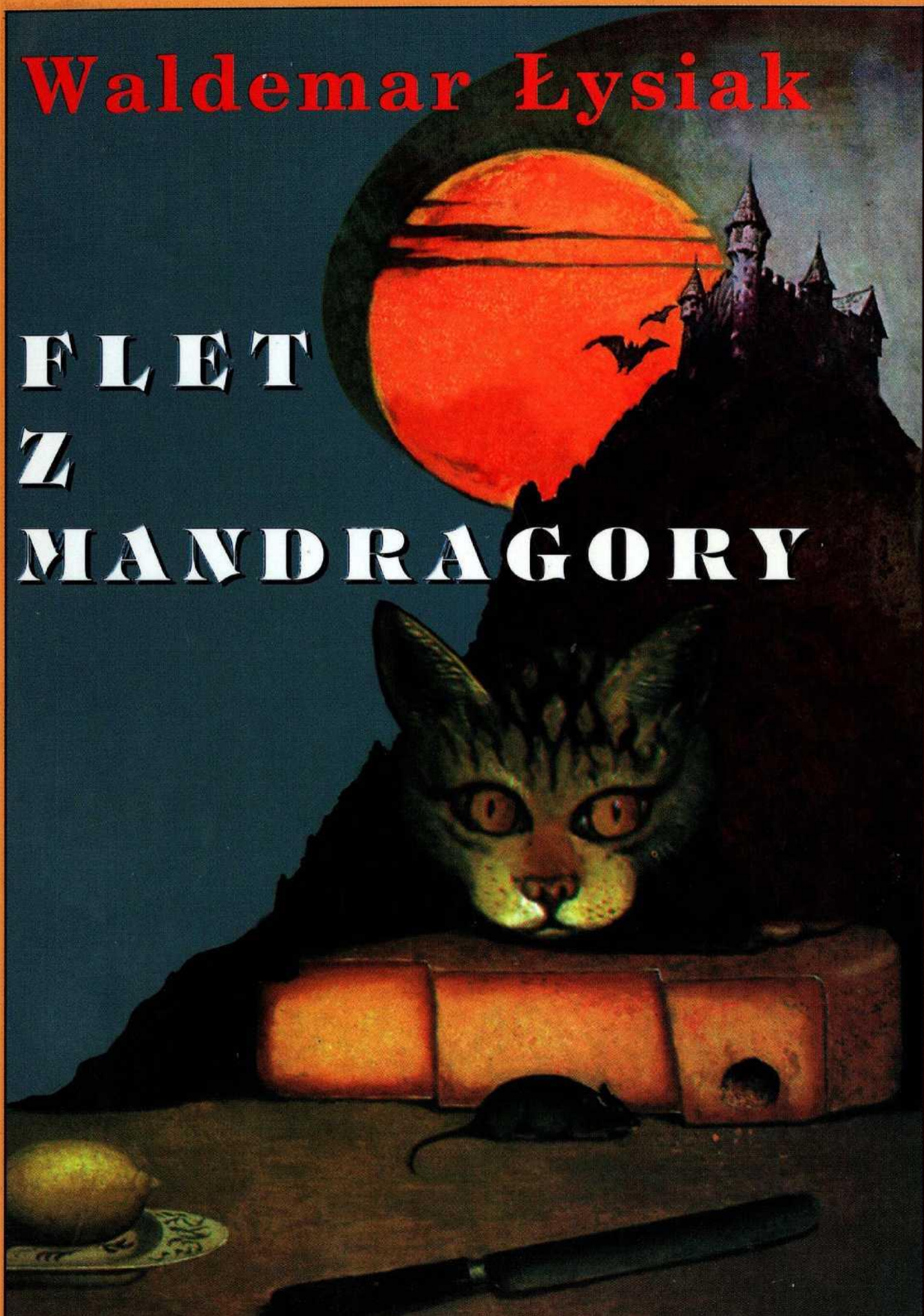


Waldemar Łysiak

FLET

Z

MANDRAGORY



Wydawnictwo Orgelbrandów 1996

© Copyright by Waldemar Łysiak 1981 i 1996.

Wydanie III Warszawa 1996

Opracowanie typograficzne i graficzne: Adam Wojtasik Redakcja techniczna: Tadeusz Kozera

WYDAWNICTWO ORGELBRANDÓW,

przy współpracy TEVERE sp. z o. o. i PARTNERS sp. z o. o.

00-443 Warszawa ul. Górnośląska 1 (16 piętro), tel. (0-22) 629-50-88

Skład i łamanie: Key Text sp. z o. o. ul. Prosta 2/14 Warszawa tel. 620 66 24

Oprawa: INTRO LIGARE Łódź, ul. Nawrot 82

ISBN 83-86606-04-5

PRZEDMOWA DO WYDANIA III

Nie potrafię bezdyskusyjnie orzec, czy „Flet z mandragory” to pierwsza w dziejach literatury pięknej książka „*napisana na nowo*”. Przeróbki różnego typu są częste w przypadku prac historycznych, historiografia bowiem zmienia się wraz ze zmianami (radykałnymi) kierunku historii politycznej, i wówczas niektórzy historycy „*nowelizują*” (poprawiają) swe dawniej publikowane dzieła. Robiono tak od starożytności, co dowodzi, że Villemain miał rację, kiedy sarkał: „*Historię zawsze można stworzyć na nowo*”. Świeżym przykładem jest rok 1989, który wywołał wielką falę wstydu w kręgach tzw. „*lewicy laickiej*” na całym globie (ale zwłaszcza we Francji, skąd kulturowy goszyzm promieniował bardzo mocno od czasów Sartre’a). Niejeden autor, zhańbiony prokremlowskim kłamstwem i bełkotem, przywraca sobie dzisiaj dziewictwo, „*modernizując*” tezy swych niegdysiejszych esejów czy rozpraw. Widzimy to również w naszym kraju. Lecz żeby przerabiać całą powieść wyłącznie formalnie (stylistycznie), bez zmiany choćby grama warstwy treściowej — tego jeszcze świat chyba nie widział.

Pytanie zasadnicze: dlaczego Łysiak to zrobił? Dwie wcześniejsze edycje „Fletu” rozgniewały niektórych wielbicieli Łysiaka (przyzwyczajonych do „*Łysiaków*” typu „*Wyspy zaczarowane*” czy „*Francuska ścieżka*”), lecz ogromna większość czytelników szalała z zachwytu, „*głosując*” przy ladach księgarskich. Lub raczej pod nimi, bo przed rokiem 1989 książki Łysiaka kupowało się „*spod lady*” mimo dużych, a jednak zawsze zbyt małych nakładów. „*Panorama Północy*” pisała: „*Jego książki są w księgarniach nieosiągalne, na czarnym rynku zaś zyskują zawrotne ceny*”. „*Gazeta Krakowska*” pisała: „*Czarnorynkowe ceny książek Łysiaka biją wszelkie*

rekordy”. Raz po raz drukowano ogłoszenia chętnych nabywców, a zwielokrotniło się to w roku 1981 — roku pierwszego wydania „Fletu z mandragory”: „*Wszystkie dzieła Waldemara Łysiaka kupię*” („Dziennik Zachodni” 27—29—III—1981), „*Komplet książek W. Łysiaka kupię*” („Życie Warszawy” 1-3-V-1981), itp. „Flet z mandragory” niejako „obudził” tę spóźnioną część rodzimego czytelniczego „elektoratu”, która nie doszłusowała wcześniej do wielkiej armii fanów pisarstwa Waldemara Łysiaka.

Rok po skończeniu przez autora tej książki Juliusz Foss tak publicznie tłumaczył wielkość literatury Łysiaka: „*Jak piekielnie dużo dobrej techniki pisarskiej, ręce opadają z szacunku, a może nawet z zazdrości (...) No i powiedzcie, czy nie ma szamaństwa w tym, czy nie ma zwyczajnych czarów?...*” (1979). Takie same opinie na temat techniki pisarskiej (i w ogóle literackiego warsztatu) Łysiaka wyrażano już od roku 1974, można je cytować garściami. Tymczasem dwadzieścia lat później Łysiak, pytany, dlaczego chce przerobić (do kolejnego wznowienia) całą swą powieść, odpowiada lapidarnie i mgliście: „*Warsztat mi się zmienił*”. Pytany, czy chodzi o technikę pisarską, o stylistykę dzieła, mówi krótko: „*Właśnie*”. Pytany, co konkretnie przestało mu się podobać w warstwie językowej pierwotnego „Fletu z mandragory”, burczy: „*Prawie wszystko! Prawie cała melodia przekazu!*”.

Dzisiaj, widząc „*na nowo napisany*” „Flet z mandragory” i porównując go z pierwotnym — możemy stwierdzić precyzyjnie, że chodzi o gramatykę dzieła, o przeróbkę czysto gramatyczną. Żaden kamyczek fabuły, żaden, choćby najmniejszy, niuans treściowy, nie zostały tknięte, zmieniła się natomiast całkowicie gramatyka przekazu. I to w ramach „tych samych” akapitów, prawie co do jednego!

Tak więc mamy tu 99% „tych samych” akapitów (ledwie kilka, zbyt długich na swój dzisiejszy gust, akapitów Łysiak przepołowił), mamy 95% „tych samych” dialogów (kilkanaście zbyt długich „*dialogowych monologów*” Łysiak podzielił), i wreszcie — rzecz zasadnicza — mamy około 90% „tych samych” zdań, lecz prawie nigdzie forma nie jest autentycznie taka sama, bo gramatyka owych zdań jest dziś zupełnie różna. Jedne wyrazy zostały usunięte definitywnie, drugie zostały zastąpione innymi (często bliskoznacznymi) wyrazami, trzecie zostały dodane, a bardzo wiele słów zmieniło swoje miejsce w szyku zdania. Efektem tej żonglerki wyrazami i zdaniami jest nowa harmonia stylistyczna, nowa melodia dźwiękowa przekazu. Czystsza, bardziej urokliwa i czarodziejska, będąca jeszcze większą literaturą niż ta w pierwotnej wersji, zdezonizowanej już aktualnym gustem (kaprysem?) autora.

W sensie badawczym gramatyka to dział językoznawstwa. W sensie praktycznym (pisarskim, warsztatowym) to „*System morfologiczny i*

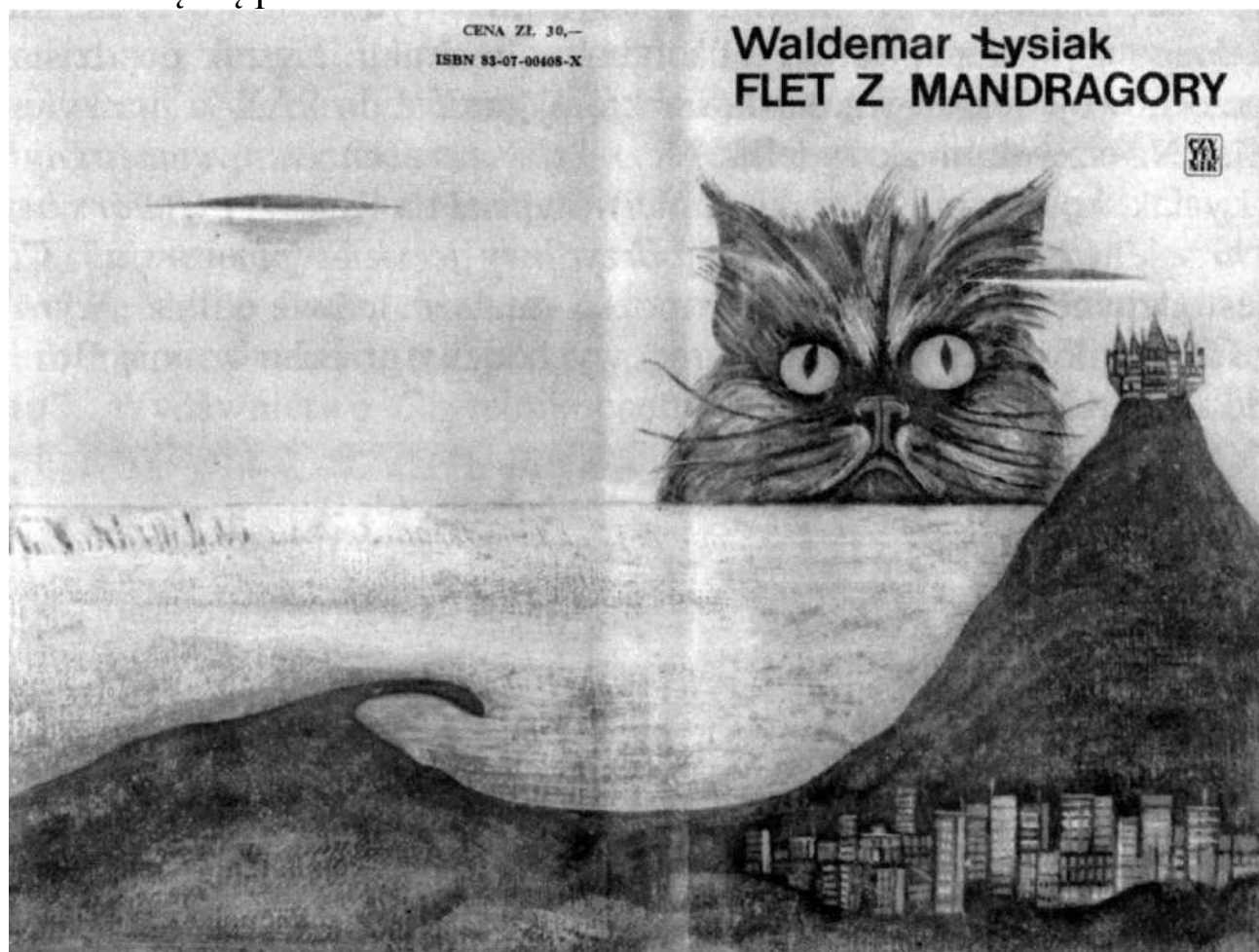
składniowy języka” vel „*Zespół środków formalnych i semantycznych organizujących tekst językowy*” (definicje encyklopedyczne). Mamy tu do czynienia z syntaksą (składnią), semazjologią (semantyką), morfologią, fonologią i polisemią języka, a także z przekrojami synchronicznymi, z dystynktywnymi cechami dźwięczności, z deklinacjami, koniugacjami, fonemami, fleksjami, homonimami, etc., etc., etc. Właśnie tym wszystkim bawił się Waldemar Łysiak przenicowując stylistykę „Fletu z mandragory”, lecz nakłaniany, by coś w tej kwestii powiedział, nie używa tych fachowych, hermetycznie laboratoryjnych zwrotów. Mówi, że „*pisze muzycznie*”, że „*melodycznie*” komponuje frazy i akapity, ale szczegółów nie chce ujawnić, bo „*nie będzie uczył konkurencji warsztatu wypracowanego przez ćwierć wieku*”. Udało nam się wyciągnąć tylko dwa sformułowania (warknięcia) bardziej precyzyjne: „*Czkawka pierwszej sylaby, w polskim języku, niestety, nie do zwalczenia stuprocentowego*”, oraz: „*Staccato rymów górnych i rymów durnych*”.

„Flet z mandragory” — przez wielu czytelników i niektórych recenzentów uważany za najwybitniejszą w literaturze pięknej analizę („*wiwisekcję*” — pisano) totalitaryzmu — został przez Łysiaka ukończony w 1978 roku. Nie mógł się jednak szybko ukazać, gdyż właśnie w owym roku gruchnął skandal z „Cesarskim pokerem” (książka spowodowała oficjalny protest Kremla, jedyny w dziejach PRL—u) i Łysiak — po publicznie sformułowanym (na łamach organu KC PZPR, „Nowych Dróg”) żądaniu, by nie marnować papieru drukowaniem książek reakcjonisty — dostał zakaz druku książkowego. Dlatego Juliusz Foss, kiedy zachwycał się rok później „*czarodziejską techniką pisarską Łysiaka*”, dał swemu tekstowi odważny tytuł: „*Komu przeszkadza duch Łysiaka?*”. W roku 1980 Solidarność bardzo rozluźniła cenzurę państwową, zakaz druku książek Łysiaka zdjęto, i Czytelnik zdążył wydać książkę w 1981 roku, przed 13-grudniowym puczem restaurującym twardego komunizm, a recenzenci zdążyli wydrukować omówienia. Zacytujmy fragment jednego. Marian Butrym pisał w listopadzie 1981 roku:

„Pisarstwo Waldemara Łysiaka ma rzadką, ale charakterystyczną cechę, mianowicie taką, że nie poddaje się jakiegokolwiek klasyfikacji (...) Łysiak należy do twórców, których książki są rozchwytywane. Stał się w równej mierze obiektem adoracji i błogosławieństw, co bluźnierstw i wymysłów, ale czytają go wszyscy (...) W swej powieści Łysiak prezentuje ideę zasadniczego wpływu jednostki i jej poczynań na fakty społeczne, aczkolwiek diagnoza ubezwłasnowolnionego społeczeństwa w obliczu przewrotów pałacowych i bezwzględnych walk o stółek jest przerażająca. Sprowadzając całą treść do

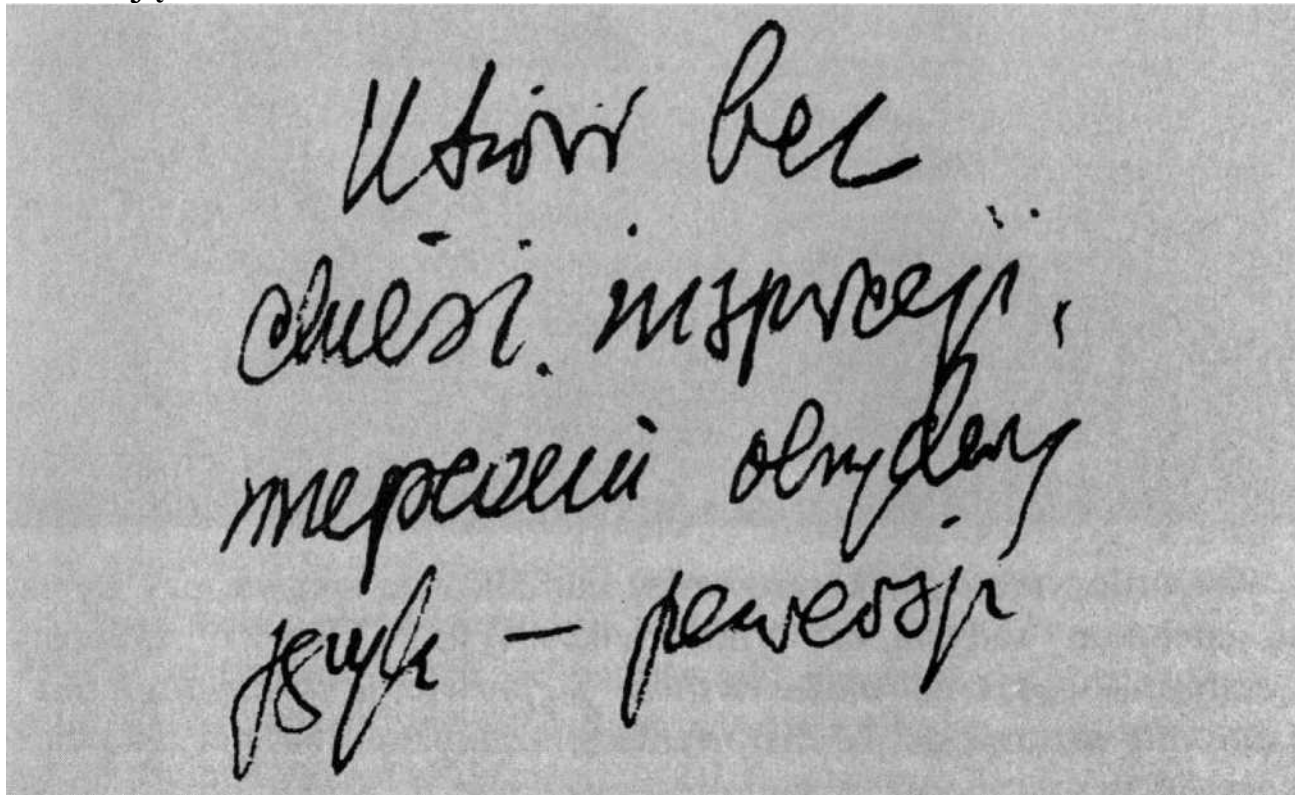
poczynañ absurdalnych, opisanych z erudycjąz dowcipem, błyskotliwym językiem, Łysiak kończy tok powieściowy przewrotną pointą. Może zresztą nie jest to pointa, a jedynie epilog narracji, której zakończenie pozostawione jest domysłom czytelnika (...) Krzywe zwierciadło dla Łysiaka to świat współczesny, stanowiący tworzywo jego najnowszej powieści, którą po prostu trzeba przeczytać, i nad którą warto się zastanowić”

Wśród zastanawiających się prawie nikt nie miał wątpliwości, że chociaż Łysiak umiejscawia fabułę w państwie fikcyjnym, to prezentując okrucieństwa totalitaryzmu myśli o własnym kraju. Dla najgłupszych, którzy mieliby kłopot z tą parabolą identyfikacyjną, autor załączył ściągawkę. Była nią obwoluta książki. Łysiak narysował jej projekt długopisem, a grafik (Marian Stachurski) przełożył to na kolorowy malunek, i rzecz poszła do druku. Czy poszła dlatego, że cenzor się zagapił, czy może przez cenzorskie lekceważenie grafiki okładkowej — trudno powiedzieć. Fakt, iż rzecz jest najlepiej czytelna, kiedy obwolutę pierwszego wydania „Fletu” się rozłoży. Widać wówczas polskie wybrzeże Bałtyku, z Półwyspem Helskim tak oczywistym, że eliminuje to wszelką wątpliwość.



Wśród czytelników kontrowersje budziła inna sprawa: czy Łysiak to natchniony sadysta, czy tylko wielki artysta? „Fletowi” zarzucano „sadyzm”, „przerost okrucieństwa” i „perwersję torturologiczną”, jakby nie rozumiejąc, że malowanie totalitaryzmu białymi rękawiczkami to mniej więcej to samo, co strzelanie do śmiertelnego wroga grochem. Łysiak zresztą uprzedził przy pomocy motto (z „Pieśni Maldorora” Lautreamonta) w jakim może dążyć kierunku. „Flet”, co prawda, nie zawiera dzikich ekshibicjonizmów i stężeń plugastw charakterystycznych dla narkotycznej poetyki Lautreamonta, jednak pewne sceny są istotnie zbrutalizowane mocno, duże partie powieści przenika surrealizm dawnego typu (a la Fussli) i współczesnego, a rzeczywistość perforują senne koszmary, zacierające granice między jawą, maligną i stanem obłądu.

Wspomniane pretensje wysuwali też ludzie profesjonalnie zajmujący się literaturą, i to właśnie sprawiło, że wydawnictwo PAX, dla którego Łysiak napisał „Flet”, odmówiło druku. Łysiak do dzisiaj przechowuje tekturową teczkę, w której zaniósł do PAX-u maszynopis. Na szerokim skrzydełku teczki tzw. „recenzent wewnętrzny” (Łysiak nie pamięta, jakiej płci) napisał z furją: „Utwór bez chrześc. inspiracji, miejscami obrzydliwy język — perwersja”. Co jest dziwne, bo we „Flecie” można znaleźć ledwie kilka „wyrazów”, a główny bohater (narrator) wychodzi z grzechu w imię Boże, do Boga się odwołując!

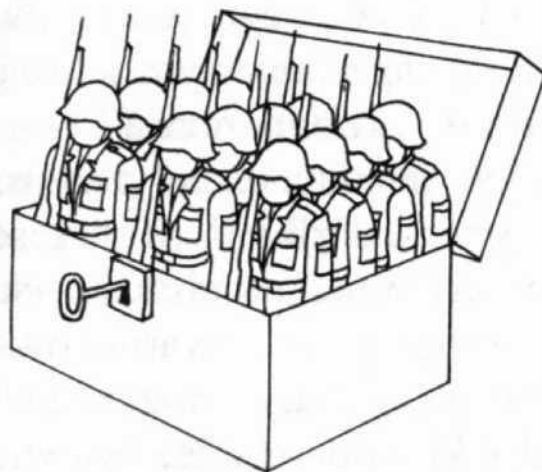
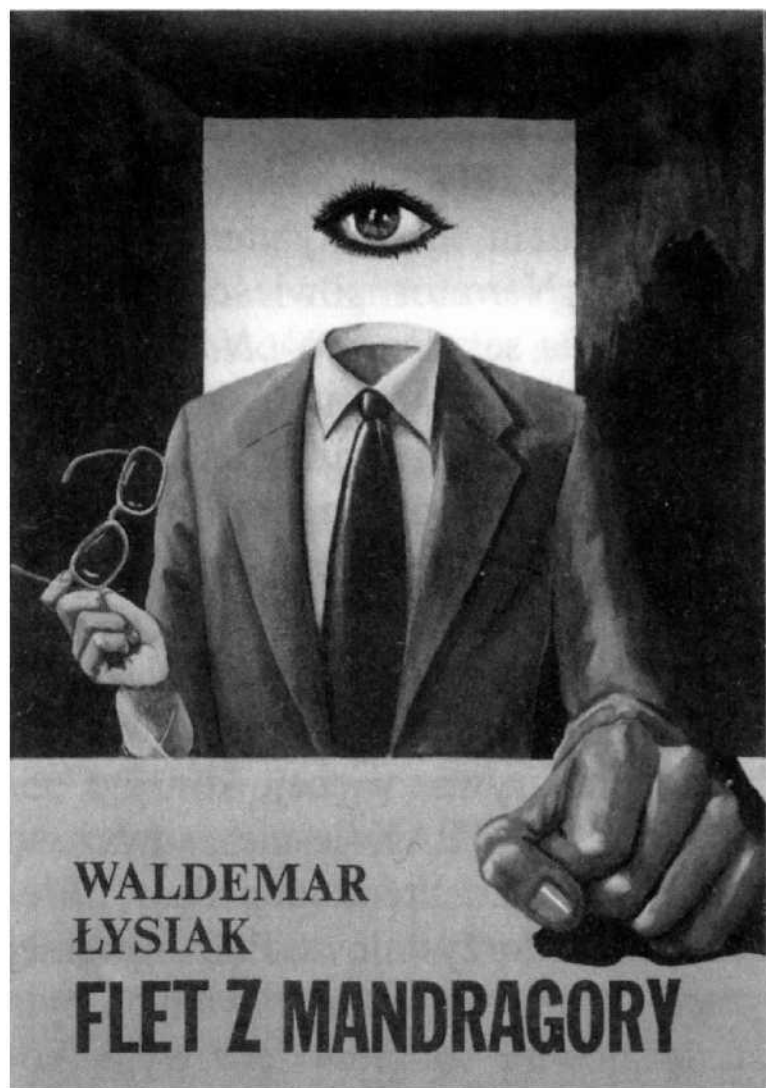


Inna sprawa, że Łysiak, który jako publicysta jest twardym wrogiem wszelkiego sekciarstwa i okultyzmu spod znaku „New Age”,

bezkompromisowym obrońcą Kościoła katolickiego atakowanego przez „wodnikowców” — spaceruje we „Flecie” po dość cienkiej linii między ezoteryzmem, gnostycyzmem, hermetyzmem a zdrowym rozsądkiem i chrześcijaństwem. Narrator powieści z jednej strony brutalnie niszczy sektę typową dla sekciarstwa „Nowej Ery”, z drugiej zaś, uwarunkowany genetycznie, penetruje alternatywne światy Kabały, Różanego Krzyża, Wodnika itp. Z jednej strony, dzięki swej matce, fascynuje się sferą „czarnoksięską” i mediumiczną, z drugiej dopuszcza do głosu zjadliwy sceptycyzm wobec tej sfery, wyrażany przez ojca i przez wuja Arnolda. Diabeł (personifikowany przez Saturna, Makisa i żeńskiego demona-kota) walczy tu z Chrystusem (którego głównymi rycerzami są ksiądz Gaspar i ksiądz- motocyklista), i per saldo przegrywa, więcej, konając odwołuje się do Boga, czego — o dziwo — w PAX-ie nie zauważono lub nie zrozumiano, tak jak nie rozumiano literackiej klasy „Fletu”. Wydawnictwo Czytelnik chętnie skorzystało z PAX-owskiej głupoty, a relacja czytelników zachwyconych i rozczarowanych była jak 1000:1. „Flet” nie podobał się głównie ludziom sędziwym, kochającym subtelne eseje Łysiaka na temat cywilizacji, kultury i sztuki śródziemnomorskiej.



Drugie wydanie, w latach 80-tych, cenzuralnie ułatwił fakt pierwszego wydania „Fletu”, ale dlaczego cenzorzy puścili projektowany przez Marka Pietrzaka antytotallitarny front obwoluty (tyran z zaciśniętym mega-kułakiem), także tłoki na płóciennych okładkach (pięść i ucięte głowy), a zwłaszcza stronę przedtytułową z odkluczonym pojemnikiem pełnym żołdaków (ewidentna aluzja do „stanu wojennego” i do ZOMO) — to już Bóg, diabeł lub tylko bywszy cenzor raczą wiedzieć. Owo drugie wydanie dostało kolorowe ilustracje, ale za to druk był tak blady, że właściwie nieczytelny (śledztwo przeprowadzone przez edytora wykazało, iż drukarze-złodzieje „ochrzcili” farbę wodą, identycznie, jak robiono wówczas z benzyną). Recenzje były takie, jakie wówczas mogły być — aluzyjne, „wyważone”. Zupełnym idiotyzmem było szufladkowanie „Fletu” do literatury „science-fiction” czy „politicalfantasy”, gdy rzecz jest poetycką impresją psychologiczną o pewnych elementach baśni, „political-fiction” i sensacyjnego „thrillera”. Jedni to rozumieli („Pismo Literacko-Artystyczne”: „Łysiak wpisuje się w centrum współczesnych koncepcji psychologicznych. Sięga do najgłębszych pokładów ludzkiej psychiki, zaszczerpionych jeszcze w dzieciństwie...”), inni nie rozumieli i zupełnie nie dawali sobie rady z definiowaniem twórczości Łysiaka.



Przypomina mi się w tym miejscu (znowu) celne, cytowane wyżej zdanie Mariana Butryma o tym, że pisarstwo Łysiaka „nie poddaje się jakiegokolwiek klasyfikacji”. Pisano tak już wcześniej o esejach Łysiaka (Michał Radgowski: „Nikt nie zdoła dokładnie określić gatunku, do jakiego należą szkice Łysiaka. Jest swobodny jak ptak”, 1977); pisano tak również o powieściach Łysiaka (Bogumił Sławomir Kunda: „Krytyka literacka staje wobec niego bezradna, nie dysponując odpowiednimi narzędziami badawczymi. Tym gorzej dla krytyki”, 1984). Chociaż wielu recenzentów rozpieszczało Łysiaka, zwąc go „fenomenem”, „geniuszem” itp. (Iwona Rajewska: „Nawet surowi zazwyczaj recenzenci nie szczędzą mu pochwał typu: «gwiazda najnowszej literatury»”, 1981) — to Łysiak nigdy nie rozpieszczał krytyków, nie ułatwiał im pracy i nie pisał nigdy „pod krytykę”. Barbara Seidler stwierdziła stan faktyczny, zauważając w 1978 roku, że Łysiak „egzystuje obok lub mimo oficjalnej (czytaj: reżimowej) krytyki, koterii, kawiarnianych stolików i obiegowych opinii”.

Wróćmy do drugiej edycji „Fletu”. Problemy z jego identyfikacją gatunkową próbowano rozwiązać stosując termin „*literatura erudycyjna*”. Można tak rzecz spokojnie wobec niektórych esejów Łysiaka (w innych jest więcej poezji i wyobraźni niż erudycji), lecz wobec „Fletu z mandragory” — mimo jego erudycyjnych farszów (o kotach, o lemurach, o wilkołakach, o mandragorze, o Judaszu, o narzędziach tortur, o tancerkach, o Draculi, o królestwie Neptuna, etc.) — jest to kwalifikacja zubożająca, zupełnie mylna. Łysiak nie uprawia „*powieści erudycyjnej*” typu Umberta Eco (który notabene nie jest jej wynalazcą, gdyż Borges i wielu innych robiło to wcześniej). Rację mają ci, którzy Łysiaka-prozaika określają jako „*poetę*” (pierwszy uczynił to w 1977 roku Michał Radgowski). Warstwy poetycka, psychologiczna i nadrealistyczna całkowicie dominują literacki przekaz „Fletu”, spychając na margines wstawki erudycyjne.

Osobnym zagadnieniem (dla krytyków) był problem czasu fabuły. Czasu bieżącego, przyszłego i futurystycznego. Recenzent Maciej Parowski pisał po drugim wydaniu „Fletu”: „*Książka Łysiaka (...) baśniowa i realistyczna, budująca świat historyczny i współczesny zarazem — mało przypomina klasyczne dystopie. Opowiada o policyjno-inwigilacyjnym obłędzie (...), proponuje nam rzecz o sadyzmie, przemocy policyjnej i manipulacji (...) Książka jest i zarazem nie jest anachroniczna. Bywało, że niosła intuicje wyprzedzające swój czas, bywało, że czas ją dublował*” (1985). Recenzent, niestety, nie podał żadnego przykładu dublowania, lecz to drobiazg. Najistotniejsze zdanie cytowanego fragmentu mówi, że Łysiak „*buduje świat historyczny i współczesny zarazem*”. Otóż u Łysiaka walczącego piórem przeciwko komunizmowi, u Łysiaka-mistrza metafor, alegorii i anagramów, historia stale była zawoalowaną współczesnością. Wyraźnie to podkreślał w „Cesarskim pokerze”, który wzbudził taką furję Moskwy: „*Historia interesuje mnie jako trampolina do gier literackich godzących metaforą we współczesność*”. Krytyka też niejednokrotnie wzmiankowała ów fakt. Marek Ruszczyk: „*Posiada on fenomenalną wręcz wyobraźnię historii. Dla niego historia nie jest prostą sumą faktów, nie jest czasem przeszłym. Jest terażniejszością (...) To wielki dar bogów mieć takie sprzężenie wiedzy, wyobraźni, pasji i plastycznego pióra. Ten pisarz ma genialne wyczucie tego, co ludzie potrzebują*” (1981).

Ludzie wrażliwi zawsze potrzebowali i zawsze będą potrzebowali literatury tego typu, co „Flet” Łysiaka. Dlatego, że jej fabuła dzieje się zawsze (w historii, w terażniejszości i w przyszłości), dlatego, że dzieje się wszędzie (w świecie realnym i nierealnym, przyziemnym i halucynacyjnym, oraz we wnętrzu ludzkiej duszy, zgodnie z dewizą Łysiaka, że „*nie ma przygody na*

zewnątrz — *przygoda jest tylko wewnątrz człowieka*”), wreszcie — i może przede wszystkim — dlatego, że jej forma artystyczna jest wyborna. Według Łysiaka, stale powtarzającego aforyzm Wilde’a: „*Prawda jest kwestią formy*” — forma gra rolę nadrzędną w każdej ze sztuk. Wymóg treściowy zdominowany przez wymóg estetyczny — to hasło nie nowe. Ale rzadko dzisiaj stosowane. Dla Łysiaka jest ono hasłem świętym, stąd trud ponownego napisania „Fletu”.

Wiemy już, że „Flet z mandragory” stanowi swoistą zapowiedź głośnej powieści Łysiaka „Statek”. Rok temu, gdy Łysiak udzielał wywiadu do książki „Wilk i kuglarz”, rozmowa zeszła na temat apelu Ernesta Sabato, by pisać „*powieści monstrualne*”, i apelu Maria Vargasa Llosy, by pisać „*powieści szaleńcze*”. Sabato apelował tak:

„Współczesna powieść, przynajmniej w swych najambitniejszych przejawach, winna pokusić się o totalny opis człowieka, od jego obłądu po jego logikę (...) Byłoby to połączenie Kanta i Hieronima Boscha, Picassa i Einsteina, Rilkego i Czyngiz-chana. Dopóki nie znamy tak uniwersalnego sposobu ekspresji, brońmy przynajmniej prawa do pisania powieści monstrualnych”.

Zaś Llosa rzekł tak:

„Twórcy wydają się dzisiaj mniej ambitni. Może to znak czasu? Kultura naszej epoki nie sprzyja już szaleńczym poczynaniom wielkich powieściopisarzy. Nikt już nie śmie konkurować z kodeksem cywilnym. A wielkie powieści były zawsze owocem zuchwałości graniczącej z szaleństwem. To były bardzo śmiałe poczynania. Być może nasz świat, nasza kultura, trzyma te żądze w karchach, tłamsi pragnienie tworzenia nowych wszechświatów”.

Przypomnijmy teraz fragment wywiadu-rzeki:

„— Pierwszą pańską próbą rozerwania tych pęt, próbą osiągnięcia «monstrualności» literackiej, miał być, jak rozumiemy, «Flet z mandragory»?

— Tak. «**Flet z mandragory**» był moim pierwszym krokiem ku fabule, w której półhalucy nacja miesza się z realnością tak, jak to się dzieje w ludzkim mózgu. Bryan Appleyard twierdził, że «*«Literatura musi być tak wielka i tak chaotyczna, jak dusza człowieka*». To był ten kierunek. Kierunek, którego pewne znamiona można znaleźć w «**Milczących psach**» i w «**Dobrym**». Natomiast «**Statek**» jest ewolucyjną, pogłębianą kontynuacją tamtej pierwszej próby, a żeby to jakoś symbolicznie udokumentować, jedną scenę (scenę plażową) przenieśliem nieomal żywcem z «**Fletu**» do «**Statku**».

— **Znamy ludzi, którzy wolą «Flet» od «Statku».**

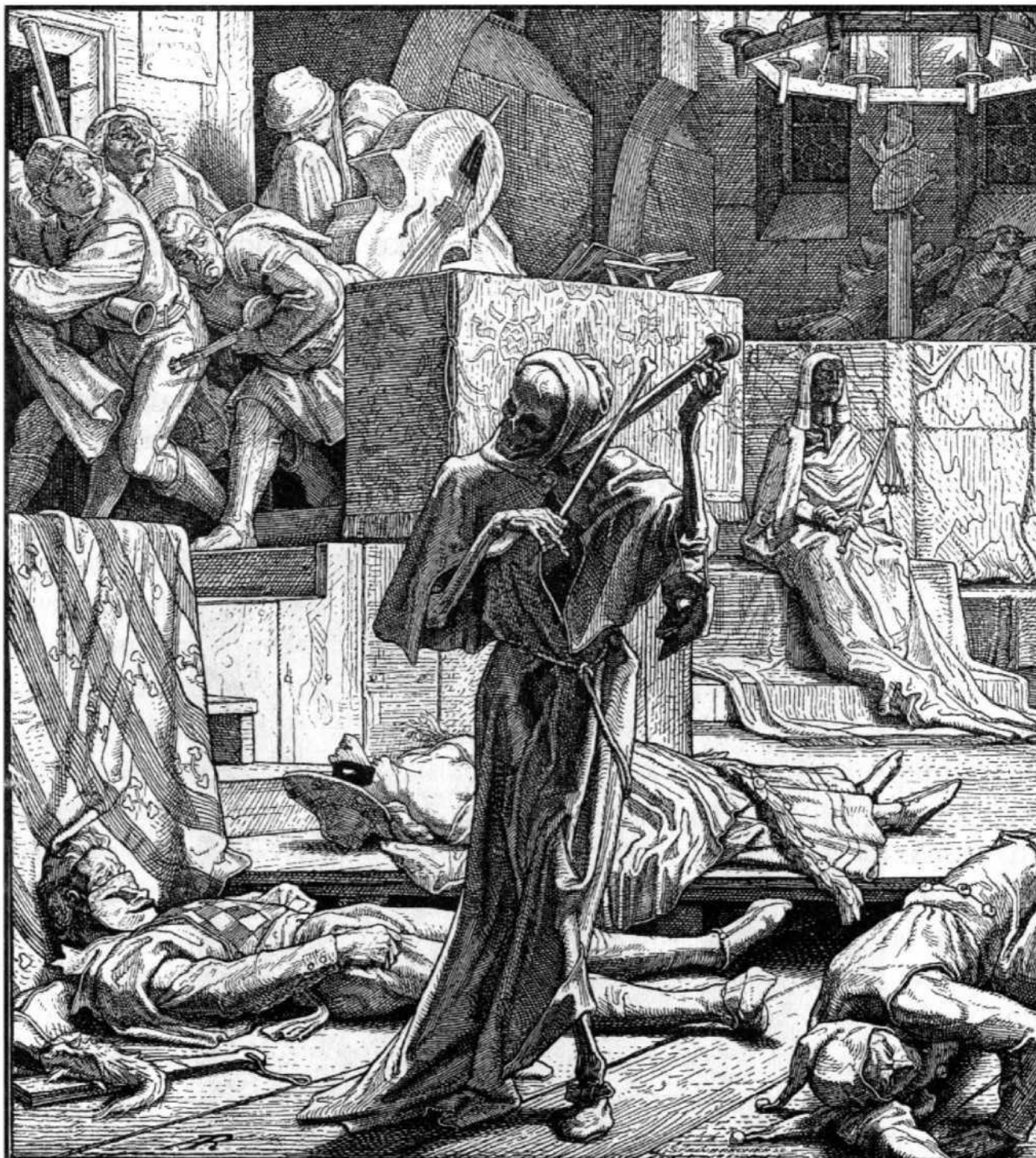
— Ja też. Mam nawet listy od ludzi, dla których «Flet» to najwybitniejsza powieść XX wieku. De gustibus. Ja swoich książek oceniał nie będę”.

Łysiak mija się tu z prawdą aż dwukrotnie. Raz, gdy mówi, że nie chce oceniać swych książek — gdyby tego nie robił, nie podjąłby męki powtórnego napisania „Fletu”. A dwa, gdy mówi, że przeniósł z „Fletu” do „Statku” tylko scenę plażową. Przeniósł tam dużo więcej, od rzeczy drobnych (jak choćby cytaty z bajki Andersena o tancerce i cynowym żołnierzyku), przez grubsze (metafora wysadzenia piekła w powietrze), aż po bardzo istotne (podobieństwo obydwu narratorów, motyw ścigania tajemniczej „*femme fatale*”, poetyka wielu fragmentów). Dzięki temu prawdą jest generalne stwierdzenie, iż „Flet z mandragory” to próg do „Statku”.

Przy okazji: obie te powieści — według wielu czytelników i krytyków najwybitniejsze w dorobku Łysiaka — nie są wymieniane przez encyklopedie, co trąci groteską. Tragifarsą bolszewicką, zupełnie zresztą zrozumiałą, był „*encyklopedyczny zapis na Łysiaka*” w PRL-u. Nie wolno było wstawiać do polskich encyklopedii wybitnego polskiego pisarza, bo władcy Kremla nabawili się przezeń takiej furii, iż musieli się kompromitować formalnym protestem złożonym wobec polskiego MSZ-u. Ale w roku 1989 sytuacja uległa zmianie i odtąd polskie encyklopedie zamieszczają hasło ŁYSIAK. W trzech, które przejrzałem („A-Z. Mała Encyklopedia PWN”, „Encyklopedia Popularna PWN” i „Nowa Encyklopedia Powszechna PWN”), wymieniono osiem z dwudziestu pięciu książek Łysiaka („Szachista”, „Cesarski poker”, „Empirowy pasjans”, „Szuańska ballada”, „Dobry”, „Najlepszy”, „Perfidia” i „Konkwista”), lekceważąc najznakomitszy zbiór esejów Łysiaka („Wyspy bezludne”), rewelacyjną powieść historyczną „Milczące psy”, i „Flet” oraz „Statek”, co jest grubym nieporozumieniem, delikatnie to ujmując, droga PWN-owska oficyno.

Motto z Pascala dodane do motto z Lautreamonta — to jedyna treściowa zmiana „Fletu z mandragory”. Nic prócz tego nie zmieniło się w tym porywającym romansie — a zmieniło się wszystko. Napisanie własnej powieści na nowo, tylko i wyłącznie ze względów „*muzycznych*” — to ewenement, który przejdzie do historii literatury, przynajmniej rodzimej.

Andrzej Banasik



Albert Rethel — „TANIEC ŚMIERCI”.

„Zamierzam, nie poddając się wzruszeniu, wyrecytować bardzo głośno strofę poważną i zimną, którą zaraz usłyszycie. Zwróćcie baczną uwagę na to, co zawiera, i strzeżcie się przykrego wrażenia, które z pewnością pozostawi, jak piętno, waszym zmieszonym wyobraźniom (...) Odepchnijcie od siebie niedowiarstwo — zrobicie mi przyjemność.”

Lautréamont — ***Pieśń Maldorora***

„Ostatni wysiłek rozumu, to uznać, że istnieje nieskończona mnogość rzeczy, które go przerastają; wątpli jest, gdy nie osiąga tej świadomości”.

Pascal

1

W wielu ludziach krąży po cichu robak szaleństwa. Jest czarny i ma trzy wielkie, fosforyzujące szkarłatem oczy. Długi ryjek zakończony otworem gębowym służy mu do plucia — pluje celnie jak zawodowy snajper. Karmi się naszymi snami; chłepcze je po nocach, trawi i wydalą z powrotem, by przyszły do nas nad ranem i objawiły jeszcze inny świat. Małe szeleszczące chwytniki pozwalają mu przeciskać się przez każdą szczelinę ciała. Tak właśnie wychodzi z jakiegoś zdarzenia, wiersza lub religii i wdziera się w nas przez oko, ucho albo por skóry, a potem wędruje w milczeniu żyłami i nitkami nerwów szukając stałej przystani. Kiedy wejdzie do duszy, człowiek staje się niebezpieczny dla swej uczciwości. Kiedy dosięgnie mózgu, człowiek zaczyna zagrażać swemu otoczeniu. Ale kiedy dosięgnie serca, człowiek zakochuje się w jakiejś istocie ludzkiej. Wówczas świat staje się dla niego niebezpieczny i każdy krok zagraża mu klęską.

Mój czarny robak zadomowił się w duszy. Być może to tylko chwilowy postój, przerwa w podróży dla nabrania sił. Możliwe, że pewnego dnia zechce ruszyć dalej i wybierze serce albo mózg zapraszając mnie do bajecznie zastawionego stołu obłąkania lub do perłowej jaskini miłości, w której wszelki rozsądek zasypia, budzi się sumienie, a szczęście utożsamia się z wzajemnością czyjegoś serca i z nieczynieniem zła bliźnim. Wtedy zdam końcowy egzamin z głupoty.

Na razie jednak bronię się przed tym skutecznie. Zatrzymuję go w duszy, a on wścieka się jak malutki narwany kapral i próbuje uwolnić się z celi, oczyścić moją duszę z siebie i pozbawić mnie wszystkich moich grzechów. Stara się pochwycić je, miota się od ściany do ściany, ale jest jeszcze za słaby, musi urósć w siłę, jeśli chce je doścignąć. O nie, braciszku, nie tak prędko. Moje grzechy są jak zabłocone samochody, brzydkie, ale jak pędzą!

Mają przed sobą wielkie połacie kraju, w którym się urodziłem, zielone wstęgi pól i wysokie góry, setki koryt rzecznych i tysiące ścieżek, wsie i

miasteczka pełne ludzi mogących dostać się w ręce pułkownika, Roberta lub moje. Cały ten ogród rozkoszy ziemskich przypomina muzeum — jest jak czysta, pięknie wypolerowana zbiorowa mogiła. Tylko zwiedzający mogą się czuć w niej bezpiecznie, autochtoni to eksponaty, które w każdej chwili złodzieje mogą wynieść i skrzywdzić w lochach starego gmachu Opery, gdzie króluje Robert. Osobliwość tego porównania bierze się stąd, że w tym muzeum złodzieje noszą mundury policjantów. I ja do nich należę.

Urodziłem się w sobotę, Pamiętam o tym dobrze, bo właśnie w ową sobotę intronizowano w blasku sztucznych ogni następcę tronu, księcia Maurycego, który od tej pory władał jako Maurycy IV. W szkole każdy egzamin z historii zaczynał się pytaniem: „*Kiedy wstąpił na tron miłościwie nam panujący Najjaśniejszy Pan?*” (W tym momencie nauczyciel wstawał i zwracał się, pochylając głowę, w kierunku oblicza w złotej ramie wiszącego nad tablicą). Historię, która była moim ulubionym przedmiotem, traktowałem bardzo poważnie, ale kiedy na egzaminie poprzedzającym ukończenie szkoły zadano mi to pytanie po raz ostatni, zamiast formułą *constans* odpowiedziałem: „*W dniu moich urodzin*”. Tak przejawiał się mój dobry humor tego dnia. Dostałem za to porcję plag i musiałem powtarzać rok, ale nauczyłem się, że w kraju, w którym ktoś panuje miłościwie, nie należy przesadzać z humorem. Potem stwierdziłem jeszcze, że poza jedzeniem i ziewaniem w ogóle nie należy zbyt często otwierać ust, ani do płaczu, ani do śmiechu. Kiedy na koniec zrozumiałem, że lepiej jest być młotkiem niż gwoździem — wstąpiłem do policji.

Króla Maurycego IV, zanim wstąpił na tron, nazywano „*wiecznym delfinem*”. Był synem pierwszej małżonki panującego i długo musiał czekać na ową sobotę, a mijające wiosny upodabniały go z wolna do ojca, Maurycego III. Ten ostatni odczuwał niepokonaną awersję do starzejących się kobiet uważając, że kłótność, niewierność, rozrzutność i wszystko inne to drobiazgi niegodne uwagi, podczas gdy główną wadą kobiet jest uleganie czasowi. Maurycy III był idiotą, tak jak wszyscy w jego rodzinie od pokoleń, ale nawet idiotom zdarzają się genialne pomysły. Realizowana konsekwentnie zasada zmieniania żony co kilka lat była jedynym takim pomysłem u tego człowieka. Natomiast jedna z wielkich wad Maurycego III była jego długowieczność, wprawiająca delfina w stan ciągłego rozdrażnienia.

Dopiero kiedy z polecenia Roberta pułkownik przyjął mnie do pracy w policji, dowiedziałem się wreszcie, czemu zawdzięczam zakończone przedłużeniem edukacji pecha, który polegał na spotkaniu się koronacji z moimi urodzinami. Otóż Maurycemu III pomogła opuścić ziemski padół dworska fronda, której członkiem był delfin. Nie pistolety, nie noże, duszenia,

trucizny i inne, zgoła nieprzystojne ludziom dobrze urodzonym nikczemności. Posłużono się marynarzem, którego jedynym majątkiem była malajska odmiana syfilisa. Marynarz wdarł się do mieszkania spikerki telewizyjnej i zgwałcił ją. Spikerka była aktualną metresą króla i po kilku tygodniach Najjaśniejszy Pan zaczął nam miłościwie zdychać, gdyż syf malajski ma to do siebie, że jest nieuleczalny. W ciągu ostatnich trzech dni pościel pod panującym zmieniano co trzy godziny, a pielęgniarki co kwadrans, bo mdlały nie wytrzymując odoru rozkładającego się ciała. Komunikat Królewskiej Agencji Informacyjnej mówi o śmierci na atak serca w wyniku przeciążenia pracą dla dobra narodu.

Maurycy IV był tak samo głupi jak jego ojciec. Korona, berło i jabłko wystarczały mu w zupełności; rządem nie lubił się zajmować, czynili to za niego jego faworyci. Całymi dniami wędrował po pałacowych ogrodach i rozmyślał o swym majestacie. Był głupi idealnie. Od czasu do czasu spotykał człowieka o podobnych zapatrywaniach, ogrodnika lub czyściciela stajni, i odbywali rozmowę w duchu jedności. Pewnego razu wdał się nawet w sprzeczkę ze starym drzewem, starszym podobno od samej stolicy. Mówiono, że klon uzyskał przewagę w dyskusji.

Aż któregoś dnia jego czarny robak dostał się do mózgu i sprawił niespodziankę kamaryli dworskiej: Maurycy IV wpadł w szał i zaczął wyprawiać brewerie. Rozkazywał żołnierzom mordować dworaków i urządzał makabryczne widowiska w Operze, którą właśnie wtedy zamieniono na pałac tortur. Na przemian albo bił czołem przed ołtarzem katedry, błagając Boga o zmiłowanie za bezceństwa, które popełnił, albo odzywała się w jego piersi dzika świnia i tratowała wszystko dookoła. W końcu kazał się ogłosić cesarzem Kaligulą, co wzbudziło jeszcze większą trwogę wśród poddanych. Daleko mu jednak było do klasy Rzymianina. Nikt nie może wiedzieć tego lepiej ode mnie, który obroniłem na Sorbonie pracę dyplomową pod tytułem „Socjotechnika cesarza Kaliguli”.

Kaligulą był synem Germanika i Agrypiny, któremu legioniści znad Renu nadali przydomek od noszonego przezeń w młodości obuwia zwanego „caliga”. Jakże wielki w swym szale musiał być jego czarny listonosz bezwzględności i jak monumentalny pałac wybudował z mózgu tego człowieka. Kaligulą nie był epigonem — był wynalazcą. Kiedy zabrakło starych, niedołącznych gladiatorów do rzucania na pożarcie dzikim zwierzętom w cyrku, kazał cisnąć na arenę kilku widzów, ale przedtem wyrwać im języki, by nie kaleczyli mu uszu swoim wrzaskiem. Gdy był chory, dwóch pochlebców ślubowało swe życie bogom, by wyjednać mu wyzdrowienie. Wyzdrowiał i dopełnił ich ślubu zabijając obydwu. Przebierał się za gladiatora



walczył, a kiedy przeciwnik padał mu do nóg uznając się za zwyciężonego, trzymał go za słowo i zatapiał miecz w jego sercu. Przebrał się także za arcykapłana i kiedy składano ofiarę na ołtarzu, podniósł topór, po czym zamiast na zwierzę spuścił go na głowę ofiarnika. Czynem tym wzbudził szacunek mój i mego brata Roberta, któremu to opowiadałem, obaj bowiem nie mamy litości dla ludzi, a kochamy zwierzęta. Kaligula był dokładnie taki sam: zmuszał rodziców do asystowania przy traceniu ich dzieci (gdy ktoś wymawiał się chorobą, posyłał po niego własną lektykę), ucztował do wtóru jęków ludzi torturowanych i skazywał na śmierć bez żadnego powodu, a kiedy umarła jego siostra i zarazem kochanka, Druzylla, wyrznął i tych, którzy cieszyli się z jej zgonu, i tych, którzy ją oplakiwali. Lecz kochał zwierzęta!

Swego konia, Incitatusa, mianował najpierw kapłanem, potem konsulem, dał mu marmurową stajnię, żłób z kości słoniowej, uździenicę z pereł, purpurowe nakrycia, liczną służbę i sekretarza. Ucztował z nim, czyż więc nie był wielki?



Maurycy IV, który chciał go naśladować, był mały. Małpował nieporadnie dokonania Rzymianina, aż porwał się na największą maskaradę i zabawa dobiegła końca. Kaliguli ktoś powiedział, że prawdziwym królem będzie dopiero wówczas, kiedy przejedzie konno przez zatokę Baja. Zebrano więc tyle okrętów i statków, że stykając się burtami utworzyły łańcuch o długości czterech mil. Pokryto go ziemią i piachem, zasadzono drzewa i krzewy,

wybudowano oberże i urządzono nawet strumyki. W blasku iluminacji, która uczyniła z nocy dzień, Kaligula puścił się cwałem tą drogą. I przejechał przez morze, w którym równocześnie tonęli widzowie gigantycznego spektaklu, bo wielu z nich kazał dla zabawy wrzucić w fale. Maurycy IV też chciał być prawdziwym królem, lecz kopiując czyn Kaliguli na podmiejskim jeziorze, został wyrzucony przez konia z siodła i sam wpadł do wody, z której wyciągnięto go w ostatniej chwili. Lodowata topiel zabiła jego czarnego robaka i przywróciła go do pierwotnego stanu potulnej głupoty. Znowu kontemplował swój majestat na ścieżkach między klombami, a w kraju i na dworze zapanował błogi spokój.

Potulny Maurycy IV nie różniłby się od swego ojca niczym szczególnym, gdyby nie fakt, że był pederastą, i to słabowitym. W następstwie tego nie musiał zmieniać żon i mogłoby się wydawać, iż żadna kobieta nie jest w stanie posłać go do grobowca w krypcie katedry. Tak się jednak tylko wydawało, bo gdy przekroczył sześćdziesiątkę, konieczność zapewnienia sobie sukcesora w postaci własnego dziecka zmusiła go do zamknięcia się na jedną noc we wspólnej sypialni ze świeżo poślubioną małżonką. Ale próba sprezentowania narodowi następcy tronu skończyła się dlań nieszczęśliwie. Z krzyczącej o ratunek królowej zdjęto go bez życia i tym razem komunikat o zawale na skutek nadmiernego wysiłku włożonego w pracę dla dobra narodu był całkowicie usprawiedliwiony.

Śmierć Maurycego IV okazała się śmiercią monarchii w mojej ojczyźnie. O koronę pokłócili się trzej młodszy bracia nieboszczyka, co wywołało dwuletnią wojnę między naszymi sąsiadami, z których każdy popierał innego pretendenta. Zanim wojna się skończyła, przedmiot sporu utracił rację bytu, jako że tymczasem kraj nasz ogłosił się republiką. Wykrzykując hasło: „*Precz z kaligulizmem!*” naród zdetronizował wszystkich Maurycydów, a następnie — chcąc mieć trwalszą gwarancję ich obalenia — oddał ich w ręce kata. W podziemiach Opery odbyło się ostatnie królewskie przedstawienie, po którym trójkę niedoszłych monarchów wsypano do jednej skrzyni i zakopano na cmentarzu policyjnym. Jednakże nawet wówczas, gdyby przeżyli, państwo, które wyszło z wojny zwycięsko, nie mogłoby nawet marzyć o remonarchizacji naszej ziemi i osadzeniu swego faworyta na tronie, albowiem — podobnie jak dwie pozostałe strony biorące udział w konflikcie — musiało skupić całą swoją energię na grzebaniu zabitych i wyłudzeniu od nas pożyczek na podźwignięcie ż gruzów swej gospodarki.

Cywile dzierżyli ster rządów przez rok. Przepelnieni duchem pacyfizmu dogadali się pod koniec owego roku z cywilami, którzy sprawowali władzę w kraju najpotężniejszym spośród wszystkich naszych rywali na kontynencie. Ku

wściekłości kadry oficerskiej postanowiono, że armie obydwu państw częściowo się rozbroją. Pierwszym symbolicznym krokiem na drodze do tego celu miało być wrzucenie do morza zapasów amunicji. Floty nasza i ich spotkały się w jednej zatoce, po czym pod kontrolą przedstawicieli obu stron zaczęto wrzucać w fale skrzynie i beczki z pociskami. Nie wrzucono jeszcze połowy, kiedy na powierzchni ukazały się pierwsze trupy, a morze zakwitło szkarłatem. Okazało się, że pod wodą czatowali nasi płetwonurkowie, którym sztab generalny polecił wylapywać skrzynie i beczki i odholowywać je do czekających w pobliżu okrętów podwodnych. A ponieważ tak samo liczni płetwonurkowie naszych nowych przyjaciół wypełniali identyczne zadanie, pod wodą zrobiło się ciasno i panowie w akwalungach zaczęli się wzajemnie rozpychać nożami, co udaremniło proces demilitaryzacji.

Zaraz potem nastąpił pucz generałów, których przedstawiciel desygnowany na stanowisko szefa państwa, oświadczył narodowi w powitalnym spiczu przed kamerami telewizji: — Wojsko wkroczyło do akcji, by zaradzić nieudolności drobnomieszczaństwa usiłującego utwierdzić się w roli klasy hegemonicznej!

Po następnym roku generałów eksterminowali pułkownicy. Przywódca puczystów wyznał narodowi: — Przejęliśmy władzę po to, by zahamować zbrodniczą falę korupcji, która ogarnęła dotychczasowe sfery rządzące, by wydobyć nasz ukochany kraj z okowów permanentnego kryzysu walutowego i przywrócić swobody parlamentarne zagwarantowane konstytucyjną Ustawą nr 8, która zostanie przywrócona natychmiast po zniesieniu stanu wyjątkowego!

Stan wyjątkowy pułkowników trwał dziewięć miesięcy, do chwili kiedy zastąpił go stan wyjątkowy majorów. Przedstawiciel tych ostatnich oświadczył, że majorowie przejęli władzę, by zahamować zbrodniczą falę korupcji... itd. Niestety, nie udało im się to, za co nie można im robić wyrzutów. Nigdy i nigdzie nie było historii złożonej z samych powodzeń.

Po majorach przyszli kapitanowie, którzy przyznali, że przejęli władzę wyłącznie po to, by zahamować... itd. Formuła ta stała się bardzo popularna w kraju i podejrzewam, że uczono jej w szkołach wojskowych, albowiem wszyscy kolejni puczyści, porucznicy, podporucznicy i sierżanci, recytowali ją bez zajknięcia. Dopiero kiedy po władzę sięgnęli kaprale, ich przedstawiciel, desygnowany przez kolegów do zapoznania narodu z programem nowej ekipy, zarzucił rytuał. Był to wysoki piaskowłosy młodzieniec o krostowatej mordzie, w wojskowej koszuli rozpiętej głęboko „*a la toilette de guillotine*”. Przez długą chwilę stał przed kamerą i mocował się z głosem, a twarz czerwieniała mu coraz bardziej. W końcu zbliżył do obiektywu swą wielką siną piączę i wygłosił tylko jedno zdanie:

— Uuuuuuch, kurwa wasza mać!!!

Rządy jego były bardzo krótkie, lecz pełne dramatycznych wydarzeń, które w przyszłości posłużą powieściopisarzom i scenarzystom za kanwę do dzieł przynoszących wielkie dochody. Był wytworem czkającej historii, która co kilka lub kilkanaście pokoleń powtarza te same schematy; przypominał zwłaszcza obrazoburcę Leona Izauryka, który w VIII wieku z pastucha awansował na cesarza Bizancjum i kazał palić obrazy, a jeszcze bardziej Tomasza Aniello z Amalfi, zwanego Masaniellem, 25-letniego rybaka i złodzieja mąki, który w wieku XVII zbuntował śródziemnomorski motłoch i stał się panem Neapolu. Masaniello władał przez tydzień, łupiąc i paląc co popadło, sądząc ludzi na rynku i skazując wedle fizjonomii, aż zamordowali go nasadzeni przez panów siepacze. Motłoch, który go uwielbiał rano, wieczorem włożył jego trupa w biocie, by następnego ranka wrócić do dawnej miłości ku niemu i głośno go oplakiwać; motłoch jest zawsze sobą. W nabożeństwie żałobnym po Masaniellu uczestniczyło 80 tysięcy ludzi, a 40 tysięcy żołnierzy szło za trumną z opuszczonymi chorągwiami, wśród huku dział i odgłosu dzwonów. Powiadano, że przy składaniu ciała do grobu ręka tego człowieka, który w ciągu jednego tygodnia był rybakiem, królem i świętym, wyciągnęła się dla pobłogosławienia obecnych. Przyznaję, że czytając wydane w roku 1848 w Madrycie dzieło pośła hiszpańskiego w Neapolu, księcia de Rivasa, „Sublevación de Napoles capitaneada por Mazaniello”, ilekroć dotarłem do tej sceny, zawsze przypominała mi się ręka kaprała Ruma wyciągnięta w kierunku narodu za pośrednictwem kamer telewizyjnych.

Kapral Rum też kazał palić obrazy i tłuc rzeźby, sądził kogo się dało, wyrokując na podstawie fizjonomii, a kiedy usłyszał o średniowiecznym „*ius primae noctis*” — prawie pierwszej nocy, kazał jurystom restytuować je i uczynić z niego przywilej monarchy, po czym mianował się cesarzem Rumem I. Wszystko to trwało osiem dni. Kaprała Ruma zamordowali szeregowcy, lecz jeszcze tego samego dnia kaprale odzyskali władzę i wymierzili surową karę swym podwładnym. Łamano ich kołem podług zwyczaju meklemburskiego, po uprzednim szarpaniu rozpalonymi kleszczami. (Podziemia Roberta były wówczas zatłoczone jak nigdy przedtem). Ruma odznaczono pośmiertnie wszystkimi istniejącymi orderami i uczyniono zeń świętego patrona Republiki Kaprali.

Po miesiącu portrety jego zdjęto ze wszystkich elewacji domów, wystaw sklepowych i ścian urzędów i oddano na przemiał. Słyszałem, że przedtem jego posąg stojący w głównych koszarach stolicy oćwiczono wyciorami. Nie wiem, dlaczego tak uczyniono. W historii często karano świętych za niewydajność.

W dawnych Chinach, kiedy bóstwo nie dawało dżdżu, bito je pałkami aż do skutku. Podczas posuchy za panowania Kia-Kinga, piątego cesarza dynastii mandżurskiej, Smok Deszczowy, który długo nie zsyłał dżdżu, został wypędzony na dalekie krańce Turkiestanu, nad brzegi rzeki Uli. W roku 1888 mandaryni Kantonu ślali modły do bóstwa Lung-Wong o wstrzymanie ulewy, a gdy ono okazało się głuche na ich prośby, wpakowano je na pięć dni do więzienia, co miało zbawienny skutek i dowiodło słuszności postępowania wiernych. Innym razem to samo bóstwo skuto kajdanami i wystawiono na kilka dni na podwórze świątyni, by na własnym ciele odczuło skutki nieustającej spiekoty. Podobnie mieszkańcy Syjamu, kiedy odczuwali potrzebę deszczu, wystawiali swych bożków na płomienny żar słoneczny, gdy zaś pragnęli suchej pogody, zrywali dachy świątyń i dawali ulewie padać na posągi bóstw. W Europie czyniono tak samo, czego przykładem był rok 1893 na Sycylii. Panowała wówczas wielka rozpacz z powodu posuchy, która trwała od sześciu miesięcy. Otaczające Palermo zielone ogrody Conca d’Oro więdły. Ludzie głodowali, wypróbowano wszystkie metody sprowadzenia deszczu, lecz na próżno. Dniem i nocą płonęły ofiarne świece, przez ulice i pola ciągnęły procesje biczowników, mężczyźni, kobiety i dzieci godzinami leżeli u stóp świętych, na drzewach zawieszono gałązki palmowe. W Solaparuta rozrzucano po polach pył zmieciony z kościołów podczas Niedzieli Palmowej. Wielki patron, święty Franciszek z Paoli, który corocznie spełniał cud zesłania deszczu, oprowadzany wiosną po ogrodach owocowych, tym razem nie przyniósł ratunku. W końcu, gdy nie pomogły msze, nieszpory, koncerty, iluminacje i sztuczne ognie, wieśniacy stracili cierpliwość. Większość świętych obsypano pogrózkami i przekleństwami, po czym jednych wypędzono z parafii, innych zaś, zerwawszy z nich piękne stroje, potopiono w sadzawkach do pojenia koni. Tych, którym darowano życie, odwrócono twarzami do muru. W Palermo ciśnięto świętego Józefa do ogrodu, by sam przyjrzał się spiekocie, i obiecano mu, że zostanie tam twarzą do słońca tak długo, dopóki nie spadnie deszcz. W Caltanissetta zerwano złote skrzydła i purpurowy płaszcz z ramion archanioła Michała, zastępując je skrzydłami z tektury i dziurawą szmatą. W Licata miejscowego patrona, świętego Angela, ludzie pozbawili całkowicie odzieży, zelżyli, skuli łańcuchami i zagrozili szubienicą lub utopieniem. „*Deszcz lub powróż!*” — wrzeszczał doń rozwścieczony tłum, przyskakując mu do oczu z zaciśniętymi pięściami.

W takich chwilach, kiedy z łąk ludzkich wierzeń pozostają tylko okrwawione żdźbła trawy, a ściany piekła trzęsą się z radości — ukazuje się prawdziwe oblicze Ziemi. Doprawdy, nie ma znaczenia, co krzyczeli kaprale do swego świętego i czego od niego żądali, kaprale bowiem dlatego są

kapralami, by krzyczyć i karać, a jeśli nawet byli pijani, to co za różnica? Ich polityka była tak samo dobra jak każda inna — polityka zawsze jest jak człowiek uprawiający korespondencję na kartach wielkanocnych i bożonarodzeniowych, które od jakiegoś przedświątecznego zakupu pozostały mu w nadmiarze.

Kaprale zresztą starali się to zmienić, mieli dużo świeżych pomysłów. Kawiarnie pozamieniali na piwiarnie, bary mleczne na lokale wyszynkowe, księgarnie na sex-shopy, domy mody na stripteasernie, a teatry na burdele. Innych reform nie zdążyli wprowadzić, gdyż ościenne państwo — korzystając z rozprzężenia naszej armii — dokonało skutecznej agresji na nasz kraj. Wkrótce jednak dwaj nasi pozostali sąsiedzi — korzystając z tego, że armia agresora zmieniła miejsce pobytu — zaatakowali jego ziemie, w następstwie czego okupant musiał czym prędzej wracać do domu.

Po jego odejściu zapanował chaos. Radykalna, antymonarchistyczna operacja w postaci opisanej wyżej rewolucji cywilów, a potem wojskowych, udała się, ale pacjent umarł. Kraj nasz stał się politycznym trupem. Armia praktycznie nie istniała, a oficerskie niedobitki, którym udało się ująć przed niepohamowaną wściekłością młodszych kolegów, miały już dostatecznie poparzone ręce i nie zamierzały ponownie stawać u steru. Kiedy słabną konie, wilki zaczynają atakować sanie. Krajem, a przynajmniej największymi miastami, poczęła rządzić ulica. Władzę próbowali przejąć ponownie politycy z czasów pierwszej Republiki cywilnej oraz niedobitki monarchistów, ale ulica posmakowała już anarchii i nie zamierzała tak łatwo oddać swoich bezprawnych przywilejów. Stare powiedzenie, że władza leży na ulicy i tylko trzeba się schylić, stało się wówczas rzeczywistością. Nie pojawił się jednak żaden Bonaparte.

Pojawił się On, stary, siwy wilk-włóczęga, którego mało kto znał. Niegdyś, za czasów Maurycego IV, był ministrem propagandy. Potem zniknął. Mówiono, że przebywał w opuszczonej górskiej pustelni i oddawał się medytacjom, które odmieniły go wewnątrz. Od pułkownika dowiedziałem się, że to nieprawda, że ten człowiek spędził kilkanaście lat na trzech kontynentach prowadząc podejrzany handel bronią dla ruchów partyzanckich lub narkotykami dla mafii, a może i jednym, i drugim. Ale nie wszystko w tym, co szeptano, było nieprawdą, gdyż On rzeczywiście przeszedł metamorfozę. Przestał wierzyć w istnienie Boga.

Wówczas, kiedy ponownie zjawił się na naszej scenie politycznej, było w nim coś z pierwotnego zwierzęcia, które badając swoje możliwości, doskonalił je drogą treningu i zyskując panowanie nad nimi, przeobraziło się w człowieka. Żywy model tej drogi, na której człowiek staje się człowiekiem

odkrywając swoje ciało i modelując je — przede wszystkim rękę, ale także głos, któremu zawdzięcza nie spotykany u innych zwierząt środek ekspresji, porozumiewania się i przekonywania. Musiał eksperymentować przez te wszystkie lata, kiedy był nieobecny, tak jak owe tajemnicze stwory, z których wykształcił się homo sapiens (ślady owego eksperymentowania z własnym ciałem, owej nieustannej manipulacji, znajdujemy w absurdalnych na pozór okaleczeniach, jakie zadają sobie ludzie pierwotni, a z których co najmniej jedno — obrzezanie — zachowało się u ludów cywilizowanych). Najwięcej uwagi poświęcił swemu językowi, przekształcając go z obślinionego mięśnia w jamie ustnej w straszny instrument hipnotyzera.

Przekształcenie to człowiek od prapoczątków rozciągał także na swą psychikę, która z racji długotrwałego okresu dzieciństwa była szczególnie podatna na manipulowanie. Tak właśnie On — wygnany i osamotniony, walczący z jakimiś dalekimi światami — narodził się na nowo, a potem dorósł i okaleczył się rezygnując ze swego Boga i czyniąc z siebie istotę doskonale amoralną: pozostał wrażliwy na wszystkie cierpienia tej ziemi, ale stał się bezwzględny jak przyroda. Nie krępował go już żaden strach, bo kiedy Bóg nie istnieje, piekło jest nieczynne.

Tak uzbrojony wrócił do kraju z zamiarem objęcia władzy. Zaczynając wybrał najtrafniej: udał się do pułkownika-szefa policji. Powiedział:

— Dajcie mi kawałek balkonu, a będziemy rządzić.

Policja, która była w owym czasie dość bierna, nie przestała być wszakże państwem w państwie i mogła to zrobić. Dali mu cały balkon, a on w ciągu kilku miesięcy przejął władzę i dzierży ją do dzisiaj. Wszystko dlatego, że umiał przemówić do ludzi i tchnąć w nich marzenie. Kiedy mówił, słowa dostawały skrzydeł z pawich piór. Najpierw oczarował słowami zmęczoną już ulicę, a także wielki przemysł i bankierów, i dopiero potem eksterminował wszystkich swych kolegów, owych równie jak on podstarzałych weteranów polityki, używając do tego zreorganizowanej armii. Ale i armia nie ostała się długo. Pamiętam, jak wuj Arnold, kiedy przyjechałem z Paryża na wakacje do jego antykwariatu, rzekł:

— To nie potrwa długo, mój drogi. Na bagnietach można się oprzeć, ale siedzieć na nich nie sposób, bo prędzej czy później wbijają się w dupę. On o tym wie. Potem przyjdzie kolej na ten motłoch, który go oklaskuje. Tłum jest tylko chwilami niebezpieczny, głupi jest zawsze!

Stało się tak, jak przypuszczał wuj Arnold, tylko kolejność była inna. Prezydent puścił cugle fabrykantom, odczekał, aż kraj ogarnie fala strajków, i utopił je we krwi przy pomocy wojska. Ta kilkustopniowa operacja sprawiała wrażenie bezsensownej, bo przecież aplauz tłumu wyniósł go do władzy i tłum

wciąż wiwatował na jego cześć. Ale on wolał nie czekać do tej chwili, która musi przyjść i w której władca przestaje się orientować, dlaczego ludzie klaszczą — z zachwytu czy też po to, by go zagłuszyć? Charyzmat osobisty jest wartością nietrwałą, wolał postawić na charyzmat pałki.

Dopiero wtedy mógł rozprawić się z armią. Zaczekał, aż jego pretoriańska gwardia, na czele której stoi Saturn, urośnie i zmężnieje, po czym większość kadry oficerskiej zrabował seriami karabinów maszynowych. Rekrutami zapełnił osierocone fabryki, ale przedtem wszystkie znacjonalizował, co równało się reprzywatyzacji, gdyż wszystkie stały się jego własnością. Właścicieli wymordował wraz z rodzinami.

I tak oto zostali oszukani wszyscy, którzy kiedyś — mając dość królewskiego berła — zamienili monarchię na republikę. Durnie nie przewidzieli, że berła są niezniszczalne, a różnica tkwi tylko w materiale — po upadku monarchii zaczęliśmy produkować je z gumy. Potem zaś mogli już tylko dołączyć do orszaku zwycięzcy. To też prawidłowość — słabi rywale polityczni są hardzi do momentu, gdy ich przeciwnik osiągnie sukces. Wtedy ruszają pędem i zaczynają czepiać się poły jego surduta, wskakując na „wóz dla orkiestry” szybciej, niż porusza się język mrówkojada i urabiają opinię publiczną dla tego, kogo przed chwilą nienawidzili — pracują na jego kolejne sukcesy. W polityce nic tak nie pomaga w odnoszeniu sukcesów jak sukces (Napoleon mawiał: „*Największym mówcą świata jest sukces*”), ten pierwszy i decydujący o wszystkim.

Nową armię (są to zaledwie trzy dywizje, elitarna gwardia pretorianów dowodzona przez Saturna) Prezydent zbudował z wyselekcjonowanych fanatyków, posłusznych mu tak, jak psy są posłuszne myśliwym. Dzięki niemu nie prowadzimy wojen. Kraj nasz zrezygnował z niebezpiecznych rozkoszy wielkiej historii i jest państwem totalitarnego spokoju, gwarantowanego z zewnątrz skomplikowanym systemem aliansów i kontraliansów, w którym nikt nie jest aż takim kretynem, by nacisnąć atomowy guzik, od wewnątrz zaś przez kapitana Saturna i pułkownika. No i jeszcze przez Roberta i przeze mnie.

Raz do roku Prezydent wygłasza przez radio przemówienie do narodu. Jest to zawsze ten sam tekst, ten sam co do jednego słowa. W każdym konkursie retoryki artystycznej zwyciężyłby tym przemówieniem bez trudu — starożytni Grecy mówców takich jak on wieńczyli złotymi laurami. Ma fascynujący głos, pełen słodyczy i groźby, a granica między nimi wije się jak wąż. Leitmotiwem jest twierdzenie o władzy, którą sprawują wszystkie zespolone braterską miłością szczepy naszego plemienia — On jest tylko sługą obranym dożywotnio przez samego siebie i realizującym życzenia obywateli. Klasą dominującą w tym kraju jest mieszczaństwo. Bogaci się ono w takim samym

milczeniu, w jakim głodują nędzarze, a strach jest jedynym wspólnym dobrem. Na ulicach królują szpicle moi i pułkownika oraz szpiclujący ich i szpiclowani przez nas szpicle Sctuma. Nie buntują się nawet artyści, co jest rzeczą naturalną. Wbrew pozorom bardzo niewielu artystów było buntownikami i jeśli nawet ktoś pokaże mi ich rebeliancką twórczość, parsknę mu w nos śmiechem. Bunt w dziele sztuki nie może być niczym więcej jak buntem w sztuce, władcy bardzo lubią takie bunty. Ale otwarty bunt? Riemenschneider, chociaż był chłopem, był przyjmowany na dworach, gdyż był wielkim artystą. Lecz kiedy stanął w obronie uciśnionych, oprawcy działający w imieniu panów połamali mu stawy i snycerskie palce, by już więcej nie mógł rzeźbić.

Prawdziwych artystów jest zresztą w mojej ojczyźnie niewielu, albowiem mieszczaństwo wytworzyło na własny użytek swoją mieszczańską niby-sztukę i niby-kulturę i zasklepiło się w swoim własnym poziomie intelektualnym, do którego — jak do żadnego innego — pasują słowa Pericha: „*W tym kraju poziom kulturalny jest tak niski, że gdyby Szekspir urodził się tutaj, nigdy nie skomponowałby «Nad pięknym, modrym Dunajem»*”. System policyjny, pułkownik, Saturn i Opera Roberta służą beztalenciom za usprawiedliwienie, są parawanem ich impotencji artystycznej. Nikt im nie przypomina, że Lope de Vega napisał swoje dzieła mimo istnienia Inkwizycji (inna sprawa, że nikt nie zadaje sobie pytania, co by mógł napisać Lope de Vega, gdyby nie było Inkwizycji). Wszyscy oni godni są swej miernoty.

Jestem więc mieszczańskim żyjącym w mieszczańskiej republice, w królestwie małych burżujów, handlarzy i urzędników, którzy nie mając nic do powiedzenia myślą już tylko o jednym — o jak największej hegemonizacji swojej klasy w społeczeństwie trzęsących portkami i potulnych. Staram się być sprawnym kółkiem w maszynie represji utrzymującej tę galerię na powierzchni, ale to nie znaczy, bym się z nią identyfikował uczuciowo. Gardzę nią. Studiowałem historię i to tłumaczy, dlaczego wstąpiłem do policji. Tylko ona jest wieczna. Imperia rodzą się i umierają, zmieniają się królowie, wędrują ludy. Ale to tylko piana na powierzchni fali. Zasadniczy nurt to policja. Policjant jest potrzebny wszystkim. Jest w nim coś boskiego — nieśmiertelność.

Gardząc skrycie układem, który wspieram, daję dowód, że jestem prawdziwym mieszczańskim. Mieszczaństwo od początków swego istnienia pogardało sobą i szydziło z samego siebie. To jedna z jego osobliwości. Arystokracja, świat robotniczy i chłopstwo nigdy nie wypowiadały się w ten sposób. Moliere, który wymyślił pana Jourdain, to mieszczański. Flaubert, który każe mieszczańskim delectować się własną głupotą obserwując Bouvarda i

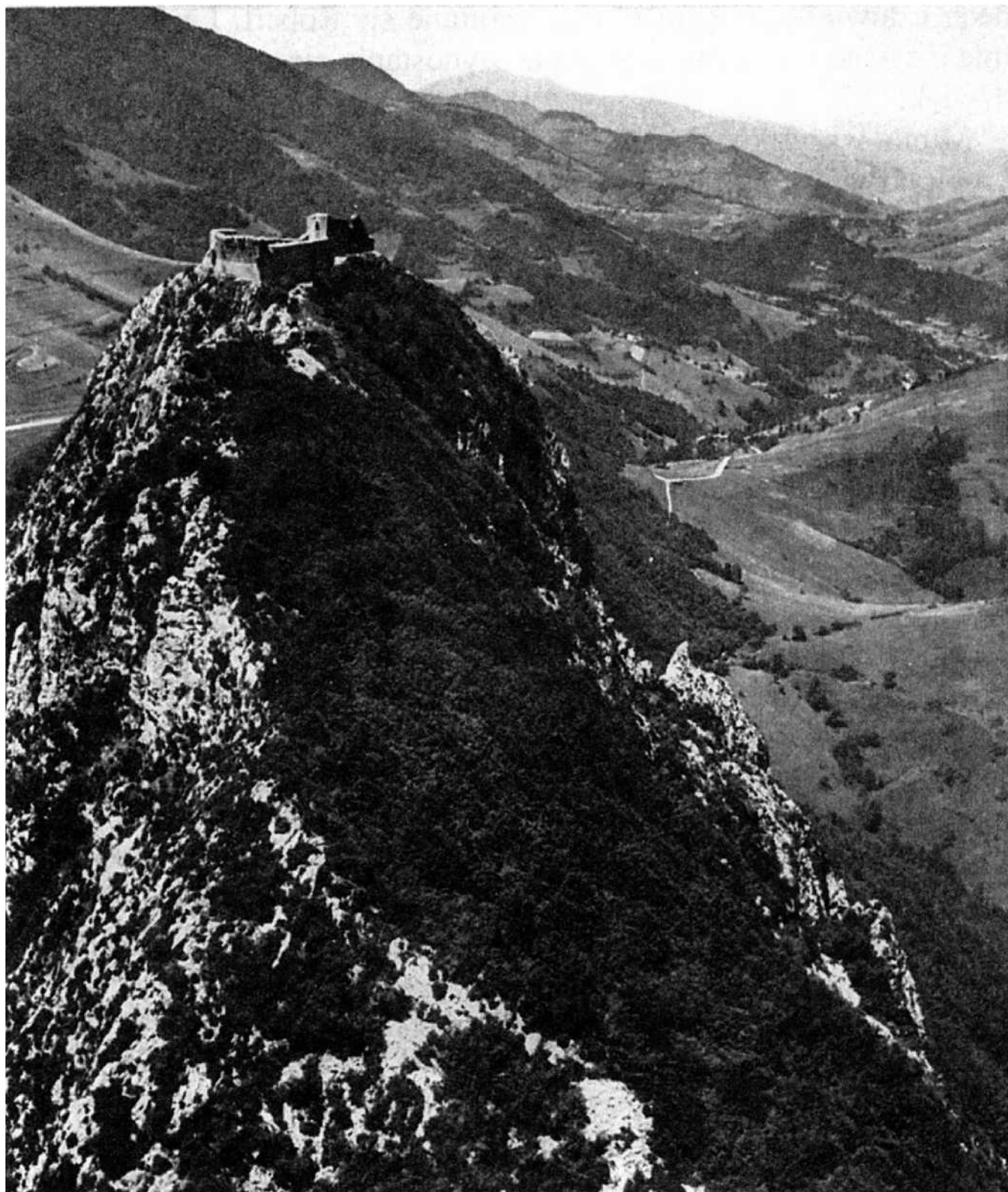
Pécuchet, to mieszczanin. Marks, który pogroził mieszczanom: „*Jesteście tylko nietrwałym elementem historii!*” — to też mieszczanin.

Nietrwałym elementem historii... Nie wierzę w to. Mieszczaństwo, drwiąc z siebie, zapowiadało zawsze własną śmierć. „*A bas le bourgeois!*” Nie wierzę, mieszczaństwo jest wielkim ssakiem. Nawet jeśli jest ono mamutem w samym końcu dyluwium i jest skazane na zdechnięcie wśród lodów, to przyjdzie po nim następca, mieszczański słoń, ponieważ już od dawna świadomą lub nieświadomą ambicją wszystkich klas jest utożsamianie się z mieszczaństwem, wraz ze wszystkimi jego obsesjami i grzechami. Jest to najpiękniejsza bzdura, jaką znam. W bzdurze też istnieje dążenie do ideału — jeszcze o tym nie wiecie?

Nie odczuwam wyrzutów sumienia. Dopóki czarny robak szaleństwa nie zawędruje do mego serca, będę taki, jaki jestem. Po co miałbym narażać się i walczyć o nowe ziemskie światy? Nie poświęcę ani jednej sekundy na naprawianie planety, która jest wynikiem zakładu bogów o to, komu uda się zrobić największy bubel w kosmosie! Wyzwolić się można tylko przez ucieczkę ze świata fizycznego ku psyche i ku tej obecności ducha, która żyje wewnątrz. Tak właśnie robię czasami za pomocą fletu z mandragory, który otrzymałem od wuja Arnolda, w spadku po nim. Jeśli to prawda, że ojczyzna jest tam, gdzie chciałoby się umrzeć, to moją ojczyzną jest świat, którego nauczyła mnie moja matka i w który wprowadzają mnie dźwięki mojego fletu.

Moja ziemską ojczyzną też jest piękna; każdy z licznych turystów, którzy tu przybywają latem, przysięgnie wam na to. Jest tak piękna, że nawet najmniej wykształcony obywatel tego kraju rozumie, iż jest ona jak obraz impresjonisty — najlepiej oglądać z daleka. Niebo mogłoby być dziełem cukiernika: nieskończoność błękitnego lukru, gładka jak lustro. Płyną po nim floty obłoków z cukru pudru. Widok jest tak jasny, że aż oczy łzawią. Tam, gdzie błękit styka się z ziemią, wznoszą się pokryte śniegiem góry, wysokie i iskrzące się, albo falują wielkie zielone równiny, świeże jak marcepan.

W samym środku rozciąga się wielka kotlina otoczona przez lesiste wzgórza. Dochodzą z niej ludzkie słowa, szczekanie psów, odgłosy pracy, ale wszystkie jakby nierealne, pokryte pyłem i rozpuszczone w oparach mgły. Zielony kraj i święta cisza. Przybysz z innej krainy — krainy Północy i sztormów atlantyckich albo krain Południa i Wschodu, gdzie słońce postarza czyniąc życie nadto zmysłowym — wchodzi tu z głębokim westchnieniem zmordowanego wędrowca, który może wreszcie ułożyć się w spokoju wśród milczącego, pełnego pastelowych barw pejzażu, jak wśród łagodnie elegijnych kulis na czułych i cierpkich płótnach quattrocanta. Wrażenie mylące, ale co za przyjemność!



Pępkiem kotliny jest wysoka skalista góra. Na jej szczycie, wysoko pod kopułą z lukru, stoi dom Prezydenta, wielki śnieżnobiały zamek, prawie niewidoczny, zdawałoby się — nieosiągalny. Gniazdo jastrzębia ukryte w chmurach. Można tam wjechać z podnóża szybkobieźnymi windami, ale nikt z ludzi, których znam, nie wjechał tam nigdy. Nawet pułkownik. Rozkazy z

sekretariatu Prezydenta otrzymuje telefoniczne kapitan Saturn i przekazuje dalej nam, ministrom, urzędom, fabrykom, telewizji i prasie.

Z jednej strony góry znajduje się jezioro o lesistych brzegach. Z trzech pozostałych stron rozpościera się rogal miasta, stolica kraju. Nie ma w niej kosmopolitycznych zapachów Nowego Jorku, łobuzerskich uroków Londynu ani tylekroć opiewanych wdzięków Paryża. Jest za to ta sama co wokół, na polach i w lasach, aż do każdej granicy, cisza, i ta jest warta dewiz. Nie widać tego tak dobrze w dzień, jak pod wieczór, kiedy gromady ludzi wracają z pracy i kiedy głośnie są jedynie rozmowy hamulców, opon, klaksonów i gwizdków, a usta milczą. Tak wiele dookoła ciszy, że niemal słycać, jak rozbijają się o szyby promienie ludzkich zasznurowanych marzeń.

Później, kiedy gęsta ciemność nocy otula miasto, zapalają się potężne reflektory na zboczach góry. W jaskrawych snopach światła dobrze widać zawieszzone na wysokich ażurowych konstrukcjach gigantyczne portrety Prezydenta. Wydaje się, że unoszą się one nad głównym placem i orbitują w powietrzu jak wielkie żagle statku Latającego Holendra. Oślepiające koła, które ślizgają się po ulicach i dachach domów, muskając twarz Prezydenta, nadają jego wargom złudzenie ruchu. Milczące miasto jest wówczas niby obraz świata, który zamknął usta, by wsłuchać się w inny głos. Tłum natęży ucho, by uchwycić oddech człowieka, z którym właśnie rozmawia Robert. Lecz przez kamienne ściany lochów Opery nie przedostanie się na ulicę ani jeden dźwięk.

A jednak oni słyszą, słyszą i czują każdą kroplę krwi, tak jak tego chce Prezydent. I tak jak on tego chce, nie słyszą niczego obwieszeni fotoaparataami goście. Miasto ze swym magicznym spokojem jest dla nich niby Medyna w świętej godzinie ramadanu i wspólnie przeżywany sen obejmuje we władanie serce i pamięć każdego przybysza. Zdaje mu się, że jakaś szczęśliwa dłoń, ręka Boga, błogosławi tę ziemię.

Wrażenie mylące, ale co za przyjemność!



Winien jestem teraz zacząć od tego słowa, które otwierając mi drogę na cmentarz rozpoczyna opowieść o najdziwniejszych chwilach mego życia. Był tam kiedyś park pełen czarnych świerków i lip. Mniejsza o to, kiedy zamieniono go na miejsce ostatniego spoczynku ludzi, którzy usłyszeli o jedno słowo za dużo i dotarli do tej ponurej parceli, gdzie ich ciała zamieszkują jak obciążone ołowiem truchła zmarłych galerników zaścielające dna mórz. Dotarli tam przez uszy i przez usta, dzięki którym każdy jest śmiertelną istotą, zabłąkaną między piaskiem a gwiazdami, nieświadomą niebezpieczeństw, jakie grożą ze strony tych organów, których udziałem miała być słodycz oddychania i napawania się symfoniami Beethovena.

W szkołach uczą: pomyśl, zanim powiesz. Gdyby każdy z mych rodaków posłuchał tego wskazania, skończyłoby się to całkowitym zniknięciem naszego języka mówionego, wyjąwszy język urzędowy. Lecz w ludziach tkwi duch nieostrożności, a w niektórych na dodatek sąsiaduje z nim duch przekory- miłośnik owoców zakazanych. Ma on tylko te dwa wielkie, przeklęte organy, uszy i usta, i o dwa za dużo.

Ucho człowieka jest straszną furką. Słowo, które w nią wpada, czai się w środku gotowe wylecieć na kształt krwiożerczego ptaka śmierci. Albowiem usta człowieka są furką jeszcze straszniejszą i to, co przez nie wychodzi, może owinać się wokół szyi albo wbić między żebra i poharatać wnętrzności. Jakże trudno jest zawrócić, kiedy takie słowo zagnieździ się w pamięci. Wówczas jak okiem sięgnąć rosną pułapki na wytrwałość ciała. Ta zaś nie jest nieograniczona.

Robert mój brat, jest mistrzem w otwieraniu najtwardszych ust i nie znam człowieka, który by mu odmówił. Dlatego pułkownik używa określenia „*tomaty*”, gdyż Robert otwiera ich wszystkich jak puszki z pomidorowymi konserwami, wszystkich tych ludzi, których my mu dostarczamy do otwarcia.

Tak właśnie otworzył wielkiego pięknego samca, który gdzieś tam za murami Opery budził zazdrość.

Patrzę oto na tego mężczyznę, którego los przeklął w łonie matki skazując na usłyszenie straszliwego słowa i z którego Robert to słowo wydobył. Z ust wykrzywionych męką, popękanych i czarnych jak zleżałe śliwki, spomiędzy szczęk, w których zęby i dziąsła zlały się w jedną bezkształtną masę, z głębi gardzieli bulgoczącej żółcią. Zapamiętam jego martwe włosy rysujące czoło zeschniętymi kosmykami i oczy, w których zastygło marzenie o śmierci. Dziwne, że nikt nie zamknął mu tych oczu po zgonie, i takim go zobaczyłem w trumnie z nie heblowanych desek.

Leży wrzucony byle jak, brudny, zmasakrowany przez Roberta owad, w strzępach ubrania, które niegdyś były garniturem. Kiedy go aresztowałem, ten garnitur był beżowy, ale od tamtej pory tyle razy nasiąkał krwią, ekskrementami, moczem, śliną i potem, że zamienił się w brunatną szmatę, zeschniętą i pękającą przy lada ruchu. Cały ten bestialski pancerzyk skruszyłby się i rozleciał jak słaba tektura, gdyby nie to, że wrósł w popękane ciało.

Hen, za błękitną rzeką usycha kikut drzewa, którego jedynym zadaniem było utulić ofiarę. Grubiało mozolnie i dało się podzielić na trumienne deski, a teraz ociężyły pniak siedzi w kucki i ginie. Nie jest już zdolny do odczuwania rozkoszy wieczornego wiatru i wsłuchiwania się w mowy księżycy i gwiazd. W ciele otępiałym przez kalectwo nie poruszają się żadne wspomnienia. Może jeszcze któryś z korzeni pamięta mgliście chwilę mordy, ciosy, ramiona i krzyki, aż do krańca bólu zadanego przez zęby piły. Od tamtej chwili pograża się coraz głębiej w mroczny sen, niczym zmarznięty ślepiec, i upodabnia do swoich dzieci, które zostaną zakopane razem z ciałem tego człowieka.

To był silny mężczyzna, o pięknym renesansowym torsie i nogach- kolumnach. A myślał, że jest jeszcze silniejszy, lecz Robert przekonał go, że to nieprawda. Przez cztery godziny tamten mdlał i wył, i znowu mdlał, i nie chciał powiedzieć, jakie sekrety ludzkich szaleństw kryją się za tym słowem. Mógł umrzeć za gest czarnoksiężnika z bajki — za rozsypanie tego słowa na wiązkę meteorów, które spadną na nieskazitelny obrus naszej ciekawości i pozwolą nam działać. Żaden człowiek nie miał nigdy tak niezbitej gwarancji wyzwolenia się od cierpień w zamian za rozmnożenie jednego słowa. Uczynił to dopiero w piątej godzinie. Obrus ugiął się pod ciężarem nazwisk i adresów, ciężarem zaskakującym, tak jak cała ta sprawa, która zaskoczyła mnie, przekonanego, że w moim kraju nikt nie ośmieli się zbuntować na wielką skalę. Wszystko to musiało być zapisane w gwiazdach, ale któż mógł odczytać ich hieroglificzne przesłanie? Jedna z nich, pierwsza ze stada, zerwała się z

gałęzi niebiańskiej jabłoni i runęła w kosmiczną przepaść, kiedy ów człowiek wycharczał ostatnią informację.

Wtedy pozwolono mu umrzeć, bo gdyby nawet chciał, już niczego więcej nie byłby w stanie powiedzieć. Kiedy umarł, ciśnięto go do skrzyni z umarłego drzewa, skrzynię ustawiono na wózku i powieziono w kierunku policyjnego cmentarza. Był tam kiedyś park i stał stary dom pełen życia. Ktoś go kochał i szanował za to, że zapewnia schronienie, ogrzewa i daje poczucie posiadania. Ach, cudowność tych domów, w których nikt już nie mieszka i których urok nic nie znaczy, odkąd nikt nie powraca do nich pełen tkliwej tęsknoty. Rozmagnesowane gniazda w złowieszczej pustce cmentarzy.

Siedzę na ławeczce obok trumny i patrzę na senne, zgarbione plecy grabarza i na pełny zad koński rozbujany w lewo i w prawo. Jestem jedynym uczestnikiem tego bluźnierczego pogrzebu bez księdza i odrobiny święconej wody. Uznałem to za swoją powinność, gdyż aresztując owego człowieka stałem się jego akuszerką w świecie cierpienia. Odebrałem go od życia, by rzucić go policji, osobiście, nie — jak zazwyczaj — przez moich ludzi, i dlatego wypada mi asystować przy jego odejściu. Tak przynajmniej tłumaczę swoją ciekawość.

Od dawna już chciałem poznać ów cmentarz, o którym słyszałem tyle niesamowitych opowieści. Podobno przy pełni księżyca tworzą się w jego wykrotach wielkie słone kałuże łez, a w noc wigilijną zimowe wampiry zlatują się tam na podziemny sabat. Przedwczoraj, kiedy grałem na flecie z mandragory, wyniesiony poza granice zmysłów, widziałem opuszczony dom. Wszedłem do środka i wędrowałem po jego komnatach. Kiedy chciałem wejść na piętro, ujrzałem na schodach ogromne jarzące się ślepie. To był kot; miał srebrzystoczną sierść i ocierał mi się o nogi z natrętną poufałością. Pod wpływem tej pieśczoły zagnieździło się we mnie dziwne przeczucie, jakiś przeblysłk jawy, której jeszcze nie znałem, a która wsysała mnie w siebie ruchem spiralnym jak morski lej i przyprawiała o zawrót głowy.

Nie naoliwiona ośka skrzypi miarowo, z dalekiej mrocznej ciszy dobiega stukot pociągu, coraz bliższy, aż przewala się obok ryczącą kometą wagonów i, oddala w drugą ciszę. Zradlona obręczami kół ziemia śpi jeszcze, przykryta cienką zawiesiną pary, a na niebie czerń przeradza się w intensywny granat, w którym pływają jaśniejsze plamy galaktyk. Wszędobyłski zapach jakiegoś kwiatu otula nozdrza i nasycza przestrzeń lekkością. Jest czwarta nad ranem.

Kolo zapada się w dół i ciało trupa na moment przekręca się uderzając o ściankę trumny. To był silny mężczyzna o pięknym renesansowym torsie, którego ciężar wspomina niejedna kobieta, i o masywnych nogach, które rozwierały uda tamtych kobiet. Chodził po ulicach i przeglądał się w

wystawach, przymierzał koszule i kolekcjonował krawaty, pławił swą opaleniznę w wyschniętej trawie i grymasił na menu, rozcinał kartki książek i marzył. O czym marzył? O tym — nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości — o czym marzy każdy z nas, o pieniądzach, władzy, sławie, nieskończonej wienie i o dziewczętach, które należą do innych. A teraz schowany w plugawej skrzynce obija się o jej ścianki za każdym przechyłem wózka, skulona poczwarka, którą nadepnięto butem i skąpano w jej własnych wnętrznościach. Kiedyś miał szerokie wargi, którymi szeptał piękne kłamstwa, gwizdał i przeklinał, które otwierał przed kromką chleba i którymi wchłaniał nabrzmiałe zapamiętaniem sutki, i może jeszcze modlił się, a które teraz są bezkształtnym czarnym strupem gotowym do natychmiastowego rozkładu. Tylko otwarte oczy zachowały okruch życia. Umarł, a w oczach ma wciąż to samo ostatnie marzenie o śmierci.

Droga na cmentarz prowadzi wzdłuż torów kolejowych, u podnóża nasypu. Smutny wehikuł, który ma wszystkie cechy łodzi Charona, z wyjątkiem obola w ustach ofiary, mija stalowe słupy, zwrotnice i pęki zagadkowych drutów biegnących ku nieodgadnionym celom. Wszystko to jest nierealne w zgaszonym świetle przedświt. Te słupy, które pochylają się nad nami z jakąś niewysłowioną troską, te druty, jak żyły palców poruszających się daleko za zakrętem, i ten tor, który się nie kończy i nie zaczyna, a ma taką czarodziejską moc. Pusty tor kolejowy, owe dwie nici ukrzyżowane na podkładach i dążące do siebie w perspektywie dali, zna zaklęcia równie silne jak pusty ocean, z jednaką mocą urzeka męską wyobraźnię i wciąga w swoją atmosferę. Jest w niej cała metafizyka tajemnicy, zwłaszcza o zaspanych kresach nocy, kiedy międzygwiezdna smoła traci połysk, a krajobraz przenika niewidzialne światło. Nie znam niczego, co mogłoby dorównać tej godzinie. Rozumieją mnie dobrze ci, którzy pomylili się nocą i wysiedli na odludziu, na niewłaściwej stacji.

Już od kilkunastu minut znajdujemy się w drodze. Mroźne powietrze wylatuje z ust obłoczkami pary i pachnie smarem, semaforem, parowozem, nadpalonym drewnem i otokiem kolejarskiej czapki. Pociągi przelatują jak oszalałe widma, ich żółte oczy rzucają nam jedno złowrogie spojrzenie i porwane pędem nikną w ułamku chwili. Głos biegnący drutami śpiewa nie znaną melodię, która ślizga się po zgarbionych plecach grabarza na koźle.

Ten stary wehikuł jest już ostatni w mieście i może ostatni w kraju. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze nie porzucono go w kącie jakiejś szopy, z której ludzkie niedbalstwo albo pobłażliwość uczyniły muzeum osobliwości mijającej epoki. Ciebie, wysłużona szkapo, posłają do rzeźni na pokarm dla psów i kotów, co zaś stanie się z tobą, grabarzu, gdy Saturn i pułkownik zmechanizują proces grzebania więźniów, a ciebie zatrudnią na zwykłym cmentarzu, gdzie alejki są

jak dywany, a żywi stawiają martwym rzeźbione grobowce-przepustki do nieba? Jak przyzwyczaisz się do ludzi, którzy nie mają połamanych rąk, a twarze mają uszminkowane po śmierci i wypomadowane włosy? Nie zrozumiesz ich, mój ty Charonie w wytartym szynelu, niepiśmienny monarcho ostatniej garści ziemi. Będą ci obcy na kształt stworów z innej planety, gnijący w białych kołnierzykach, z równo zaprasowanymi kantami spodni, w lakierowanych butach, trzymający grzecznymi palcami krucyfiksy. Dopiero kiedy umrzesz, otoczą cię znowu ludzie z podziemi Roberta, bezzębni, bezkształtni i złani posoką z oczu, uszu i ran na całym ciele, cała ta znajoma ci kompania, której oddałeś ostatnią przysługę. Ale uważaj, bo mogą spytać, czemu masz nie uszkodzoną twarz, wszystkie paznokcie i nie podziurawioną skórę!

Ścieżka skręca w stronę opustoszałego domu, przy którym wyrasta cmentarna brama. Posępny majestat tej budowli, dziki wygląd sąsiadujących z nią włości tudzież smętne związane z nimi podania godzą się doskonale z uczuciem chorobliwej ciekawości, która zagnała mnie w te strony. Cmentarz, wokół którego wlecze się niski murek, ma księżycową topografię. W prawo i w lewo, jak okiem sięgnąć, martwa, przeraźliwie jałowa ziemia, pełna kamieni i zagadkowych dziur. Żadna wyobraźnia nie zdoła wyśnić tak beznadziejnie pustego krajobrazu. Gdzie spojrzysz — dzikie pole, na którym nocami tańczą czarownice podlejszego sortu i buzuje w łopianach bękarci wiatr. Tylko stara szubienica sterczy w niebo niczym strażnik, który zapadł w wieczny sen. Zżerana deszczami i śniegami, palona kwaśnymi oddechami parowozów, chyli się ku upadkowi. Przeżyła dawno swą świetność. Kiedyś jako ciężarna matka dźwigała swoje dzieci, wysłuchiwała ich błagań i płaczów, a one zasypiały na jej poprzecznym ramieniu uwiązane pępowiną sznura. Gdy ich zabrakło, zestarzała się gwałtownie i przeistoczyła w wyjałowioną kobietę o bezpłciowej twarzy, nie liczącą już na nic, zamkniętą w rozpamiętywaniu szumnej młodości, która przeminęła jak mgnienie. Za kilka lat upadnie i stopi się na wieczność ze szczątkami swego potomstwa. Jest jak algierska kobieta zamknięta w haremie — umrze tam, gdzie się urodziła, nigdy nie oglądając świata, który toczy się za murem jej domu.

Nie zakochasz się w takim cmentarzu, który nie jest galerią ozdobnych epitafiów i nigdy nie zaznał rzeźbionego marmuru. Zdaje się, iż wyrzekł się on na zawsze słońca i śpiewu ptaków. Nikt nie byłby w stanie uchronić się tu od zadumy nad nędzami świata, które giną jeszcze podleglej, niż żyją, pozbawione wolności od zarania, wiecznie w podróży do tego szczęścia, co nie istnieje, bo zapomniano je stworzyć.

Grabarz zeskakuje z wózka, wydobywa spod siedzenia łopatę i kopie grób. Nie zwraca na mnie uwagi. Widzę jego plecy od pasa, potem od zgarbionych łopatek, wreszcie tylko głowę. I znowu jest na górze, przechyla trumnę, która okazuje się tylko przewoźnym korytem, i zsuwa bezwładny tłumok do dołu. Świeżo skopana ziemia powraca na swoje miejsce i jest już po wszystkim. Gdzieś za murem głodny pies wyje psalm dla pogrzebanego. Ów człowiek będzie odtąd we władaniu ziemi, na powierzchni nie zostało po nim nic poza ulotnym wspomnieniem jakiejś kobiety, której niedobrze z innym mężczyzną, i poza tym słowem, które jest zapłonem wielkiego polowania.

To, słowo brzmi: S P I S E K .

Straszne słowo. Nie tylko dla tych, którzy będą zwierzyną, lecz i dla nas. Pułkownik-wielki łowczy boi się tego słowa nie mniej niż zdradzeni spiskowcy.

— Zapamiętaj, synu — mówi — likwidowanie spisku to groźna maszyna, którą nie możesz pokierować, bo w rzeczywistości to ona kieruje tobą. Nie obsługujesz jej. Ani ty, ani ja, ani żaden z nas. Naszym obowiązkiem jest wrzucać w tę sieczkarnię winnych i niewinnych tak długo, aż się ona nasyci i pan Prezydent uzna, że motor może przestać działać. Nie wtedy, kiedy ty uważasz, że można ją zatrzymać — wtedy, gdy ona zatrzyma się w jego mózgu i Saturn przekaże nam zezwolenie na odpoczynek. Nie wcześniej, zapamiętaj! Ale może się i tak zdarzyć, że zabraknie dla niej ciał, albo On może dojść do wniosku, że źle ją karmimy. Wówczas każe wrzucić do środka nas, a Saturn uczyni to z rozkoszą. Teraz rozumiesz, synku?

Pułkownik był szefem policji już za czasów Maurycego IV i przetrwał wszystkie przewroty. Nie liczy on mijającego czasu na lata, miesiące czy dni, ale na spiski prawdziwe i nieprawdziwe, które zlikwidował. Ma w tym względzie wielkie doświadczenie.

Jest on silnym mężczyzną, który nigdy nie podaje w wątpliwość mądrości swoich przesądów. Je i pije obficie. Lubi mówić, ale umie też słuchać. Każdego pyta o wszystko i pamięta nazwiska, twarze i odpowiedzi. Ma przebłycki komedianta lubującego się w repertuarze swego zawodu, smakującego liczne role, jakie zawód policjanta oferuje. Pochłania doświadczenia jak ogień pochłania las i wszystkim, czego się nauczył, całą energią i wolą, posługuje się, by kierować ludźmi i sprawami. Jego geniusz objawia się między innymi w angażowaniu funkcjonariuszy tak krystalicznie okrutnych jak Robert i tak cynicznych jak ja, w wyszukiwaniu pośród tłumu anonimowych ludzi jednostek zdeprawowanych do tego stopnia, iż popełnią każdą potworność nie rozszczepiając sumienia na drzazgi i nie upajając się zapachem krwi. Jest w tym i etyka policjanta idealnego, i ogromna wiedza.

Albowiem on wie, iż za Robertem stoi pamięć o jego psie, a za mną cała historia ludzkości, której nauczyłem się na Sorbonie. I to jest jego gwarancją, którą może zniweczyć tylko jedna siła — ów mały czarny robaczek, który wędruje w człowieku i potrafi odwrócić wszystko do góry nogami.

Ten człowiek, uparty i twardo stojący na gruncie rzeczywistości, miewa skłonności sadystyczne, chociaż najczęściej nie przejawiają się one czynem, prawie wyłącznie słowem. Tylko raz, wkrótce potem, jak przyjął mnie do służby, zabił w mojej obecności człowieka, odkrywając przede mną ową wielką prawdę metafizyczną, że jeśli ciało ludzkie podziurawić kulami, traci ono całą swą tajemniczość. W ciemnych zakamarkach duszy pułkownika odbija się być może jego niepewne i samotne dzieciństwo, prymitywne praktyki i wierzenia ludzi, wśród których się chował, gdyż pochodzi on z dalekiej Północy, z tej pępnej krainy lodów, w której zapracowane nietoperze zszywają nagłymi ściegami pokrowce czarnego nieba, a nad zrujnowanymi mostami, podobnymi do szkieletów koni, roją się owady pokryte białym księżycowym pyłem. Z pewnością jest naznaczony piętnem skażonej krwi po obłąkanym pradziadku, którego wspomina w myślach z szacunkiem, nazywając „*ojcem drzewa*”. Kiedy powiedziałem mu, że gardzę ludźmi, mruknął:

— Wszyscy pochodzimy od diabła i wszyscy do niego wrócimy.

Potem przyjrzał mi się uważniej i powiedział:

— Posłuchaj, synu. Należysz do naszej diabelskiej rodziny, zapamiętaj to sobie! Wiedz, że mężczyźni naszego szczepu zawsze będą odczuwali głód i zawsze będą obcy na tej ziemi, którą władają. Zawsze! Tacy jesteśmy, samotni żołnierze mszczący tych, którzy szukają swej drogi do Boga.

Odwracam się i ścigam wzrokiem grabarza. Nie ma go. Wózek pode mną drgnął. Koń zawraca i ze zwieszonym łbem kroczy wolno powrotną drogą. Złośliwy chichot sący się spod świeżo uklepanej ziemi, a może spomiędzy łopianów pod murem. Nerwowe łuskowce w szparach między ceglami recytują ohydne wiersze. Ich ciała drżą z wielomówną rozkoszą. W drewnianej rynnie dla trupów leży zmięty płaszcz Charona.

I znowu przesuwam się obok nitki torów i drutów, mijają mnie słupy, ponure, pozbawione uprzedniej serdeczności, i fioletowe lampki, nie ma pociągów, żaden dźwięk nie budzi dnia, nawet ośka przestała skrzypieć. Czas stanął w miejscu. Po mojej prawej ręce ta sama martwa ściana nasypu, ten sam zapach kolejowej sadzy, to samo bezbarwne, nisko zawieszone niebo. Po lewej rozległa pustka śpiącej przestrzeni, która nie odwzajemnia mego spojrzenia żadnym ruchem. Po co tu przybyłem?

Nagle czuję, że coś ociera się o połę mojej kurtki. Dwa światełka parowozu jarzą się w dalekiej ciszy i dopiero po chwili spostrzegam, że to oczy czarno-białego kota, który siedzi obok mnie. Patrzy mi w twarz przenikliwie, z jakąś wyczuwalną pewnością siebie i mruczy zachęcająco. Głaszczę go. Jego sierść jest naelektryzowana — przez dłoń przenikają mi kłujące iskierki. Cóż mogę zrobić? Biorę go ze sobą.

Mam wrażenie, iż niebo zaczyna się rozjaśniać. Krajobraz się zmienia. Coraz mniej kamieni, coraz więcej piasku, przede mną piaszczyste wydmy. Wydaje mi się, że je pamiętam z jakiegoś snu z dziewczynką i chłopcem, którzy już dawno ulecieli do krainy nocnych widziadeł. Czuję się zmęczony i chyba mam gorączkę. Po co tu przybyłem? Jeśli myślałem, że napotkam coś, co wzbogaci moje ego, to popełniłem błąd. Wywożę stąd tylko kota i wspomnienie pustego kolejowego toru. Gdybym się dobrze zastanowił, nie przyszedłbym nocą pod domek grabarza i nie wsiadłbym do jego parszywej łodzi, Ale przecież gdybym się zastanowił jeszcze lepiej, nie wahałbym się ani chwili i przyszedłbym pod ten domek o spękany tynku i oknach zasłoniętych okiennicami z tych samych desek, z których zbito trumienny futerał.

A teraz będę myśliwym zgodnie z wolą pułkownika.

— Nie zadawaj mi takich pytań, synu! — krzyczy pułkownik. — Nie jest ważne, czy ten spisek istnieje naprawdę, czy też nie. A raczej jest ważne, bo jeśli on nie istnieje, to jest o wiele bardziej groźny i zmęczy nas tak, jak nie uczyniłby tego najpoważniejszy z prawdziwych spisków. Spisek, który istnieje, ma swoje sztywne ramy, jeśli nawet bardzo rozległe to przecież dające się określić i zlokalizować. Potem to już sprawa techniki i rutyny: ująć, wypowiedzieć do dna bebeczów i wykończyć tak, żeby Prezydent nie miał żadnych wątpliwości. Ale jeśli spisek istnieje tylko w jego strachu, wówczas, synku, trzeba się ogromnie napocić, by znaleźć właściwe dowody... Na szczęście jest twój brat, który potrafi dostarczać najlepszych dowodów na świecie. Ucz się od niego... Nie wiem jeszcze, czy to prawdziwy spisek, czy nie, ale modlę się, żeby okazał się prawdziwy. Zaczniście od tego adresu i bierzcie każdego, kto postawi tam nogę. Każdego, nawet niemowlęta!

Rozpoczyna się polowanie. Sterowane przez pułkownika, a kontrolowane przez kapitana Saturna, ma swój opętany rytm. Przerazone twarze w uchylanych nocą drzwiach, nosy, oczy w wąziutkiej smudze światła, policja, otwierać... Panowie, na miłość boską, to jakaś... Stul pysk, idziemy! Szczęk kajdanek, łyzy, zawodzenia, wiecznie żywe judasze cel, gabinet rejestracji połączony wilgotnym korytarzem z lochami Roberta. Adresy, nazwiska, nazwiska, adresy, szybciej! Niczego więcej nie pamiętasz!? Robert, przypomnij panu... Neeeeeeee !!!... Szybciej, szybciej, do diabła!

Tak codziennie.

Trzeciego dnia już wiemy. Duszą spisku jest jakaś kobieta, której może nie ma na tej ziemi, ale każdy z torturowanych potwierdza, że to ona. Więc może ona jest, a jeśli jest, to musi znaleźć się w naszych rękach. Kobieta... To nawet niegłupie. Tylko kobieta mogła się porwać na coś takiego i pociągnąć za sobą najpierw jednego mężczyznę, a potem jeszcze kogoś i jeszcze. Zaczynam uważać, iż jest to tak nieprawdopodobne, że wręcz możliwe...

Dla tych ludzi świat starzeje się teraz w makabrycznym tempie, wszystkie zegary oszalały z bólu. Nie są w stanie podać jednego jej rysopisu — podają dziesiątki rysopisów, nie znają jej nazwiska — przypominają sobie tysiące nazwisk, niczego nie wiedzą — a mówią wszystko. Niczego więcej z nich nie wydobędziemy, chociaż zbiry Roberta kawałkują ich jak pijani studenci zabawiający się w prosektorium trupami topielic. Deszcz krwi spływa po kaflach podziemnych ścian Opery, a oni bredzą wciąż to samo w nadziei, że ktoś im wreszcie uwierzy. W chwilach przerwy jedni marzą o śmierci, inni zaś o komandzie aniołów stróżów, które Pan Bóg zrzuci z nieba z rozkazem wyduszenia oprawców.

Nasze marzenie sprowadza się teraz tylko do niej. Musimy ją mieć!

Zrobi to dla nas Mario, szef brygady pościgowej. Otrzyma wszystkie dane, wszystkie końce nitek wyrwanych z gardel „tomatów” Roberta, i rozkaz znalezienia jej. Trzeba cały ów materiał ocenić, posegregować, oczyścić z plew

1 zestawić tak, by Mario przy swej tępocie mógł nauczyć się go na pamięć. Ta robota należy do mnie. Mam na nią dwie doby. Potem wręcę to Mariowi, przepytam go i wypuszczę do lotu jak sokola. Na szlaku Mario przestaje być durniem — zamienia się w geniusza.

Mario jest Meksykaninem i ma coś z wielkiego żarłocznego psa. Jest tak otyły, że wydaje się, iż przyszedł na świat dla sprawdzenia, jakie są granice ludzkiej skóry. Kiedy je, ma taką minę, jakby chciał powiedzieć: to dziwne, jem i jem, i nie jestem głodny! Jego żabie oczy widzą wszystko wokół, każdy kawałek pieczeni i każdy kobiecy pośladek. Jego odstające uszy wychwyca przedostatni jęk bitego, sygnalizujący, że trzeba przestać i dokończyć po sjeście.

Ale Mario nie bierze swoich pieniędzy za oczy i uszy. Płacimy mu za węc. Mario jest naszym psem pościgowym, jest geniuszem tropu. Kiedy wejdzie na ścieżkę, już z niej nie zejdzie. Nie można go zmylić wchodząc w bramę, bagno, w rzekę lub na drzewo. Człowiek, który ma w sercu spisek, a w brzuchu swój ciężki strach, nie zamieni się w ptaka, i Mario o tym wie.

Mario prowadząc swych chłopców wydeptuje ścieżkę wolno. Nie lubi być poganiany, bo nie lubi się spieszyć — zwierzyna mu nie umknie. Pułkownik

wścieka się czasami widząc powolność Maria, ale to na nic. Mario nie przyśpieszy kroku, a krzyczeć na niego nie trzeba, gdyż jego skuteczność w pościgu jest zachwycająca.

Kiedyś, w Wenezueli, zanim jeszcze przeskoczył Ocean i wstąpił do nas na służbę, przez czternaście miesięcy szedł po górach i lasach za oddziałem partyzantów. Była pora suszy, a potem pora deszczów i znowu pora suszy. On otrzymywał zaopatrzenie z powietrza, oni nie dostawali nic, ani od chłopów, ani od Boga. Tylko chłostą od deszczu i słońca. W końcu ból, który zadaje Mario, wydał się im mniej bolesny od tej męki. Poczęli uciekać z oddziału i przychodzić do niego. Mario pozwalał każdemu najeść się do syta i wypać. Potem guerillero mówił mu wszystko od razu albo z powybijanymi zębami, bo Mario nie dręczy sposobami Roberta, tylko wali pięścią aż do skutku i zabija strzałem w ucho, gdy już dowie się wszystkiego. Po czternastu miesiącach zostało ich tylko dwudziestu trzech i weszli w rzekę Arauca, by przejść na drugi brzeg. Mieli krwawiące stopy. Na środku rzeki dopadła ich ławica piranii i pożarła w ciągu kilku minut. Mario, kiedy dowiedział się o tym od Indian, płakał jak dziecko. Było mu żal dziewczyn, które gonił.

Zaciekłość Maria w trzymaniu tropu w zębach bierze się właśnie stąd. Mario jest impotentem i gdyby nie mógł gwałcić, nigdy nie pozbyłby się cnoty. Dziewczyna wśród tych, których każemy mu wytropić, daje nam gwarancję, że zostaną wytropieni. A wśród nich zawsze są dziewczyny. Młode studentki, znające na pamięć traktaty filozofów buntu, i siostry uwięzionych, dyszące odwetem i roznoszące ulotki.

Mario, kiedy dopadnie zwierzynę, odprawia swoje święto kopulacji. Tusza nie pozwala mu dosięgnąć kobiety na leżąco. Przywiązują zgiętą wpół do krzesła lub do zwałonego pnia drzewa i Mario podchodzi od tyłu. Mario nie jest okrutny. Kiedy gwałcona płacze, Mario głaszcze ją po głowie i uspokaja: *cicho, cicho, madre*. Madre to matka, ale w innym znaczeniu. O własnej matce Mario mówi: *mamacita* z szacunkiem wielkim jak piramidy Majów. Mario pochodzi z kraju, w którym każdy mężczyzna wymawiając rzewne *m a m a c i t a* wie dobrze, że wszystkich innych wydały na świat dziwki. Mario jest dzieckiem dziewicy otoczonym przez ponurych skurwysynów i to jest źródłem jego nieśmiertelnej pogody ducha od wschodu do zachodu słońca.

Ma on jednego Boga, do którego się modli prosząc o pomoc, i dwóch bożków, którymi sam się opiekuje: swój cienki czarny wąsik i swój penis, bezradny wobec gotowości przyjęcia i przez to nie pozwalający swemu panu dorobić się za pomocą — jak to się ślicznie określa po kastylijsku — „*braguetazo*”, czyli bogatego „*ożenku przez rozporek*”. Wąsikowi poświęca czas każdego ranka, penisem zajmuje się wieczorem. Rozmawia z nim tonem

łagodnym i gniewnym na przemian, jednakże za każdym razem godzą się i zostają w przyjaźni. Ludzie z oddziału Maria twierdzą, że jest to bardzo piękny penis.

Mario należy do tych rzadkich ludzi, których wszyscy lubią. Pułkownik lubi go za sukcesy w pościgach. Ja za dziecięcą bezradność wobec koszmarnych snów, które go nawiedzają, i za to, że u mnie szuka pociechy. Robert za kilka meksykańskich sposobów torturowania praktykowanych już za Montezumy. (Robert studiuje te zagadnienia i dzięki temu stał się najwybitniejszym chyba torturologiem świata. Kiedy usłyszał od Maria o partyzanckiej tragedii w rzece Arauca, zapragnął piranii i teraz sprowadza je regularnie do swego „*basenu tańca*”. Kosztuje to drogo, ale Robert nie szczędzi wydatków na udoskonalenie pałacu tortur. Dla Maria czuje głęboką wdzięczność — pewnego razu wymógł na pułkowniku, by ten skrócił Mariowi karę za obżarstwo, przez które Mario dostał niestrawności i nie wykonał zadania.)

Sny Maria pełne są dziwnych stworów, pół zwierząt, pół ludzi tłoczących się w kierunku kobiety przywiązanej do staroświeckiego fotela. Kobieta jest naga, jej rozpaczliwe wycie wprawia śpiącego Maria w stan gorączki. Mario walczy bohatersko z całą swą somnambuliczną menażerią rodem z „Kuszenia

Świętego Antoniego” Mattiasa Grunewalda — ze smokiem orłogłowym, z knurem, który być może jest owrzodzonym hipopotamem skrzyżowanym z iguaną, a może kleszczorogim szakalem, w którego wcielił się przeklęty trubadur, z kolosalną ćmą wyposażoną w pazury i przenikliwe ślepie komornika, z jaszczurami, demonami, koziolbymi gladiatorami.

Najzacieklejszym wrogiem Maria jest ogromny furiacki bazyliszek o ciele koguta, dziobie sępa, skrzydłach nietoperza i zakręconym do góry ogonie węża. Jego morderczy wzrok i oddech siejący zarazę stanowią zaporę, przez którą bardzo trudno się przedostać... Mario nie zawsze zwycięża. Jeśli przegrywa, wówczas dopycha się ostatni do wypiętego zadka ofiary, ale nie to jest okropne, lecz to, że gdy już może w nią wejść — kobieta przestaje skomleć i odwraca twarz. Twarz mamacity, smutną, pytającą. Przerażony Mario ucieka od jej oczu w jawę i budzi się mokry na podłodze obok swego wyrka.

Do mnie zwrócił się z prośbą o radę, powiedziano mu bowiem, że moja matka była czarownicą i że ja jestem nawiedzony. Uczynił to po długim wahaniu, gdyż bał się narazić na drwiny. Chciałem mu pomóc, wiedziałem od matki, że bazyliszka, który lęgnie się z jaja zniesionego przez koguta, można pokonać jedynie za pomocą zwierciadła, bo kiedy przejrzy się w nim, to ginie od własnego wzroku, ale gdy przyszedłem w nocy do pokoju Maria w koszarach policji, bazyliszek stłukł przyniesione przeze mnie lustro ogonem,



Matthias Grünewald, „Kuszenie Św. Antoniego”, tylna strona prawego z drugich (wewnętrznych) ruchomych skrzydeł Polptyku Isenheim, fragment (1512-1515, olej na drewnie, Colmar, Musée d’Unterlinden).

rozszałały małpolud, wymachujący maczugą z końskiej szczęki, o mało nie rozszczepił mi czaszki, kojot w skorupie żółwia skoczył mi do nóg. a ta zmęczona kobieta o posiwiałych włosach i posągowym obliczu z płaskorzeźby w Tiahuanaco wbiła we mnie wzrok pełen nienawiści. Uciekłem.

Mario jest więc szczęśliwy tylko za dnia. To dużo. Być szczęśliwym tylko przez kwadrans każdego dnia to tak dużo. Nie — mieć szczęście. Mieć poczucie szczęścia. I on je ma od każdego ranka do każdego zmroku. A nadto poczucie raju tyle razy, ile razy doścignie dziewczyny, które nie znają jeszcze uścisków krzesel i pni. Do tej pory były to tylko kontestujące studentki, złodziejki, kobiety prowincjonalnych watażków, którzy mienili się rewolucjonistami. Za czasów Prezydenta coraz rzadziej. Teraz zaś jest S P I S E K i przyszedł dla Maria czas wyżerki. Jego ciało ogarnie drżąca tęsknota, a węch stanie się czuły jak wykrywacz min i zaprowadzi go do niej, by mógł zamienić się w mężczyznę. Mario się wtedy uśmiecha. Cicho, cicho, mądre. Mario nie zna czasownika zastanawiać się, jest więc pupilem natury, która oszczędziła mu rezonowania. Jeśli nawet czasami myśli, to czuje się jak kowal, któremu wetknięto do ręki igłę z nitką.

Pewien pątnik wędrujący ze Wschodu przez Bałkany do Compostelli wyrzucił Mariowi „królewską śmierć” i sprzedał mu wielką oceaniczną muszlę, która miała odmienić finał jego snów. Nie odmieniła, chociaż Mario brał ją w swoje sny. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę, zabierał na najbardziej niebezpieczne wyprawy i odpoczywał wsłuchując się w jej śpiewne mowy owijające głowę błogim szumem. Była dla niego tym samym, czym dla mnie mój flet z mandragory. Przymykał oczy i wchłaniał melodie urokliwe jak piosenki syren, jak najpiękniejsza poezja świata, zda się świat cały zaklęty w różowym szmerze, nie rozumiejąc, że to jest hymn opuszczonej komnaty i że ta poezja jest perłowym „*memento mori*”, a czerep, z którego wyciekło pulsujące życie, jest jak czaszka uznawany za symbol śmierci. Mario nigdy nie studiował symbolisty Harmena van Steenwycka, epigona holenderskiej szkoły „Vanitas”, i tego płótna, na którym czaszka i koncha spoczywają obok siebie opromienione blaskiem świecy. Która z nich żyje najdłużej? Czaszka ma mniej życia niż wapienna rzeźba, świeca dopali się i sześcinnie we łzach, a barokowa spirala z dna południowych mórz wciąż śpiewa. A zatem tylko ona jest tu nieśmiertelna i może Mario — wiedziony nieomylnym instynktem barbarzyńców — miał rację przyciskając ją do ucha?

Obiecywała mu inne sny, lecz nie zdążyła dokonać dzieła, gdyż Mario w walce z monstrami rozłupł ją o pancerz rysia-wężojada. Rano pozbierał skorupy z podłogi i skleił, lecz muszla nie odzyskała mowy i zastygła w kalekim milczeniu. Cisnął ją na śmietnik i zapewne nie myśli o niej więcej.



Harmen van Steenwijck

Teraz Mario będzie myślał o kobiecie, o której tak mało wiemy. Ale to nic. Mario otrzyma ode mnie wszystko, co Robert zdołał wydusić z tych ludzi. Jeśli tylko natrafi na trop, będzie ją miał. Natrafi z pewnością, gdyż ona jest bardzo piękna — jest piękna dlatego, że w ogóle jest. Jak każde zwierzę dla myśliwego, który o świcie wyrusza w las.

Zabiliśmy tych, o których otarł się cień jej postaci. Zabijemy i ją. Mario ją złapie, przywiąże do jakiegoś obrobionego albo nie obrobionego drewna, zrobi swoje, przywiezie i odda w ręce Roberta. W rękach Roberta ona zamieni się w muszlę śpiewającą o wszystkim, czego zapragnie pułkownik. Potem zawieziemy ją na cmentarz wygłodniałych łuskowców, gdzie buszuje w łopianach bękarci wiatr, a ochryple gwizdki parowozów marszczą lustra w kałużach słonych łez.

I przestaniemy o niej myśleć.

3

Mój kot siedzi przede mną na biurku i patrzy. Nie interesuje go nic poza moją pisaniną dla Maria. Patrzy więc w papiery zimnym wzrokiem szpiega i robi taką minę, jakby czytał każde słowo.

Lubię go. Nie dałem mu jeszcze imienia, bo nie wiem jak go wabić. Myślę, że

i on mnie lubi. Tymczasem Roberta nie cierpi, stroszy się na jego widok i ślepią pałają mu gejzerami gniewu. Pewnie dlatego, że Robert uwielbia psy i pachnie psiarnią. Tak już było od dziecka. Robert miał swojego Kinga, wilczastego kundla, a ja zabawiałem się czerwonym kocurem matki, Cagliostrem.

Mój cmentarny druh jest wciąż dziki, lecz obłaskawię go. Chwilowo nie chce żreć pokarmów, które mu daję. Znika nocami; pewno łowi wówczas ptaki i gryznie. Ma fantastyczną sprawność — znika nawet wtedy, gdy zamknięte są wszystkie drzwi i okna. Wraca, kiedy chce, i znowu czaruje swym monarszym milczeniem oraz szlachetnym pyskiem, stanowiącym miniaturę paszczy lwa. Jest istotą tajemniczą, niepokojącą i urzekającą. Gdybym tak mógł wytrenować go do polowań na spiskowców...

Byłby niezastąpiony. Dzień, w którym fizyka i cybernetyka zbudują maszynę równą kotu, nie przyjdzie szybko. Natura obdarzyła to zwierzę układem sterowniczym precyzyjnym jak radar. Siła 517 mięśni daje mu boskie resorowanie. Ma 50 cienkich, lecz niełamliwych kostek, a gdy skacze z wysoka, jego ogon pełni rolę stabilizatora i zezwala mu utrzymywać równowagę w powietrzu. Zdumiewającą giętkością ciała przypomina gady. Czuły system nerwowy bezzwłocznie reaguje na każdy bodziec i na każdego wroga. Oczy to druga para jego uszu — źrenice są tak unerwione, że mogą absorbować dźwięki. Te oczy mają kąt widzenia większy niż oczy człowieka (130 stopni) i mogą patrzeć wprost w słońce lub w silną żarówkę, gdyż szparę źrenicy reguluje specjalna błona. Kot widzi równie dobrze dniem i nocą. Biega kiepsko, ale to drobiazg, bo dzięki niezwyklej skoczności złapie każdą ofiarę, którą wybierze. Jaka szkoda, że nie można go tresować niczym psa i wprowadzić do gry. Jest zbyt niezależny, decyduje sam.

Czytałem, co pisał na temat kotów francuski spec, dr Pommery: „*Kot nie jest sługą. Jest istotą samowładną, gdyż nie potrzebuje człowieka, aby żyć, w przeciwieństwie do większości zwierząt, które akceptują niewolę, gdyż odczuwają wilczy głód. Dajcie marchew osłu, cukier koniowi, rybę delfinowi, kość psu, befszytk lwu, a zrobicie z nimi wszystko, co zechcecie. Ofiarujcie kotu kawior — jeśli nie ma chęci, żadna siła go nie ruszy. Nie jest żarłokiem. To asceta. I niebezpieczny nocny myśliwiec, równie sprytny jak lis*”.

Szkoda, przyjacielu, masz pazury niczym kolce ryb drapieżnych i masz zęby przystosowane do rozszarpywania mięsa. Szkoda, że nie będziesz moją strzałą. Zostaniemy więc przyjaciółmi, jak Petrarca i jego kocur. Albo jak Malraux i jego kocica. W moim mieszkaniu zrobiło się dzięki tobie żywiej, a moje tancerki będą cię musiały tolerować. Zresztą one przychodzą tu na krótko, a ty możesz zamieszkać na stałe. Będziesz małym fantomem tego domu, i proszę — nie obawiaj się Roberta, bo ja i mój brat nie krzywdzimy zwierząt, tylko ludzi. Będziesz miał tu tak luksusowo, jak u starożytnych Egipcjan, Rzymian,

Nubijczyków i Greków. Podobasz mi się, więc jeśli zawrzemy trwałą przyjaźń, może nawet zabalsamuję cię, gdy zdechniesz. W Egipcie odkryto starożytny cmentarz z trzystu tysiącami mumii twoich braci, których zabalsamowali kochający ich właściciele. Dopiero później, w Europie, moi bracia ze Świętej Inkwizycji wyklęli koty, bo uznali, że kot jest wcieleniem diabła. Na rozkaz biskupa rzymskiego dziesiątkami tysięcy mordowano kocie plemię, a właściciele kotów inkwizycyjne trybunały sądziły i skazywały jako czarowników. Moja matka, gdyby żyła wówczas, spłonęłaby wraz z Cagliostrem. Zawsze mnie frapowało, do jakiego nieba powędrowali inkwizytorzy...

A jednak w owych strasznych czasach byli Petrarkowie. Roku 1370 Petrarca kazał zabalsamować swego kota, jedyną istotę, która umiała osłodzić mu klęskę miłosną z donną Laurą.

Nie, wcale się nie dziwię, że zawarliśmy znajomość na cmentarzu. Wiem, że koty chętnie przebywają na cmentarzach. Między grobami Père-Lachaise widziałem ich setki, całe stada. Podobno ukwiecają same grób pisarki Colette, dziękując za poświęcone im strofy. Jeden z moich sorbońskich profesorów przynosił na wykłady kota imieniem Gérard. Studenci kpili, że to jest ów koci demon, który mieszka na Père-Lachaise i każdego wieczoru, dziesięć minut przed zamknięciem bram cmentarza, gwałci samotne białogłowy. Tam, we Francji, obojętny stosunek do kotów nie istnieje. Albo się je uwielbia, albo przeklina. Pasteur zwrócił kotom cześć, zdjął z nich anatemę, ogłaszając kota zwierzęciem najczystszym. Wcześniej wielbił koty Chateaubriand. Po nim Balzac, Gautier, Farrère, Morand, Jouhandeau, Cocteau unieśmiertelnili je w swoich dziełach. Aleksander Dumas zwał kota „*arystokratą zasługującym na szacunek*”, a Pierre Loti lubił „*chodzić przez dziwne okna jego oczu*”.

Wszakże Ronsard był wrogiem kotów, skoro pisał: „*Nienawidzę ich czoła, ich spojrzenia, ich źrenic*”. La Fontaine uważał je za perwersyjne, sataniczne i obłudne. Voltaire twierdził, że koty to stworzenia skryte i złowrogie. Nigdy nie lubiłem Ronsarda i La Fontaine’a, mój przyjacielu, Voltaire zaś miał słuszość.

Gdyby tak mój flet mandragorowy był fletem, którym grał szczurołap z Hameln, wówczas wywabilibyśmy wszystkie spiskujące szczury ku pustynnym rubieżom kotliny, a ty stanąłbyś na czele wielkiej kociej armii i poprowadziłbyś ją do zwycięstwa. Myślę, że prezydent nie miałby nic przeciwko temu. Jest w nim coś z Dżyngis-chana, mimo że nie będzie dyrygentem armijnym. Dżyngis-chan używał kotów jak wojowników: zbierał koty, gdzie się dało, tworząc kocie pułki walczące ze szczurami. Samarkandę zrównał z ziemią, bo oblężeni nie potrafili mu przynieść tysięcy kotów, których żądał jako haraczu. Zachód też to zna. Kiedy chciano się przeciwstawić inwazji szczurów na Europę, flota wenecka krążyła między Wenecją a Aleksandrią: statki ruszały puste i wracały wyładowane egipskimi kotami. Zapowietrzony szczury umknęły (via Polska i

Rosja) ku azjatyckim stepom. Lub głośna bitwa pod Azincourt w roku 1415. Wygrały ją koty, specjalne kocie bataliony angielskich wojsk. Francuzi zastanawiali się, po kiego diabła Anglikom owe koty. Zrozumieli to na scenie Azincourt. Główna broń strzelecka tamtych czasów, łuk, miał cięciwę, którą trzeba było natłuszczać. Łase szczury azincourckie, stanowiące odnogę gigantycznej watahy wędrującej Europą, przegryzły francuskie cięciwy. Angielskich nie tknęły, bo tych pilnowała kocia straż. I dlatego Francuzi nie mieli łuków, więc dali się zwyciężyć Anglikom. Francję pod Azincourt rozbiły koty.

Słyszysz, cwaniaku!/? Mógłbyś stać się bardziej przydatny, mógłbyś udowodnić, że jesteś złowrogą bestią, mordercą podstępny i szybkim jak błyskawica, miast godzinami się wylegiwać albo nocami włóczyć!

Jego ulubione miejsce drzemki stanowi kąt na półce bibliotecznej, gdzie trzymam moją zdyskwalifikowaną rozprawę o Judaszu. Przekraczała poziom tolerancji profesorów Sorbony; czcigodni akademicy nie dali mi bronić jej. Musiałem szybko sklecić inną pracę — o Kaliguli. Byłem wściekły. Dokonałem wielkiego dzieła — wykazałem, że Judasz to najbardziej święty człowiek wśród Chrystusowych uczniów — a zmuszono mnie, bym kupował sobie dyplom tuzinkową kompilacją bez większej wartości!

Do rozprawy o Judaszu włożyłem pasję eksploratora, płomień piromana, entuzjazm młodości; przepelniając zapisywane strony żarem mózgu. Może więc dlatego wybrałeś ją jako poduszkę, że wciąż grzeje? Pali się tam krzywda Judasza. Na nikogo bowiem w całych dziejach tej Ziemi nie padło większe odium niż na tego człowieka, z którego uczyniono symbol zdrady, chociaż on był symbolem poświęcenia bezbrzeżnego. Jeżeli bowiem wszystko, od niebytu, zostało wykaligrafowane wśród gwiazd, wśród stron Wielkiej Księgi Przeznaczeń (tak twierdziła moja matka), i jeśli Bóg jest Wszechwiedzą (tak głoszą chrześcijańscy mędrcy), to znaczy, że nic nie dzieje się przypadkowo, gdyż istnieje mistyczny program, dużo starszy od Edenu. Wszystko biegnie według tego scenariusza, wykluczone są roszady, inaczej Bóg nie byłby Bogiem. Wziąłem taką właśnie tezę za punkt wyjścia dla mojego dowodzenia, i nietrudno było mi odsłonić sprzeczność twierdzeń sofizmatyków, którzy eksplorują Biblię. Biblia mówi jasno, że Bóg stoi ponad czasem i przestrzenią. Skoro tak, to na szachownicy dziejów czyn Judasza był od dawien dawna rozpisany Boskim scenariuszem, więc ktoś musiał się urodzić, żeby Chrystusa zdradzono. Wyznaczenie tego zadania Judaszowi było pierwszą krzywdą, którą zrobiła mu Opatrzność — został napiętnowany jak galernik, nim został poczęty przez swych rodziców. Nie mógł zmienić niczego, nie mógł się sprzeciwić, nie miał żadnego wpływu na swoje kroki, bo wszystko musiało się odbyć wedle tego, „*co jest postanowione*”. Święty Łukasz notuje takie słowa Jezusa: „*A Syn Człowieczy idzie wprawdzie wedle tego, co jest postanowione, wszakże biada człowiekowi*

temu, przez którego będzie wydany ”.

Sugerowałem zresztą inną jeszcze hipotezę, analizując tekst świętego Mateusza. Być może scenariusz zawierał tylko fakty najważniejsze, bez detali, i postanowione było jedynie to, że Chrystusa zdradzi któryś z uczniów. Wobec tego musiał wskazać któregoś z nich, aby dopełniło się fatum, lecz serce Jego wzbraniało się przed tym strasznym wyborem. Przy ostatniej wieczerzy mówił: *„Wprawdzie Syn Człowieczy idzie, jak postanowiono, ale biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Lepiej by mu było, gdyby się nie był narodził ten człowiek”*. Zrozumiał go tylko Judasz, człowiek wykształcony (reszta była rybakami i pastuchami) — jedyny intelektualista wśród apostołów. Zrozumiał, że udęczony Syn Boży szuka ochotnika. I dlatego spytał: *„Czy to ja jestem, Mistrzu?”*. Co znaczyło: *„Czy to ja mam być?”*. A Chrystus przyjął jego zgłoszenie i rzekł: *„Tyś powiedział”*. Judasz Iskariota — tego dowodziłem — poświęcił się, by to, *„co zostało postanowione”* bez niego, mogło zostać spełnione. Wydając swego Pana, ucałował Go, by raz jeszcze okazać swą miłość. *„Czyż nie jest godny*



Giotto *Pocałunek Judasza*

najwyższego współczucia i szacunku?” — pytałem ostatnim zdaniem mej rozprawy.

Swoje twierdzenia wzbogaciłem analizą wielkich dzieł sztuki przedstawiających Judasza. Pomyślałem sobie, że jeśli geniusze istotnie mieli jakiś dodatkowy zmysł zezwalający odkrywać rzeczy niewidzialne, to w ich spuściźnie musiał zostać ślad tego jasnowidzenia. Znalazłem takie ślady. Chodziłem do Beaux-Arts na wykłady z historii sztuki, grzebałem po archiwach i albumach, wędrowałem po muzeach i galeriach, wyprosiłem nawet audiencję u Malraux, w Verrières, niedługo przed jego śmiercią. Traktował mnie gościnnie, prezentując swą nową kotkę, którą wabił Pelisa. Nie zgadzał się z moim widzeniem Judasza, ale dał mi dużo wskazówek, gaworząc a propos kotów. Dowiedziałem się wtedy o bitwie pod Azincourt, i o Giotcie, co pomogło mi

upewnić się, że mam słusność.

Giotto di Bondone był geniuszem włoskiego Trecenta. Zrewolucjonizował malarstwo Europy. Boccaccio zowie Giotta największym malarzem świata. Ów Giotto wymalował w Padwie, w małym kościółku Capella dell’Arena, fresk „Pojmanie”. Bajecznie pięknym kadrem tego arcydzieła jest „Pocałunek Judasza”. Historycy sztuki piszą, że Giotto kondensuje tu dramat w jednym punkcie obrazu cudownym chwytem — niezapomnianym spięciem wzroku Jezusa i Judasza, gdzie brzydka, demoniczna twarz Judasza zwyciężona zostaje nieugiętą siłą prostego spojrzenia Chrystusa. Pojechałem do Padwy. Wszystko okazało się kłamstwem. Twarz Judasza nie jest ani brzydka, ani demoniczna, to twarz skazańca, który ma duszę czystą, choć umęczoną. Chrystus i Judasz, patrząc sobie prosto w oczy, żegnają się jak dwaj spiskowcy tym spojrzeniem. A później tamten idzie się powiesić...



Fragment „Ostatniej Wieczerzy” ukazujący Judasza (po lewej) i detale z nożem w jego ręku.

Drugi trop znalazłem w Mediolanie, u Leonarda, geniusza wszechczasów, człowieka-maga, człowieka-roentgena, który równie dobrze prześwietlał przeszłość jak przyszłość. Na murach klasztoru Santa Maria delie Grazie malował „Ostatnią Wieczerzę”. Półmrok. Przy długim stole siedzi Chrystus, pośrodku między swymi uczniami. Jest ich razem trzynastu, zatem winni mieć dwadzieścia sześć rąk. Ale rąk widać dwadzieścia siedem! Ta dwudziesta siódma, niczyja dłoń, która wysuwa się spoza pleców Judasza, spomiędzy łopatek (jakby była trzecią ręką Iskarioty), trzyma nóż gotowy do zadania ciosu. Czyżby Leonardo pomylił się? Nie — to był Leonardo! Więc jeśli nie zrobił błędu — cóż chciał rzec tą dłonią i tym nożem? Czyż nie to samo, co ja? Czyż tajemniczy nóż na fresku da Vinci nie jest orężem, który ma bronić Judasza od wszystkich

ciosów w plecy zadawanych mu przez ludzkość? Leonardo nie potrzebował takiej matki jak moja, by wiedzieć to samo, do czego ja doszedłem.

Któż lepiej niż ja zna twarz zdrajcy, jego wzrok, jego uśmiech, jego sylwetkę i spryt? Ja ich przesłuchuję, kiedy do nas przychodzą. Do mnie się uśmiechają, mnie powierzają swoją zdradę. Są to prawdziwi zdrajcy. Nikt ich nie zmusił, tylko nikczemność, chciwość oraz nienawiść. Ile razy z którymś gadam, przypominam sobie krzywdę Judasza, na której leżysz, kocie, grzejąc swoje diabelskie futro. Gardzę nimi i traktuję ich uprzejmie, by nie zauważyli mego wstrętu. Nie ma takich spraw, do których nie ściągają jak hieny do rozkładającego się trupa. Teraz również przyjdą, cierpliwości. Są nam potrzebni, więc kusimy ich wysoką nagrodą. Pułkownik już wyznaczył sumę, a padlina spisku cuchnie od kilkunastu dni, więc zjawia się bez wątplenia. Cierpliwości, Judaszu — wszyscy trafią do królestwa, którym władasz wbrew swej woli.

Wykaz informacji jeszcze nie gotów, tymczasem wkrótce przyjdzie Mario, żeby to zabrać. Psiakrew! Rozpraszasz mnie, czarno-biały niemowo, twoje ślepia wysyłają niewidoczne promienie ślizgające się po moich palcach i zwalniające rytm pisania tekstu. Mógłbym może, niczym Pierre Loti, wejść w te rozjarzone okna, lecz ile razy biorę do rąk mój flet, tyle razy jeżysz się, syczysz jak kobra i znikasz jak duch. Wracając przynosisz obce, drażniące zapachy. Nie będę tego tolerował zbyt długo!

Włazi Mario. Przeciska się drzwiami niby nadmuchana ropucha; framugi kurczowo uczepione ścian stękają z wysiłku. Każę mu się, wskazując drewniany taboret, jedyny mój mebel, który nie zawali się pod ciężarem Maria. Wtem słyszę cichy syk i widzę, że kot unosi grzbiet, później ogon, że pręży się w łuk, by skoczyć do góry, na tę wysoką półkę, gdzie leży praca o Judaszu. Co ci się stało, kocie?...

Tłumaczę Mariowi treść akt. Klaruję, że trzeba tę damę capnąć. Policzki mu czerwienieją, grube paluchy gniotą kolana, jakby to były dwa cyce damskie. Otwieram wyciąg z przesłuchań, elaborat dla baranów, tak uproszczony i lapidarny, że nie ma nic trudniejszego do przygotowania. Mario puszcza prawe kolano i bierze papiery. W tej samej chwili przestrzeń wypełnia się rykiem tygrysa, powietrze tnie ku dołowi czarna strzała, która spada na twarz Maria, rżnąc skórę i ryjąc głębokie bruzdy tłuszczu. Nim zdążę zareagować, bydlę odskoczy i niby głąz miotnięty katapultą śmignie przez lufcik ku gęstwie krzewów. Mario wyje i turla się po dywanie, miętosząc twarz. Spomiędzy palców rzyga krew, farbując wszystko wokół. Rwę z szuflady biały ręcznik, biegnę do łazienki, zlewam zimną wodą, wracam i owijam krwawiącą dynię. Gruba materia błyskawicznie przesiąka purpurą, spod której dudnią głuche jęki.

Cholera, co robić?! Łapię słuchawkę telefonu, kręcąc zastrzeżony numer Roberta. Ma on lekarza, specjalistę od utrzymywania przy życiu (na kilka godzin,

górze kilkadziesiąt, dla jeszcze paru tortur) ludzi, co nie są już podobni do ludzi. Jeśli on nic nie wskóra, pułkownik zedrze mi łeb z karku. Przeklęty kot!

— Robert!

— Co?

— Przyślij mi karetkę i swego medyka! Mario jest ranny!

— Kto go zranił?

— Mój... mój kot.

— Twój kot zbyt wiele sobie pozwala. Wiesz, że lubię zwierzęta, ale twój kot od razu wydał mi się trefny... Kto to tak śpiewa, Mario?

— Dawaj tego łapiducha, później będziesz truł! — krzyczę do słuchawki i ciskam ją na widełki, klnąc, rozsadzany furia.

Wzięli Maria i jest ciszej. Siedzę w tej ciszy półprzytomny z gniewu. Myślę o kocie i o twarzy Maria. Na biurku leży zakrwawione dossier baby, którą trzeba ująć.

Mój kot jest taki, jak chciałem, tylko atakuje niewłaściwe cele. Jest zbyt niezależny. Postanawiam, że wymuszę tę uległość albo go wypędzę. Rzecz prosta — gdy wróci. Jeśli wróci.

Minęła północ. Nie zasnę już. Dzwonię do Roberta.

— Co z Mariem?

— Leży u mnie, dałem mu separatkę, luksus. Paskudnie wyglądał.

— Co ze ślepiami?...

— Z jednym się już pożegnał. Całe dwie godziny szyto mu łeb. Za dwa tygodnie zdejmą mu bandażę, wcześniej będzie nie do użycia.

— A drugie oko?

— W porządku. Płacze nim przez cały czas.

— Jak skończy płakać, daj mu kilka pism porno. Najlepiej „Hustlera”, to mu przywróci humor.

— Dam mu... Coś jeszcze? Byłem bardzo zajęty...

— Jeszcze drobiazg... Robercie, powiedz mu... powiedz, żeby nie gadał pułkownikowi jak to się stało. Niech powie, że to bezpieczny kot, na ulicy. Obiecuję mu, że go wynagrodzę...

— Już mu obiecałem.

— Co?

— Że jak cię sypnie, to go w y n a g r o d z ę tu u siebie!

— Dzięki.

Robert to jedyny człowiek, dla którego dałbym się pokroić.

Wstaje kolejny dzień. Tego dnia przychodzi zdrajca i śpiewa o ruinach gotyckiego klasztoru nad jeziorem. Tam się zbierają! Czy wypłacicie mi zaraz?... Patrzy przymilnie i nie czuje mojej złości, i nie widzi mojego wstrętu, i nie słyszy mojej odpowiedzi, która się czai we mnie: wypłacimy ci bez zwłoki, przyjacielu,

natychmiast.

Cisnę czerwony guzik, łącząc się z Operą. Słysząc makabryczne wycie w tle głosu Roberta. Robert zawsze mówi szeptem:

- Słucham...
- Mam dla ciebie klienta.
- Przysłać chłopców?
- Tak, czekam.

Obserwuję wybałuszone przerażeniem gały spryciarza, któremu spryt podpowiedział już wszystko. Czekamy i milczymy, a jego strach wędruje coraz niżej i niżej, do żołądka, do jąder, do odbytu. Czoło kropli mu gęsty pot. Dwóch dryblasów Roberta wyprowadza bezwolną kukłę, dławiącą się nienawiścią ku sobie samej i resztkami złudzeń, których nawet spryt nie może rozwiązać stuprocentowo.

Wciskam czarny guzik. Melduję pułkownikowi o klasztorze, i o tym usłużnym gościu, który przyniósł informację.

— Dobrze, synu, to już jest coś. Nie wypłacajcie mu nagrody, póki nie sprawdzimy.

— Właśnie sprawdza go Robert, panie pułkowniku... Bo może to blagier, a może nie zaśpiewał wszystkiego...

Parę sekund ciszy w słuchawce, i wiem już, że z tamtej strony drga uśmiezek będący zrozumieniem mojego poczucia humoru tudzież akceptacją mojego oszczędnościowego szacunku dla budżetu firmy.

— Dobrze, synu. Wzbogacimy tym nasz fundusz emerytalny lub pulę reprezentacyjną. Obstawcie klasztor w dużym promieniu i czekajcie, aż przyjadę. Nawet mała myszka, pamiętaj!

Wczesny wieczór. Kilkadziesiąt patroli robi pierścień wokół ruin klasztoru — żywy łańcuch od brzegu do brzegu jeziora. Wszystkie drogi są szczelnie zablokowane. Nawet mała myszka...

Ja kieruję grupą uderzeniową. Dyrygujący całą operacją pułkownik jest nieco dalej, przy skrzyżowaniu autostrad, w samochodzie z centralką radiową i



Caspar David Friedrich — „RUINY OPACTWA”

z bateriami reflektorów. Obok mnie zastępca Maria, tymczasowy dowódca brygady pościgowej, Tukian.

Szczyty ruin, ledwo widoczne przez zapadający mrok, nagle rozpalają się złotem i czerwienią. Widać wstążkę dymu falującą między gwiazdami, tudzież gotyckie łuki okien i portali, niby sceniczne dekoracje na tle szkarłatnego żywiołu. Refleksy płomieni głaszczą strzępy przypór i maswerków, liżą szkielec rozety i przywracają pozór życia wykruszonej figurze jakiegoś świętego.

Czekamy rozkazów pułkownika. Wiatr niesie tłumiony głos chóralnego śpiewu od strony gorejących ruin, melodię tak przejmującą, że całe to „*son et lumière*” zyskuje jawnie majestatyczny wymiar i budzi niepokój zmysłów. Słyszę rozkaz głościczka przy kamizelce kuloodpornej, więc daję sygnały.

Wataha wilków zbliża się do klasztoru ze wszystkich stron. Płonąca ruina ma piękne tło — ciemnoniebieski obrus, haftowany milionem gwiazd. Mrok zaciera granice między niebem a ziemią. Milknie chór. Światłem przenośnego reflektorka toruję sobie drogę po ślimacznicy schodów, do góry, wreszcie osiągam szczyt galerii, z której widzę nawę bez dachu i sklepienia. Samotne filary, sterczące niby maszty fregaty rozbitej przez armatnie kule, rzucają wąskie, długie cienie od ogniska, które buzuje za trybuną muzyczną. Wewnątrz chóru kilkadziesiąt ciał skupionych wokół ołtarza, przy którym stoi brodaty mężczyzna w wysokich butach, quasi-rajtarskich lub muszkieterskich. Kapłan



czy co? Za nim, na podwyższeniu, siedzi kobieta w masce kryjącej rysy. Odchylona, wessana przez skrzydłowy fotel, nieruchoma jak posąg. Jej bezruch podkreśla ta maska, prawdopodobnie z tektury lub z plastyku, wyobrażająca twarz kobiecą, malowaną niby twarz indiańskiego wojownika. Tylko oczy, które

błyszczą w dziurach dla wzroku, są autentyczne. To ona!

Tłumek przy ołtarzowy rozprasza się. Rozbiega się do wtóru muzyki, której źródła nie mogę zgadnąć. Zaczynają tańczyć i miotać ku sobie małymi poduszeczkami. Tańczą w dziwaczny sposób, każdy inaczej, miękko lub konwulsyjnie, klaszcząc i śmiejąc się głośno. Szepczę do mikrofonu rozkazy dla dowódców grup:

— Wstrzymać akcję, czekajcie na mój znak!

Chcę się napatrzeć tym obłąkanym płasom. Przypominają wczesnochrześcijańskie Święto Wariatów, kiedy młodzież poprzebierana za księży, zwierzęta i pleć żeńską gromadziła się w kościołach i wybierała biskupa wariatów. Prowadzono go ulicami i wracano do świątyni, by celebrować wariacką mszę wśród swawolnych przyśpiewek i płasów. Na ołtarzach zastawionych mięsivem i winem można było żreć, pić, grać kośćmi i palić stare obuwie miast kadzidła. Całość wieńczyła procesja przez miasto, z biciem w popękane dzwony i z rzucaniem grudami błota do przechodniów. Sobór Toledański roku 633 zabronił kultuwowania tych saturnaliów, i tak samo uczynił później we Francji król Eudes, wszakże jeszcze roku 1100 obchodzono w Paryżu Święto Wariatów. Ci tutaj figlują podobnie, chyba że jest to taniec rytualny.

Brodacz (tylko on i kobieta wysiadująca bez ruchu swój fotel nie brali udziału w orgii tańca) wznosi rękę. Tancerze stają i rozchodzą się, gdy brodacz robi dłonią drugi znak. Kobiety — by zapalić wielkie gromnice, sterczące wzdłuż schodków prowadzących ku platformom chóru, i aby przejść ku prawej stronie nawy, pod filary. Mężczyźni — by ustawić się rzędem, każdy twarzą do jednej gromnicy, w odległości dziesięciu kroków. Trzymają długie, kilkumetrowe, wijące się po płytach pawimentu bicze. Pierwszy z prawej unosi bat, rozkręca go ruchem obrotowym nad głową i spuszcza gwałtownie ku świecy. Słychać klaśnięcie głośne jak strzał. Płomień zniknął. Drugi czyni identycznie, później trzeci, dopiero czwarty nie trafia w knot i musi repetować uderzenie. Ich celność budzi grozę, a te straszliwe bicze przypominają „*karikas*” — długachne, zakończone ołowianą kulką baty, którymi konni partyzanci węgierscy siali panikę wśród austriackich wojsk podczas Wiosny Ludów. W bitwie koło Iaszegu rozwalili nimi artylerzystów habsburskich. Władali tą bronią z taką precyzją, że mogli gnając konno wybić przeciwnikowi oczną gałkę lub zacisnąć mu śmiertelną pętlę wokół szyi. Ci tutaj są również bardzo zdolni. Niech sobie chłopcy dobrze obejrzą te świszczące węże, będą lepiej uważać podczas ataku.

Kobieta patrzy przez dziury w masce. Siedzi tak blisko gromnic, że chwilami wydaje się, iż jakiś strzelający bat zahaczy maskę i zedrze. Umieją to robić tubylcy na indonezyjskiej wyspie Flores: dwumetrowym harapem zdzierają maskę z twarzy przeciwnika, co jest zwycięskim finałem pojedynku. Ale mnie to niepotrzebne, bo zwycięstwo już jest moje, za chwilę sam rozbiore jej twarz z

tajemnicy. Czuję ten moment opuszkami palców — dotknę maski i wolno, delikatnie uniosę. Nasze twarze będą wtedy jak duet młodych rozebranych kochanków, kiedy stoją ciało w ciało, i kiedy jedno ciało drży siłą pożądania, drugie zaś siłą strachu przed tym, co wiadome, lecz jeszcze nie zaznane.

Kończy się zestrzeliwanie płomieni świec. Celebrują to w skupieniu, w namaszczeniu, z pasją i z gracją, a gdy któryś nie trafi, rozlega się zbiorowy jęk współwyznawców. Gdy nie trafia drugi raz, przechodzi, mając głowę zwieszoną, na lewo, do grupy kobiet. Jeszcze nie wiem czemu, a chcę wiedzieć, i dlatego wciąż wstrzymuję akcję.

Zakończyli. Brodacz złożył dłonie i uniósł łeb ku niebu. Modlitwa? Rozwarł powieki i macha ręką w kierunku grupy przy filarach. Kobiety i ci mężczyźni, którzy nie zgasili swych świec kulkami biczów, zbliżają się do ołtarza. Kobiety klękają na stopniach chóru. Mężczyźni wznoszą ramiona, adorując swego Boga jak Chaldejscy pasterze, a może błagając Go jak grzesznicy? Potem, nie opuszczając ramion, zginają łokcie i zakrywają sobie dłońmi uszy. Kobiety robią to samo, prócz jednej, która mówi zbolalym głosem. Kiedy milknie, kładzie palce na uszach, i teraz opadają dłonie jednego z mężczyzn, który zaczyna mówić do człowieka noszącego buty rajtarów.

Uświadamiam sobie, że to jest spowiedź zbiorowa, podczas której oni są wszyscy razem, a przecież osobno, bo nie wolno im słuchać sekretów sióstr i braci. Spowiadają się tylko kobiety i tylko ci mężczyźni, którym nie udało się ściąć gromnic batem. Cóż za przedziwna sekta, godząca jedność i wielość do rytmu płomieni, co drgają na pochylonych sylwetkach, jakby chciały sięgnąć serc, skusić, przyciągnąć i zamienić w popiół.

Wyłączam odbiornik ze strachu, że pułkownik będzie mnie ponaglał. Daję im skończyć, tym kilkudziesięciu mrówkom. Nie żebym czuł litość, lecz ogarnia mnie zachwyty dla arcydzieła, jakim jest to misterium, dla skapania w ogniu estetyki tej pantomimy, dla tego baletu rąk, który ukradł Średniowieczu wszystko, co najpiękniejsze i najbardziej wstrząsające. Mają chwilowo pozór dotartego szczęścia, wspólnotę zamożną ufnością i uczuciami, ale przecież nie wolną od burzliwych namiętności świata, który się skręca z nienawiści tam za biforiami bez witraży, nie wyzbytą rozdzierających problemów i naglących potrzeb, skoro tkwią wewnątrz S P I S K U ! Teraz jednak są szczęśliwi. Przedłużam im tę chwilę.

Kiedy opadną wszystkie dłonie i odsłonięte zostaną wszystkie uszy, bo wszystkie usta wydobędą już zmore z dna sumień, kapłan zaintonuje pieśń nową, tysiąc razy bardziej pożegnalną niż sam przypuszcza. Dogasa ognisko, nie mogę już czekać dłużej. Daję rozkazy, i wiem, o, jak dobrze wiem, że staję się królem piekieł rzucającym swe diabły na stado niewiniątek. I to mi sprawia satysfakcję!

Krzyk niby wulkan buchnął spod ołtarza, lecąc ku górze w nadziei, że spotka

żagle sklepień, które go odbiją echem i uskrzydlą, lecz one przestały istnieć, więc wsysa go studnia nocy ku nieosiągalnemu sklepieniu niebios. Tam rozplynie się we gwiazdnej pustce, z której nie ma powrotu, i skąd żadna pomoc nie będzie im dana. Brodaty mag pędzi, dźwigając srebrzysty puchar, którego zawartością chlusta na żarzące się węgle. Złowieszczy syk rozjaśnia ciemność kłębem pary i uprzedza przeraźliwe miauczenie, krótkie i już nie powtórzone, oraz moją komendę:



— Reflektory!

Wielkie białe kola liżą pawiment, stele i ceglane słuźki, łowiąc spłoszone ptactwo. Fotel przy ołtarzu opustoszał, jego martwe płaszczyzny szydzą ze mnie, urągają mi swoim milczeniem wyciętym jak prostokątna dziura w gęstej kotarze hałasu. Świst biczów przeplata się z wystrzałami rewolwerów, wałą się na posadzkę ciała szpikowane kulami, a moi ludzie, których dosięgły ołowiane języki węzów, błędzą, zasłaniając ranne ślepia i jęcząc żałośnie. Cienka pętla spada mi na kark i owija się wokół szyi, lecz nim zdąży zwalić z nóg i zadławić, chwytam jedną ręką wyprężoną strunę i przestrzeliwuję ją, dostawiając lufę na styk. Kolby dudnią po głowach biczowników, żelazne obrączki wiążą im

przeguby rąk. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Gdzie jest zamaskowana kobieta?!

Tukian wskazuje, którędy wymknął się kapłan. Biegniemy do małej absydy, tam zaczynają się schodki na dół. Krypta. Latarka liże gołe mury i warstwy otwartych trumien ze szkieletami, których stroje czas uczynił przezroczystą gazą, aż znajduje ciemny otwór. Posuwamy się lochem tak niskim i tak wąskim, że ramiona zbierają wilgoć gładów. Mamy ugięte karki i dyszymy ciężko, łapiąc resztki powietrza. Znowu schody, teraz do góry. Gnamy łąką, która była pastwiskiem fermy przyklasztornej.

Strzał, jeden, później drugi, od strony jeziora. To chłopcy z kordonu. Musieli brodacza zauważyć.

— Nie strzelać!... Nie strzelaaać!!! — rozdzieram gardło.

Chce go mieć żywym, koniecznie! Muszę go spytać.

Nim go dojrzymy, usłyszymy walenie jego pięknych butów o dechy pomostu, który wżyna się głęboko w jezioro.

— Reflektor!

Latarki i małe reflektorki przenośne nie sięgają tak głęboko, trzeba uruchomić reflektor duży. Tupot się oddala.

— Reflektor!!

Psiakrew, kiedy wreszcie podciągną kabel?! Tupot gwałtownie się urywa i słyszać plusk wody.

— Reflektor!!!

Smuga światła, niczym chart myśliwski, łyka pomost i zatrzymuje się na samym krańcu. Pustka totalna.

Teraz ja łykam drewnianą bieżnię wielkimi susami, i stojąc na ostatniej desce pomostu szukam latarką tego sukinsyna, właściciela butów muszkieterskich, który nieuchronnie spadł, gdyż biegł przez kompletny mrok.

Znowu plusk wody. Na powierzchnię wyskakuje głowa tonącego brodacza. W ciągu jednej sekundy, jednej drobinki czasu, której on nie umie wydłużyć, bo zemdlały mu ramiona, widzę jego oczy i usta nie pragnące wzywać ratunku. Idzie pod wodę. Chwilę później głębina wyrzuca już tylko czoło, czarne od ciekących włosów, spomiędzy których patrzą na mnie dwa przekleństwa, jak wylot dubeltówki. Za trzecim razem woda wyrzuci rękę, pięć rozcapierzonych palców, i jezioro staje się gładkie jak szyba.

Wracamy do klasztornych ruin. Więźniów załadowano już na wozy opancerzone. Wewnątrz chóru jest cicho i mroczno, pali się jedna gromnica. Pod fotelem leży kolorowa maska. Unoszę ją i zakładam na twarz. Przypomina maski lamaickie, pachnie czymś, co jest mi znane (tak jak znajoma wydawała mi się twarz topielca), ale czego nie mogę odcedzić z lamusa pamięci.

Pułkownik wzywa mnie do siebie. Przed pójściem stąd wezmę, prócz maski, dwa biczki leżące na płytach pawimentu. Jeden dla siebie, drugi dla kolekcji

Roberta.

Pułkownik jest wściekły — po kobiecie ani śladu. Jakim cudem przedarła się lub ominęła kordon? Pułkownik nie wierzy w cuda — nie mogła się zdematerializować. Cóż więc się z nią stało? Sondáže murów i podłoża wykazały brak jakichkolwiek skrytek wewnątrz klasztoru. Gwoli świętego spokoju zostawiamy tam kilku funkcjonariuszy, mają węszyć i pilnować.

Cały kolejny dzień zabiera przeczesywanie dna wokół pomostu. Każdy centymetr zostaje przeorany parę razy, a później brzeg, bo pułkownik sądzi, że tamten odegrał komedię i umknął pod wodą. Wiem, że to nieprawda. Nie zaprzeczam pułkownikowi, ale wiem, że tak nie było. Znam szmaragdowy świat nie odnalezionych topielców i wszystkie jego demony, które z tysięcy kultów, z kosmogonii izraelskiej, z mitologii babilońskiej, z ugaryckiego i kanańskiego panteonu, z legend greckich, egipskich, perskich i hinduskich, z nieprzeliczonego gwiazdozbioru podań starego świata zeszyły w otchłanie wód, kreując cesarstwo Ducha Wielkiej Głębin. Są tam trójgłowi książęta morza, Lewiatan i Tannin, dwa skrzydlate węże prawód, Rahab i Nachash, słonowodna bogini Tiamat, którą babiloński bóg Marduk rozpołowił na wody dolne i wody górne, i jej zastęp złożony z jedenastu morskich potworów „*o zębach wyostrzonych w rzezi nielitosnej*”, i jej pierworodny miot spłodzony ze słodkowodnym Apsu, bogowie Lahmu i Lahamu, jest pokonany przez Baala smok z kosmicznego oceanu, Jamm, i egipski Set-Apofis, i sumeryjski Ziusudra, i akadyjski Ut-Napistim, i grecki Tyfon, są wreszcie dzieci Gai (Matki Ziemi) i Pontosa: wieszczy starzec morski Nereus, który wziął sobie za żonę personifikację szczodrości morza, okeanidę Doris, co urodziła mu pięćdziesiąt zielonowłosych nimf zwanych nereidami, tudzież jego bracia, Forkys (synonim grozy i okrucieństwa mórz) i morski cudotwórca Taumas, ożeniony z bursztynową okeanidą Elektra, oraz ich siostry, Keto



Nicolas Poussin — „TRIUMF NEPTUNA I AMFITRYDY”

(najgroźniejsza demonida wód) i Eurybia (matka Pallasa, który związał się z personifikacją podziemnej rzeki, okeanidą Styks), są gorgony, Steno, Euriale i Meduza, wszystkie z kazirodczego związku Forkysa i Keto, jest mocarny Neptun-Posejdon, mąż nereidy Amfitrydy, ojciec Trytona, są dwie potworzyce morskie, Skylla, którą przemieniła w ohydny stwór Amfitryda dla zemsty za jej romans z Neptunem (a może zrobiła to bogini Kirke, wściekła o miłość pięknego bożka morskiego, Glaukosa), i Charybda, którą przemienił w potwora i strącił do głębin Zeus, są syreny Europy, Japonii i Molukków, tudzież ich rzeczne siostry, ondyny, są monstra wodne ze wszystkich bestiariuszy Ziemi, lewiatany, trytony, cetusy, jednorożce, harpie i feniksy, ryby-biskupy, ryby- mnichy i ryby-małpy z XVI-wiecznego dzieła Konrada Gesnera, są azjatyckie zastępy bogów i smoków wodnych, węży i rybo-ludzi, aniołów ciepłego i zimnego prądu.

Rządzi nimi Duch Wielkiej Głębiny, surowy władca, przed którego tronem korzą się najdziksze orki, kalmary i najbardziej zuchwałe kaszaloty. Nie wszystkich przytula miękkim ramieniem z wodorostów, i nie wszystkich prowadzi morską otchłanią Techom do krainy umarłych, zwanej przez plemiona hebrajskie Szeolem. Nie każdemu wskazuje koralowe łoża, w których czeka młodziutka syrena albo jurny wodnik. Ludzie się dziwią, czemu tak wielu topielców nigdy nie odnaleziono. To Duch Wielkiej Głębiny udzielił im azylu.

Tym, których wyławiamy, nie dał azylu. Przepędzeni od bram szmaragdowego królestwa, będą zakopani pod ziemią i zgniją rwani pyszczkami ścierwojadów.



Jak ów informator, którego serce nie wytrzymało ani jednego badania w sanktuarium Roberta. Jak każdy donosiciel. Wszyscy oni znają swoje
Böcklin *Wyspa zmarłych*



królestwo, swoje gniazdo, swoje legowisko, gdzie mogą oczekiwać wszelkich przywilejów. To królestwo zdrady.

Ma ono sylwetkę skalistej wyspy o prostopadłych do lustra wody ścianach, na które nie wspiąłby się żaden rycerz pyszny zdobywaniem Himalajów. W brzuch tej kamiennej bryły wrzyna się zatoka, jak muszla, jak komnata pustego zamku, z wielkimi oknami rozdzierającymi ściany, które kryją pulsującą hańbę. Na dnie

muszli, niczym na dnie koszmarnej donicy, wystrzela ku chmurom ciemnozielony tuman gęsto zbitych drzew, smukłych i potężnych, i ostrych jak piki godzące w niebo. A niebo jest z żalobnego welwetu i bez księżyca, aby noc była groźną nocą, by nie miała wydźwięku scenek arkadyjskich, fotek melodramatycznych, landszafcików pastoralnych, które są przepełnione zapachami łąk lub igliwia, albo odorem spoconych lędźwi mężczyzn i kobiecych szminek. Noc nieludzko wyjałowiona, bezdenna czarna dziura w głowie wszechświata, wielkie skrzydła kosmicznego nietoperza, który nie pamięta początku i nie zna finału, pustynia bez lunatyków i bez jednej łyzy. Między głębokimi cieniami snuje się dręcząca mózg melodyjka niewidzialnych trąbek, węzowa sinusoida kilku smutnych dźwięków — hymn wiecznej rozpacz, lub przynajmniej melancholii, lub chociaż nostalgii, żeby pasowało.

W usta zatoki wpływa łódź. Odwrócony plecami wiosłarz wiezie figurę, którą spowił biały całun — wyprostowaną i nieruchomą, podobną carraryjskim statutom bez języków. Marmurowe milczenie nakrywa samotną wyspę, albowiem Charon wbija obola między zęby każdego przybysza, tak jak sycylijscy mordercy, którzy z rozkazu mafii faszerują usta pomordowanych zdrajców rybą, a gardła kamieniem symbolicznym.

Wszyscy mieszkańcy tej enklawy są skazani na milczenie, gdyż nie umieli milczeć za życia. Nie ma dla nich litości. Skamieniała w ciszy samotność jest ich pokutą i wyznaniem, wiecznym pręgierzem i nieskończoną modlitwą, dla której przymknięte są uszy wszystkich bogów. Błądzące wśród skał wargi kobiet zdają się szeptać:

— Gdzie przetrzymują mężczyznę, którego kocham od zarania dziejów?
Spoza jakich horyzontów przyślą mi go marzenia mego dzieciństwa?

Uczepione gałęzi drzew oczodoły mężczyzn zdają się błagać:

— Mój skażony raju wyobraźni, miej litość! Zwróć mi kobietę, której nigdy nie odnalazłem! Czemu tak długo jej nie ma?! Czy już podąża ku mnie ścieżką zmartwychwstałej gwiazdy?

Królestwo Judasza, do którego zstępują wciągając drugich, jest królestwem tej Ziemi bardziej niż jakiegokolwiek inne. Czasza każdego innego Układu runęłaby pod ciężarem tego królestwa i rozprysnęła pyłem tak mikroskopijnym, że jedynym śladem w Kosmosie zostałaby plugawa mgławica, skazana na wieczne potępienie przez bogów.



4

— Sekta? Nigdy nie uwierzę, synu! Nie wolno mi uwierzyć, i nawet nie chcę o tym myśleć!... Podziemna organizacja, tak, podziemna organizacja, dla kamuflażu udrapowana w religijne szatki, i basta! Twój brat dowiedzie, że mam całkowitą słuszność, choćby nawet to, co mówię, nie miało grama sensu!

Jasne, Robert dowiedzie wszystkiego. Lecz Robert nie zwróci nam tej kobiety. Przesłuchałem już połowę z czterdziestu trzech aresztantów — nie chcą śpiewać. Jutro przesłucham resztę i wszystkich wyślę do Opery, w ramiona mojego brata. Zamęczy ich i udowodni, że byli współtwórcami spisku. Ale jak złapać tę kobietę?!

Jej maskę położyłem na półce, obok Judaszowej rozprawy. Siedzę w swoim pokoju, piję colę i przypominam sobie głos pułkownika. Drgała tam jakaś dziwna nuta, jakiś strach lub niepokój. Patrzył inaczej niż zwykle. Również Mario, kiedy go odwiedziłem, spojrzał na mnie swoim okiem tak, jak nigdy dotąd nie patrzył. Nie było w tym spojrzeniu dawnej głupkowatej poczciwości, i nie było już zaufania żywionego wcześniej. Czego oni wszyscy chcą?!

Ciche miauknięcie za plecami. Marnotrawny kot! Wrócił! Brudny, poszarpany, ze szramą na karku. On też patrzy inaczej, przymilnie, przepraszająco.

— Coś ty, bydlaku, narobił?!... Chodź tu! Bliżej!

Lustruję otwartą i już ropiejącą ranę grzbietową. Wygląda to jak blizna postrzałowa. Kiedy ją dezynfekuję, milczy, ani jednego mruknięcia, dzielny zbój! Obandażowany wskakuje na biurko, i stąd na półkę z Judaszem. Bez 517 mięśni trudno byłoby tak szybować do góry. Tym razem ledwo sięgnął; uczepił się pazurami przednich łap i wywindował. Cudowna bestia! Mimo wszystko lubię go, chociaż powinienem przekląć i wyrzucić za próg. Staję blisko i tłumaczę mu to, grożąc palcem:

— Zrób jeszcze raz taki numer, jaki zrobiłeś Mariowi, a wygnam cię do stu diabłów! Rozumiesz, łobuzie?!

Patrzy na mnie bez ruchu. Chyba zrozumiał moje słowa.

Zobaczył maskę. Podchodzi. Kładzie się w niej niby w legowisku. I zaraz wyskakuje, prychając, parskając, trzęsąc sierścią; gdyby mógł zdjąć futro i przetrzepać, pewnie by to zrobił. Poczujesz pieski, bratku, co? Daliśmy tę maskę do wachania psom, ale zgubiły ślad blisko zewnętrznych murów klasztoru, przy jakimś drzewie. Rwały się na to drzewo jak opętane, być może za wiewiórką lub kuną, i nie chciały biec dalej, więc zrezygnowaliśmy. Pech.

W głosie pułkownika dźwięczy ta dziwna nutka, czyżby strachu?

— Zawaliłeś to, synu! — mówi.

Nie: zawaliłiśmy, lecz: zawałiłeś. Czego on chce? Obstawiłem klasztor szczelnym murem ludzi, i nie wiem jak mogła się wymknąć. Jest w tym coś bardzo tajemniczego, bo przecież nie zrobiłem żadnych błędów!

— Zawałiłeś to, synu. Chodziło głównie o nią, a ty pozwoliłeś jej zwać. Saturn nam nie podziękuje. Zobacz, milczy, jakby się wcale nie interesował sprawą. Nie podoba mi się to milczenie, synu.

Mnie też się nie podoba, ale co mogę zrobić? Nie mam na to wpływu. Nie podoba mi się również tembr głosu pułkownika. Może jednak Robert wydusi z nich coś, jakiś drobiazg, który zezwoli nam znowu chwycić trop. Nie będzie to łatwe, gdyż wszyscy oni są fanatykami nastrojonymi męczeńsko, a zachowującymi się błazeńsko; mają półprzytomny wzrok ópunów i podczas przesłuchań parskają śmiechem. Jednemu wsadziłem palce do szuflady i zmiażdżyłem, a on nawet nie krzyknął. Jakby zostali znieczuleni. Wątpliwe, czy będą śpiewać. Wątpliwe również, czy coś wiedzą. O, mam, gdybyś była teraz przy mnie! Wśród tysięcy natchnionych widzeń i fałszywych sztuczek swej profesji znalazłabyś jedną, dzięki której mogłabyś mi wskazać tę kobietę — jej kryjówkę, lub jej zamiary, lub jej twarz. Potrafiłaś przecież czytać w tamtym wymiarze eteru! Ach, byłem głupcem, bo nie uczyłem się od ciebie pilnie, choć tego pragnęłaś!

Moja matka była jasnowidzącą i tylko morfologicznie należała do czasu swojej egzystencji. Cała jej reszta wywodziła się z błękitnych oparów Siècle des Lumières, wieku XVIII — wieku iluminatów, kabalistów, hermetystów i górnolotnego czarnoksięstwa, jakże obcego dzisiejszym salonowym zabawom szarlatanów magii. Dzięki niej kusząca sfera metafizycznego sacrum, tajemne sekty, ukryte skarby, rozumne pająki, kaci, monarchowie i świętokradcy, alfabet gwiazd, kart i kryształów, władza charyzmatyczna, zakazane owoce i zioła, tańce śmierci i płomyki wabiące niewinnych — wszystko to już we wczesnej młodości mieszało się z moim codziennym profanum i stało moim drugim światem.

Kaplicą tej urokliwej herezji był nasz dom. Cały on przetrwał w moim pamiętniku zapachów. Pamiętam dobrze woń metalowego pudełka, wewnątrz którego czerniły się, szarzały i brązowiały zioła ze wszystkich stron Ziemi. Pamiętam samczy odór komnaty mego starego — odór butelek po alkoholu i skóry fotela giganta, któremu wyłaziło przez dziury płowe końskie włosie. Pamiętam żyzne zapachy sadu, wiosennych poranków wilgotnych rosą, lub przejmującą radość rozgrzanych mleczków. Albo zapach pajęczyn w piwnicy pełnej dżemów i marynat. Albo zapach nadpalonej podłogi przy kominku i woń wazy, w której leżały kiście winogron. I jeszcze zapach służącej, Lizy, z krągłym profilem różowego półdupka, identycznym jak u każdej, którą się posiadało, lecz przecież zupełnie innym, bo będącym częścią tego domu.

Był to stary pałacyk na rogatkach metropolii, latem parzony promieniami

słońca, a zimą przywalony białym puchem i senny. Miał dwa wejścia. Frontowe, z dużą poczekalnią tuż obok drzwi, pełną czerwonych kotar i dyskretnych światełek, służyło klientom matki, która zarabiała wróżbiarstwem. Nie szanowała tego procederu, uprawiała go dla chleba. Prawdziwe misteria wyczarowywała dla siebie.

W poczekalni siadywały stroskane kobiety, mnące nerwowymi dłońmi jakieś chusteczki, listy lub puzderka. Niektóre były bardzo biedne, inne bardzo bogate. Widać było, że te pierwsze uczyniły wszystko, aby skryć swą nędzę pod świątecznymi łąszkami, te drugie zaś odwrotnie — miały na sobie stroje skromne, przeciwne ich minom zdradzającym wysoki status.

W miarę jak nimb mojej matki się rozrastał, tych drugich było wewnątrz poczekalni coraz więcej. Zyskując renome u elity, matka zaczęła wstydzić się odwiedzającej ją biedoty i pozbyła się jej bez trudu, windując stawki za rady i horoskopy do granicy akceptowanej tylko przez bogatą klientelę.

Mężczyźni przychodzili rzadziej, i nigdy nie widziałem wśród nich biedaków, nawet wtedy, gdy matka nie była jeszcze sławną Sy—billą Dianą. Ci, których ja i mój brat, Robert, obserwowaliśmy przez szpary frędzlastych kotar, zjawiali się zawsze, nawet podczas upałów, w wysoko zapiętych płaszczach, mieli sterczące szaliki lub kołnierze, dymili wonią cygar i luksusowych wód, i spacerowali nerwowo między ścianami, trzymając założone dłonie u spodu pleców. Przypominali niedźwiedzie z ZOO drepczące bez końca od kraty do kraty. Bardzo często byli znajomymi. Wówczas witali się, stawali razem w jednym kącie poczekalni, którego nie wypełniały krzesła, i prowadzili przyciszony dialog. To miejsce znajdowało się właśnie tam, gdzie ja i Robert syciliśmy naszą ciekawość po drugiej stronie kotary. Dobiegało nas: „*O tak, panie generale...*”, „*Co pan, panie prezesie, myśli o....*”, „*Jestem zachwycony zdaniem waszej księżęcej wysokości...*”, „*Ale ten X to Świnia, trzeba z nim skończyć możliwie szybko!...*”, itp.

Drugie wejście do domu prowadziło przez boczną furtkę i jesionowo-akacyjny ogród. Ogród był dziki, gdyż nikt nie zwracał sobie głowy pielęgnowaniem go. Wśród cienistych kryjówek tej dżungli bawiliśmy się jako czerwonoskórzy lub jako banda piratów. W parne letnie noce sypialiśmy tam na hamakach rozwieszonych między konarami jesionów. Któregoś wiosennego wieczora, odurzeni wonią klombów, posiedliśmy tam w trawie za altaną naszą pierwszą damę (była nią córka wdowy z sąsiedztwa, gotowa zrobić wszystko dla zwiedzenia czarodziejskiego ogrodu). Stworzyliśmy tam na jednym kilometrze kwadratowym hermetyczną cywilizację, królestwo bez granic, zaludnione tłumem rycerzy, kacerzy, smoków i bogów, nigdy nie schodzone do końca i nie wyeksploatowane ze swych drogocennych czarów imperium, gdzie kroki miały swój smak, a rzeczy sens, jakiego nie mogły mieć nigdzie indziej.

Co pozostaje z tych parków wypełnionych cieniami dzieciństwa, kiedy wracamy ku nim jako ludzie dojrzały, dziwiąc się, że na tak szczupłych przestrzeniach zamknięte były niegdyś krainy, które miały walor cudu zwanego nieskończonością? Znajomość życia i świata, całe to licze bogactwo doświadczeń, zamyka nam furtki i zabrania wstępu, bo żeby wrócić prawdziwie, trzeba byłoby wskrzesić reguły gry nie istniejącej już.

Jedyną trwałą ścieżką między chaszczami był szlak prowadzący na werandę oplecioną dzikim winem. Figurował tam trójnogi stół, wycięty z pnia sekwoi. Czasami odrabialiśmy przy nim lekcje, gdy akurat tato dysponował forszą i uprawiał hazard w szulerniach, a nie w domu.

Z werandy wchodziło się do ciemnego korytarza. Po obu jego stronach znajdowały się sypialnie, moja, mojego brata i rodziców. Dalej kuchnia, gdzie sypiała służąca, Liza, i gdzie za ukradziony matce banknot mogliśmy pieprzyć Lizę przez kwadrans. Korytarz prowadził do salonu gościnnego, pełnego luster i bibelotów. Większość drobiazgow stanowiąły prezenty dla matki od jej klienteli ukontentowanej trafną wróżbą lub skuteczną pociechą. Żadne z tych perwersyjnie brzydkich cacek nie koczowało u nas dłużej niż kilka miesięcy. Spłukany ojciec umiał przepuścić wszystkie w jedną pechową noc pod dachem werandy, i rano matka zastawała tylko lśniące wysepki wśród płaszczyzn kurzu na półkach i kredensach. Wówczas przez kilka tygodni salon zdawał się pusty i jakby większy, aż wolno, niezauważalnie, wypełniał się znowu, do czasu, kiedy ojciec, czując brak gotówki, musiał tasować karciecia na werandzie i uzupełniać pulę srebrną tudzież porcelanową wdzięcznością klientów Sybilli Diany. Spełniał w ten sposób pożyteczną rolę krabów czyszczących wodę z padliny; gdyby nie ojciec, nasz salon upodobniłby się w krótkim czasie do zatłoczonego lombardu. Widocznie i matka rozumowała tym trybem, bo chociaż kłócili się tak często, że jeśli nie kłócili się przez dwa dni, to od razu wyglądali jak para ćpunów, którym brakuje na strzykawkę — udawała, że nie zauważa niczego.

Wąskie drzwi po jednej stronie salonu prowadziły do gabinetu Sybilli Diany. Ścian nie było tam widać — kryły je czarne makaty pełne kabalistycznych haftów, a środek zajmował stół przykryty granatową serwetą, zdobioną symbolami astralnymi barwy purpurowej. Na nim królowała szklana kula i „oryginalna talia kart panny Lenormand”, w co klienci wierzyli, jak we wszystko. Matka gardziła tym koniecznym do zdobywania pieniędzy cyrkiem, wymagającym kadzideł, zaklęć i dramatycznych gestów, ale nie cierpiała, kiedy ojciec robił sobie żarty z jej pracy.

Pamiętam jego nocne powroty. Budził matkę i pytał:

— Zgadnij, co robiłem?

— Nietrudno zgadnąć, grałeś — odpowiadała matka ze złością.

— Brawo, jeden punkt dla Sybilli! — ciągnął stary, czkając bez wstydu. — A co później?

— Później piłeś.

— Piłem. Dwa zero dla Sybilli... ouupp!... Pardon!... I co dalej? Wygrałem czy przegrałem?... No, może pokazać ci dłoń albo przynieść kulę?

— Nie trzeba. Wygrałeś, inaczej nie miałbyś za co zrobić z siebie świni.

— Fantastyczne! Masz astralnego kota, znowu zgadłaś! Wygrałem, jestem królem pokerzystów!... Ouupp!... No to gramy dalej. Co robiłem po zwycięstwie i po pijaństwie?

— Szukałeś dziwki.

— I jaką sobie przygadałem? Rudą czy chudą?... Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!... No i co, jasnowidząca wieźmo! Zgadniesz czy nie zgadniesz?... Zgadniesz, to przeczolgam się pod łóżkiem i oddam ci całą resztę wygranej, ulubienico duchów transcerealnych... Pardon, transcy... transcudalnych. Dobrze mówię, co?... No to startuj!

Później było słyhać, jak matka wali starego w pysk, jak on jej oddaje, wzajemne wymyślania, szamotaninę, i wreszcie głębokie stękanie sprężyn łóżka. Ilekroć poczynali się tłuc i dusić, kończyło się to zwaleniem na parkiet lub na kanapę, i odtąd już praktykowali seks bez słów, aż do zupełnego zmęczenia i uśnięcia.

Za bliźniaczymi drzwiami po drugiej stronie salonu był pokój, w którym matka odprawiała czarodziejskie misteria dla samej siebie. Był on zupełnym przeciwieństwem gabinetu Sybilli Diany. Był widny (a byłby gołocienny, gdyby nie biblioteka), miał dwa fotele oraz stół na puszystym dywanie, gdzie wylegiwał się Cagliostro. I chociaż nie było tam żadnego dziwnego stwora, rogu jednorożca, kadzideł, ciemności lub jakichkolwiek symbolistycznych szyfrów — budził on we mnie lęk. Promieniowała z niego tajemnicza atmosfera, sycona kurzem starych książek i dźwiękiem ciszy, wzmacnianej dudniącą erotyką katedralnych dzwonów spoza szyb.

W tym pokoju matka odkryła, że dziedzicę jej „*kod medialny*” — talent sterowania maligną, sięgania dalekich wymiarów, krajobrazów wewnętrznych i astralnych, łądów, gdzie można porozumiewać się ze zmarłymi i widzieć tych, których nie ma obok. Był to ledwie embrion talentu, który chciała rozwinąć, i dlatego próbowała mnie uczyć, ale ja wolałem biegać za piłką, buszować wewnątrz ogrodu i podglądać Lizę rozbierającą się do spania. Dużo później, gdy matka już nie żyła, flet wuja Arnolda dał mi to wszystko, czego nie umiała mi wpoić.

Ojciec, kiedy się zorientował, że matka zmusza mnie do rozwijania medialnego talentu, skopał ją tak ciężko, iż nie mogła przyjmować klienteli cały tydzień. Przez kilka kolejnych tygodni wróżyła w ciemnych okularach, co

narobiło jej kłopotów. Ciemny gabinet i ciemne okulary były mieszanką zabójczą. Sędziwej hrabinie matka przepowiedziała awans na szefa sztabu generalnego, a nuncjuszowi ubranemu w długie wiśniowe szaty wy wróżyła nowy romans. Drogo ją kosztowały te błędy. Ojca też, bo matka z zemsty przestała mu płacić tygodniówkę „brydżową”. Ale kiedy zagroził, że pójdzie do poczekalni i będzie publicznie szczał w wazony pełne kwiatów, zmiękła.

Lustrzana historia zdarzyła się rok później, bo matka odkryła, że tato uczy Roberta na szulera karcianego. Dostała furii i zniszczyła wszystkie talie kart, jakie tylko udało się jej znaleźć. Prawem rewanżu tato zamalował olejną farbą wiszące w gabinecie Sybilli portrety „*duchów opiekuńczych*”: Ariela, Nanaela, Nyhariela, Mahhareela, Asmodeusza, Adramelecha i Alastora. Był to koniec ich związku formalnego — matka wystąpiła o rozwód. Przewód sądowy ciągnął się długo, gdyż stary walczył jak lew. Wyparł się mnie i Roberta, nie chcąc partycypować w dalszym utrzymywaniu swych synów (notabene nie robił tego nigdy), i oświadczył publicznie, że nie będzie płacił alimentów, gdyż kochał się z matką wyłącznie po francusku. Matka zemdląła, słysząc to, a rozzłoszczony sędzia wlepił ojcu grzywnę za bezczelność wobec trybunału. Grzywnę nieściągalną, rzecz prosta, bo pozwany był golusieńki całkowicie.

Odbyły się łącznie cztery rozprawy, i cierpliwość starego przyniosła mu triumf. Mówił zawsze:

— Nie do trzech, ale do czterech razy sztuka. Karetą wygrywa!

Podczas czwartej rozprawy matka wycofała wszystkie swoje żądania, pragnąc mieć wreszcie święty spokój. Rozwód orzeczono, a w zamian za wyprowadzenie się z domu stary dostał dużą sumę. Większość tego musiał bulnąć swemu adwokatowi. Adwokatem był pokerowy kumpel starego.

I tak zostaliśmy sami. Przyszedł dla matki ciężki okres. Dzień w dzień chodziła jak struta, i gdyby nie Liza, nie miałby nam kto robić śniadań i sprawdzać bielizny. Matka zestarzała się wtedy bardziej niż podczas paru uprzednich lat. Odeszła ją chęć do pracy, zaczęła tracić klientelę i rozgłos, wreszcie została starą, lekceważoną przez wszystkich jędzą, kłótniwą, pełną maniakałnych podejrzeń, kompleksów i denerwujących napadów sztucznego humoru. Twierdziła, że wszyscy ją wyśmiewają. Twierdziła tak, odkąd ów adwokat-kumpel starego, brylujący w trakcie procesu, zbliżył się do niej po zamknięciu rozprawy i zjadliwie wycedził:

— Madame, czy warto było tak długo ciągnąć ten korowód? My, zwykli śmiertelnicy, znający tylko przeszłość, mogliśmy nie wiedzieć, jak się to skończy, ale pani?...

Ojciec bardzo rzadko ze mną rozmawiał. Jego pupilem był Robert, gdy ja byłem maminsynkiem. Lecz kiedy wyprowadzał się z domu, nagle, przed progiem, upuścił dwie swoje walizy, zawrócił i przyklękawszy, wziął mnie w

ramiona.

— Słuchaj! — szepnął. — Życie jest pokerem, nie ufaj nikomu, księdzu, bratu, matce, ojcu, nikomu. Wszyscy cię wyrolują. Tylko jeno musisz: rolować innych. Trzeba wyrolować innych, samemu nie dając się wyrolować. Zapamiętaj to dobrze, inaczej przegrasz, tak jak ja.

Chciało mi się wtedy beczeć, i nim wstał, rzuciłem pierwsze lepsze pytanie, jakie mi przyszło do głowy. Po to tylko, by jak najdłużej go zatrzymać.

— Dlaczego nie wygrałeś, tato?

Popatrzył przeze mnie na wylot, w głąb korytarza, i odpowiedział:

— Bo zapomniałem, że najgorzej jest ufać sobie samemu. Podniósł się i wyszedł. Dom bez niego stał się przeraźliwie pusty.

Nie tyle dla mnie i Roberta (nie nosiliśmy już krótkich spodenek, zaczęliśmy pierwsze ćwiczenia seksualne z córką wdowy oraz z Lizą), ile dla matki. Ślubne, półpuste łóżko unicestwiło w niej resztkę młodości i przytłoczyło ciężarem osamotnienia. Musiała żałować swej decyzji rozwodowej, ale nigdy nie wspomniała, że tak było. Stary zniknął z rozmów, i formalnie został wyrzucony też z naszych myśli. Lecz ja zawsze pamiętałem jego ostatnie słowa: „*Nie ufaj nikomu!*”. Do dzisiaj słyszę, jakim głosem to powiedział, i szanuję tę radę, jedyną, jakiej mi udzielił. Wyjątkiem, który potwierdza regułę, stał się mój brat. Ufam mu bez granic. Przyczyną nie jest braterska miłość, lecz biologia.

Natura sprzęgła mnie i Roberta w niezwykły sposób, albowiem jako para bliźniaków jednojajowych stanowimy klasyczny przykład dobrze znanego medykom „*fenomenu bliźniaków jednojajowych*”. Chodzi o równoczesność reakcji fizycznych i psychicznych u takich bliźniaków. Kiedy wyrywano mi ząb, Robert miał silny ból szczęki. Kiedy on łapał jakąś chorobę, stawała się ona bezzwłocznie moją. Kiedy ja się źle uczyłem, on również źle się uczył. Bliźniaki jedno-jajowe są złączone niewidzialną pępowiną, i często, kiedy jeden umiera przez zawał serca, drugi — mieszkający na innym kontynencie i nic o tym nie wiedzący — również traci żywot wskutek zawału. Jest z tym dokładnie tak, jak z reakcjami, które obserwowano u prymitywnych ludów Afryki i Polinezji, gdzie mąż cierpi bóle krocza i brzucha kiedy rodzi jego kobieta. Studiując w Paryżu, starałem się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, ale okazało się, że dla medycyny problem jednojajowych bliźniaków wciąż stanowi białą plamę. Trwają badania, mędracy kilku krajów zajmują się tym fenomenem, lecz długo trzeba będzie jeszcze czekać na rezultaty. Pewien francuski ekspert zawyrokował, że sukcesem będzie znalezienie wyjaśnień do końca wieku.

Ksiądz Gaspar (przyjaciel wuja Arnolda) twierdzi, iż „*ludzie nie powinni grzebać w takich rzeczach*”, bo to jest „*grzebanie we wnętrzościach Boga*”.

— Im więcej będzie rozwiązanych sekretów, tym więcej będzie ateistów — mruknął, świdrując wyzywająco okulary wuja.

Lecz wuj Arnold, który sam pasjami prowokował ojca Gaspara i sprzeczał się z nim wściekle z pozycji szydzącego ateisty (co wcale nie znaczy, że nim był), tym razem nawet nie uniósł głowy, tylko zabębnił palcami po blacie stołu i odparł dziwnie łagodnie:

— Mylisz się, klecho. Ludzie robią jawny błąd. Gdy już ostatnia tajemnica się wyświetli, będzie to objawieniem Boga.

Bardzo wcześnie ja i Robert zauważyliśmy pasjonującą symultaniczność naszych reakcji. Kiedy miałem jedenaście lat, złamałem lewą nogę. Robert poczuł wówczas straszliwy ból w tym samym miejscu swojej lewej nogi, i cierpiał tak długo jak ja, chociaż nie nosił gipsu. Od tej pory nic już nie mogło nas zdziwić. Kiedy ja nie miałem ochoty ciupciać, Robert również był chwilowym impotentem, a kiedy zaboląła mnie głowa, miałem pewność, że Robert zderzył się na boisku ze słupkiem bramki lub któryś kumpel przywalił mu piłką. Obaj wiemy doskonale, że musimy strzec się wzajemnie przed wszystkimi niebezpieczeństwami świata, jakże więc moglibyśmy nie ufać jeden drugiemu? Zostaliśmy skazani na siebie. Moja krzywda będzie zawsze jego krzywdą — czyż serce nie pękało mi z bólu, kiedy studiowałem we Francji, a Robert tutaj opłakiwał swego psa? Moja śmierć będzie śmiercią Roberta i na odwrót. Umrzemy razem. Pamiętamy, że to pewnik.

Któregoś ranka przebudziliśmy się mając dziwne wrażenie, że zdarzyło się coś szczególnego. Wewnątrz domu panowała taka sama jak o każdym świcie bezwładna cisza, ale wzbogacona czymś niezwykłym. Myłem się, gdy do łazienki przybiegł Robert i szeptem krzyknął:

- Chodź! No już!
- Co jest?
- Ojciec wrócił!

Pobiegłem tak, jak stałem, bez górnej części piżamy, ciekąc wodą. Przy drzwiach do werandy zatrzymał mnie widok rodziców. Mój brat też nie przekroczył progu, bo też go замуrowało.

Siedzieli wprost siebie, na połamanych krzesłach. Patrzyli sobie w twarze, nic nie mówiąc. Wyglądali jak te krzesła, które przez kilka lat nieobecności ojca stały się straszidłami wraz z całym domem. Byli parą brudnych dziadów. Nosili identyczne łachmany. Drobną różnicą polegała na tym, że matka nie musiała się golić, lecz cienie jej policzków były prawie tak samo sine jak szczecina ojca. Ich twarze rysowało wielkie zmęczenie, i coś jeszcze, dziwny wyraz ciepła lub tkliwości, który wówczas trudno mi było pojąć.

Nie zauważyli nas. Siedzieli razem już bardzo długo, lichy wie ile czasu. Zapewne ojciec włókł się nocą blisko domu i ujrzał światło w oknie matki, bo matka prawie wcale nie sypiała. A może to ona, wędrując wśród drzew przy księżycu, zobaczyła starego przez sztachety. Patrzyli sobie w oczy, nieruchomi

jak rzeźby buddyjskie, ręce mieli złożone na kolanach. Widziałem, że ręce ojca drżą. Robert twierdził, że policzki matki żłobiła łza. Możliwe. Odeszliśmy cichutko, a kiedy godzinę później wyruszyliśmy do szkoły, oni wciąż siedzieli na tych starych krzesłach i nie spuszczała z siebie wzroku.

Blisko końca lekcji pod szkołę zajechała „dyskoteką” glina. Wywołano Roberta i mnie. Pożar trawił nasz dom. Zawieziono nas i zostawiono przy rogu sąsiedniej ulicy, dalej wolno było się zbliżać tylko strażakom mającym ubrania azbestowe. Lecz cóż mogli zdziałać? Płomienny gejzer sięgał niebios, a wiatr rozczesywał języki ognia we wszystkie strony. Nasz dziki ogród skręcił się niby przydepnięta poczwarka, zżółkł, zbrązowiał i wreszcie zszarzał jako kupa popiołu. Spalił się także dom wdowy, a razem z nim nasza pierwsza dziewczyna i jej małe twarde piersi, których nigdy nie zapomnę.

Stało się to wtedy, gdy Liza wyszła robić sprawunki. Zostawiła ich na werandzie, było lato, w domu nic się nie paliło, żaden sprzęt elektryczny nie był włączony, nawet lodówka zepsuta przed tygodniem, bo matka nic nie reperowała.

Znaleziono fragment dłoni starego, lewej, sygnetowej. Na oczku sygnetu widnieją cztery kolory karciane: kier, trefl, pik i karo. Robert nosi ten sygnet. Po niej nie znaleziono ni grama szczątków. Mogłoby się wydawać, że odeszła i zniknęła, jak to czynią umierające słonie. Gdzieś przecież muszą istnieć cmentarzyska nawiedzonych, może w owych pięciu ruchomych punktach przestrzeni kosmicznej (które wskazał Lagrange), gdzie siły grawitacyjne Ziemi i Księżyca wzajemnie się znoszą i wszystko wiecznie zawisa?

Po Cagliostroze też nie został żaden ślad. Policja miała zeznanie świadka twierdzącego, że kiedy zaczęło się palić, czerwony kot wyskoczył z ogrodu, przebiegł ulicę i zniknął, ale nie musiał to być Cagliostro, bo wewnątrz naszej małej dżungli dużo kotów łowiło ptaki i gryzonie. W ciągu tych lat osamotnienia był on jedynym powiernikiem matki; jadalі razem i sypiali razem, wspólnie układali pasjansę, starzeli się, razem wędrowali nocą ścieżkami ogrodu. Wątpię, czy zostawiłby ją na pastwę płomieni.

Pies Roberta, King, przeżył, lecz poparzony boleśnie. Próbował wyciągnąć starych z płonącego domostwa. Ów przechodzień, który zawiadomił strażaków i mówił o czerwonym kocie, powiedział też, że stary wybiegł przed dom, odpędził Kinga i wrócił, i że matka stała wtedy w oknie, a kiedy King znowu chciał wskoczyć na werandę, rzuciła weń butelką.

Później raz, jeden jedyny raz, dzięki fletowi wuja Arnolda, zobaczyłem ją po tamtej stronie. Wirowała między gromadą mglistych duchów. Nie chciała rozmawiać, wskazywała mi tylko kabalistyczny amulet zawieszony na szyi. Przypomniałem sobie od razu. Wiązał się ze wspomnieniem wróżby, która tyczyła mego życia, i która kiedyś przeraziła matkę straszliwie. Miałem bowiem

spotkać na mej drodze diabelską Lilith, ową „*pierwszą Ewę*”, którą (według źródeł kabalistycznych) Jahwe stworzył równocześnie z Adamem i w taki sam sposób, a która — gdy pełna gniewu obraziła Boga i została za karę przemieniona w monstrum — wiodła do zguby swą następczynię, Ewę, i mieszka teraz w gałęziach sumeryjskiego drzewa „*huluppu*”, skąd czyni zło, lansując pozamałżeńską miłość. Według innych źródeł hebrajskich jest Lilith mieszkanką ruin i najgroźniejszym wśród nocnych żeńskich demonów. Matka nienawidziła tej bogini kobiet, z którymi mężowie zdradzają żony, i nawet ułożyła w głowach małżeńskiego wyrka figurkę Lilith przekłutą kilkunastoma szpilami, co jednak ojcowskich przyzwyczajęń nie zmieniło. Śmiał się głośno, mówiąc, że wbiła szpilki nie tam gdzie trzeba. Dla mnie zrobiła kabalistyczny amulet, który miał bronić przed Lilith moją duszę i moją cielesność. Chciała mi go dać jak już będę pełnoletni. Brakowało roku, gdy dom zamienił się w



William Blake — „PIEKŁO”

pochodnię. Teraz amulet znaleziono, przy wznoszeniu fundamentów bazy transportowej na zachwaszczonym wzgórku pogorzelska, i oddano mi.

Śmierć rodziców skasowała wspólną drogę bliźniaków. Jeszcze tylko niepełny kwartał mieszkaliśmy razem. Plan był taki: kończymy liceum i jedziemy na dalekie południe, do dziadków ojca. Stało się inaczej wskutek maturalnego żartu — zakpiłem z daty intronizacji króla. Musiałem repetować dwa semestry, wyjechał więc tylko Robert, biorąc Kinga. Śmierć Kinga przyprowadziła później Roberta, a pośrednio i mnie, do pułkownika-szefa glin całego kraju.

Ja zamieszkałem u wuja Arnolda. Wuj Arnold był właścicielem małego antykwariatu w śródmieściu stolicy. Wynajmował cały parter starej kamieniczki, z trzypokojowym mieszkaniem od strony podwórka i ze sklepem od strony placu targowego. Lubilem ten sklep, gdyż przypominał zapachem książek i bibelotów salonik matki. Było to prawdziwe panoptikum, pełne starych waz, porcelanowych figurek, gemm, numizmatów, orderów, brązów, dywanów, mebli, muszkietów i samurajskich mieczów, dużych malowideł i miniatur, wyrobów ze złota, srebra i kości słoniowej, naszyjników, pierścieni i bransolet, kielichów i fajansowych nocników zdobionych herbami, a wszystko to owijały siwe pajęczyny, których wuj Arnold nie tykał, chyba że musiał pokazać klientowi jakiś przedmiot.

Dwa eksponaty, które nie były na sprzedaż, szczególnie mnie intrygowały w tym dziwacznym muzeum: klepsydra i wypchana małpiatka, trzymająca jedną łapką flet z mandragory.

Klepsydra miała drewnianą, bardzo piękną, misternie rzeźbioną obudowę. Wuj Arnold używał jej do odmierzania czasu kiedy gotował jaja: popiół zamknięty w klepsydrze przesypywał się bardzo szybko, akurat tyle minut, ile było trzeba dla idealnego ścięcia żółtka. Staruszek długo utrzymywał, że w klepsydrze znajdują się prochy jego żony, o której nie zachował dobrych wspomnień. Kiedyś jednak wyznał mi, że plecie tak, by rozzłościć ojca Gaspara, a klepsydra nosi prochy nierządniczy Tais, na życzenie której pijany Aleksander Wielki spalił pałac Kserksesa w Persepolis. Ksiądz, kiedy się o tym dowiedział, wcale nie wydawał się ukontentowany i parsknął, że robienie żartów z ludzkich szczątków to rzecz bardzo niemoralna.

— Defuncti iniuria ne afficiantur — wygłosił namaszczonym chrypem.

— Jaka krzywda?! — zapiszczał wściekle wuj. — Jaka niemoralność?! A co jest moralne w odniesieniu do szczątków kobiety, lub w ogóle do kobiety, Krzywda nie powinna dotyczyć zmarłych.

szanowny kaznodziejo?! Co Kościół Święty mówi o stosunku mężczyzn do kobiet, co się najbardziej liczy w tej grze, szacunek, wierność? Hę?

— Serce, uczucie, mój panie...

— Serce?! Siedziba uczuć znajduje się chyba trochę niżej, szanowny klecho...

- Nie robi się zabawek z ludzkich szczątków!
- Być może, być może! Lecz ta klepsydra wcale nie jest zabawką, tylko bardzo użyteczną relikwią.
- Relikwią?!...
- Tak, relikwią! Czyż relikwiarze nie zawierają prochów zmarłych?
- Ale nie prochy sprzedajnych kobiet! Kult nierządu jest w najwyższym stopniu amoralny!
- Tra-la-la-la! Teraz zmieniamy metodę i źle mówimy o kobietach, księżulku? De mortuis nil nisi bene! Zapomniałeś? Mów sobie zdrów, a ja i tak nie pozbędę się mojej klepsydry i będę jej używał!... O co chodzi? Czy ksiądz naprawdę sądzi, że taki kontakt z prostytutką jest rzeczą amoralną?
- Tak, nawet taki! — huknął tubalnym głosem ojciec Gaspar.
- To ksiądz widać słabo odczytany w Piśmie Świętym — ciągnął wuj Arnold, przymrużywszy powieki złośliwie. — Ksiądz nic nie wie o Chrystusie i o nierządniczy?
- Wiem, miłosierdzie Boskie jest niezmierzone. Ale to nie znaczy, by Kościół Boży miał tolerować nierząd! Papież Sykstus V rzucił klątwę na nierządnicę!
- Co świadczy tylko o tym, jak niezmierzone były jego głupota i nietolerancja! Księżulku, wszak Ludwik Święty zabrał statek z gamratkami na swą wyprawę krzyżową. Pewnie też ksiądz nie wie, że w dobie Renesansu prostytutki były modelkami u malarzy tworzących religijne arcydzieła. Dzisiaj te malunki po kościołach wiszą!
- Błóżniesz, bracie! — zapał ojciec Gaspar, gwałtownie się zrywając od stołu.
- Nie, to prawda, która ślepią kłuje. To właśnie dzięki takim jak ów biskup Rzymu, który prostytutki przeklął, inni dokonywali ludobójstwa, mordując gromady tych nieszczęsnych kobiet. Na przykład pułkownik Strozzi kazał utopić osiemset prostytutek jak szczenięta psów!
- Kościół nie pochwała takich zbrodni! — rzekł rozdrażniony ojciec Gaspar.
- Raro antecedentem scelestum deseruit pede poena clauda .
- O umarłych (mów) tylko dobrze.
- Nierychliwa, ale sprawiedliwa kara rzadko opuszcza uciekającego zbrodniarza.
- Coooo?! — ryknął wuj, by natychmiast wybuchnąć potokiem słów gniewnych i zarazem zjadliwych, cedząc te ważniejsze tak energicznie, jakby walił swego interlokutora pałką. — Rzadko opuszcza, dobre sobie! Nie pochwała, jeszcze lepiej!! Zechce ksiądz wspomóc moją pamięć i przypomnieć mi, jak się nazywał ów ojciec święty, co skarcił anatemą Torquemadę i jego koleśków? No, proszę bardzo, może być na ucho i po łacinie!... Nie? Nie to nie, trudno. Wy tylko lubicie biadolić a propos represji Nerona i Tyberiusza. A czym

się różnią rzezie pierwszych chrześcijan od masakr, które Święta Inkwizycja czyniła wśród protestantów i Żydów? Złóż, księżę, na jednej szali „*pochodnie Nerona*” i dzikie bestie, na drugiej zaś „*auto-da-fe*” i doły do zakopywania żywcem luteranek, a waga skamienieje jak poprzeczne ramię krzyża!

— To luteranie masowo mordowali katolików! — próbował się jeszcze bronić ojciec Gaspar.

— Szkoda, że mieli słabą wydajność! — warknął wuj.

Tego już było pocziwemu księdzu za wiele. Odszedł, pożegnawszy wuja trzaśnięciem drzwiami. Kończyło się tak niemal przy każdym spotkaniu. Ci dwaj starszacy nie mogli bez siebie żyć, a te kłótnie, rozwijające się do kulminacji jak mięsożerne kwiaty, delikatnie, wolno, stopniowo, moczone białym, wytrawnym winem i urozmaicane szachami, w które obaj grali przeciętnie, były, mam wrażenie, ostatnią już namiętnością ich życia.

Szczerze mówiąc, nie ufałem wujowi Arnoldowi, gdy truł, że klepsydra mierzy czas popiołami kochanicy króla macedońskiego. Myślę, że przesypywały się tam prochy ciotki, co jednak nie należy do sprawy.

Drugą ekscytującą mnie osobliwością antykwariatu była małpiatka, wypchane zwierzątko, trzymające się tylnymi kończynami gałęzi zawieszanej na ścianie. Wuj kupił ją kiedyś od ulicznego kataryniarza, którego rozsądek został przyćmiony przez głód alkoholu. Tym samym wuj wybawił człekopodobnego stworka od udręk podskakiwania na słupkach w rytm muzyki, z łańcuchem na szyi i z czapką arlekina przyszytą do skóry na głowie. Uśpił małpiatkę jakimś specyfikiem, odpruł czapkę, wyleczył blizny po biciu, nazwał Tytusem i zamieszkali razem.

Gdyby Tytus przeżył kilka lat dłużej niż przeżył, wówczas pewnie przeżyłby te lata wuj Arnold. Nie zaskoczyliby go nocą, gdyż małpiatki nie sypiają w nocy, a jeśli nawet śpią, to tak lekkim snem, że przerywa go brzęczenie much lub szmer sunącego chrabąszcza. Lecz kiedy rabusie wdarli się do mieszkania wuja, Tytus już od paru lat spał snem wiecznym na ścianie antykwariatu i nie mógł zaalarmować swego pana.

Wuj bajał mi sporo o tych pradawnych krewniakach człowieka zwanych małpozwierzami lub lemurami, a przez naukę, która tak kiepsko wie o nich: „*Prosimiae*” (małpiatki). Gnieźdzą się w dziuplach i nocami polują, zanim jednak wyruszą polować, cała grupa intonuje koncert dzikich wrzasków. Przypomina to szamańskie obrzędy pewnych plemion afrykańskich tudzież amerykańskich, i wykazuje oczywiste pokrewieństwo z magią łowiecką hord prehistorycznych. Małpiatki tworzyły w zamierzchłych czasach tajemnicze społeczeństwo wielkookich i wiekouchych stworzeń, z którego przetrwały do dzisiaj tylko szczątki kilku narodów. *Lorsinae*, *Galaginae* i *Lemuridae*. Fakt, że zamieszkują obecnie pas, który ma prawie równoległe granice (od wyspy

Fernando Poo przez Afrykę Środkową, Madagaskar, Indie Południowe, Cejlon, Południową Azję oraz Indonezję, aż do Filipin), kazał Sclaterowi wysunąć hipotezę tyczącą zatopionego kontynentu, który ciągnął się od wschodnich wybrzeży Afryki do Wysp Sundajskich między Sumatrą a Jawą, i którego brak rysuje dzisiaj wielką szczerbę w pasie wegetacji małpiatek. Kontynent ten zwano Lemurią — Krainą Zjaw. Istniał 50-60 milionów lat temu i został pochłonięty przez fale oceanu Indyjskiego na skutek nieznanego kataklizmu, jak Atlantyda. Dla mnie i dla wuja Arnolda był zagadką ciekawszą niż Atlantyda, gdyż cywilizacja małpiatek stanowiła formację dużo wcześniejszą od Atlantydów.

Hipotezę Sclatera próbowano rozbroić, wskazując kopalne szczątki lemurów w Ameryce Północnej i w Europie, lecz te archeologiczne rewelacje dowodziły według nas tylko tego, że mieszkańcy Lemurii przedsięwzięli dalekie łupieżcze rejsy. Dniem ukryci w głębinach puszczy, nocami atakowali śpiących, podchodząc bezszelestnie ku ich siedzibom, mordując i gwałcąc. Kto wie, jakie plemię wydały zgwałcone samice?

Tytus zabił się sam, biorąc do pyszczka flet mandragoro wy. Dmuchał weń, a że przednimi łapkami uruchomił ostatnie dziurki fletu, wydobył z instrumentu dźwięk najdalszego przeniesienia, który być może nie zabiłby człowieka, lecz ciało małpiatki zostało rozerwane. Pękły jej skronie i płuca, a pyszczkiem trysnęła krew, której ślady flet nosi wciąż. Wuj Arnold znalazł Tytusa leżącego bez życia na podłodze, by później wypchać i umieścić na ścianie, jak myśliwskie trofeum.

Nocami wielkie, sztuczne ślepie lemura, z kryształu weneckiego (który produkują rzemieślnicy wyspy Murano, mistrzowie szklanego wtajemniczenia), świeciły niby latarki, rzucając dwa promienie na przeciwległą ścianę, i odbite od szyb XVIII-wiecznej komody rozjaśniały wnętrze, które dzięki temu zyskiwało upiorny charakter. Wydawało się wtedy, że Tytus żyje, gdyż identycznie świeciły jego prawdziwe ślepie, kiedy czekał skulony w jakimś kącie antykwariatu i obserwował nocną ciszę, by raptownie skoczyć na przebiegającą mysz i zeżreć ją.

Te ślepie i wielkie odstające uszy, pokracczna figura, niesamowite krzyki i tajemnicze zwyczaje — wszystko to sprawiało, że dla tubylców azjatyckich i afrykańskich małpiatka była demonicznym zwierzem — świętym, niedotykalnym, obwarowanym tysiącami zabobonów. Dzicy ludzie notorycznie przeszkadzali uczonym nie tylko chwycić małpiatki (do dzisiaj to czynią), lecz i obserwować. Pragnęli tym zdobyć wdzięczność tajemniczych istot, którym strach było narazić się.

Taki sam lęk nie był obcy wielkim cywilizacjom. Starożytni Rzymianie uważali małpiatki za duchy zmarłych, błędzące nocą i nie mogące znaleźć spokoju. Dlatego przewano je lemurami, czyli zjawami nie z tego świata.

W Rzymie Lemuria — ponure święto tych złych duchów włóczących się od nadejścia ciemności do brzasku — przypadało 9, 11 i 13 maja. Wtedy lemury miały gigantyczną moc, a wystraszeni ludzie kiepskie humory, więc zamykali świątynie, barykadowali drzwi i okna domostw, starali się nie opuszczać mieszkań, zwłaszcza po zmierzchu. Pierwszego dnia Lemurii ojciec rodziny ciskał za siebie tyle ziaren bobu, ilu było domowników, żeby uchronić swoje gniazdo i swoich bliskich od prześladowań ze strony perfidnych demonów. Majowe noce Lemurii związane były z różnymi, wzbranianymi prawem, magicznymi obrzędami, które budziły grozę szarego obywatela. Czarownicy rwali wtedy sekretne zioła, liście i korzenie, którym taka noc dawała straszliwą siłę, a w odludnych sabatniach spotykali się nekromanci, by wywoływać duchy i pytać je o przyszłość. Nasłuchałem się tyle, że moja wyobraźnia nie żądała już mizernych podniet, które chłopcy czerpią z lektur Dumasa, Coopera i Londona.

Nostalgicznie wspominam niedzisiejszy świat wuja Arnolda. Wyniosłem stamtąd więcej nauk niż ze studiów, i ów czarodziejski flet, który zagrał decydujące tony melodii mojego życia. Kłótnie wuja i księdza Gaspara były dla mnie czymś na kształt koncertów orkiestry pokłóconej z dyrygentem w sposób tak perfidnie genialny, że efekty dźwiękowe deklasują rezultat działania harmonijnego. Słuchałem ich przepelniony rozkoszą, kibicując wymianom ciosów. Ciosy serwowane błyskotliwą inteligencją wuja Arnolda okazywały się zawsze bardziej skutecznymi. Tak mi się przynajmniej zdawało, i nie psuł mi humoru fakt, że wuj Arnold ciągle zmieniał pozycje, włączając na te, które chwilę wcześniej ostrzeliwał artylerią ciężkiego kalibru. Był klinicznym cynikiem, nie istniały dla niego świętości.



Johann Heinrich Füssli — „KOSZMAR”

Nie był antymonarchistą, lecz kiedy ukarano mnie w szkole „za obrazę *Majestatu*”, wściekł się i całą swą złość wylał na księdza Gaspara, bo ten celebrował msze „zazdrowie *Majestatu*”:

— Wiesz co, klecho, odkryłem, że Monarchia i Kościół nie różnią się prawie wcale, rosną bowiem na tej samej glebie, którą jest rytuał. W pierwszym przypadku jest to etykieta, w drugim zaś liturgia, która też jest etykieta. Prawda?

— Nieprawda — odparł ksiądz chłodno. — *Reductio ad absurdum*. Ale

proszę bredzić dalej. Co ma wynikać z tego równania?

— Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, proszę podpory Majestatu i Kościoła! Sztywny gorset etykiety może udusić człowieka dworskiego. Król Hiszpanii Filip III zmarł od przegrzania, bo podczas audiencji siedział zbyt blisko piecyka pełnego rozżarzonych węglów. Etykieta nie zezwalała jemu się skarżyć, a dworakom, którzy to widzieli, przesunąć piec, gdyż byłoby to karygodne uzurpowanie sobie obowiązków wielkiego szambelana. Filipek zemdłał i wkrótce ducha wyzionął. Albo Maria Ludwika Orleańska, żona Karola II, której konterfekcik wisi tam, pod tym tureckim buńczukiem. Spadła z rumaka na dziedzińcu zamkowym i wierzchowiec włókł ją jak wór prosa, a każdy bał się nieść pomoc, bo etykieta zabraniała dotykać królowej! W końcu odważyło się dwóch szlachciców. Wstrzymali rumaka, unieśli damę i natychmiast czmychnęli, gdyż inaczej zdjęto by im głowy.

— Co pan chce mi przez to powiedzieć? — spytał ojciec Gaspar, robiąc ruch wieżą.

— To, że kiedy nasz Maurycy fiknie kozła, nie radzę ojcu pędzić na pomoc, bo może się zdarzyć, iż nie będzie gdzie zwać. Szach królowi!

— Drogi przyjacielu! — westchnął ksiądz. — Wszyscy żyjemy w gorsecie etykiety, którą opancerzyły ludzkość cywilizacja, technika, kultura...

— Właśnie mówię, że wszystko to jest, przepraszając za słowo, gównem warte! — utracił mu koniec wywodu wuj Arnold. — Całą naszą cywilizację można potłuc o kant dupy! Jedynie nieskrępowana natura, instynkt plus irracjonalizm, są warte cokolwiek. Nie trzeba tu ingerencji ludzi i wymyślonych przez nich bogów!

— Doprawdy, to już nie tylko głupie, ale wręcz niedowcipne, i wzięwszy wyrazy, jakich pan używasz, niesmaczne! — oburzył się ksiądz Gaspar. — Tak jakby glina sama lepiła z gliny! Natura jest dowodem szczodrośliwości Boga, ale cywilizacja — dowodem Jego geniuszu, albowiem to On tchnął ducha w materię.

— Trele-morele! — parsknął wuj. — Ta cywilizacja, którą stworzyliśmy, jest dowodem przewagi gołej materii nad duchem, i wszystko! Jesteśmy jak ryby zamknięte w słoiku, dla których słoik to wszechświat, albo jak ostrygi — kochamy produkowane przez nas perły, lecz tylko to jedno potrafimy produkować i nic więcej! Dokonałiśmy technicznych wynalazków,

Sprowadzenie do absurdu.

które zdumiałyby Leonarda i zrobiłyby go naszym uczniem, ale w świecie pozazmysłowym cóżeśmy odkryli? Własną bezradność i głupotę mającą tysiąc twarzy. Coraz głębiej uciekamy ku racjonalizmowi cywilizacyjnemu, który jest ślepym tunelem i brudnym korytem!... Wierz mi, klecho, że niczego tak nie nienawidzę, jak głupoty, która potrafi wszystko zasmrodzić, ale też niczym tak nie gardzę, jak rozumem, który potrafi wszystko tłumaczyć i usprawiedliwiać,

wszystko, co istnieje w świecie rygorystycznej chronologii rzeczy i faktów, w tym chlewie mieszanym językiem, nosem, uchem, okiem, palcami i penisem — lecz dalej jest bezradny! Pierwsi druidzi i szamani plemienni pojmowali więcej niż laureaci nagrody Nobla! Teraz Kościół robi ten sam błąd — stara się wszystko, co tyczy Boga, wyjaśnić kategorią racjonalną, dopasować do rozwoju nauki, wiedzy o życiu, biologii, ewolucji, elektroniki, astrofizyki — stara się być nowoczesny, iść z tak zwanym duchem czasu. Po co?! Zrobiłby lepiej zaciemniając ścieżki Boga! Nie ma nic piękniejszego i bardziej urzekającego serce, jak rzeczy irracjonalne, skryte, zamglone. Śpiew natury dlatego jest zniewalający, że jest poezją tajemniczą! Mówię o metafizyce, proszę księdza!

— Omne ignotum pro magnifico — replikował ksiądz Gaspar.

— Ale bardziej ludzkie jest to, co jasne i zrozumiałe.

— Taaak? Wobec tego natura jest nieludzka! I to stanowi jej słuszny powód, aby być z siebie dumną!

Jako obrońca natury wuj Arnold wytrwał do momentu, kiedy zaczął bronić natury ksiądz Gaspar. Któregoś dnia wuj przywitał go pytaniem:

— Czy to prawda, że ksiądz zaangażował się w walkę dla ochrony środowiska naturalnego?

— Prawda. Wspomagamy ekologów. Jest to szlachetny cel...

— Powiedzmy, że jedyny, o który można walczyć w tym kraju, nie ryzykując głową. Z kim teraz ksiądz walczy?

— Z fabryką papieru, która zatrąła jezioro i zakłóciła naturalną równowagę całej kotliny.

— Aha. Pragnie ksiądz podcierać się listowiem? Odbędzie się to nie bez krzywdy dla flory, więc może się zdarzyć, że klecha z innej parafii wsadzi księdza do pierdła za dewastację środowiska!

— Pan jest niepoprawny, przyjacielu...

— Oczywiście, wciąż nie cierpię głupoty. Niech ksiądz słucha. Po pierwsze — nie ma w przyrodzie n a t u r a l n e j r ó w n o w a g i ustalonej dożywno. Sam człowiek zawdzięcza swe istnienie zmianom

— Wszystko, co nieznanne (wydaje się) wspaniałe.

przyrodniczym i wyginięciu dinozaurów. Po drugie — przyroda to własność człowieka. Naszym prawem i obowiązkiem jest kształtować ją. Trzymać ją w ryzach, za pysk. Ekologowie pragnący tę władzę ograniczyć są ekomaniakami, nieszczęsnymi wnukami panów Rousseau, Levi-Straussa i innych. Źle jest żyć w smrodzie spalin siedemdziesiąt lat, podlewając te lata wodą mineralną z butelki, a jakże słodko umierać około trzydziestki w dziewiczej puszczy nad nieskażonym strumykiem, co?... Oto dlaczego Voltaire zapraszał Rousseau do jedzenia trawy w Ferney, pisząc: „*Kiedy czytam pańskie teksty, mam chętkę lazić na czworakach*”. Bailly, rewolucjonista roku 1789, wołał: „*Na łonie przyrody wolny*”

człowiek będzie żył tysiąc lat! Choroby wytwarza cywilizowane społeczeństwo. Konieczna jest rewolucja, która zwróci ludziom złoty wiek!”. Zaraz potem gruchnęła rewolucja. Nikomu nie zwróciła złotego wieku, tylko skróciła Bailly’ego o głowę. Życzę księdzu powodzenia.

Taki był wuj Arnold. Jego fenomenalna erudycja zezwalała mu być anty wobec wszystkiego, czasami bez sensu, ale zawsze z tą samą błyskotliwością, która przytłaczała ojca Gaspara, mnie natomiast uczyła, fascynowała, rozbudzała moją inteligencję. Ksiądz nieodmiennie przegrywał te potyczki, i prawem rewanżu twierdził, że tylko co do jednej rzeczy ma pewność: co do kotła w piekle dla wuja Arnolda. Ten, odpowiadając, cytował z uśmiechem słowa Einsteina:

— „*Bóg jest wyrafinowany, ale nie złośliwy*”.

I uzupełniał cytą konstatacją własną:

— Daruje mi, to Jego zawód.

— W tym nadzieja — mruzczał udobruchany Ojciec Gaspar. —

Miłosierdzie Boskie jest nieskończone.

Lecz to pojednawcze stwierdzenie chybiało celu, gdyż wuj momentalnie przystępował do kolejnego szturmu:

— Zdecyduj się, księżę, albo jest piekło, albo miłosierdzie Boskie jest nieskończone, tylko nie mów mi, że obie te rzeczy są razem, bo to ubliża mojej inteligencji!

— Nie, to ubliża twojej logice, którą nie wiadomo czemu mienisz inteligencją, zaś logika ziemską ma się do spraw niebiańskich kiej pięść do nosa!

— I kto to mówił, kto mi tu kukał jak kukułka, że wszystko winno być „*jasne i zrozumiałe*”!

— Biedny barbarzyńco...

Znowu o mało się nie pobili.

Aż któregoś dnia ksiądz Gaspar przyprowadził do antykwariatu innego księdza, młodego, ubranego w czarną, skórzaną, haftowaną ćwiekami kurtkę rockersów. Ten młody ksiądz jeździł motocyklem po dzielnicach, gdzie królowała nędza, tropiąc ślady wykolejonych nastolatków, przestępców, prostytutek, fałszywych żebraków i wszelakich mętów, do których nikt nie chciał wyciągnąć przyjaznej dłoni. On ich wspierał. Wuj Arnold próbował zażyć go swoim sposobem:

— Ksiądz robi z religii panaceum przeciwko deprawacji?

— Pomost, tylko pomost ku temu, co kryształowe w człowieku, a przytłumione złem, i co winno się obudzić, zbuntować i wyzwolić — rzekł młodzieniec.

— Bzdura! — prychnął wuj Arnold. — Religia stanowi pomost ku brzegom zupełnie innym, nie do buntu, lecz do zgiętego karku. Irytujące jest to wieczne zaabsorbowanie Kościoła problemami tamtego świata, bo równa się ono

lekceważeniu, tudzież usprawiedliwianiu, bagna panującego na Ziemi. Ksiądz walcząc o ziemskie losy biedaków staje się heretykiem, rebeliantem! Ksiądz traci czas, bawiąc się w Chrystusika...

— Ja się w Niego nie bawię, proszę pana, ja spotykam Go codziennie tam, gdzie pracuję. Jeśli choć jeden mężczyzna lub jedna kobieta zmieni swoje postępowanie wskutek mojej działalności, to nie zmarnowałem czasu — wyjaśnił łagodnie motocyklista z koloratką. — Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili.

Wówczas stało się coś dziwnego. Wuj Arnold zamilkł i wpatrywał się w tego człowieka wzrokiem, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziałem. Pod dłuższej chwili spytał cicho:

— Proszę księdza, jeśli kiedyś zwariuję i będę chciał się wypowiedzieć, czy mogę zapukać do pana?

Wtedy zrozumiałem, że i dla wuja Arnolda istniały świętości, chociaż nie przestał być sobą i przynajmniej jednym słowem musiał okazać swój dystans.

Wkrótce potem ukończyłem liceum i wuj Arnold wysłał mnie na studia do Paryża. Kilka lat później został zamordowany. Bandyci włamali się nocą przez antykwariat i zatłukli śpiącego w łóżku. Przyjechałem bez zwłoki, pragnąc być uczestnikiem pogrzebu. Ledwo zdążyłem.

Nadchodziła niezdecydowana, błotnista zima. Cmentarz był opustoszały. Znalazłem starą alejkę pełną rodzinnych grobów, których płyty chyliły się ku ziemi, wykruszone i porośnięte grzybnią. Jesienny wiatr hulał wśród ścieżek trupami liści. Prócz mnie i dwóch grabarzy, tudzież księdza z przycmentarnego kościoła, stał tam tylko jeden człowiek. Kiedy zasypano grób, ten mężczyzna szybko odszedł, jakby się spieszył, i chwilę później usłyszałem motocyklowy warkot. Wtedy go sobie przypomniałem.

Wezwano mnie do policyjnego komisariatu, gdzie mi oznajmiono, że rabusie wzięli ze sklepu absolutnie wszystko, i że na podłodze została jedynie „*ta fujarka*”. Był to mandragorowy flet. Musiał wypaść spomiędzy palców małpiatki, kiedy zrywano ją ze ściany, a mordercy nie zauważyli tego.



5

Uspokajam się z wolna. Miasto oddycha rozgrzanyimi płucami lata, w których wirują jeszcze pyłki dawno umarłych wojowników, co przyplłynęli niegdyś do wybrzeży tego kraju pełni żądź i gorączki bitewnej. Zmierzch ucieka ku głębinom nocy, na spotkanie świtu, którego mineralna świeżość trwa krócej niż żywot kilkugodzinnej muszki i spala się pod promieniami słońca, stając suchym pyłem ulic i wiejskich dróg. Korony drzew i dachy domostw prężą się ku niebu niczym odlane z brązu biusty lubieżnych dzikusek, głodne gorących pieszczoł słońca, a później zasypiające wśród marzeń jak wśród kwiatów. Wszystko dookoła zwalnia rytm i przybiera rozmiary nieskończoności, obszaru wyłączonego spod władania człowieka. Nawet strach brzęczy ospale w swojej ciszy.

Gdzieś tam, za tą ciszą, czuwa Saturn.

— Saturn żąda od nas raportu na piśmie! — mówi pułkownik. — Na piśmie, a nie jak zwykle, przez telefon. Rozumiesz, co to znaczy, synu? Ma go wręczyć Saturnowi któryś z nas. Ja nie pójdę. Nie żebym się uważał za zbyt wielkiego do roli listonosza, ale nie chcę gadać z tym zboczonym bękartem, bo ilekroć go widzę, chce mi się pluć! A poza tym to nie ja spieprzyłem operację. Pójdziesz ty.

W jego głosie drży wciąż ten sam, ledwo uchwytny cykor. On to wie, i dlatego kładzie mi rękę na ramieniu.

— Maszynka zacina się, synu, a jest głodna. Źle ją karmimy. Saturn przygląda się i tylko czeka. Wykorzysta każdą szansę, by podjudzić Prezydenta przeciwko nam. Musimy wzmóc tempo. Ale dzisiaj możemy tylko truć wiarygodnie. Idź do niego i powiedz mu, że staramy się jak możemy, że kontrolujemy grę, że trzymamy wszystkie nici, że sytuacja jest już opanowana, pieprz cały czas w tym stylu... I uważaj na każde słowo! Na każde zdanie, które wymówisz w obecności tego skurwiela!

Nie boję się Saturna, kocie, jestem spokojny. Pokaż no, jak tam twój grzbiet... rana się goi koncertowo. Nasmarujemy ją znowu... O tak, teraz wrócisz do swego legowiska... Uważaj, psiakrew!... Drasnął mnie pazurem, niechący, ma pazury ostre niczym brzytwy. To też ci daruję, bydlaku, ale zachowuj ostrożność! Jutro po południu wizytuję Saturna, a ty będziesz pilnował mieszkania i tęsknił. No, czas spać!

Nigdy przedtem nie widziałem rezydencji kapitana Saturna, choćby na zdjęciu. Nie istnieje fotografia tego domu skrytego w gęstwie parku, którą tłamsi cień prezydenckiej góry. Pozornie wszystko jest tam zwyczajne. Zimą jest mroźno i pada dużo śniegu, a latem ziemia dyszy żarem. Lecz cały ów teren znajduje się we władaniu jakiegoś tajemniczego mikroklimatu, niby

doświadczalna wyspa skażona pyłem radioaktywnym, gdzie boją się lądować ptaki i owady.

Saturn to figura legendarna. Pojawił się nie wiadomo skąd, by na drodze swej kariery zostawić w tyle sokoła i prześcignąć jaskółkę. Stanowi jedyny łącznik między wszystkimi komórkami państwa a kancelarią prezydenta (kancelarią kieruje sekretarz prezydenta — Makis). Jest również dowódcą sił zbrojnych, szefem radia, szefem telewizji i komendantem bezpieczeństwa (Bezpieczeństwa Narodowego). O wyszkoleniu i zwyrodnieniu przybocznej straży Saturna, uformowanej z samych Azjatek, mówi się budzące grozę historie (rzekomo są kanibalkami, bo Saturn daje im zjadać swoich wrogów). Formalnie, ze służb specjalnych, podlegają mu tylko wywiad i kontrwywiad, policja zaś jest autonomiczna, lecz w okresie S P I S K U , jak teraz, podlega mu wszystko i wszyscy. Wyjąwszy prezydenta zaczajonego wśród chmur, na wierzchołku góry dźwigającej pałac, i rządzącego przez Makisa, a społeczeństwu rozkazującego przez komendanta Saturna. Do kapitana Saturna mówi się: panie komendancie. Instruowano mnie jak się mówi, żebym nie popełnił grzechu śmiertelnego.

Wartownik obok głównej parkowej bramy zlustrował starannie moją przepustkę i skierował mnie ku bocznej alejce, flankowanej dwoma rzędami wiązów. Pięćdziesiąt kroków dalej ujrzałem drugą wartownię, za którą aleja skręca pod kątem prostym. Od zakrętu widać już, w dalekiej perspektywie, czerwone dachówki jednopiętrowej, rozległej rezydencji. Idzie się tam kilka minut. Po prawej i lewej ręce wielkie hale ośrodka dyspozycyjnego. Słychać stukot maszyn liczących i sygnały radiowe. Stąd rozkazy prezydenta, które wcześniej trafiły do Saturna, a tutaj zostały przekazane telefonem, faksem lub komputerem, rozchodzą się po całym kraju. Jest to gigantyczna klawiatura, na której Wielki Sternik gra w sposób zdalnie kierowany.

Biały parkan, spięty jak klamrą ciemnym okiem furtki, zagrada mi drogę do rzadkiego sosnowego lasu. Przez sztachety widać ściany budynku. Pod słupkami furtki dwie bajecznie piękne dziewczyny na wiklinowych fotelach. Jedna ma seksualne, migdałowe źrenice, druga szkarłatną plamkę między oczami czarnymi jak noc. Ich półnagie ciała, kryte kostiumami niewiele mniej skąpych niż bikini plażowe, lśnią blaskiem polerowanego brązu. Obie uśmiechają się najczarowniejszymi uśmiechami Wschodu, i wskazują mi drogę miękkimi gestami rąk, z taką dozą naturalnego wdzięku i słodczy, jakiej białoskóra kobieta nie wyćwiczyłaby przez całe swoje życie. Zdaje się, iż dwie cudowne figurki, heban i słoniowa kość, ożyły na wystawie sklepu wuja Arnolda i zafalowały delikatnymi ramionkami, by rozkołysać krew stojących przed szybą starców.

Każda z nich potrafi jednym ruchem ręki przeciąć rdzeń kręgosłupa,

pogruchotać skroń lub wydrzeć z nad paska spodni trzewia ofiary, a brylantowe pierścienie pełnią wówczas rolę kastetów.

Ścieżka między klombami prowadzi do małego placyku przed rezydencją. Granitowa fontanna igra sama ze sobą. Za nią schody na wysoki taras białego budynku, który przypomina hawajski bungalow, brakuje tylko palm i dźwięków ukulele.

Krok od schodów witają mnie dwie kopie tamtych dziewczyn, ramionami skrzyżowanymi pod biustem i ukłonami, których gracji nie sposób zrelacjonować. Ich widok zamieniłby w wyuzdany lupanar myśli każdego mnicha, lecz ja wiem, że to jedynie kamienne bożki o sercach krabów, i nie przenika mnie żaden dreszcz. Nim dotrę do najwyższego stopnia, palce ich rąk prześlizną się po moim ciele między butami a kołnierzem kurtki, by wyłuskać służbowy pistolet z wprawą kieszonkowców. Gdybym spał, już bym się nie obudził. Lecz nie odważyłbym się zasnąć przy którejs.

Pojawia się kapitan Saturn. W wiśniowym szlafroku, szczupły, z wąską twarzą, nieproporcjonalnie szerokimi ramionami i krótką, sterczącą czupryną „najeża”. Ściska mi dłoń i prowadzi do salonu udrapowanego niezbyt ciężkim Biedermeierem. Powyżej biurka replika „Śmierci Sardanapala”. W ciemnobrązowych ramach nad kanapą sztych pełen ryb i malowidło, gdzie widać mały nie znanego mi gatunku. Saturn wskazuje gościowi fotel, sam woli kanapę. Lustro mam za sobą, więc nie jestem pewien, czy przybrałem odpowiednią minę — czy moje oczy wyrażają odpowiednią dozę szacunku. Szum wentylatora łagodzi moją treść. Saturn świdruje mi twarz. Usta lekko krzywi grymasem półuśmiechu trochę denerwującego.

Na tarasie, za rozwartymi szeroko drzwiami okiennymi, kilka śniadoskórych dziewcząt bawi się psem lub kotem. Ciepło, zbliża się pora zmierzchu. Niebo jeszcze tego nie zdradza, ale powietrze ma już inną woń. Świat wokół objawia kłamliwą urodę bajkowego skarbcza. Saturn przestaje się uśmiechać i mówi:

— Dawno już chciałem poznać pana, poruczniku.

— To dla mnie zaszczyt, panie komendancie — odpowiadam, ale nie słyszę swego głosu, nie wiem, czy brzmi odpowiednio.

— Miałem już przyjemność poznać pańskiego brata, bardzo interesujący funkcjonariusz. Godzinę temu dzwoniłem do niego i zaplanowaliśmy ciekawy koncert. Ścisłej mówiąc, jest to projekt pańskiego brata, który ja popieram. Bardzo interesujący funkcjonariusz...

— Koncert?

— Koncert. Szczegóły opowie panu brat.

— Czy to ma związek...

— Ma to ścisły związek ze sprawą. Będzie to próba naprawienia błędów,

jakie robicie cały czas.

— Właśnie chciałem wyjaśnić, panie komendancie...

— Niczego nie musi mi pan wyjaśniać, wiem wszystko. Jestem od tego, by wiedzieć wszystko. Gdy już goszczę pana w moim domu, wolę wykorzystać ten czas dla poznania pana. Słyszałem o panu wiele ciekawych rzeczy, a pański błąd nie skreśla jeszcze pańskiej szansy na piękną karierę. Ocena akcji, którą pan dowodził, jest negatywna, ale... sformułujmy to tak: wyciągnięcie konsekwencji uległo zawieszeniu. Chwilowo nie myślmy więc o tym, rozmawiajmy o innych sprawach. Czy pan... czy pan jest nawiedzony, poruczniku?

Zatkało mnie. Patrzy przymrużonymi ślepiami do wnętrza mojej głowy. Ma bardzo wymowną twarz, i jest w tym pysku, pysku komedianta, który ludzi ujarzmia albo uwodzi, coś tak odrażającego, że gdybym był kobietą, mógłbym się zakochać. Irytuje mnie ta myśl, a kiedy spostrzegam, że jego gały wiedzą o czym myślę, bierze mnie złość. Przez ten wentyl gniewu znika moje skrepowanie.

Saturn czeka na odpowiedź, bawiąc się długą, wspaniale niezrozumiałą szpilą, z uśmiechem tak nieokreślonym jak uśmiech złotego Buddy w miniaturze pagody Shewedagon, wieńczącej górny gzymś zatłoczonej szafy antykwariatu. Czuję złośliwą chęć, by moja riposta była dlań równie niezrozumiała, co dla mnie ów srebrny kolec, którym jego palce tak biegle żonglują.

— Nie, nie jestem nawiedzony, panie komendancie. Ale odnajduję się bardziej w drugim świecie Poppera niż w pierwszym czy nawet w trzecim. Nie oznacza to, że staram się wytworzyć dychotomię między ciałem a umysłem, między rejonami materialnymi a spekulacyjnymi. Są one dla mnie przestrzenią elastyczną, usiłuję wędrować na zewnątrz nich lub też wciskać się w strefę między nimi.

— Jak?

Ślicznie tym pytaniem wyszedł ze zbarania. Nie poddaje się. Lecz ile razy może udać, że rozumie? Czeką, więc odpowiadam szybko:

— Na przykład za pomocą halucynacji.

— Proszę jaśniej, poruczniku!

— Jaśniej? — pytam z głupia frant. — Nie wiem, co konkretnie...

Znowu zmrużył oczy, i nim wygarnął, już wiedziałem, że przegram. Wstał, zbliżył się do mnie, oparł ręce na ramionach fotela i pochylony, z twarzą przy mojej twarzy, szepnął:

— Chłopczyku, nie szukaj we mnie idioty. Mów prostym słowem, bo mówisz do dyletanta. Ja nie znam tych rzeczy, tak jak ty nie znasz moich sposobów karania za bezczelność. Między nami jest relacja dupy i kija, ale to nie ja jestem dupą, poruczniku.

Wyprostował się, zapalił papierosa i wrócił na swoje miejsce, biorąc z komody jakieś puzderko do strzepywania popiołu.

— Słucham pana, poruczniku. O co tu chodzi i tym Pep... z tym...

— Popperem.

— Właśnie.

— Jak panu wiadomo, panie komendancie, w teorii filozoficznej Austriaka Karla...

— Już mówiłem, że mi nie jest wiadomo! Zechce pan zaniechać podlizywania się, to bezcelowe. No więc?

Przywrócił właściwe proporcje w sposób, wobec którego nie mogę nie czuć szacunku. Schnie mi gardło, chrząkam jak zawstydzony uczeń. Tłumaczę:

— Według koncepcji filozoficznej Karla Poppera wszystkie zjawiska dzielą się na trzy kategorie, trzy grupy: fizyczną, psychiczną i kulturową. Świat pierwszy to świat przedmiotów, materii, ciał i stanów ciał, od cząsteczki elementarnej do Kosmosu. Świat trzeci, który Popper nazywa światem wiedzy obiektywnej, kumuluje wszystkie przejawy twórczej działalności człowieka, utrwalone za pomocą struktur świata pierwszego, czyli nut, długopisów, farb i tak dalej. Mnie interesuje przede wszystkim świat drugi, do którego należą percepcja, wiedza subiektywna, inteligencja, wyobraźnia, postrzeganie surrealne, zamysłowe...

— Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego ten świat interesuje pana najbardziej? Studiował pan historię, a nie psychologię.

— Bo jest absolutnie subiektywny, najbardziej indywidualny i niepowtarzalny, a wciąż jest tylko w drobnym procencie poznany i ujawniony. Są tam nieodkryte lądy, o których nawet nie śnimy. Próbuje czasami docierać do nich przez stany halucynacyjne czy... sam nie wiem, malignalne, lecz to nie zawsze się udaje i jest rujnujące dla zdrowia.

— Słusznie, nawet pan nie przypuszcza jak bardzo rujnujące dla organizmu mogą być marzenia o innych światach. Ci, których złapaliście wewnątrz klasztoru, rozumieją tę prawdę już wkrótce, kiedy zmusimy ich do udziału w naszym concerto grosso. Mówię to, poruczniku, bo moim zdaniem bunt wewnętrzny jest również rebelią. Czy pan mnie rozumie?

— Tak, panie komendancie.

— Ale pan nie jest buntownikiem?

— Nie jestem, panie komendancie.

— Byłem tego prawie pewny. Cieszy mnie, że nie jest pan buntownikiem. Wiążemy z panem duże nadzieje, poruczniku. Wracając do tematu — to bardzo

ciekawe, co pan mówił. W jaki sposób osiąga pan swoje halucynacje?

Bawi się ze mną jak kot z myszką. Raz pochwała, raz groźba, raz do góry, raz do dołu. Jeśli wyznam mu prawdę, będzie mógł zarekwirować mi mój skarb mandragorowy lub każe mi grać przy użyciu wszystkich otworów... Chyba już rozumiem, co mu łązi po tych sprytnych zwojach...

— Robię to, biorąc nieduże dawki narkotyków, panie komendancie.

Uwierzył? A może słyszał, że mam flet? Nie — jest wyraźnie rozczarowany:

— Więc to są zwykłe narkotyczne oszołomienia, poruczniku? Każdy ćpun robi to samo! A ja myślałem...

Myślał, że zdobędzie przybocznego jasnowidza, który mu odczyta myśli każdego z poddanych prezydenta. Teraz w nim rodzi się złość.

— To bardzo interesujące, co pan mówi, poruczniku, bardzo interesujące. Nie wiedziałem, że oficerowie policji się narkotyzują!

— Nie narkotyzuję się, panie komendancie, używam dawek leczniczych. Zresztą coraz rzadziej... od czasu do czasu...

Zabrnąłem, ten drań jest przebiegły jak szatan. Pułkownik miał rację: „*Uważaj na każde słowo!*”.

Saturn siedzi i myśli, wyraźnie skonfundowany. Wtem wargi znowu liże mu grymas półuśmiechu.

— Poruczniku, pan wie, że czuję do pana słabość. Proszę się mnie nie bać. Proszę się rozluźnić...

— Jestem zupełnie luźny, panie komendancie. Słucham.

— Chcę się tylko dowiedzieć, czy możliwe jest penetrowanie na odległość mózgów. Ludzkich umysłów. I czy możliwe są inne rzeczy, które kiedyś zwano czarnoksięstwem. Słyszałem, że współczesny akademizm nie kpi już z tych spraw, bo jest w tym coś. Czemu nie wykorzystać tego dla dobra naszej pracy? Czyli dla dobra naszego państwa. I zwłaszcza dla dobra Prezydenta. Co pan na to, poruczniku?

— Ja...

— Słyszałem również, że po swojej matce odziedziczył pan nadprzyrodzone zdolności...

— To bzdura!

— Ale pańska matka była...

— Chciał pan, panie komendancie, powiedzieć: czarownicą?

— Raczej wróżką, jasnowidzącą. Istotą medialną. Udzielała porad i wróżyła.

— Sobie jakoś nie mogła poradzić z życiem i nie przewidziała swego upadku.

— Więc to wszystko nieprawda?... Proszę mi uczciwie wyznać, poruczniku, co jest tu prawdą? Czy istnieją możliwości odkrywania mózgiem rzeczy

tajemnych, i w ogóle możliwości pozazmysłowego wpływu?

Tym razem nie mogę kłamać.

— Tak, panie komendancie, są takie możliwości, zawsze były. Niektórzy ludzie mają wrodzone predyspozycje do widzenia tego, czego inni nie widzą, lub do wykonywania czynności niewykonalnych dla ogółu. Poza tym istnieją pewne systemy mechaniczne, do praktykowania których trzeba tylko posiadać rutynę i trochę refleksu. Stosowała je moja matka.

— Właśnie to mnie interesuje, poruczniku. Co to było?

— Kartomancja, czyli przepowiadanie z kart, astrologia, czyli przepowiadanie z gwiazd, chiromancja, czyli przepowiadanie z rysunku dłoni i z linii papilarnych, wreszcie onejromancja, czyli wróżenie ze snów.

— Sny tak, to mnie nie dziwi, w snach widzi się różne niezwykle rzeczy, które się sprawdzają. Sam tego doznałem. Ale te trzy pozostałe triki...

— Wśród tych trzech pozostałych, panie komendancie, tylko kartomancja jest lipą, na wzór szklanej kuli. Astrologia i chiromancja, które wywodzą się z kabały i należą do sfery jeciryicznej...

— Co, poruczniku?!

— Hebrajska „*kabala*” to nauka przekazywana ustnie czyli tradycją. Jej ostateczna wersja kształtowała się w Średniowieczu, pod wpływem prądów żydowsko-hellenistycznych i neoplatońskiej nauki o emanacji, stając systemem religijnej filozofii mistyków. W kabale Jecira to świat niematerialny, świat substancji myślących, tudzież...

— Tudzież innych cudów! Poruczniku, mistyka i hebrajskie czary-mary, to wszystko nic mnie nie obchodzi! Chcę znać możliwości praktycznych zastosowań, chcę konkretów, czy to jasne?!

— Tak, panie komendancie.

— No więc jak ma się sprawa z tą astrologią? Czy coś sensownego się w tym kryje?

— Tak, panie komendancie. Inna sprawa, że astrologia wciąż ma wiek niemowlęcy, bo uczeni odkryli tylko drobną cząstkę panujących wewnątrz natury sił i stosunków.

— Czy chodzi tu o to, że los każdego człowieka zapisany został wśród gwiazd? Czy tak jest?

— W pewnym sensie. Po prostu przy narodzinach człowieka występuje takie a nie inne niebo. I ten układ planet oraz gwiazd, który panuje wówczas na niebie, zostaje zakodowany jako usposobienie, charakter, pewne skłonności człowieka.

— Gdzie zakodowany?

— Wewnątrz organizmu ludzkiego, wewnątrz komórek.

— Komórek mózgu?

— Nie wiem, chyba mózgu.

— I co dalej?

— Na różne sytuacje astronomiczne, powtarzające się później w takich a nie innych kombinacjach i konfiguracjach, ciało i psychika człowieka reagują takim a nie innym rezonansem, dziś jeszcze niewytłumaczalnym. Zostało to już potwierdzone przez naukę. Dwaj socjologowie brytyjscy, Cooper i Smithers, zbadali życiorysy trzydziestu pięciu tysięcy ludzi i wykazali ścisłą zależność między datami urodzin a profesjami. Ten sam rezultat dały obserwacje francuskiego statystyka Gauquelina, który ćwierć wieku studiował związek między godziną urodzenia a pozycją planet. Uczni ci wykazali więc, że dawni astrologowie nie byli hordą szulerów.

— Bardzo interesujące!... Wróćmy jednak do tematu. Czy widzi pan, poruczniku, możliwość zastosowania wiedzy astrologicznej w służbie państwa?

— Nie... To znaczy nie wiem, nie znam się na tym. Wiem sporo o astrologii jako historiograf, lecz nie jestem astrologiem, panie komendancie.

— Może się pan wyuczyć tego fachu. Z pańską inteligencją, z całą duchową spuścizną po matce, i z już uzyskanymi wiadomościami, szybko stałby się pan wirtuozem, poruczniku.

— To wątpliwa teza, panie komendancie. Dobry krytyk teatralny wie o teatrze wszystko, co nie znaczy, że mógłby zostać dobrym aktorem lub dramaturgiem.

— Bez demagogii, poruczniku!... No, niechże pan wyszuka jakąś praktyczną możliwość! Nic panu nie przychodzi do głowy?

— Nic. Ja jestem historykiem z wykształcenia, panie komendancie, a starożytność pana nie interesuje.

— Interesuje mnie wszystko, winien pan to już zauważyć, poruczniku. Słucham!

— Przypomniałem sobie, że starożytni Egipcjanie rekrutowali żołnierzy wyłącznie wśród mężczyzn urodzonych pod znakiem Lwa i Skorpiona. Takie były rady astrologów.

— Robili to zawsze?

— Zawsze.

— Więc widocznie efekt potwierdzał słusność metody. Co na to współczesna astrologia?

— Nie mam znajomych w środowisku astrologów, panie komendancie. Ale wiem, że Cooper i Smithers dostrzegli, iż większość badanych przez nich oficerów urodziła się latem lub jesienią.

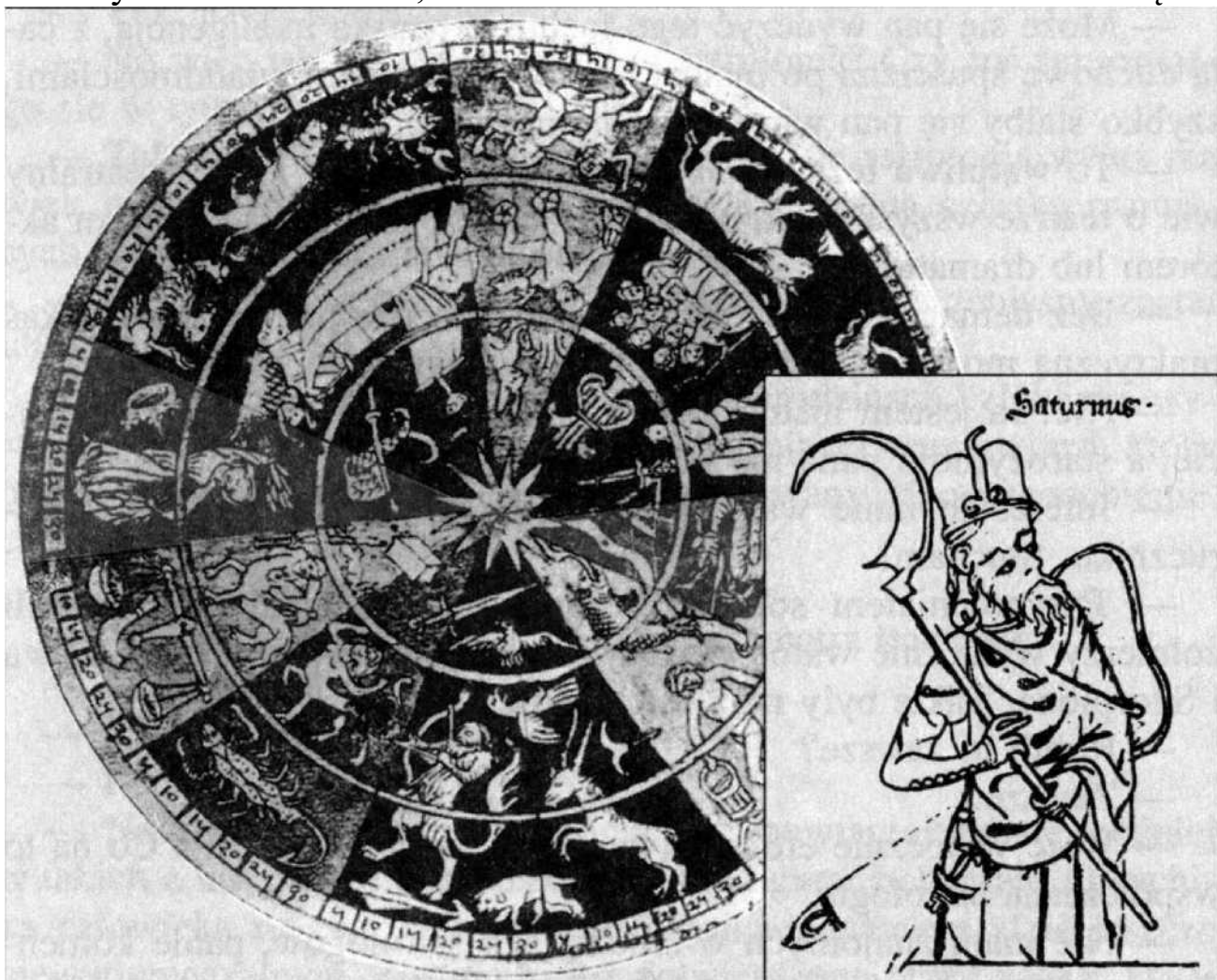
— Pod Lwem i Skorpionem?

— Tak.

— No, wreszcie wyciągnąłem z pana coś praktycznego! Martwi mnie tylko u pana, poruczniku, niedostatek zapалу dla idei, którą rzuciłem. Widzę konieczność większego interesowania się znakami zodiakalnymi, które — jak mi pan tego dowiódł — determinują los człowieka.

— To nieściskość, panie komendancie. Znaki Zodiaku, które zresztą od czasów starożytnych poprzesuwały się względem gwiazdozbiorów, wcale astrologii nie interesują. To tylko symbole. Astrologia dzieli ekliptykę na dwanaście fragmentów, dwanaście stref energetycznych. Ważny jest tu wpływ planet, a nie gwiazd. Jowisz, przykładowo, znany jest fizykom z emitowania radioenergii kolosalnego rzędu. Nie może więc być dla ludzi i dla Ziemi sprawą obojętną, że nadajnik taki znajduje się raz bliżej, a raz dalej od naszej planety.

— To mi przypomina, poruczniku, co czytałem kiedyś o sobie. Nazywam się Saturn, bo urodziłem się pod wpływem Saturna w Zodiaku Skorpiona. Przeczytałem mianowicie, że ludzie zrodzeni w takim układzie winni się



poddać działaniu Jowisza i Zodiaku Wagi, by neutralizować cechy swej saturniańskiej natury. Czy to prawda?

— Nie mam pojęcia, panie komendancie. Jowisz jest planetą dostojników,

zsyła honory, władzę, bogactwo.

— A Saturn?

— Saturn?... Czytałem kilka wersji, panie komendancie, przeczą sobie wzajemnie. Według jednej Saturn to planeta mędrców, myślicieli i samotników, ma wpływ na zdrowie i na pobożność. Według innej to planeta skąpców, melancholików, onanistów, rewolucjonistów...

— Dosyć!!... Wszystko to jest kretynstwem, nie chcę takich bredni słuchać!

Zapala kolejnego papierosa i zaciąga się głęboko. Ale chwilę później na jego posępną twarz znowu wskakuje półuśmiech regulaminowy, niczym wierny, gotów na każde skinienie pies.

— Kawa, poruczniku?

— Dziękuję, panie komendancie.

— Dziękuję tak czy dziękuję nie?

— Tak, z przyjemnością.

Dzwoni swoją srebrną igłą w kryształowy puchar, wydobywając dźwięk o soczystym brzmieniu. Dwie sekundy później wchodzi czekoladowa piękność; ma kusą spódniczkę, goły brzuch i biust, i sznur kłów owinięty kilkakrotnie wokół szyi. Wkłada nam do rąk chryzelefantynowe tacki. Każda tacka dźwiga filiżankę pełną gorącego asfaltu i ciastko. Z tarasu płynie szczebiot jej koleżanek turlających, niby piłkę, jakieś zwierzątko. Przez szparę w niedomkniętych drzwiach do sąsiedniego pokoju sączy się łatwo rozpoznawalna, miła pamięci melodyjka...

— Zostawmy astrologię, poruczniku, weźmy się za chiromancję. Jaka jest wartość tej gry?

— Bardzo duża, panie komendancie. Chociażby daktyloskopijna, w ciągłym zastosowaniu. A także dermatogliczna. Dermatogliczka to nowa gałąź nauki. Stanowi ona instrument pomagający lekarzom rozpoznawać choroby dziedziczne nim wystąpią objawy tych chorób. Genetycy również bardzo się interesują rysunkami dłoni.

— My też winniśmy się zainteresować. Czy rysunek dłoni mówi o jej właścicielu?

— Moja matka twierdziła, że tak.

— Więc niech pan obejrzy mi dłoń i poczyta z niej.

— Nie umiem, panie komendancie.

— Jest pan tego pewien, poruczniku?

— Stuprocentowo. Nigdy chiromantą nie byłem, panie komendancie.

Jakże chciałbym czytać jego łapska! Lecz nie jestem głupi, nie wolno mi się zdradzić wobec króla skurwysynów.

— Przejdźmy do rzeczy najbardziej istotnej. Wierzy pan w jasnowidzenie,

poruczniku?

— Tak. Telegnozja jest fenomenem słabo znanym, ale nauka wie już, iż zachodzą zjawiska tego typu, rejestrowano sporo przypadków jasnowidzenia.

— Czym jest to tłumaczone?

— Istnieje wiele hipotez, panie komendancie, laboratoria dopiero raczkują na tym polu. Pewne jest, że człowiek wykorzystuje ledwie cztery, góra sześć procent swoich możliwości umysłowych. Mózg to fantastyczny Sezam, eksploatowany bardzo kiepsko. Stwierdzono, na przykład, istnienie swego rodzaju plazmy będącej formą bioenergii, którą emanuje człowiek. Może ona przenosić czynniki informacyjne, stąd telepatia. Niektóre media za jej pomocą transportują na odległość ciężkie rzeczy, meble lub głazy, to psychokineza...

— To mnie mało interesuje, poruczniku! Sam przesuwam ludzi i rzeczy na dużą odległość, od granicy do granicy kraju, a także w głąb gruntu, bez użycia mięśni, nie ruszając się z tej kanapy. Robię takie cuda wyłącznie przy użyciu telefonu! Interesuje mnie raczej sekret ludzi, którzy widzą przyszłość.

— Przyszłość to pojęcie względne, panie komendancie, bo czas jest wartością względną. Czas w sensie Newtonowskim, czas Einsteinowski, czas Kozyriewa, będący formą energii. Co jest przyszłością, a co teraźniejszością...

— Proszę przestać filozofować, poruczniku! Wasz czas, pański i pańskiego szefa, jest bardzo prosto określony! Macie go coraz mniej i możecie wydłużyć tylko w jeden sposób — przez jak najszybsze aresztowanie tej baby! Zrozumiano?!...

— Tak, panie komendancie.

— Wracając do rzeczy. Poruczniku, chciałbym wiedzieć, czy znane są przypadki korzystania przez gliniarzy z usług jasnowidzów.

— Słyszałem o takich przypadkach, panie komendancie.

— Proszę mi je zrelacjonować.

— Nie znam szczegółów, panie komendancie. Głośny jasnowidz, Gérard Croiset, wskazał policji japońskiej miejsce ukrycia zwłok zaginionej dziewczyny. Scotland Yard parokrotnie korzystał z usług Nelly Jones, która jest obdarzona wyjątkowym talentem jasnowidzenia. Znalazła im kradzione płótno Vermeera, pomogła rozszyfrować dubeltowe morderstwo...

— Bardzo interesujące! Bardzo, bez dwóch zdań... Przejdę teraz do sedna problemu. Chcę panu dać misję szczególnej wagi. Znajdzie pan dla mnie taką osobę! Jasnowidza lub jasnowidzącą. W nagrodę zapomnę o pana błędzie klasztornym, wystaram się panu o awans i o dużą pieniężną premię. Co pan na to, poruczniku?

— Dziękuję za szczególną łaskawość, panie komendancie, ale zważywszy rangę takiej misji — nie mogę się jej podjąć bez zgody pułkownika.

— Dlaczego?

— Bo to mój przełożony.

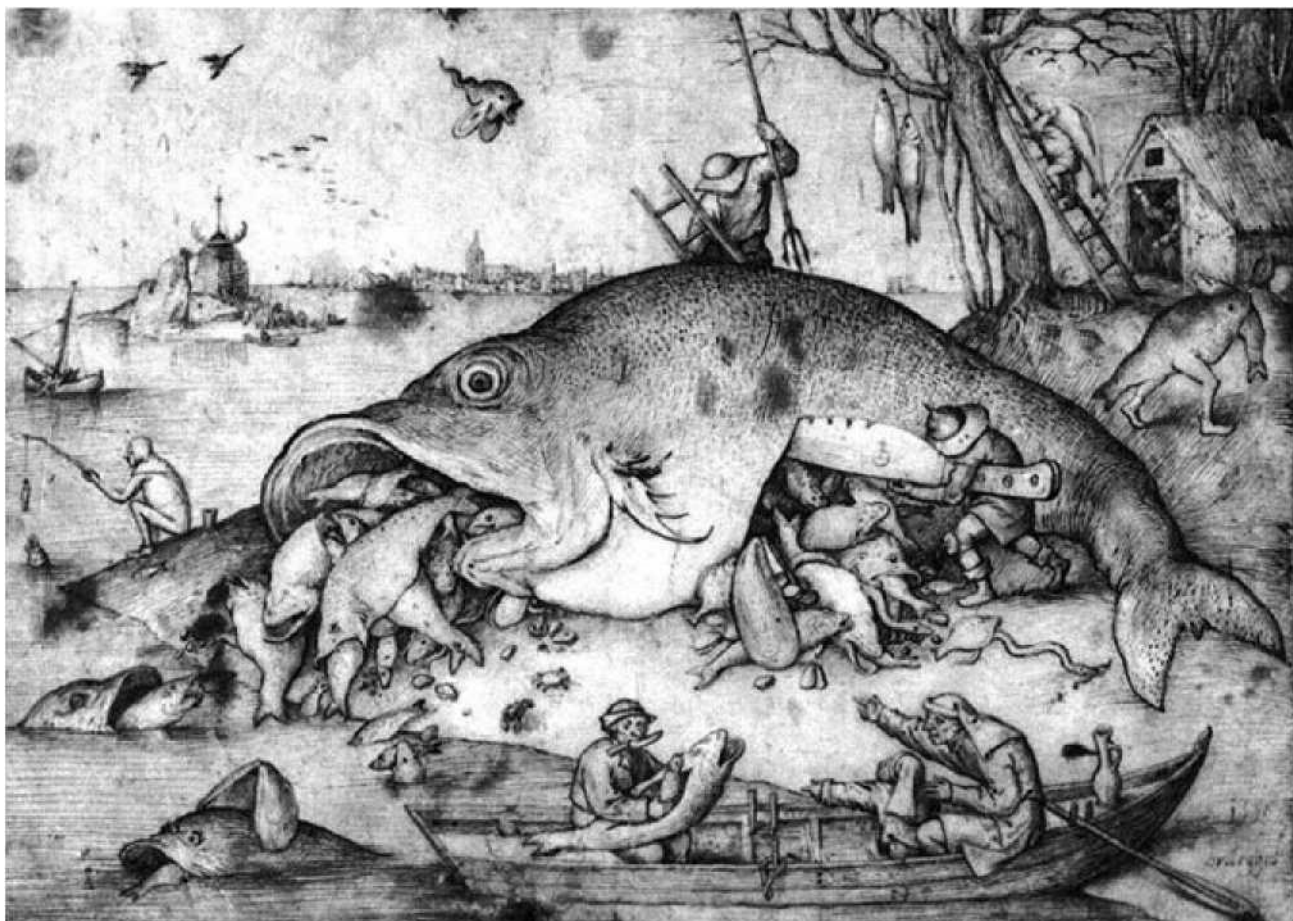
— A mój podwładny!... Lecz dobrze, jeśli pan chce, otrzyma pan ten rozkaz drogą służbową.

Dziewczyny z dalekich krain tańczą na tle drzew w coraz ciemniejszym powietrzu, a u stóp nieba czerwienieje wielka brosza słońca. Od strony parku biegną westchnienia uplecione z ptasich głosów i nad tarasem dosiadają melodii, którą wytwarza egzotyczny instrument. Zwierzątko skuliło się przy murku. Nie mogę malca zidentyfikować.

Czy to prawda, że są kanibalkami? Tak ujmująco wirują w szkarłatnym blasku, i ja tak kocham dziewczyny tańczące, że sprawia mi ból myśl o ludożerstwie tych piękności. Czy to prawda? Może jest to wielka kalumnia, dzieło jakiegoś mózgu będącego wylegarnią plugawych potwarzy, a może w tej kawie było coś, co mnie odurza i nastraja na łagodność? Więc to plotka?

Właściwie nie byłoby to nic dziwnego, ileż razy konsumowano ludzi przez nienawiść albo rytualnie, cały Wschód pęka od takich historii. Gdzieś po dżunglach Afryki i po koralowych wysepkach Oceanii wodzowie smarują się maściami bojowymi z własnych synów utłuczonych w móżdżerku według wzorca, jaki dał angolijski kacyk Temba-Ndamba (XVII wiek). Europa niewiele się różni. Anno Domini 1567 najemnicy genueńscy zżarli wnętrzności schwytanego przywódcy Korsykanów, Sampiera, dla odwetu, bo Sampiero spalił ich towarzyszy żywcem. Albo ów introligator paryski, który gwoli nienawiści do mordercy Henryka IV, Ravaillaca, pozbierał szczątki rozerwanego końmi ciała zamachowca, posiekał je i spożył, usmażywszy wcześniej z jajecznicą.

Na ścianie kusi wzrok grawerowany przez Bruegla szkic Boscha „Wielkie ryby zjadają małe”. Nóż orze cielsko kolosalnej ryby, której brzuch i paszcza wypływają kaskady mniejszych ryb. Te mniejsze trzymają zębami jeszcze



mniejsze. W przybrzeżnej wodzie ryba pożera rybę, która połyka inną rybę. Łańcuch kanibalizmu. Ryby-ptaki fruujące, ryby-ludziki wędrujące, uniwersalne ludzkie inferno przybrało rybią alegorię, cały Bosch, geniusz koszarnej maligny, uskrzydłony bard złowrogich rajów, nieukojonych rozterek świadomości i tragicznych cierpień, dumny trubadur chorobliwych snów, mój kochany pesymista Bosch! Dopiero teraz uświadamiam sobie zupełnie jego obecność tutaj i fakt, że nie może to być przypadek. Zaczynam rozumieć, po co ów sztych wisi w tym wnętrzu, nad głową tego człowieka, ale byłaby to prawda, że oberstrażnik reżimu jest filozofem-prześmiewcą?

Trochę dalej „Dwie małpy” Bruegla. Przykute łańcuchami do strzelnicy, za którą widać kawałek świata, prawie płaczące na tle zatoki pełnej statków wolnych jak wicher — dwie niewolnice bólu. Przejmujący jest refren tej metafory. Tego zwierciadła, które sprawia, że każdy, kto umie dostrzec tu siebie, zostanie wyruchany tą odrobiną smutku, co razem z masą wściekłości tworzy strukturę klęski człowieka.

— Dlaczego wybrał pan te dwa obrazy, panie komendancie?

Spogląda na mnie zdziwiony jak muzyk, którego zawiódł instrument, lecz błyskawicznie uświadamia sobie, że ja wiem, i że tylko czekam, aby mi to potwierdził.

— Te dwa obrazy to moje okulary, przez które lepiej widzę nie ruszając się

z domu, i dzięki którym pamiętam wszystko, co trzeba pamiętać. Ja nie żyję w Popperowskim drugim świecie, tylko w pierwszym, który rządzi się prawami obiektywnymi, a każde z nich jest nieubłagane. Gdybym zapomniał o tym choćby na chwilę, nie przeżyłbym tej chwili, i już dawno odtńczylibyście triumfalną sarabandę wokół mojego truchła. Ludzie to tresowane małpy, a małpowanie to główny małpi odruch. Rzecz w tym, by należeć do treserów, którzy budują wzorce, albo do strażników, którzy pilnują precyzji małpowania. I to cała filozofia rządzenia. Uprawiając dalej tę zoologię, przyjmijmy, że małpy to ryby roślinożerne, zaś treserzy i strażnicy to rekiny. Rzecz więc w tym, by się tuczyć jako duża ryba — ta filozofia, z kolei, jest filozofią utrzymywania się przy władzy. Bosch wykonał tylko fotografię owego procesu.

— Niewątpliwie, panie komendancie. Ale na tym zdjęciu nóż kroi rybę największą.

— Ten nóż to spisek, poruczniku! Waszym zadaniem jest złamać klingę noża, albo, przysięgam panu, ostrze ugodzi was samych! Czy zostałem dobrze zrozumiany, poruczniku?!...

— Tak, panie komendancie.



Bruegel Starszy *Małpy*

Milczymy. Za oknem czekoladowe dziewczęta znowu bawią się zwierzątkiem. Półśmiech lamy wraca na twarz kapitana Saturna i gasną wolno moje przekłete drętwienia karku. Widzę, że pragnie coś wygłosić, zaraz wygłosi coś parszywie sympatycznego.

— Bardzo miło się z panem rozmawia, poruczniku. Rzadko rozmawiam z mężczyznami. Nie mam wcale przyjaciół wśród mężczyzn, jedynie z kobietami utrzymuję stosunki przyjacielskie. Kobiety są inteligentniejsze, bardziej spostrzegawcze. Lepiej przenikają każdy niuans gry. Są wrażliwsze i nie znają tylu wahań. We wszystko wkładają wszystko, całą swoją istotę. I wtedy, kiedy dają swoje ciało, i wtedy, kiedy torturują cudze ciała. Mowa o Azjatkach, wyłącznie o Azjatkach, poruczniku. Pana to dziwi?... Czy pan zauważył, poruczniku, jak odrażające są nasze kobiety, te mączne Aryjki z piegami i z czerwonymi plamami na skórze? Rozebrane ubliżają estetyce i wymogom dobrego smaku, podczas gdy Azjatka jest najpiękniej ubrana, kiedy jest zupełnie goła. Wiem, co pan teraz myśli. To nonsens. Posądzają mnie o erotomaństwo, ale

to brednia. Erotyzm jest jak góra, człowiek wspina się na nią i wspina, i w pewnym momencie spada, gruchocząc sobie głowę i dupę. Nigdy nie chciałem wiedzieć co jest po drugiej stronie góry.... Owszem, żyję z nimi. Ktoś musi to robić, inaczej powariowałyby tu. Zresztą każdy ma swoje dziwactwa. Pan gustuje w tancerkach, wiem o tym, mówiłem już panu, że wiem wszystko. Ja gustuję w Azjatkach, bo są tak samo gorące do pieprzenia, jak zimne do zabijania. Lecz to nie jest mój harem, poruczniku, to jest przede wszystkim specjalne komando, które pilnuje góry Prezydenta, i które nie pękło jeszcze nigdy!

— Nigdy jeszcze nie miało okazji pęknąć...

— Tak, tylko że to ich zasługa. Moje małpki budzą strach, który paraliżuje alpinistów. Nikt nie lubi być żywcem zjadany. Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!...

Dziewczęta na tarasie kamienieją przez chwilę, słysząc ten chichot. Ciarki musnęły mi grzbiet i wpełzły w oparcie fotela.

— Widząc moje stadko, piranie pańskiego braciszka uciekałyby pełne popłochu, może mi pan wierzyć.

— Czy mogę spytać...

— Ależ tak, proszę pytać o wszystko, poruczniku, to jedyna okazja. W ciągu następnych dziesięciu lat z nikim nie będę tak szczery.

— Gdzie pan je werbował, panie komendancie?

— Bombaj, Hongkong, Bangkok, Singapur i Dżakarta. Wszystkie były prostytutkami lub kandydatkami do tej profesji, których rodziny nie zdążyły sprzedać, gdyż burdele są tam przepełnione. Słyszał pan o klatkach z dziewczętami na targowisku żywego towaru? Albo o kobietach, których jedynym szczęściem jest miska ryżu za piętnaście godzin wylizywania marynarzom? Głód to największy uwodziciel, poruczniku, może edukować do wszystkiego, nawet do kanibalizmu, tak!... Zbierałem je dwa lata, biorąc tylko te, które chciały walczyć. Dałem im belfrów karateków, nauczyłem je po snajpersku strzelać, miotać nożami, dusić i torturować — nauczyłem je wszystkiego za wyjątkiem okrucieństwa, bo tego same mogłyby uczyć innych, również pańskiego brata. Są mi wierne ślepo. Nie znają tu nikogo, a przez wszystkich znienawidzone, nienawidzą wszystkich. Jedzą mi z ręki, i to jest supergwarancja, bo tylko jednej rzeczy się boją — głodu. Kiedy przyjdzie dzień mojej śmierci, wybudują wielki stos, mnie ułożą na szczycie, podpalą i leżąc wokoło, same poderzną sobie gardła, nie czekając przybycia waszych bagnetów.



Eugène Delacroix — „ŚMIERĆ SARDANAPALA”, szkic

Wstaje, idzie do biurka i zapala lampę. Później wodzi końcem szpili po orgiastycznym splocie ciał i kolorów Delacroix, po niewolnicach szlachtowanych przez sługi asyryjskiego króla i ciskanych na stos. Ma wniebowzięte ślepia i rozdęte nozdrza, jakby wdychał opary tej rzezi. Staję blisko niego i razem hołdujemy szkic „Śmierci Sardanapala”. Cóż za replika! Nie... to chyba kopia...

— Genialna kopia, panie komendancie! Kiedy zrobiona?

— Kopia?... U mnie nie ma kopii. Kopię namalowano rok temu, wydałem na nią fortunę. Stworzył ją świętej pamięci mistrz, który rzeczywiście był genialnym artystą.

— Świętej pamięci?

— Musiałem go zabić, tego cudzoziemca, inaczej mógłby mnie wydać. Prędzej czy później byłby to zrobił. Pan tego nie zrobi, prawda, poruczniku?...

Milczę. Saturn nie dba o tę odpowiedź, nie lubi lizusów. Nie lubi również kopiowania:

— Nie lubię kopii, nawet genialnych.



Eugène Delacroix — „SMIERĆ SARDANAPALA”

— Więc to, co wisi w Luwrze...

— Jeden diabeł wie, ile wisi w Luwrze autentyków, prawdziwych oryginałów!... Kopia nie mogłaby mnie podniecać, tylko oryginał, i tylko oryginał szkicu przygotowawczego. Finalne płótno jest zbyt wielkie dla prywatnej rezydencji, i co gorsza zbyt wylizane akademicką modą, zbyt gładkie, gdy tymczasem w tej półimpresjonistycznej wizji wszystko żyje, kotłuje się, drga bez ustanku. Niech pan spojrzy na twarz Sardanapala. Można się upić takim płomiennym harakiri!

— To nie był Sardanapal, panie komendancie.

— A kto?

— Saracos. Delacroix nie wiedział o tym. Wówczas przypuszczano, że zrobił sobie to całopalenie Sardanapal, czyli Asur-bani-pal. Dzisiaj wiadomo, że uczynił to ostatni imperator asyryjski z dynastii Sargonidów, Sinszar- iszkun, czyli Asur-akhi-iddin II, przez Greków zwany Saracosem.

— Pan nie tracił czasu w Paryżu, poruczniku... Ale to nie ma znaczenia, Sardanapal czy Saracos. To jest wielkie!

Pada w objęcia mojego fotela, nieobecny, trawiony wielkim ogniem, który

szaleje gdzieś po zakamarkach jego mózgu. Dziewczęta na tarasie wciąż figlują. Ocknąwszy się, mówi głosem dziwnie cichym:

— Kiedy mi zameldowano, że szefem brygady dochodzeniowej został historyk-syn czarownicy, pomyślałem, że pański pułkownik kompletnie już zgłupiał. Być może nie miałem racji... Ale jeszcze nie wiem, dlaczego wybrał pan policję. Przecież nie dlatego, by zemścić się na mordercach wuja, bo mógł pan to uczynić przy pomocy brata... Szczerze mówiąc, ten antykwaryczny staruch był niebezpiecznym wolnomyślicielem, co mnie wkurzało, byłem już bliski prawdziwego gniewu.... No więc, dlaczego?

— Z nudów, panie komendancie — odpowiadam, a mózg przeszywa mi złowrogie podejrzenie.

Zmierzch staje się intensywny, rodzi się noc. Dziewczęta na tarasie rzucają rozżarzonymi węgielkami do jakiegoś celu. Wydaje mi się, że to spadające gwiazdy tną ciemność.

— Co one robią, panie komendancie?

— Bawią się swoją maskotką. Też z nudów.

— Maskotką?

— Dzieckiem goryla. Gorylątkiem. Przywieziono mi je, prezent od Afrykanerów johanesburskich. Niech pan sobie wyobrazi, poruczniku — Pigmej zabija goryla dzidą. Czy pan wie, że goryl szarżuje na czworakach? Wobec takiej pozycji goryla myśliwy nie ma praktycznie dostępu do jego serca. Ale te karły wymyśliły sposób. Uderzają ostrzem w klatkę piersiową, zadają ranę i nie puszczają dzidy. Goryl wyciąga łapy, by schwytać atakującego, pcha się ku niemu i sam sobie wbija grot w serce. Mam zdjęcia Pigmejów, którym się nie udało. Są cudownie zniekształceni, wprost niepodobni do ludzi.... A takich osieroconych niemowlaków, jak ten, Pigmej nie zabija. Wydłubuje im ślepkę i rzuca dzieciom dla zabawy. Mnie go podarowano, więc moje dziewczynki się nim bawią. Widzi pan, poruczniku, każdy pragnie mieć swoje małpy do dręczenia. Chce pan zerknąć?

Idziemy na taras. Kobiety rozstępują się, w mroku widać tylko wysepki białych zębów jaśniejsze od żaru. Któraś uniosła głownię i wtedy dopiero zobaczyłem małą istotkę, całą drżącą i boleśnie skurczoną. Kilkumiesięczny gorylek, przypomina mi Tytusa. Powieki ma wepchnięte w oczodoły, plecy skatowane grudkami żaru. Dotykam go. Odskakuje, zakrywając główkę łapkami. Nie próbuje jednak uciekać.

Serce rozrywa mi litość, a skronie pulsują mi rytmem gniewu. Czuję nienawiść wprost morderczą. Biorę malucha na dłoń i przytulam, ale to bezcelowe, zero reakcji. Zabito mu już wszystko, jeżeli zabito instynkt rodzinny, który każe małpiej sierocie tulić się do człowieka.

Kładę go na ziemi. Jedna z dziewcząt celuje rozżarzoną węglą w kłębek bólu. Trafia. Kłębek podskoczył jak ukłuty, machając łapkami rozpaczliwie. Lecą kolejne rakiety, czuć swąd gorejącej sierści. Dziewczęta cieszą się i klaszczą.

— Muszę wracać, panie komendancie.

— Już?

— Tak, już późno, a ja mam dziś sporo pracy. Raport zostawiłem na pańskim biurku.

— Dobrze, jest pan wolny, poruczniku. Minha odprowadzi pana.

— Chciałbym zabrać moją spluwę, panie komendancie.

Kapitan Saturn daje znak. Z ciemności wysuwa się delikatna, upierścieniona dłoń, trzymająca mój pistolet. Strzelam gorylkowi w głowę dwa razy, tyle zdążyłem. Potem ta dłoń całuje mi czoło z siłą młota kowalskiego, i tracę przytomność

... Leżę na tarasie, obok kłębka dymiącej sierści. Widzę pysk komendanta, pełen dzikiej pogardy i wstrętu.

— Myliłem się! Sądziłem, że jesteś inną kreaturą! Ale ty jesteś po prostu idiotą błędzącym między romantycznym idealizmem a obojętnością niedzielnych cyników, i nie mogącym się zdecydować. Inteligentne gówno!... Zrobiło ci się żal małpy! Małpy!!... Uważaj, byś nie musiał żałować samego siebie!... Powiniennem zamknąć cię w ZOO, wśród twoich przyjaciół, lub od razu rozwalić za to, co zrobiłeś w moim domu. Ale gdybym chciał wystrzelać wszystkich takich gówniarzy, to z całej policji ostałby się tylko twój brat! Won!! Zjeżdżaj i nie wejdź mi znowu w drogę, bo następnym razem nie daruję!

Podnoszę się nie bez wysiłku. Dotykam czoła. Mokro. Coś lepkiego, chyba krew. On dalej gada, tym samym syczącym głosem rozczarowanych przyjemniaków:

— Szukasz swojej szczęśliwej wyspy w drugim świecie, w halucynacjach i snach? Nie jestem takim mądrałą jak ty, poruczniku, ale czytałem, że w dawnych wiekach uważano, iż sen i śmierć to bliźnięta z brzucha jednej Matki Mrocznej Nocy. Uważaj! Pamiętam też, jak w szkole kazano mi dwadzieścia razy przepisać rozdział z Saint-Exupery'ego. Rozdział o zasypiających porucznikach. Pamiętam każde słowo, a najlepiej ostatnie zdanie: „*Im orduje s i ę p i ę k n y c h ś p i ą c y c h p o r u c z n i k ó w*”. Uważaj!!

Na co uważać? Niebo jest puste, Ziemia też jest pusta, i prawie każdy jest zupełnie sam we świecie, o czym byś wiedział, kapitanie, gdybyś musiał dwadzieścia razy przepisywać rozdział Singera lub kogoś podobnego.

Prawie. Bo jednojajowe bliźniaki albo zawsze są razem, albo wcale ich nie ma. Jeśli nawet nie wszystkie, to ja i Robert z całą pewnością. I do tego obaj nienawidzimy tylko jednej rzeczy — okrucieństwa wobec zwierzaków. Uważaj, komendancie!





6

— Ładnie oberwałeś, synu! — mówi pułkownik. — I bardzo dobrze, może to cię nauczy czegoś! Wszystko, co ostatnio robisz, nie daje nic prócz syfa! Całej policji sprawiasz kłopoty! Zastanawiam się, czy jesteś właściwym człowiekiem na tym stanowisku!

— On, panie pułkowniku, ma tę samą wątpliwość a propos pana.

— Co?!... Co mówił?

Twarz pułkownika staje się trupio blada. Umyka z niej krew, a w ślepkach pojawia się trwożliwa czujność.

— Nie szanuje pana, wyraża się o panu pogardliwie, grozi, że wykończy nas wszystkich, jeśli nie dopadniemy tej kobiety.

Milczenie. Ale ziarno zostało zasiane. Będzie się teraz męczył, strach będzie w nim walczył z nienawiścią. Wszystko jedno co wygra. Nienawiść, choćby i zwyciężona, będzie jeszcze dość silna i nie zezwoli mu asekurować się zwałaniem winy na podwładnych. Jedziemy wewnątrz tego samego karawaniku, monsieur le colonel!

— O czym gadał? — pyta łagodnie.

— O astrologii, chiromancji i telegnozji.

— Co takiego?!... Synu!...

— Mówię serio, panie pułkowniku. Miałem mu sprzedawać wszystko, co wiem na ten temat, ale jak kapnałem, gdzie jest kundel pogrzebany, to sprzedałem śmiecie, samo gówno.

— Czego chciał?

— Jasnowidza chciał. Pragnie znać nasze myśli. Nasze kroki może śledzić

dzięki szpiclom, i to z marnym skutkiem, ale on chce więcej, dużo więcej, panie pułkowniku.

— O twojej matce słyszał?

— Tak.

— Więc to dlatego. Miał nadzieję...

— Dokładnie, ale powiedziałem mu, że nie umiem tego robić.

— A nie umiesz?

— Ni w ząb.

— Naprawdę nie umiesz?

— Naprawdę, panie pułkowniku. Próbowiałem kiedyś, ale to mi jakoś nie idzie. Nie odziedziczyłem tego.

Uwierzył? Przygląda się podejrzliwym wzrokiem jezuickich spowiedników.

— I co dalej?

— Był wściekły. A później chciał mi zlecić misję specjalną. Miałbym mu szukać jasnowidzów. Powiedziałem, że rozkazy przyjmuję tylko od pana.

— To ładnie, synu, że nie lekceważysz hierarchii służbowej...

Patrzy na mnie ciepło. Jest zadowolony, pewniej się poczuł. Jeśli ja nie przestraszyłem się Saturna, to jemu nie wypada. Musi teraz dać kopniaka swemu strachowi. Być może nie potrwa to długo, ale chwilowo będzie twardzielem.

— Dobra, synu. Nie musimy się Saturna bać, mam jego groźby gdzieś! Nie jesteśmy burdelem przybocznym pana komendanta! Z drugiej wszakże strony musimy wziąć się do roboty bardzo solidnie i odnotować parę sukcesów. Gniew Saturna można mieć w tyłku, lecz kiedy rozgniewa się Prezydent... Po co nam tarapaty? Jeszcze nie ma strachu, ale jak nie wydusimy niczego z tych klasztornych tancerzy, i będziemy dryfować... Robert mówił mi o planowanym koncercie. To świetna idea, synu. Wierzę, że twój brat wyprowadzi nas na czyste wody.

Robert dotyka bandażu owijających mój łeb. Jego kamienny wzrok szuka mojego wzroku. Przez bandaż czuję drganie jakiegoś nerwu, którego anteną są palce Roberta.

— Wiedziałem... — mówi.

— Pewnie, że wiedziałeś, taki już los jednojajowców.

— Wczoraj, kiedy zapadał zmierzch, poczułem ból lewej skroni. O mało się nie wywróciłem... Uderzyłeś łbem w coś?

— Nie, uderzono mnie w łeb czymś.

— Czym?

— Pierścionkiem.

— Kto to zrobił?

— Jedna z dziewczyn Saturna.

— Dlaczego?

— Bo zastrzeliłem goryl ątko, znęcali się nad nim...

— Jak?

— Miało wydłubane oczy, przypalali mu skórę rozżarzonymi węglami, turlali ślepego...

— Po co?

— Dla zabawy.

— Dla zabawy.... — powtarza Robert tym samym monotonnym szeptem.

— Dla zabawy... Dobrze, zabawa jeszcze się nie skończyła...

Gdybym był kapitanem Saturnem, miałbym już tylko jeden cel w życiu — wykończyć Roberta. Lub zwać stąd na koniec świata. Ale Saturn nie słyszał, tego szeptu.

Kinga również eksterminowano dla zabawy.

Kiedy umarli rodzice, mój brat wyjechał na dalekie południe i zamieszkał w gospodarstwie dziadków ze strony ojca. Jest to cudowna kraina, pełna dzikich puszczy, tajemniczych jezior i zdradliwych bagien, które przenoszą się z miejsca do miejsca jak ruchome wydmy, gdzieś wysychając, a gdzie indziej niespodziewanie się rodząc. Wszystko reprodukuje się zbyt łatwo na tej płodnej ziemi zraszanej ulewnymi deszczami, na jej błotnistych polach i na brzegach szerokich rzek. Mieszkają tam ludzie prości, wielbiący Boga, szanujący prawa i kultywujący tradycję lokalną. Gdy muszą iść do lekarza z chorą nogą, przed wizytą myją tylko tę jedną kończynę. Po wioskach mężczyźni wciąż samotnie obsiadają ławy malowanych stołów, by sączyć napar, którego tajemnicy strzeże się pilniej niż życia, kobiety zaś strzegą swej cnoty dla mężów, tkając przy krosnach i wyplatając koronki. Główną radością są wesela i polowania. Transport zapewniają osiołki drepzące niezmordowanie między wsiami, tudzież liche dwukołowe wózki ciągnięte przez bydło. Młodość mija tam niepostrzeżenie, a czas znaczą żniwa i zbiory owoców. Świat starzeje się wolno i urywa raptownie, bez łez i głośnej rozpacz, gdyż zgony są częścią naturalnego biegu spraw, jakby Pan Bóg mówił: — Zwalniam cię od życia, możesz wypocząć, dobranoc!... Rankiem mgły unoszą się z szacunkiem dla słońca, dniem ptaki biorą we władanie niebo, wieczorami zaś, przy blaskach krótkiego zmierzchu, który gasi stubarwne mozaiki łąk, pocztówkowe widoczki ustępują miejsca subtelniejszym światłocieniom. Rażąca biel murów kapliczek i wiejskich kościółków przechodzi wtedy w szarość, i zanim roztopi się wśród nocnego mroku, jeszcze kilkadziesiąt sekund jaśnieje na tle nieba gwałtownie opuszczonego przez słońce. Lato jest ciepłe i zielone, jesień chłodna i czerwonozłota, zima mroźna i biała, a wiosną wszystko jest młode, i tylko wiatr recytuje stare legendy.

Szczupły, blade chłopak o jedwabistych kudłach, dumny i nastroszony

drapieżnik z miasta stołecznego, może tam hasać jak jelen. Może przebiegać ze swym psem kilometry ścieżek, pól i łąk, nie znajdując muru ni parkanu. Może zdobywać korony najwyższych drzew i stamtąd godzinami obserwować dzieło Stwórcy aż po dalekie widnokreśli, które nie rwą się i nie zaczynają, gdyż horyzont jest kołem. Może odkrywać źródła strumieni i penetrować najgęstsze trzewia borów, docierając do zapomnianych ruin i głazów megalitycznych, śpiąc w opuszczonych przed wiekami gajówkach i wycinając swe inicjały na słupach kultowych dawnych bóstw, które miały cztery oblicza. Może szukać skarbów pod świętymi dębami, w ziemiankach chłopskich rebeliantów i w jaskiniach tych zbójców, którzy nie przedostali się do panteonu historii ojczyzny. Może szpiegować dzikie zwierzęta z tak bliskiego dystansu, że starczyło wyciągnąć rękę, by zostać druhem postrzelonego rysia, którego leczył i karmił jesienią. Może zdobyć serce i ciało młodziutkiej dziewczyny, sieroty z nadrzecznego domu, by zawsze pamiętać opuszczoną drewnianą i dziurawy materac, który jak zegar wybijał czas ich gwałtownej miłości.

Robert miał tam coś, co nie istnieje — był szczęśliwy. Czy jest szczęśliwy teraz? Skoro się jeszcze nie zastrzelił, to chyba tak.

Po roku, gdy ja leciałem do Paryża, jego wzięto do wojska. Krajem rządziła wtedy junta generałów. Robert służył w straży granicznej i odznaczył się na wojnie, też granicznej. Nie była to wielka wojna, raczej długa bitwa o sporny kawałek miedzy, który nasi sąsiedzi zajęli chamskim atakiem, bez żadnego ultimatum. Ich wojska obieżyły mały fort przygraniczny i ucięły łączność z resztą kraju, jak również z kwaterą główną. Nocami wysyłano patrole, by szukały dziury w nienawistnym pierścieniu ognisk i śpiewających żołdaków wroga, ale wysłani znikali jak duchy, co do jednego, może zabijani, a może dezercerujący haniebnie. Tak czy siak — żaden nie wrócił ani nie sprowadził dla fortu pomocy z zewnątrz. Uczynił to dopiero Robert. Dano mu krzyż walecznych i stopień kaprała, i kuszono, by został kapralem zawodowym. Nie mógł, gdyż obiecał dziewczynie ślubną suknię i wesele w domu nad rzeką. Gdy minęły dwa przepisowe lata służby, znowu włożył cywilne łachy i wsiadł do pociągu.

Z ostatniej stacji kolejowej jechał autobusem. Z ostatniego przystanku szedł piechotą. Musiał maszerować parę kilometrów. Ale nie sam, bo kiedy wysiadł na tym przystanku, ujrzał Kinga siedzącego między słupkami. Witali się długo i gorąco, i ruszyli razem przez las. Nad ziemią snuły się mgły liżące stopy drzew, lecz Robert mógł iść nawet po omacku, pamiętał każdy korzeń wystający ze ścieżki, każdy rów i każdy garb. Przy sosnowych miodnikach ścieżka skręcała w prawo, ale kiedy chciał iść dalej, pies zastąpił mu drogę i nie pozwalał zrobić kroku. Chwyta! zębami nogawki jego dżinsów i ciągnął boczną ścieżką ku kotlinie, którą można było obejść wioskę i trafić tam z drugiej strony. Robert ustąpił psu, pomaszerowali tą okrężną drogą.

Babcia stojąca w progu dała Robertowi rękę do ucałowania, pytając:

— Czy otrzymałeś mój list?... Ten, gdzie pisałam, że na starej drodze jest teraz bagno, i że utopił się tam kowal, i że trzeba iść krajem młodnika?

— Nie, babciu — odpowiedział Robert.

— Więc chwała Bogu, że nic ci się nie stało!

— King nie dał mi iść starą drogą. Poprowadził mnie dołem.

— King?... Mój chłopcze, jesteś zmęczony... To nie mógł być King.

— To był King, babciu. Czekał na mnie koło przystanku autobusowego.

Babcia wzięła go w ramiona, mówiąc:

— King już od roku nie żyje. Zatłukli go jacyś miastowi, zjechali tu na pomiar. Upili się i zatłukli go kijami. Nie pisałam ci o tym, żebyś się nie martwił, ale teraz i tak byś się dowiedział.

Dowiedział się wszystkiego od wieśniaków, każdego szczegółu, jaki znano. Spakował manatki, ucałował babcię i dziadka, i ruszył na przystanek autobusu. Dziewczynę zostawił pełną łez, ale miał serce skaleczone tak głęboko, że jej miłość i jej rozpacz nie znaczyły już dla niego nic prócz bladych wspomnień.

Wkrótce potem przyszło od babci parę listów. Pisała, że Robert zamienił się w wilkołaka, gdyż dziewczyna rzuciła na niego klątwę i urok, i że ludzie z okolicznych wsi, w obawie przed nim, boją się wędrować lasem. Babcia błagała, bym zapytał „*mądrych profesorów*”, czy nie znają sposobu odczarowania Roberta, bo nawet jej ksiądz był bezradny, umył ręce.

To mnie przeraziło. Miałem pewność, iż jakieś złowrogie geny matki obudziły się wewnątrz mózgu Roberta. Zrozumiałem też, dlaczego coraz częściej snią mi się wilki, dlaczego ciało porasta mi gęstym włosiem i dlaczego od pewnego czasu nachodzi mnie chęćka rozgryzienia szyi mej kochanki, by pić jej świeżą krew.

Zacząłem wertowanie wszystkiego, co biblioteki paryskie mają na temat wilkołaków. Przeobrażanie się człowieka w wilka znane było już Herodotowi, który opisując wojnę Dariusza i Scytów, oraz kraj leżący „*wyżej Pontu Euksyńskiego, kędy nieokrzeseane mieszkają plemiona*”, wspomina o Neurach zamieniających się w wilki. Wergiliusz i Petroniusz relacjonują liczne przypadki wilkołactwa. Sagi niemieckie i skandynawskie są pełne takich przypadków. Azjatyckie również. Na Borneo miało istnieć miasto wilkołaków, zwane Kabutiloa. W Hiszpanii parało się wilkołactwem wiele pokoleń szlacheckiej rodziny Ossiriensów. Zresztą już głośny francuski „*sędzia czarowników*”, Bouguet, który rozpatrywał mnóstwo procesów o likantropię,



dawanych zwłaszcza przez Góry Jurajskie (Franche-Comté), pierwszy zauważył, że likantropia jest dziedziczna.

Wilkołakiem można zostać wbrew swej woli. Kobiety potrafią wilkołaczyć swoich wrogów. Sposobem najczęściej wzmiankowanym jest wiązanie wokół szyi mężczyzny sznurka lub wstążki opatrzonej klątwą przez nienawidzącą go kobietę. Napisałem do babci list, wyłuszczając trzy metody odczarowywania wilkołaka: zerwanie wstążki z jego szyi, uderzenie w czoło kryształową siekierą, i trafienie go poświęconą kulą, która nie zabija, lecz zostawia szramę. Kilka miesięcy później babcia doniosła mi, że kościelny postrzelił szyję wilkołaka, i że od tej pory nikt już nie widział „złego”. Właśnie wówczas dermatolog, który leczył mój bolesny, pręgowaty wrzód na szyi, zdjął mi bandaż mówiąc, że już po strachu.

Nie było to łatwe, ale zrekonstruowałem później tamte lata życia Roberta. Wiem, że wrócił do stolicy, odszukał morderców Kinga (trójkę geodetów, pracowników szkoły wyższej) i kolejno wywabiał ich za miasto, by im dziękować. Dziękował solidnie i bez pośpiechu. Krępował delikwenta łańcuchem, kastrował, wyrывał język, i dalej tłukł już kijem tak długo, aż umęczone życie gasło. Jeden z katowanych, nim jeszcze Robert pozbawił go

możliwości błagania i wzywania ratunku, wykablował mu, że Kinga nie dręczyło trio, tylko kwartet, bo do trzech „*miastowych*” przyłączył się chłop, syn lokalnego karczmarza. Dlatego Robert musiał jeszcze raz odwiedzić dziadków. We wsi usłyszał, że syn karczmarza został mężem dziewczyny z drewni. Poszedł do nich nocą i zarąbał śpiącego siekierą. Rano ludzie widzieli Roberta i dziewczynę idących brzegiem lasu. Wróciła sama. Tydzień później powiesiła się wewnątrz drewni.

Gdy Roberta aresztowano, nosił na szyi brunatną skazę. Policja miała jego zdjęcia, był ścigany przez rok za morderstwo. Tylko za rozwalenie męża swej dawnej kochanki. Wcale się nie bronił i sam się przyznał do wcześniejszych morderstw, wskazując miejsce, gdzie rzucił ciała geodetów. Wszakże przed sądem nie stanął, gdyż wizytujący więzienie pułkownik zaproponował mu stanowisko szefa pałacu tortur. Robert odmówił. Pułkownik był przygotowany na to.

Wyświetlił Robertowi film ukazujący, jak ludzie dręczą zwierzęta, i powtórzył propozycję. Robert znowu odmówił. Wówczas pułkownik przyniósł wydaną w roku 1927 książkę profesora Baudouina de Courtenay i kazał swemu adiutantowi głośno czytać fragment o doświadczeniu, które przeprowadził rektor petersburskiej Akademii Medycznej, profesor Paszutin. Paszutin chciał zbadać eksperymentalnie duszę psa. Kupił więc psa, obłaskawił, przywiązał do siebie, pies lizał mu ręce. Wtedy Paszutin oblał go ukropem. Z psa zeszła skóra, ale dalej lizał ręce sadysty. Paszutin znowu oblał go ukropem — pies, mimo męczarni, nie przestał lizać rąk bestialca. Po trzecim oblaniu wyzionął ducha. Kiedy adiutant zamknął wolumin, pułkownik rzekł memu bratu, iż w areszcie trzyma spiskowca, który powtórzył doświadczenie Paszutina, a teraz, choć już ledwo żyje, dalej — mimo bicia i elektrowstrząsów — nie chce gadać. Robert kiwnął głową. Znalazł sposób rozwiązania języka temu człowiekowi.

Upłynęło parę wiosen i ja również zostałem gliną pułkownika. Wprowadził mnie Robert, któremu pułkownik nie odmówiłby niczego. Robert stał się figurą z kręgu niezastąpionych, postacią legendarną, mocarzem Hadesu represji, władcą pałacu tortur. Wewnątrz dawnego gmachu Opery wybudował fantastyczną maszynę, koktajl nowoczesnych instytutów naukowych, średniowiecznych lochów i kazamat Dzierżyńskiego. Przez te lata ciągle rozwijał swą inwencję i uzupełniał wiedzę, aż stał się najwybitniejszym torturologiem świata, teoretykiem genialnym w sferze projektowania i wynalazczości, tudzież praktykiem-wirtuozem stosowanej sztuki męczenia. Podniósł bowiem męczarnie ludzkie do wyżyn kunsztu, którego arcymistrzem i arcykapłanem jest w sposób przez nikogo nie kwestionowany. Zaprzyjaźnione państwa ślą do nas swoich ekspertów, by mogli praktykować u niego. Praktykanci traktują Roberta niczym guru. Tytułują go: „*panie profesorze*”.

Pierwszą rzeczą, którą wykonałem jako glina, było dorwanie mordercy wuja Arnolda. Ostatniego już spośród czterech morderców. Trzech innych zastrzelono wcześniej, a okoliczności tej egzekucji były bardzo tajemnicze. Wszystkich trzech, zwyczajnych łotrzyków, których w mieście pełno, rozwalono jedną serią automatu, bezpośrednio po tym, jak włożyłem mundur gliniarza. Ktoś chyba wystraszył się mojego munduru, i tylko nie zdążył zamknąć dzioba czwartemu mordercy. Ów czwarty, nim został przerobiony na filety maszynką Roberta, śpiewał, że zlecono im tę fuchę — mieli zabić antykwariusza i zwinąć wszystko ze sklepu. Ukradzione „fanty” wręczyli tajemniczemu zleceniodawcy, inkasując szmal i przestając myśleć o sprawie.

Jedno zdanko, które Saturn powiedział na temat wuja Arnolda, kopnęło moją pamięć jak prąd elektryczny. Przypomniałem sobie, że mimo wielkich starań moim ludziom nie udało się znaleźć żadnego „fantu”, żadnego drobiazgu ze sklepu. Kilka lat czesali wszystkie antykwariaty, pchle targi, jarmarki, galerie i prywatne kolekcje, nie trafiając nic, literalnie nic, nul, zero, cienia śladu! Tylko jednej kolekcji w całym państwie nie mogli penetrować... Kiedy ta hebanowa lalka Saturna przyniosła nam kawę, przez uchylone drzwi sąsiedniego pokoju dobiegł mnie dźwięk pozytywki i krótka melodyjka, fragment „Dla Elizy”, którą tak często słyszałem u wuja Arnolda. Jakoś nie dałem wtedy temu szczególnej uwagi, wreszcie pozytywka wuja Arnolda nie była jedyną na świecie pozytywką grającą „Dla Elizy”.

— Słuchaj, myślę że on zabił wuja Arnolda. Jestem tego prawie pewien. Słyszysz, braciszku?...

Robert nie okazuje zdziwienia, żaden mięsień twarzy mu nie drgnął.

— Miał prawo — szepcze.

— Miał prawo?!

— Tak. On jest od zabijania, więc miał prawo.

Milczę rozczarowany. Kładzie mi rękę na karku i lekko, pieszczotliwie gładzi palcem skórę wokół mojej blizny, takiej samej, jak jego szrama od strzału poświęconą kulą.

— Nie spiesz się — mówi. — Mamy dużo czasu. Ja też jestem od eksterminowania, a zabawa jeszcze się nie skończyła. Chodź, pokażę ci teraz salę koncertową.

Gmach Opery budowano dwieście lat temu. Sto lat temu zastąpił go nowy przybytek Verdiego, piramida żelbetu i pleksiglasu, a ten stary dano policji. Jest to konstrukcja neoklasyczna, monumentalna, pyszniąca się portykiem, którego tympanon dźwiga rydwany, a te niosą bogów na śmiertelną wojnę. Trudno zachować wobec kolosa obojętność.

Dzięki inicjatywie Roberta gmach został gruntownie przebudowany. Są tu liczne gabinety i sale tortur, pełne ultranowoczesnej aparatury do wywoływania

mąk, lecz oczko w głowie Roberta stanowi wielka podziemna hala, niegdyś magazynowa, gdzie zgromadził przyrządy średniowieczne i renesansowe. Jedną ścianę owej hali wybudowano ze szkła, bo sąsiednia sala to akwarium pełne piranii. Gigantyczna szyba odbija panoptikum drewnianych i żelaznych machin, zbroczonych krwią pechowców, co nie żyją już czterysta lat lub więcej. By mieć te starocia, Robert grzebał w muzeach, pałacach i starych fortach, a niektóre maszyny rekonstruował na podstawie sztychów. Robert jest zamięłowanym historykiem, jak ja, to wpływ fatum bliźniaków jednojajowych. Ściany wielkiego lochu Roberta są obwieszane rycinami pełnymi mąk. Widać tam tracenie sławnych bandytów, sceny tortur kościelnych, cywilnych i ludowych, łamanie kołem, palowanie, przypalanie, rozrywanie, perforowanie, dekapitowanie itp. Tutaj właśnie odbędzie się wokalnobaletowe widowisko dla kapitana Saturna.

Pomysł Roberta jest bardzo prosty, lecz wynika z kilkuletnich trudnych eksperymentów. Robert — dysponując tak wielką liczbą narzędzi tortur, jakiej nie zgromadzono w jednym miejscu nigdy przedtem — zauważył, że każda machina wyrywa z męczonych ust skowyt o innym natężeniu. Tonację owych dźwięków można regulować, ciągnąc miarowo skórzane pasy i łańcuchy, dociskając i rozluźniając kleszcze, wbijając kolce w różne części ciała, et cetera. Dzięki poznaniu właściwości każdej aparatury, wszystkie te maszyny stały się dla Roberta zespołem czułych instrumentów, formujących razem wielką orkiestrę. Przesłuchanie drugiego, trzeciego i czwartego stopnia zezwalało mu odkrywać i sprawdzać efekty głosowe każdej śruby, każdego pokrętła, haka, kolca, pasów i prętów. Robił setki notatek i nagrań magnetofonowych, i w końcu skomponował partyturę concerto grosso — wielkiego wokalnego koncertu, dla wykonania którego potrzebnych mu było kilkudziesięciu ludzi odmawiających zeznań równocześnie. Czekał na to niecały rok. Akcja w klasztorze i jej połów stały się więc zrzędzeniem losu, zaś upór aresztantów dał mu możliwość realizacji premierowego przedstawienia. Czterdzieści trzy ciała! Pozwoli to uczynić instrumentem każdą maszynę.

Bez ludzi maszyny są jak skrzypce bez strun. Głosy tych ludzi Robertowi sprawiają satysfakcję, a pułkownika i mnie zbliżą do tajemniczej kobiety. Wierzymy bowiem, że sekciarze, twardzi osobno, pękają, gdy uformują chór. Mężczyźni pękają widząc cierpienia kobiet, a kobiety widząc kaleczonych mężczyzn. Grzmot chóru, grzmot melodii wydartej z wszystkich gardeł razem, musi ich złamać!

Lustruję partyturę kaligrafowaną przez Roberta na dużym arkuszu pergaminu. Wpatrując się weń, będzie dyrygował zespołem swoich chłopców, wśród których każdy jest mistrzem (konserwatorem i obsługującym) jednej maszyny. Różne znaki symbolizują tu nie tylko wysokość tonów dla poszczególnych stopni przesłuchań, lecz i strefy czasowe, tercje i subtercje, wysokie C i górne As, i

jeden Robert wie co jeszcze. Czarne znaki pełzną po arkuszach niczym nerwowe owady, kłębią się, multiplikują i skupiają, pyskujące i milczące, jakby szukały żeru. Są głodne.

Idziemy rynną schodów do podziemia, a czerwony dywan tłumi nasze kroki. Towarzyszy nam nowy pies Roberta, wielki brytan sprowadzony z Jamajki, prawnuk owych krwiożerczych bestii, którymi cukrowi plantatorzy ścigali zbiegłych niewolników i uśmierzali rebelie. Jego zęby mogą rozerwać człowieka jak lalkę szmacianą. Wabi się Vlad, od księcia Vlada IV (XV wiek), którego zwano „*Diabłem Wołoskim*”, a który — nie lubiąc przydanego mu nazwiska Tepes (Znaczy to: Wbijacz na pal) — podpisywał się: Vlad Dracula. Był to bardzo zmyślny człowiek, co całkowicie usprawiedliwia fakt, że w naszym stuleciu czyniono go bohaterem komiksów i filmów grozy. Wynalazł



kilka ciekawych aparatów — do obdzierania żywcem ze skóry, do szatkowania ludzi wzorem kapusty, etc. (Robert kupił u Turków rysunki tych maszyn i zrekonstruował je). Wołoszczyznę, Mołdawię i Transylwanię Vlad różnorako rządził, najczęściej za pomocą ostrzonych pali, i to właśnie przyniosło mu sławę „*wojewody na palach*”. Biesiadować ze swoim dworem lubił wewnątrz lasu słupów, u szczytu których wydawali ostatnie tchnienia naszpileni. Miał talenty demokratyczne, co przejawiało się równaniem wobec pała wszystkich stanów — chłopów, włóczęgów, ludzi szlachetnie urodzonych i księży. Raz wbił na pal

sześciuset Cyganów handlujących w Braszowie, a innym razem pięciuset wołoskich wójtów i ziemian, bo nie umieli wyrecytować z pamięci liczby swych poddanych. Księża, co głosił, że nie wolno przywłaszczać sobie cudzego dobra, a siedząc za stołem tknął chleb, którego ktoś inny dla siebie nakroił — Vlad też ożenił z palem. Gdy spacerował wśród pali, pewien czcigodny starzec spytał go, jak może wytrzymać odór rozkładających się ciał, Vlad tedy wbił starca na słup dłuższy niż inne, by mógł przebywać wyżej odoru. Nie gardził też płomieniami — spalił żywcem czterystu młodzieńców z Siedmiogrodu i Węgier, którzy przybyli doń pragnąc się uczyć języka wołoskiego, tudzież wszystkich wołoskich żebraków (fundował dla żebraków biesiady i zamieniał sale jadalne w piece bez wyjścia). Własnoręcznie rozcinał piersi i brzuchy kobietom, a posłom sułtana, którzy nie chcieli chylić przed nim turbanów, kazał przybić zawoje do głów gwoździami. Jeńcom tureckim oprawcy Vlada zdzierali skórę ze stóp, nacierali te stopy solą i dawali lizać bydłu. Słowem był to człowiek wielkiej fantazji, znamienity prekursor mistrzowskiego kunsztu, Robert więc nie bez przyczyny — chcąc zawsze pamiętać wołoską tradycję — nazwał swego psa imieniem Vlad. Czyż ktoś mógłby kwestionować historiozoficzne poczucie humoru mojego brata?

Wiedza Roberta jest tak wszechstronna, że wzbudziła mój szczerzy zachwyt. Kiedy mi mówił, czemu wabi swego brytana Vladem, a ja burknąłem o palowaniu jako o metodzie prostaków, spojrzał na mnie jak na głupka i wygłosił swoim niepowtarzalnym szeptem prelekcję, po której odechciało mi się gdakać a propos specjalności nie będących moją kompetencją:

— To stara metoda, jednak ma zalety wieczne, ciągle aktualne. Chcąc śmiertelnie udreńczyć człowieka, można długo sprawiać mu ból różnymi przyrządami i maszynami. Ale gdy chcesz, by wcześniej cierpiał od śmiertelnego strachu, trzeba skazać go nie tylko na pal, lecz i na spektakl. Winien obserwować jak preparujesz ów rożen dla niego. I to ma być długa ceremonia. Wpierw struganie palika, który będzie szpilką, co przewierci ludzką ćmę. Szykuje się ten kołek z gałęzi, której boczne gałązki trzeba ociosać, żeby powstał rodzaj piły szarpiącej ciało, później moczy się go w occie, a jeszcze później suszy. Tylko musisz uważać, by nie wysechł całkowicie, ma on bowiem pęcznieć wewnątrz skazańca. Wreszcie trzeba osadzić to cacko na grubym palu. Wkładanie palika w odbytnicę, prowadzenie go wolniutko wzdłuż kręgosłupa i nieuszkodzenie przy tym życiodajnych stref organizmu, to kunszt dużej klasy... Czemu robisz taką zdziwioną minę?

— Bo to niepojęte, braciszku. Można wbić całego człowieka na pal nie zabijając go?

— Można. Mistrz palowania przebije tylko otrzewną, lecz nie uszkodzi ani żołądka, ani wątroby, ani serca, ani płuc. Mieszanka dzikich jagód i mięty, której

wywarem poją skazańców, zwiększa krzepliwość krwi i wrażliwość nerwową, skazaniec czuje silniejszy ból. Bardzo długo umiera się na palu osadzonym pionowo w ziemi, bracie. Widzi się z góry cały świat i zauważa się, jaki jest on mały wobec fizycznego bólu.

Wchodzimy do wielkiej sali koncertowej. Czworoboczne płyty kamiennej posadzki lśnią zimno niczym lustra, i niczym lustra odbijają całe laboratoryjne bogactwo przygotowanego instrumentarium.

— Patrz! — mówi Robert.

Objaśnia mi działanie swoich muzycznych maszyn, które wystarczy nakarmić ludzką cielesnością, by zamieniły się w szpinety, altówki, trąbki i saksofony, w skrzypce i wiolonczele, w lutnie i drumle.

Patrzę. Oto „*Hiszpańskie buty*”, z rozciętymi żelaznymi cholewami, którymi miażdży się łydki, stopy i golenie metodą śrubowania. Dawniej słusznie uważano, że nawet trupy będą mówić po założeniu im tych butów. Stoją równym rzędkiem, parami. Niektóre mają wewnątrz pełno guzów bądź kolców, inne są gładkie, lecz między nogę a żelazo wbija się drewniane lub metalowe kliny. Wysokość tonu regulowana jest głębokością wbicia klina albo przykręcenia śrub.

Oto „*Sznurownia*”. Pionowo ustawiona deska, ma dziury na twarz i rękę. Wokół ramion torturowanego zawiązane są liny, których końce operatorzy trzymają z dwóch stron. Lina, szarpana przez operatorów tak, jakby każdy chciał ją wyrwać drugiemu, tnie skórę, mięśnie i nawet kość. Robert wzbogacił tę maszynę o wałki, bębny i dźwignie do płynnego ciągnięcia lin; podziałki bębnów zezwalają precyzyjnie realizować sygnały dyrygenta. Podziałki (skale) mają również kliny „*Hiszpańskich butów*”, tarcze przy łbach śrub i tarcze dźwigni automatycznych.

Oto horyzontalne „*Sznurownie nóg*”. Tuż za nimi „*Sznurowadelka chińskie*”, delikatne przyrządy służące cięciu palców. Stosowano je w dawnych Chinach, stąd terminologia. Zezwały produkować dźwięki wibrujące.

Oto kołowrót dla rozciągania całego ciała i wrywania puszczeli ze stawów. Jego lina biegnie przez kółko sufitowe (zwane „*Flaszencugiem*”) i kończy się na nadgarstkach wiszącego człowieka, którego stopy obciążone są żelazną sztabą lub umocowane do haków pawimentu. Prawdziwi mistrzowie tak pięknie rozciągali ciało, iż widać było przez nie płomień świecy.



Oto „*Łoże sprawiedliwości*”, również służące naciąganiu. Ma kołowrót u jednego krańca i hamulec dla stóp u drugiego. Daje bogatą gamę dźwięków, gdyż pod leżące na desce ciało rozciąganego człowieka wkłada się kolczaste rolki, zwane „*jeżami*”.

Oto „*Saksoński kołnierzyk*”, wyposażony w igły, które ranią szyję. Zaczepiony u sufitu i szarpany do góry, może wrywać z kobiecego gardła niesłychanej czystości altowy głos.

Oto zmodernizowany „*Hiszpański koziołek*”. Ma klawiaturę służącą zaśrubowywaniu palców nóg i rąk. Mój brat nazywa go „*fortepianem*”.

Oto „*Prasa*”, dwie żelazne płyty spłaszczające ciało pod naciskiem śrub.

Oto „*Konfesjonał*”, wynalazek norymberski, fotel z pasami przytrzymującymi siedzącego. Każdy fragment, z którym styka się ciało, ma ruchome tarcze pełne kolców.

Oto „*Hełm*”, stalowy koszyk ładowany na głowę i ściskający ją za pokręceniem korbą.

Oto „*Rękawice*”, całe ze stali, również dowolnie zmieniające swą kubaturę. Miażdżą dłoń każdego twardziela.

Oto „*Żelazna dziewica*”, figura metalowa o kształcie kobiety. Ma przeróżne mechanizmy do dręczenia zamkniętego w niej ciała, do wgniatacia gałek wzrokowych, itp.

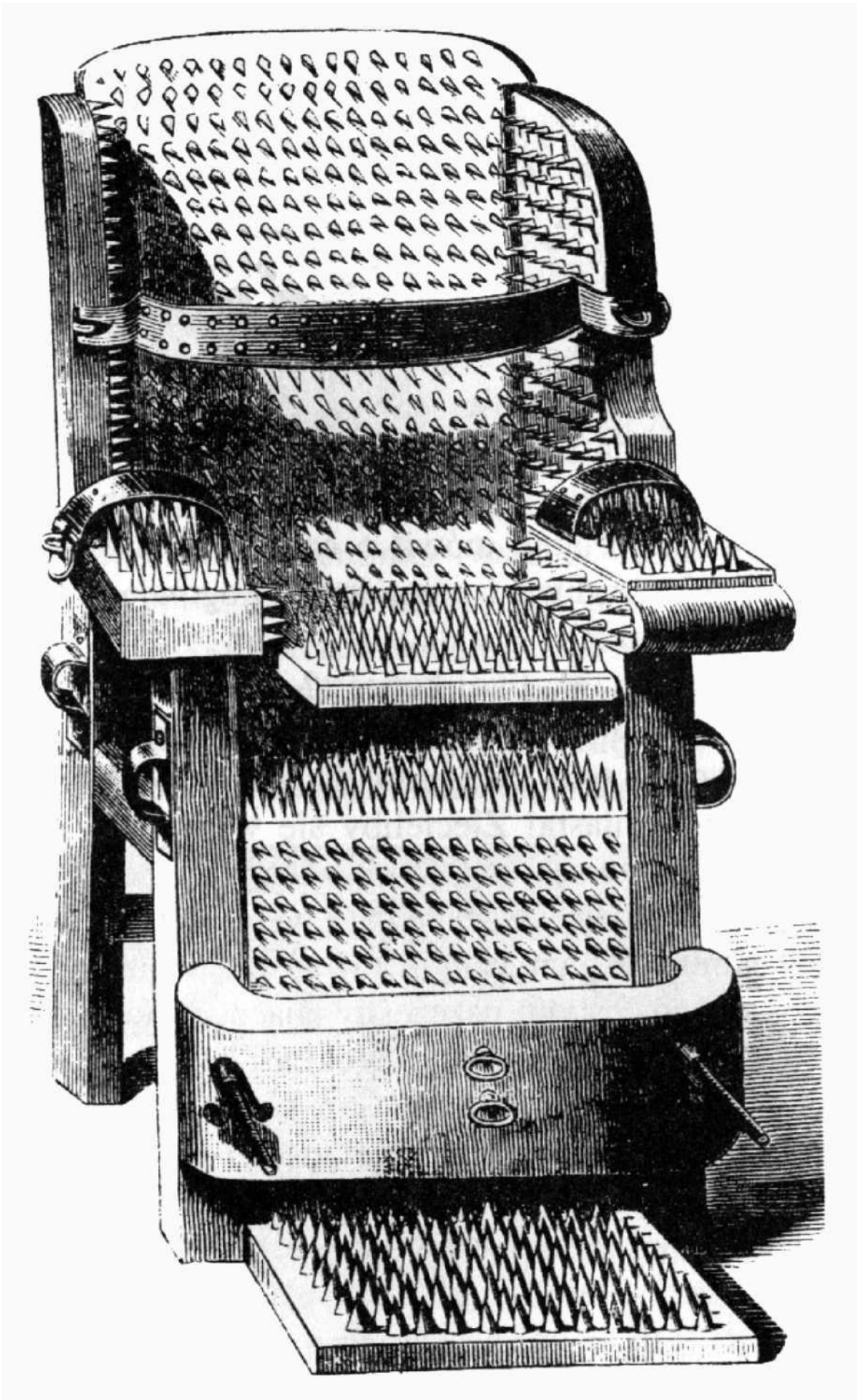
Oto „*Gorący byk*”, wynalazek starożytnych Rzymian. Ma niżej brzucha palenisko podgrzewające ulokowanych wewnątrz nieszczęśników. Dźwięki, które lecą wówczas z pyska zwierzaka, przypominają dudnienie bębnów, zostaną więc użyte w finale koncertu skomponowanego przez Roberta.

Oto wreszcie proste, dębowe lawy. Mają jedynie szczypcę do szarpania i przypiekania ciał.

Patrzę na wielką scenę pełną tych materialnych reminiscencji dawnych czasów. Już Platon mówił o człowieku jako o instrumencie, przez który płynie duch i przez który bogowie mówią. Robert posiada więcej wyobraźni.

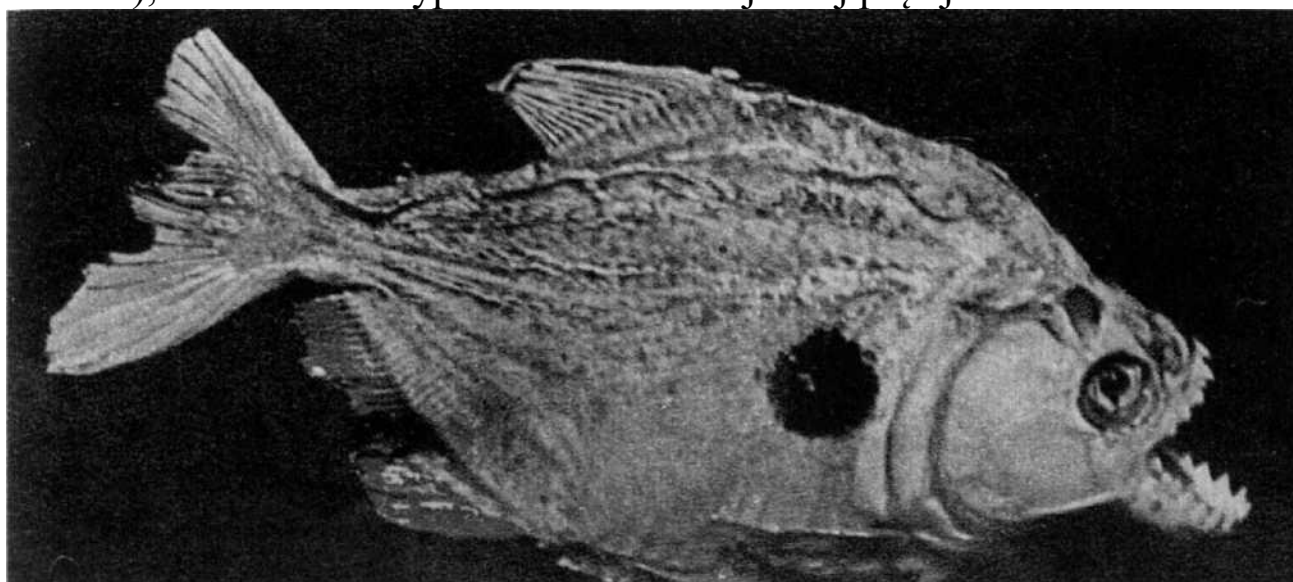
— Czy Saturn zaszczyci twój koncert? — pytam.

— Przyjdzie z całym dworem, z całą swoją bandą.

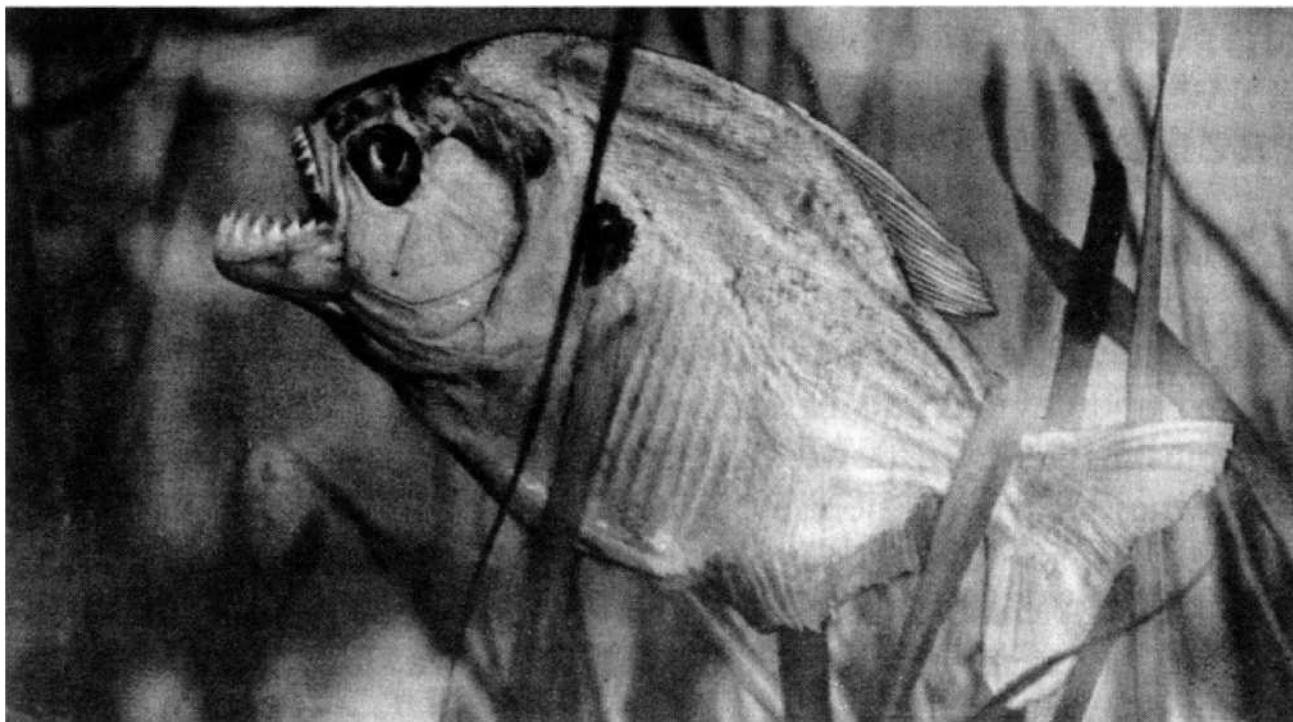


Będzie pustawo na tym spektaklu dla elity. Gdyby tak zaprosić ludność stołecznego miasta! Zlecieliby się wszyscy, wcale nie pod przymusem. Ludzie zawsze uwielbiali widowiska tego rodzaju. Barok, który wymyślił operę i Szekspira, i we wszystkich swych przejawach był Teatrem Gigantycznym, awansował publiczną kaźń do rangi parateatralnego festynu uszczęśliwiającego motłoch. Całe wieki sprzedawano bilety na egzekucje, a okna i balkony domów wokół placu kaźni wynajmowano za bająnskie sumy. Dlatego widowisko musiało długo trwać. Po nieudanym zamachu na Ludwika XV męczono Damiensa całe cztery godziny, rozplątano mu pierś, ramiona i uda, wlewano do ran ołów ku uciechu gawiedzi, a Casanova, gdzieś w górze, przy oknie, sięgał lornetującą damie pod spódnicę.

Szkoda, wielki teatr wymaga wielkiej publiczności, a ta sala, która — nim przechrzczono ją na koncertową — zwała się Salą Jednego Marzenia (o szybkiej śmierci), nie zostanie wypełniona nawet w jednej piątej.



Idziemy do akwarium. Tu będzie balet. Za szkłem szaleją „*cari—bes*”, stado piranii. „*Serrasalmus Nattereri*”. Są małe, kolorowe, kształtami przypominają młode karpie. Ich podbrzusza świecą pięknym szkarłatem, a obok skrzeli widnieje czarna, krągła plama. Duże mają długość 35 centymetrów. Żyją w dorzeczu Amazonki i Orinoko, i żrą wszystko, co jest pływającym mięsem. Zęby „*caribes*” mogą przegryźć stalowy haczyk. Atakują z furiacką szybkością, rozrywając i łykając ofiarę, gdy wgryzą się wirowym ruchem pocisku. Krowa stojąca w rzece, po kilkunastu sekundach ma już tylko gołe piszczele niżej lustra wody, a gdy upadnie, jej szkielet przez dwie minuty zostaje wypreparowany do błysku. Mario paplał nam wiele anegdot o tych rekordzistkach żarłoczości. Setki nieostrożnych myśliwych i turystów, piloci i pasażerowie przymusowo wodujących samolotów, bandyci i policjanci,



których łodzie straciły równowagę — wszystkich tych pechowców zęby „*caribes*” migiem oczyściły z mięsa. Kobiety, które piorą bieliznę nad Orinoko, mają ręce pełne blizn zwanych „*morocota*” przez podobieństwo do wenezuelskich monet o tej samej nazwie.

Robert karmi je bez ustanku, gdyż inaczej zeżarłyby się wzajemnie — są kanibalkami. Podczas koncertu spuści wodę w akwarium do wysokości pół metra i każe wrzucić kilkanaście „*tancerek*”. Będą machały nogami obgryzаныmi przez piranie, a podkład muzyczny dadzą im maszyny stojące na sali tortur.

Jestem pełen podziwu. Będzie to wspaniały koncert, coś istotnie wielkiego, jedna z tych rzadkich rzeczy, które mój stary puentował zdaniem: „*że aż sutki stają dęba!*”. U sufitu wisi transparent firmowy: „OKRUCIE ŃSTWO JEST NASZĄ POWINNOŚCIĄ, BO CÓŻ WREDNIEJSZEGO NIŻ OKAZYWANIE LITOŚCI NĘDZNIKOM SKAZANYM PRZEZ BOGA”. To cytat z Wilde’a. Robert zawiesił tę maksymę jako wyznanie wiary tych murów.

Vlad biega gorączkowo między machinami. Zmęczony wskakuje na „*Łoże sprawiedliwości*”, siada i dyszy ciężko, a różowym ochłapem jęzora, prawie liżącym płyty pawimentu, cieknie gęsta ślina. Wodzi uporczywie gałami za swym panem, jakby czekając rozkazu. Oj, piesku, gdybym powiedział memu braciszкови, co wyczytałem w pewnej książce, zmieniłby ci imię, bankowo! Starczyłoby, żebym powiedział, iż Vlad Tepes kazał wbić na pal księdza wraz z jego osiołkiem. Ale nie chcę psuć Robertowi samopoczucia. Robert każdy opis dręczenia zwierząt boleśnie przeżywa, co szkodzi również memu zdrowiu.

Kiedy tak stoimy we dwóch pośród ciszy sali koncertowej, wydaje mi się, że to samotna planeta płynąca pustką między galaktyczną, albo że to batyskaf, który

dryfuje przez głębinę morską, cichy, zapomniany, kierujący się własnymi prawami i nie dbający o życie pulsujące na rajskich wyspach oceanów. Hermetyczny świat, sam dla siebie, bez związków, bez dróg, z rozerwanymi liniami telefonów i komputerów, więc znikąd nie można wezwać ratunku, lub choćby tylko diagnozy mającej moc terapeutyczną. Idee, nadzieje, wiary — tracą tutaj swój sens. Tam, w górze, słowa: „przyjaciół”, „pieniądze”, „modlitwa”, „czas” — obleczone były kształtem witającej dłoni, portmonetki, krucyfiksu i zegara, a tutaj nie został po nich nawet cień pamięci, jakby nigdy ich nie było. Wczoraj ludzie, którzy się tu dostali, kupowali jeszcze mleko i jabłka — dzisiaj nie wierzą w istnienie jabłonek i krów. Kto im wmówi, że gdzieś tam świat obraca się wokół słońca, jeśli dla nich słońca już nie ma i nie będzie? Najpotężniejsze rakiety nie mogłyby pokonać tej otchłani czasu, tego bezkresu świetlnych lat, i zawieźć tych ludzi do tamtej Ziemi, z której zeszli tu stopniami zwykłych schodów, nie wiedząc, że to już piekło. Teoria względności materializuje się kilkudziesięcioma stopniami schodów.

Nie mają nawet szansy uciec stąd samobójstwem. Robert trzyma ich w transie narkotycznym. Są potulni i zadowoleni, łykają żarcie i uśmiechają się głupkowato. Przestaną brać zastrzyki, gdy zbliży się wieczór ich występu. Wówczas zostaną na parę dzionków skrępowani, co zwróci im psychiczną normę.

Wracam do domu piechotą, szoferowi wozu służbowego dałem luz. Wieje zachodni wiatr, niosąc suchy pył. Przełyk twardnieje i boli. Pocę się, drażnią mnie ludzkie gęby, mam złe przeczucia.

Półka z pracą o Judaszu jest wolna, kot zniknął. Pardon — kotka! Nie wiedziałem, że to kocica, nie filowałem jej pod brzuch. Zorientowałem się przypadkowo, wróciwszy od Saturna, i natychmiast uznałem rzecz za naturalną, wprost ewidentną. Zwłaszcza białe futro kryjące pół ciała, aż do łebka, wyglądające niczym etola owinięta wokół pleców i piersi kobiety...

Późno w nocy budzi mnie dzwonek telefonu.

— Słucham!

Na drugim krańcu drutu zastępca Roberta bełkocze jakieś zdania. Jest przerażony, nie może się wysłowić, charczy do słuchawki, pluje treścią, której nie rozumiem. Każę mu gadać wolniej, krzyczę, by się uspokoił, lecz nie słyszy. Z zalewu jęków wyławiam tylko:

— ... atychmiast przyjechać!... araz!... pan przyjedzie, niech pan... czniku!... mcznikuM!

Wzywam radiowóz i ubieram się jak szalony. Serce bije mi w piersi gwałtownego marsza. Serce. Kiedyś wysiądzie od takiego właśnie strachu, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze ci nie wolno. Jeszcze popracuj na mój rachunek. Miałem w głowie tyle nie spełnionych rojeń — daj mi dłużej roić! Miałem przed

sobą lata i zimy — daj mi znowu wyczekiwać wiosny! I muszę kogoś odnaleźć — wódz na pokuszenie czarnego robaka mego szaleństwa! Życie było piękne, pełne egoizmu i cierpienia innych. Dlaczego tak wcześnie wszystko się gmatwa, co?...

Przed drzwiami gabinetu Roberta stoją jego podwładni. Mają sine cienie wokół oczu. W tych wybałuszonych ślepiach drga szok. Mają twarze ludzi, którzy ujrzeli diabła. Ta gromada sadystów, przywykła do zadawania mąk, nieczuła wobec najokropniejszych cierpień, ujrzała coś, co ją przeraziło i wpędziło na pokład hysterii. Zbili się w stado, niczym bezbronne pisklęta, i trzęsą się konwulsyjnie. Szarpię kurtkami, bluzami, ramionami. Są jak manekiny witrynowe, mają otwarte usta, lecz nie mogą wydusić słowa. Krtanie pełne gipsu.

— Gdzie jest Robert?! — krzyczę do nich. — Gdzie jest Robert?!...

Któryś podniósł rękę i wykrztusza:

— Tam... tam... na... na trójce... w celi... w celi numer trzy... trzynaście...

W celi numer trzynaście? To główna cela, duża, w niej Robert trzyma tych kilkudziesięciu „*tancerzy*” z klasztoru. Pędzę schodami jak huragan, przefruwam salę tortur i gnam korytarzem do części więziennej, a serce bije mi bardzo szybko. Zwalniam przy drzwiach, które są całkowicie rozwarte.

Stoi na środku celi, nieruchomy jak posąg. Musiał słyszeć dudnienie moich butów, ale nie odwrócił głowy. Stoi i milczy. Przed nim, w kącie celi, leży piramida włochatych ciałek. Skurczone trupki o łapkach cienkich niby patyki i o wielkich reflektorowych ślepkach, które zdążyły już zmatowieć niczym bielmo. Wszystkie mają rozdarte gardła. Zakratowane żarówki rzucają spod sufitu blade światła na gromadę wykrwawionych lemurów. W powietrzu unosi się słodkawy odór tej juchy, która czerwieni nam źrenice i ma tak intensywną barwę jak farba imitująca przy kręceniu filmów krew ludzką. Ale to są małpiatki. Nie będzie koncertu.

Boję się odezwać do Roberta. Jego stężałe rysy budzą grozę. Jego upiorny wzrok dziwi się hekatombie, nad którą faluje cichutka melodyjka śmierci z dalekiej Lemurii. Długo już tak trwa bez ruchu?

Kiedyś stał tak samo na pawimencie miejskiej rzeźni i takim samym wzrokiem świdrował trupy bydła pomordowanych w bestialski sposób. Opowiadano mi o tym. Własnoręcznie wtedy rozstrzelał dwóch wicedyrektorów i kilku pracowników, a głównego dyrektora kazał ubić na ruchomej rynnie, gdzie bije się rzeźne tuczniki. Potem zadzwonił do pułkownika, żądając, by ten przyjechał w ciągu kwadransa. Pułkownik, który ceni Roberta szczególnie, przyjechał od razu. Robert powiedział mu, iż życzy sobie, aby bezzwłocznie zmodernizowano wszystkie rzeźnie kraju, dzięki czemu ubój zwierząt będzie bardziej humanitarny. Pułkownik odpowiedział, że taka modernizacja wymaga grubych inwestycji, kupienia nowoczesnych licencji, a więc jest kwestią

funduszy, które uruchamiają tylko Makis i Saturn. Wówczas Robert zadzwonił do Saturna, żądając tego samego, czego wcześniej żądał od pułkownika — rychłej wizyty w rzeźni. Znajdujący się tam funkcjonariusze byli już przerażeni wystarczająco, ale naprawdę włosy zjeżyły się im dopiero wtedy, gdy Robert, nim rzucił słuchawkę telefonu, powiedział swoim szeptem:

— Radzę panu przyjechać, panie komendancie. Czekam.

I stał się cud. Saturn przyjechał, otoczony plutonem ciężkozbrojnych goryli, tudzież komandem swoich Amazonek. Wkroczył na halę uboju, zatrzymał się przed Robertem i warknął:

— Czego?... Spisek?... W rzeźni?

Robert powtórzył mu swoje życzenie i gruchnęła cisza. Ludzie Saturna mieli już pewność, że mój brat to żywy trup. Fabryczny strażnik, który mi relacjonował tę historię, rzekł, iż pragnął wtedy wleźć pod ziemię, nie być tam, nie istnieć, nie zostać przez Saturna zanotowanym. Saturn morderczym wzrokiem piorunował twarz Roberta, a ten nie odwracał swojego wzroku.

Wreszcie komendant uciął milczenie:

— Tylko dlatego każe mi pan przyjeżdżać tutaj, poruczniku, aby mi zawracać dupę byłem rzeźnym?!! — wychrypiał z wściekłością.

— Tak, panie komendancie — padła odpowiedź.

— Świnie czworonożne nie interesują mnie, poruczniku, zajmuję się dwunożnymi. Tymi, które są zuchwałe, zajmuję się w specjalny sposób!

— Dzisiaj zrobi pan wyjątek i zajmie się trzodą czworonożną — odszeptał mój brat.

Znowu milczenie. Pod sufitem rzeźni czaiła się śmierć ludzi. Przy Robercie było tylko pięciu z grupy jego tajemniczych desperados, gotowych rzucić się dlań do każdego gardła na świecie. Wtem Saturn lekko się uśmiechnął. Jego azjatyckie drapieżnice i jego goryle sądzili, że parsknie: — A jak tego nie zrobić?... Lub od razu każe aresztować mojego brata. Tymczasem, ku zaskoczeniu wszystkich, komendant mruknął:

— Bez decyzji Pana Prezydenta nie mogę tego zrobić. Decyzję, i to decyzję pozytywną, zgodę Prezydenta, uzyskam dziś wieczorem, gdy będę dzwonił do pałacu.

Wykręcił obcasy i wyszedł. Rzeźnie zmodernizowano. Dzisiaj wszyscy wiedzą, że Robert to jedyny gliniarz, którego Saturn szanuje i któremu szczędzi złośliwych przytyków.

Teraz Robert stoi tak, jak wówczas w rzeźni, kiedy osłupiał, widząc zaszlachtowane bydło. Istnieje tylko jedna różnica. Wtedy pojmował, a teraz niczego nie pojmuje.

Przy drzwiach celi zjawia się pułkownik. On również nie wie, jakim cudem czterdziestu trzech więźniów zamieniło się w małpiatki i kto im przegryzł gardła.

Jest wściekły, klnie bez ustanku. Robert odwraca się do mnie i szepcze zbielełymi wargami:

— Mój strażnik widział czarno-białą kocicę, braciszku! Czy to twój kot?

— Nie! Mój cały dzień kręcił się po domu. Zamknąłem go jadąc tutaj.

Pierwszy raz w życiu okłamałem brata.

Jestem winien wszystkiego, całego tego burdelu! Ja przywiozłem z cmentarza kocią bestię, i wprowadzając ją do swej chałupy — wprowadziłem do gry! Zastanawiam się, co zrobić, żeby ratować dupę Roberta i moją. Saturn nie daruje nam, gdy zostanie poinformowany, a nasza bezradność wobec złowieszczych czarów-marów stanowi alibi kiepskie. Trzeba szybko działać! Trzeba przełamać pechową passę bliźniaków! Trzeba znaleźć to babsko!

Istnieje tylko jeden sposób, jedyna szansa. I ja muszę to zrobić, bo mój był błąd. Zostało aż sześć dziurek fletu, których nigdy dotąd nie użyłem podczas gry. Dwie ostatnie rozerwały Tytusa. Mogą i mnie trzasnąć; jeżeli tak się stanie, będzie to kara, na jaką zasłużyłem. Ciężko ryzykuję, lecz nie znam innej możliwości.

— Kiedy miał się odbyć koncert? — pytam Roberta.

— Za trzy dni, braciszku.

— W porządku, przez te trzy dni nie informuj Saturna, udawaj, że wszystko gra. Spróbuję inaczej znaleźć tę panią.

— Jak, braciszku?

— Metodą matki.

— Za późno — mówi pułkownik. — Saturn prawdopodobnie już wie. Bez wątplenia ma informatora w tym gmachu.

— Nawet dwóch — szepcze Robert.

— Znasz ich?

— Znam.

— Więc dlaczego ich nie zlikwidowałeś?! — krzyczę.

— Po co? Wówczas mógłby kupić innych, których ja mógłbym nie znać. A tak pilnowałem tych dwóch kapusiów i zaskoczyć mnie nie mogli.

— Ale teraz to już nie ma sensu!

— Mylisz się, raczej nie ma strachu, braciszku. Nie zdążyli przekazać informacji, bo od razu kazałem ich zamknąć. Przytrzymam ich parę dni, jeśli chcesz.

Mój brat jest mądry, nie robi błędów. Czekamy na decyzję pułkownika. Pułkownik mówi:

— Dobrze. Postaraj się, synu, znajdź tę kurwę, bo tu już za gorąco, nie można normalnie spać! Różne rzeczy widziałem w swoim życiu, ale to, co się dzieje z tą sprawą, eliminuje rozum, kasuje zdrowe klepki! Logika wzięła sobie urlop, psiakrew, dookoła same cuda!... Znajdź ją! Musisz to zrobić, musisz,

kapujesz?!... Wiem, że masz swoje diabelskie sztuczki, zawsze cię podejrzewałem o to... Ja też nie będę próżnował. Mario jest już zdrowy, puszcę tłuściocha do biegu. Jego głód bab da nam drugą szansę!

Pułkownik ma słuszość: logika wzięła sobie urlop wypoczynkowy. Nie szkodzi, mój flet obywa się bez niej.





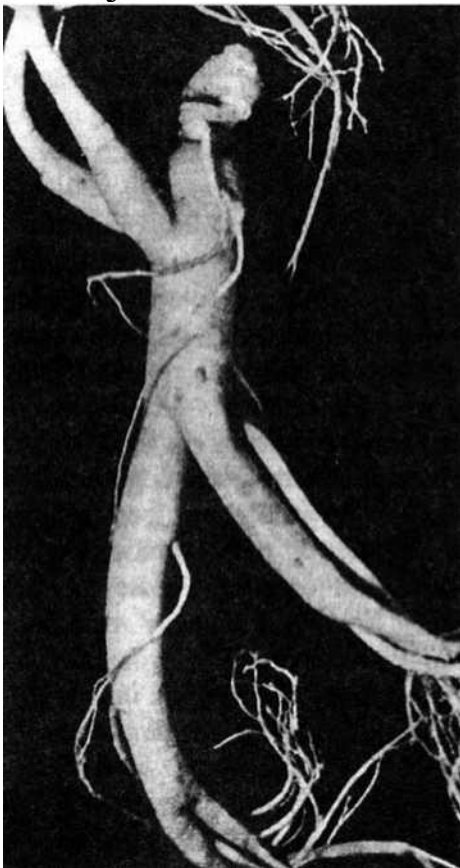
7

Mój flet został wykonany z korzenia mandragory i ze złota. Posiada złoty ustnik i wyłożony jest wewnątrz złotą blachą. Według wuja Arnolda zrobił to cudo Stradivarius fletu, Louis Lot, na zamówienie różokrzyżowców XIX-wiecznych. Ostatni różokrzyżowy właściciel instrumentu miał zemrzeć — też według wuja Arnolda — gwałtowną śmiercią. Lot robił złote flety, gdyż złoto daje cieplejsze brzmienie niż srebro lub platyna. Zatem mit drogiego kruszcu nie wchodzi tu w grę — platyna jest droższa od złota, lecz flet platynowy jest zimny.

A mandragora? A jej drogocенność? Mandragora, z której Lot lub ktoś inny wykonał ciało fletu, daje instrumentowi cechy magiczne. Pierwszy flecista naszej epoki, Jean-Pierre Rampal, gdy dziennikarz spytał go: „*Co szczególnie atrakcyjnego znajduje pan w instrumencie, którego jest pan wirtuozem?*”, odparł: „*Mój przyjaciel lekarz twierdzi, że na dźwięki fletu szczególnie wrażliwe są kobiety. Samo to wystarcza, by chciało się zostać flecistą. Nieprzypadkowo flet był najdawniejszym instrumentem człowieka. Może dlatego, że jest najbardziej zbliżony do ludzkiego głosu, że jest prosty i niesłychanie bezpośredni. Używali go magowie, szamani, czarownicy, związany jest ze wszystkimi prymitywnymi wierzeniami, religiami i obrzędami rytualnymi wszelakich kultów*”.

W rytualnych obrzędach różokrzyżowców mandragora służyła jako mistyczny łącznik między Krzyżem (symbolem Samoofiarowania) a Różą Hermesa (Symbolem Wiedzy Tajemnej), będąc elementem integrującym dwa pierwsze symbole i neutralizującym je wobec trzeciego: wobec Pelikana o szeroko rozpostartych skrzydłach, którymi karmi trójkę swoich dzieci własnym mięsem i krwią.

„*Radix Giséngi*”. Od prawników czczona jako symbol nadprzyrodzoności i tajemnicy, i jako najpotężniejsza istota w świecie flory — stąd jej kult. Zwano ją mandragorą (greckie „*mandragóras*”) i alrauną (niemieckie „*Alraune*”, czyli dziwostret). Arabowie mówili: „*tuffah al shejtan*”, co znaczy: roślina szatana lub „*diabelski ogarek*”, gdyż podświetlały ją nocą robaczki świętojańskie gniezdzące się w róży jej płatków. Jest bardzo rzadka, a musi minąć kilkadziesiąt lat od chwili, gdy ziarno padło w ziemię, by uzyskać swój pełny wzrost. Jej liście sięgają wtedy długości pół metra, lecz nie liście są ważne, tylko korzeń skryty w ziemi. Ma on sylwetkę ludzką (dwie nogi, ręce i głowę), toteż starożytni Europejczycy zwali go: „*planta semihominus*” (rośliną na wpół ludzką), Azjaci zaś „*żeń-szeń*”, co znaczy po chińsku: człowiek- korzeń lub imitacja człowieka.



Mandragorowych ludzików zwano powszechnie alraunami, a te korzonki, które najbardziej przypominały ludzi, nie były brane do wyrabiania maści, mikstur czarodziejskich,



amuletów czy talizmanów, tylko przechowywano je w domach. Prawdziwie cudowną właściwość miały dziwostręty wykopane pod szubienicami i zachowujące figurę wisielca. W jednym z albumów mojej matki widziałem zdjęcie noszących płaszczyki alraunów, kobiety i mężczyzny, którzy należeli do cesarza Rudolfa II, miłośnika astrologii, alchemii tudzież innych hermetycznych nauk (kiedyś te dwa ludziki mandragorowe wały się wśród zbiorów Ambrozyjskich biblioteki wiedeńskiego muzeum, ale nie wiem, czy jeszcze tam są). Obok widniał mandragorowy sztych. Jego bohaterką była wiedźma, która pod szubienicą nęci kawałkiem mięsa kundla uwiązanego za szyję do korzenia mandragory. Wywlekany z ziemi alraun rozkładał ręce i krzyczał żałośnie.

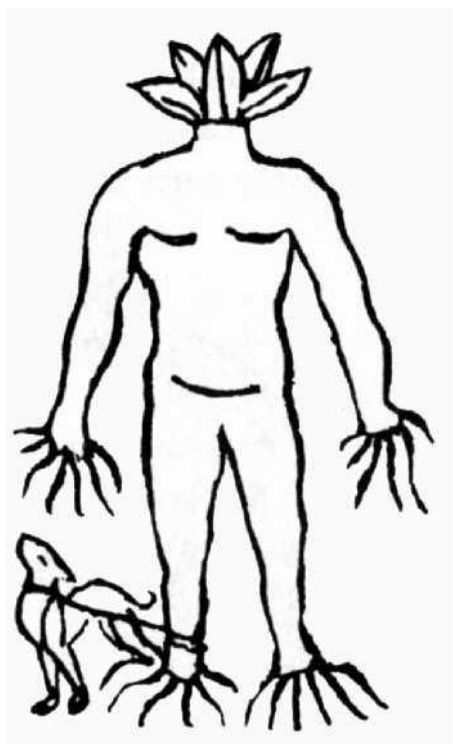
Jak świat światem — korzenie mandragory ceniono na wagę złota. Po pierwsze — dla ich mocy czarnoksięskich. Mandragora bowiem przynosi szczęście, może czynić człowieka figurą niewidzialną, chroni przed zranieniem, uśmierza ból, leczy wszystkie



choróbska, pobudza miłość (stąd zwano ją także „jabłkiem miłości”), niby różdżka wskazuje złoża cennych minerałów, wróży śmierć, zmieniając swą barwę ujawnia sekrety przyszłości, wreszcie wydłuża młodość (dzięki naparom z niej chińscy mandaryni i tybetańscy lamowie zachowywali żywotność organizmu w sędziwym wieku).

Cenę alrauna mnożono też dla strachu, jaki budziło wędrowanie nocą pod szubienicą (czarodziejska roślina kwitła tam, gdzie odcięty ze sznura wisielec spadał i znaczył truchłem zarys ludzkiej figury), i dla niebezpieczeństwa, jakim groziło wyrywanie dziwostretów. Wyrywany alraun krzyczy bowiem w straszny sposób, przez co lud zwie mandragorę pokrzykiem. Gdyby ktoś chciał zwyczajnie ją wyrwać, lub gdyby tylko dotknął ręką — ów krzyk zabije zuchwalca. Toteż rwano cenne korzonki innymi metodami, choćby przywiązując do miecza i ciągnąc głównię albo klingę. Żyjący w pierwszym wieku po Chrystusie rzymski uczyony Pliniusz zdążył zanotować (nim rozgotowała go erupcja Wezuwiusza): „*Wykopujący mandragorę strzegą się złego wiatru i w pierw kreślą mieczem trzy kręgi, a dopiero później kopią, patrząc ku wschodowi*”. W III wieku przed Chrystusem następca Arystotelesa, grecki filozof Theophrastos, podał, iż kiedy ktoś wykopuje mandragorę — ktoś drugi winien tańczyć wokół i recytować zaklęcia. Innym sposobem było przywiązywanie korzenia do szyi lub do ogona głodnego psa i wabienie zwierzęcia mięsem. Pies szarpał się ku pożywieniu, wyrywał alrauna i padał martwy. Zabijał go rozdzierający krzyk rośliny, a ludzi znajdujących się obok czekało to samo, bądź przynajmniej pomieszanie zmysłów, gdyby wcześniej nie zatkali uszu woskiem. Syrenius (wiek XVI) tak opisał w swym zielniku wykopywanie alraunów:

„*Wykopują się pod szubienicami, gdzie rosną z opadłości tych, którzy wiszą. Do psa lub kura czarnego korzeń przywiązawszy, uszy sobie pierwszej zatykając, żeby głosu tego pokrzyku nie usłyszeli, od którego, gdyby go słyszeli, zaraz by pomarli, wyrywają, jakoż pies i kur zdychają od one go krzyku*”.



Szekspir musiał znać ten przepis i to niebezpieczeństwo, skoro włożył w usta Julii następujące słowa:

„ krzyk podobny

Do tego, jaki wydaje ów korzeń Ziela pokrzyku, gdy się go wyrywa,

Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie”.

Literatura mandragory jest dawna jak pisane słowo. Wzmianki o mandragorze znajdują się na kartach Księgi Rodzaju (Rachel, żona Jakuba, chciała swą siostrę, Lię, pozbawić płodności ziołami, czemu zapobiegł pierworodny syn Lii, Ruben, przy pomocy mandragory) tudzież na stronicach „Odysei” (Kirke, władczyni wyspy Ajaja, mandragorowym wywarem przemieniła w wieprze kamratów Odyseusza). Boginię seksu, Afrodytę, zwano Mandragoris, gdyż od tej rośliny miała się brać jej moc. Wzmiankowało mandragorę wielu antycznych pisarzy, a Pliniusz Starszy podkreślał, że sok mandragorowy leczy ukąszenia węży, jednak pity nadmiernie sprowadza zgon. Opisywano przydatność mandragory dla wojennego rzemiosła (praktykował to Marhabel, wódz Kartagińczyków) i dla rozmiękczenia kości słoniowej (Syrenius). Na pierwszej stronie rękopisu Dioscoridesa widać autora trzymającego mandragorę, a obok czarnego psa w konwulsjach przedśmiertnych. Poświęcali mandragorze akapity swych dzieł historyk wizygocki, biskup Jordanes (VI wiek), włoski mąż stanu, pisarz i encyklopedysta, Ser Brunetto Latini (XIII wiek), Erazm z Rotterdamu i niemiecki rymopis Hans Sachs (obaj XVI wiek), tudzież cała gromada innych mistrzów.

Nimbem królewskim okadzały mandragorę Wieki Średnie, kiedy to alrauny czczono jako bożki domowe, chowano między klejnotami, przed każdym

świętem kąpano w winie (bez tego mały ludzik traci swą cudowną moc), kładziono nocą do łóżka, a przy głównych uroczystościach stawiano na stole i karmiono smakołykami. Karmić trzeba było koniecznie, gdyż głodny alraun okropnie krzyczy i sprowadza pecha. Wuj Arnold kąpał swój flet w Château Margaux, i ja czynię tak samo, chociaż jest to najdroższe wino z importu. Również w Château Margaux kąpię amulet, który dała mi matka. Ów amulet znaleziono później wśród ruin naszego domu, zaś mandragorę, z której został przycięty, jakaś kobieta miała wykopać spod starej szubienicy policyjnego cmentarza i sprzedała matce (myślę, że to moja matka była tą kobietą, tylko wstydziła się przyznać do swoich praktyk).

Matka uważała, że taniec oraz miłość są pierwszymi i głównymi atrybutami mandragory. Źródłem tej wiary było chyba drugie imię Wenus, jak również to, co pisał Theophrast — że wrywany korzeń jest bezsilny, gdy przy wrywaniu nie tańczono. Kabalistyczny amulet z mandragory, który utracił kształt alrauna wskutek szlifowania, miał mnie bronić przed śmiertelną raną, jaką zechce mi zadać diaboliczna Lilith. Matka ujrzała to podczas swego transu i była pewna, że kiedyś będzie mi grozić takie niebezpieczeństwo. Złościło ją, że lekceważę tę wróżbę, ale byłem młody i miałem co innego w szarych komórkach, czyli w lędźwiach. Dopiero kiedy spostrzegłem, iż ze wszystkich kobiet najbardziej nęcą mnie tancerki, przypomniałem sobie o wróżbie matki i zacząłem nosić na szyi ten amulet. Jestem przesądny, to cecha rodzinna.

Jestem także domyślny. Stojąc wraz z Robertem i z pułkownikiem w celi pełnej zagryzionych lemurów, poczułem dziwną woń. Chociaż tłumiona odorem krwi — nie dawała się stłumić kompletnie. Była to charakterystyczna woń soku alraunowego. Matka leczyła nim choroby moje i Roberta, natomiast Kirke przemieniała nim ludzi w zwierzaki, gdyż pokrzykowy wywar ma taką właściwość, byle tylko odpowiednie zaklęcia zostały rzucone. Ktoś musiał przynieść go do celi i tym ułatwił sobie rzeź lemurów, łatwiej bowiem gryźć gardła odurzonym małpiatkom niż ludziom. Ten ktoś mi zapłaci za swój czyn, jeśli tylko mój flet spełni nadzieje, jakie w nim pokładam.

Na flecie wuja Arnolda pierwszy raz grałem, gdy już wuja wśród żywych nie było. Grałem ostrożnie, pamiętając śmierć Tytusa i śmierć różokrzyżowca, którzy dotknęli palcami wszystkich kłapek zamykających dziurki, jak również przestrogę wuja, bym nigdy nie bawił się tym instrumentem, bo wynosi on ku światom, gdzie jest wszystko prócz rozsądku, ku światom snów, koszmarów i zjaw z przeszłego życia, i gdzie świadomość jest na wpół postradana przytomnością, a ubóstwo codziennych myśli zamienia się w bogactwo doznań i talentów. Nęcił mnie jednak tym silniej, im bardziej był mi wzbroniony.

Pamiętam jak wziąłem go wtedy między wargi i wydobyłem z niego mój pierwszy dźwięk. Nic się nie stało, poczułem tylko cień zamroczenia trwający

parę sekund, i ujrzałem ze zdumieniem, że drzwi komnaty otworzyły się same. Dmuchałem więc wyższy ton i miałem wrażenie, że z głowy paruje mi coś dziwnego, jakby dym lub mgła. To coś rozsnuwało się wśród mebli i bibelotów, sprawiając, że dostrzegałem je niczym przez opar bagienny, albo jak w niewyraźnym koszmarze z mrocznego snu, gdzie drgają kontury, wykrzywiają się kształty i myśli tańczą upojnego walca. Próbowałem zagrać jeszcze mocniej. Ledwie dmuchałem, rozległ się bezgłośny wybuch, mózg zrobił piruet pod czaszką, i mogłem kontemplować wirujący kalejdoskop barw zwanych psychodelicznymi. Przesunąłem palec, by otworzyć dwie następne dziurki. Barwna karuzela zwolniła, stała się bezkresnym, falującym pejzażem, a ja, lichy człowieczek, wyzwolony raptownie ze wszystkich więzów mego świata, poczułem, iż frunę niby ptak nad ziemią i z wysokości chmur patrzę w okna ludzkich siedzib i w dusze nie znanych mi wędrowców. Dudniące echo życia i biegnący czas oddalały się i rozmywały wzdłuż horyzontu, ja zaś zwiedzałem wszystkie miejsca, które reklamowało mi biuro moich pijanych marzeń. Nie czułem własnego ciężaru, szybowałem jak puszek dmuchnięty w przestrzeń oddechem Stwórcy, wizytując źródła wieczności wśród różowych piasków, zwałów niebieskiego granitu i dziewiczych puszczy, gdzie człowiek na widok drugiego człowieka składa się bez zwłoki do strzału lub chlipie ze szczęścia i wręcza ostatnią kromkę plus ostatni łyk burbona. Tak muszą się czuć Zeusy, narkomani i wędrowne ptactwo.

Ocknąłem się kilkanaście minut później, chociaż wydawało mi się, że moja lewitacja trwała kilka godzin.

Potem grałem tylko parę razy, nie więcej niż dziesięć. Każda taka uwertura dawała mi — prócz „odlotów” — ból serca, huk w skroniach i niezdolność do pracy wielogodzinną, czasem nawet dwudniową. Właśnie wtedy, kiedy szukałem morderców wuja Arnolda, przypadkowo otwarłem jedną dziurkę poza granicą bólu, którą wyznaczyłem dla moich płuc jako punkt nieprzekraczalny. Miałem akurat zakrwawioną chustkę, którą znaleziono przy łóżku wuja, i mimowolnie zsunąłem palec, a palec wcisnął kawałek metalu, i tak się stało. Silny ból, jak od uderzenia czaszki ciężkim przedmiotem, wepchnął mnie w czeluść, na dzień której zobaczyłem człowieka manewrującego trupem wuja! Zapamiętałem tę mordę, i jak tylko wróciła mi przytomność, ściągnąłem specja robiającego dla pułkownika pamięciowe portrety, a gdy według mojego opisu machnął rysunek, dałem ten konterfekt moim ludziom. Błyskawicznie znaleźli fotografie w rejestrze kryminalistów. To był ów jedyny capnięty przeze mnie morderca wuja.

Teraz będę musiał już z premedytacją posunąć się o kolejną dziurkę. Mam cholernego pietra, ale nie mam wyboru — trzeba to zrobić. Walnąłem już testament i list do brata, leżą w kopercie na biurku. Boję się jeszcze czegoś — że jak umrę, Robert również przyplaci to zgonem. Co martwi mnie dużo bardziej niż

perspektywa mojego zgonu.

Zakładam maskę tej kobiety. Jest trochę ciasna i pachnie kocią sierścią. Biorę flet i pcham złoty ustnik do otworu gębowego maski. Wciągam głęboko powietrze. Teraz zamknę oczy i wydmuchnę powietrze...

Kontury wszystkiego mdleją... przesuвам palce... przesuвам dalej, w dół... Eksplozja barw kręci mi oczy jak maleńkie globusiki... Przesuвам jeszcze dalej, tak daleko nie ryzykowałem nigdy dotychczas... Bożeeee!....

Czarne niebo rozjaśnia się z wolna i kołysze niczym wahadła zegarów. Wolniej i wolniej, wreszcie nieruchomieje. Stopniowo cichnie też dźwięk monstualnego gongu, w który ktoś uderzył przed wiekami. Widzę jakieś twarze pochylone nade mną. Słyszę dalekie, melodyjne głosy, bujające się sinusoidy fonetyczne, takie wesołe, takie kolorowe, takie przytłumione, jakby dobywały się z pudełka.

— Żyje... yje... yje... yje...

— Rozwarł oczy... oczy... oczy...

— Wlejcie mu do ust koniaku... aku... aku... aku... Nie za dużo... użo... użo... użo...

Robert ze swoimi chłopcami. Na twarzy niepokój i troska, czoło ma całe obandażowane. Cierpki, palący płyn łaskocze mi koniuszki warg i sięga przełyku. Żyje.

Minie godzina, nim zapytam, leżąc w głębi kanapy, z jaśkiem pod głową:

— Co ci się stało?

— Prawie mnie wykończyłeś — szepcze. — Straciłem zmysły, rąbnąłem baniakiem o „*Konfesjonal*”. Moi ludzie cucili mnie wodą, przebudziłem się i domyśliłem, że to ty coś robisz. Zajechaliśmy tu, a ty leżysz na dywanie. Przynajmniej upadłeś na dywan...

— Sorry!

— Wiesz już coś, braciszku?

— Wiem.

Uśmiecha się. Robert tak rzadko się uśmiecha. A mnie chce się płakać.

Widziałem ją. Poznałem ją od razu, jakże mógłbym zapomnieć. Ujrzałem ją tańczącą wśród dziwnych ludzi, białych i przezroczystych niby strzępy mgły — chyba wśród zmarłych, których dusze błądzą po bezkresnych pustyniach kosmosu, lecą nad gwiazdami i planetami, i szukają czegoś, co istnieje już tylko we wspomnieniach. Był to jakby obraz świata, lecz uproszczony do wnętrza tego paryskiego kabaretu, gdzie tańczyła wtedy, kiedy była moją kochanką. Nie widziałem jego ścian z liliowymi tapetami, ni galerii zwieńczonej balustradą, za którą kryły się cele dla płatnego seksu, jednak estrada z wiśniową kotarą falującą wśród chmur białego pyłu była ta sama, a moja metresa dreptała po niej do wtóru muzyki, zonglując tacą i rozpuszczając włosy jak warkocz komety

międzygalaktycznej. Tam, w Paryżu, na tacy leżała atrapa głowy Turka, wypożyczona od iluzjonisty, co miał swój numer przed baletnicą, jednak teraz była to żywa głowa jakiegoś człowieka, moja, Roberta, Saturna lub prezydenta — rozpoznać się nie dało. Salome mrugała do kogoś obok sceny, lecz przez upiorny tłum widziałem tylko bladą sylwetkę karła. Zrobiłem wielki wysiłek, żeby się przybliżyć, bezskutecznie — moje ręce zagłębiały się w ich ulotne ciała, a pierś napotykała miękki, elastyczny opór. Kierowali ku mnie swoje szklane twarze i sykali ze złością. Wtem strumień świeżego powietrza rozwiał całe bractwo i dał mi wolną drogę. Zrobiłem parę kroków. Ujrzałem chłopca, którego już kiedyś widziałem na plaży. Chłopiec mrugał do Salome i śmiał się do niej, a ten śmiech przypominał mi oblicze kogoś znajomego, jakiegoś mężczyzny z jawy, faceta, co budził mój lęk, wszakże im bardziej starałem się przywołać jego tożsamość, tym trudniej było mi łowić obrazy zostawione za dźwiękiem fletu i za bólem, jaki rozdarł moją świadomość na dwie części. Widziałem jedynie plażę i chłopca uklepującego górę piachu.

Chciałem podejść blisko, ale wówczas widok się zmienił. Zobaczyłem wnętrze pustego klasztoru. Ona siedziała w fotelu, z maską na twarzy i z tacą na kolanach; przy niej siedział ten chłopczyk, z płonąca świecą. Słyszałem trzask biczów i chóralny śpiew, a widmowe figury tancerzy otaczały ich kręgiem, jak stado wilków. W pewnej chwili przez portal i biforia runęła do nawy monstrualna fala zielonej wody i wszystko rozkołysało się w mym widzeniu, zatoneło, zniknęło, tylko chłopca było wciąż widać nad spienionym żywiołem. Klęczał u szczytu piaskowego wzgórza i patrzył ku morzu, tak jak wtedy, bez jednej łyzy, podobny małym sfinksom.

Wydarzyło się to kilka lat temu, kiedy złapałem jakąś ciężką chorobę, której lekarze nie umieli diagnozować, ani tym bardziej leczyć. Chyba właśnie dlatego znalazłem się na półwyspie, w owej miejscinie, której imienia nigdy nie poznałem. To jedna z tych dziwnych miejscowości, które się snią i które się całkowicie zna, chociaż nigdy się w nich nie było. Wiesz, jaki widok zobaczysz za rogiem każdej ulicy, i którądy masz iść do kościoła lub do dworca kolejowego. Była wtedy wczesna jesień, a samochód, który mnie tam przywiózł, szpanował płócienną karoserią lat trzydziestych, widywaną dzisiaj tylko wewnątrz encyklopedii i muzeów.

Pamiętam — rzuciłem walizkę obok łóżka w pokoju pustawego pensjonatu, i nie zdejmując płaszcza wyszedłem na balkon. Słuchałem krzyku mew i niewidocznej syreny okrętowej. Horyzont mroczyły tumany ciemnych chmur. Jakiś czas identyfikowałem kształty obłoków z sylwetkami zwierząt i ludzi. Później opuściłem źrenice. Ujrzałem pasmo piachu i ją.

Siedziała w kucki, tyłem do mnie, daleka i zgarbiona jak konik szachowy. Widziałem czarne włosy i barwę swetra. Wyobraziłem sobie, że jest prześliczną

dama. Obok niej siedziała kruczowłosa dziewczynka niezwyklej urody, a kilka metrów dalej ten chłopiec budował piramidę z piachu. Kiedy rozpakowałem manatki i znowu wyszedłem na balkon — ich już nie było.

Wieczorem siedziałem w drzwiach balkonowych, obserwując, jak słońce wchodzi do morza.

Rano stara kobieta, właścicielka pensjonatu, przyniosła mi śniadanie. Zapytałem, czy możliwe jest pożyczenie lornetki. Patrzyła długą chwilę milcząc, jakby zdziwiona, skąd wiem, że ma lornetkę. Później odwróciła się bez słów i nim skończyłem jeść, przyniosła wielką marynarską lornetkę Zeissa, z żółtawymi przetarciami smolistego poleru.

Mieścina miała plan i kształt dużej wiochy. Była cięta wzdłuż osią jedynej ulicy, równoległej do morza, wybielona słońcem i wiatrem. Gotycka świątynka, poczta, sklepiki, kilka pensjonatów, których secesyjne ornamenty pamiętały pierwszą wojnę światową, plus zbiorowisko rybackich chałup, krzywych i brudnych. W tym morskim miasteczku odnalazłem na krótko pantomimę sielskiego życia będącego ludzkim marzeniem — spokój, błogość, zapomnianą woń wilgotnych liści i leniwy rytm wracającej fali. Trwało to tylko chwilę, bo potem dosięgło mnie coś, czego nie mogłem się spodziewać.

Pamiętam — skręciłem w kierunku brzegu. Wiatr zdechł już nocą i morze było gładkie jak plaża między skarpami wydm a krawędzią wody. Na molo nie spotkałem nikogo prócz mewy strzegącej krańca pomostu obok dzwonu sygnałowego. Kiedy podszedłem bliżej, uskoczyła i rozpostarła skrzydła. Śledziłem jej lot, ale szybko zgubiła mi się w kołującym stadzie, i nie byłem pewien, czy obserwuję tę samą. Uderzeniem dłoni poruszyłem serce dzwonu, wzywając Latającego Holendra i Sindbada Żeglarza. Słuchałem tej melodii, zamykając wzrok.

Wtem od dołu usłyszałem głosy dzieci. Chłopiec wybiegł pomiędzy omszałych słupów mola i pędził przed siebie wrzeszcząc; później wyszła ta kobieta, prowadząc małą za rękę. Patrzyłem z góry i z tyłu, więc znowu nie widziałem jej twarzy, tylko włosy rozrzucone bezładnie na plecach. Pragnąłem, by odwróciła głowę, lecz nie uczyniła tego, a ja bałem się krzyknąć. Szła wolno, podrzucając kamyk.

Przystanęli w tym samym miejscu, gdzie zobaczyłem ją pierwszego dnia. Biegiem! Biegiem ulicą jak sprinter, dublowałem jak rekordzista próchniejące schody na piętro, przelatując chwyciłem lornetkę ze ściany. Wbiłem oczy w szkła, dysząc ciężko, chwilę szukałem, wodząc krzyżem podziałki, regulowałem ostrość, wreszcie ujrzałem jej twarz. Była piękniejsza niż tego pragnąłem. I była dosłowną kopią dziewczynki. Jakby wisiał obok siebie duet bliźniaczych portretów, tylko w innej skali — pełnowymiarowe płótno i miniatura. Miała lekko kościstą twarz, wielkie źrenice i dwa wachlarze rzęs czarnych niby noc.

Krucze włosy zasłaniały pół czoła i łamały się miękko na ramieniu. Siedziała trzymając kolana pod brodą, krępując nogi rękami, skulona, krucha, zgarbionym grzbietem do morza i do dzieciaków. Ja zaś uśmiechnąłem się, pełen wdzięczności, do Sindbada Żeglarza i do Latających Holendrów.

Wszystko to miało pastelowy koloryt olejów Modiglianiego, i razem z płochliwą orkiestrą ryku syren, popiskiwania mew, skrzypienia wiązań balkonu, szumu fal i wiatru tak wesołego, jakby bawił się spódnicami młodych, roześmianych dziewcząt — komponowało tło muzyczne dla moich pragnień. Musiała minąć długa chwila i musiałem uprecyzyjnić ostrość widzenia, by dostrzec, że po policzkach kobiety płyną łzy. Wtedy odechciało mi się śmiać.

A chłopiec wciąż budował swoją piramidę, wzmacniając jej strukturę dźwiganymi z wydm naręczami badylów.

Pamiętam — tę obserwację zakłóciła moja gospodyni. Weszła bez pukania, niosąc tacę obiadową. Przesunąłem stół, by widzieć właściwy fragment plaży, i jadłem wolniutko, podnosząc łyżkę na oślep do ust.

Nocą męczyły mnie majaki. Zbudziłem się późno, blisko południa. Musiała to być niedziela, gdyż obok pensjonatu ciągnęła procesja uzbrojona wizerunkami świętych. Dziewczynki w bieli posypywały bruk i chodnik stertą suszonych płatków, czterech żałobnie wystrojonych staruszków targało baldachim, pod którym kroczył młody kapłan unoszący monstrancję, a kobiety w koronkowych czepcach śpiewały, wertując modlitewniki. Tego dnia nie zjawiała się na plaży. Było zimno, mżyło. Czułem się jak wykiwany frajer i nie mogłem doczekać zmierzchu.

Kolejnego dnia wróciło słońce i moja śliczna przyszła wraz z dziećmi tam gdzie zawsze, a ja chwyciłem lornetkę i wybiegłem na balkon. Powtarzało się to każdego przedpołudnia. Świdrowałem wzrokiem jej wzrok, celując krzyżem ze skalą w szczyt nosa niczym snajper, który chce wstrzelić w cudzą głowę swoje przesłanie. Gasnącymi popołudniami, gdy ich tam już nie było, wychodziłem na plażę i szukałem jej śladów, nie bez rojenia, że może coś zostawiła i będę miał okazję, by jej to zwrócić. Wracałem o zmierzchu, by nocą budować jeszcze raz płomienną katedrę mojej żądy, pełną masturbicznej muzyki bez instrumentów.

Każdego z tych dni piramida chłopca stawała się większa. Przerosła go, musiał więc taszczyć kubelki piachu na sam szczyt. Robił to niezmordowanie, jak mrówki, które raz po raz, bez opamiętania, zdobywają wierzchołek mrowiska, by za chwilę pełznąć do dołu, i za chwilę znowu piąć się do szczytu.

Pamiętam — depcząc molo, ujrzałem ją z drugiej strony plaży, gdzie leżały łodzie i wisiały sieci rybackie. Stała przy łodzi i wydawało mi się, że pyta o coś grupę rybaków. Pobiegłem tam, kiedy zniknęła. W krypie, której burty łuszczyły się zieloną farbą, czterech staruchów rżnęło karciećkami. Grzecznie ich przeprosiłem, pytając, kim jest ta kobieta. Zezowali na mnie spode łbów.

Wreszcie jeden plunął na piach i zapytał ochrypłym głosem:

— Jaka kobieta?...

— No, ta, która była tu przed chwilą.

Mężczyzna splunął znowu, tym razem pod moje nogi, i warknął jeszcze bardziej ochryple:

— Te, wariat, wypierdalaj stąd!... Ale już, bo dam kopa!

Słyszałem za plecami złośliwy rechot hazardzistów. Pamiętnego dnia — był to dzień następny — usiadła w wysokim koszu, gdyż wiatr od morza nikiemniał, wiejąc coraz dokuczliwiej. Piaskowa budowla stała się już tak wielką, że chłopiec przestał znosić kubły piachu, wolał biegać — on i dziewczynka ścigali się między wydmami. Czarnowłosa uklękła, wzięła łopatkę syna i zaczęła rzeźbić jego piaskową piramidę. Widziałem szybkie ruchy jej rąk i raz tył, a raz przód jej głowy, gdy obchodziła strukturę dookoła, lecz najczęściej widziałem profil, nieco drapieżny, tak jak drapieżne są wszystkie rzeźby mistrzów. W gładkim stożku pojawiły się baszty, płaszczyzny dachowe, okienka i blankowania, niczym w zamkach rodem ze snów Violet-le-Duca i Ludwika Bawarskiego, i z bajek o średniowiecznych królewnach uwięzionych przez ojców, i może czekających tylko na ratunkowego cherubina, a może na zalotników, którzy mają wielkie penisy. Wyglądała krawędzie koniuszkami palców tak, że była w tym głaskaniu cała beznadziejność zbliżającej się chwili; jej ręce rozsiewały piasek jak szczęście, które przecieka przez palce i nie wraca, bo nie można go zmusić do tego.

Uwieszony lornetką na jej dłoniach, zbyt późno zauważyłem wysoką falę, co gwałtownie runęła ku plaży, liznęła stopy piaskowej góry i porwawszy torebkę kobiety, cofnęła się ku morzu. Czarnowłosa, chcąc złapać torebkę, brodziła w wodzie. Spostrzegłem, że od widnokregu ciągnie druga fala, gigantyczna biała chmura, monstualny bałwan, sięgający grzywą sklepienia niebios. Zaczęłem wrzeszczeć tak głośno, jak tylko potrafiłem. Chłopiec i dziewczynka biegli wzdłuż wydm, machając rozpaczliwie rękami, lecz ona tego nie widziała. I ów kolos, zrodzony gdzieś w głębi oceanu przez boga trąb powietrznych i tajfunów, runął ku brzegowi, topiąc wszystko, łykając kosze i zeschnięte wodorosty, jedynie szczyt piaskowej góry wydostał się ponad zalew, by ratować dwójkę dzieciaków, które zdążyły się wspiąć. Kiedy fala ustąpiła — byli tam już tylko oni.

Krzyczałem dalej jak wariat, i ściągnąłem tym krzykiem gospodynię.

— Co panu jest?

— Tam!... Tam!... — wydusiłem z bolącej krtani. — Tę kobietę porwały fale, o tam!

— Jaką kobietę?

— Tę, która przychodziła tu codziennie z synem i z córką!! Jej dzieci siedzą

na tej górze piachu, o tam, widzi pani?

— Nic nie widzę, proszę pana, zupełnie nic.

— Jak to nic?!... O, tam!!!

Jeszcze raz wytrzeszczyła ślepią w kierunku plaży, by zaraz spojrzeć na mnie przestraszonym wzrokiem i czmychnąć.

Uniosłem lornetkę do oczu. Dzieci jakby nie pamiętały, że chwilę temu woda wessała ich matkę. Filigranowa panienska tańczyła boso, falując rączkami niby wstążkami, wbiegając na szczyt ruiny zamkowej i kręcąc tam zgrabne piruety. Wyglądała niczym fajansowa baletnica na mosiężnej podstawie. Chłopiec klęczał obok tych ruin i gapił się ku morzu ze skupioną uwagą, ale bez śladów emocji lub rozpacz.

Zbiegiem po schodach i pędziłem do brzegu, wszakże brakowało mi sił, więc blisko trzech czwartych dystansu zatrzymałem się. Tymczasem dzieci biegly już do mola. Mijając mnie, przystanąły na chwilę, zdumione bardzo, że mężczyzna roni łzy. Obeszły mój cień cichutko i pobiegły dalej.

Nazajutrz plaża była pusta jak pustynia. Spakowałem się i wyjechałem, żegnany pełnym współczucia wzrokiem właścicielki hoteliku.

Nigdy już nie odnalazłem tej miejsciny na krańcu półwyspu. Tylko w malignie. Plaża jest taka, jak była z nią, smutna i zaniedbana. Podchodzę do kobiety i wieńczę najwyższą basztę zamku czerwoną różą, kupując tym uśmiech karminowych warg, który szuka lustra w wielkich, zielonych arealach źrenic...

Czy się wtedy zakochałem? Nie, jeszcze nie wtedy, czarny robak mego szaleństwa był wciąż od mego serca zbyt daleko. Ale widma tego dramatu nie dawały mi zapomnieć jej twarzy.

Dwa lata później ujrzałem ją znowu, i wreszcie mogłem ją dotknąć — i przemówić nie we snach!

Żyłem wówczas z wieloma dziewczętami i wyznawałem jedynie miłość fizyczną, czemu Paryż tak nieodparcie sprzyja. Krystian, mój kolega ze studiów, człowiek bardzo prawy, powiedział mi, że udaje łotra tylko dlatego, by nie zrażać do siebie płci pięknej.

— Zakonotuj sobie! — mówił. — Baba zniesie każde łajdactwo, z wyjątkiem nieskazitelnosci, i każdą obelgę, wyjąwszy nadmierny szacunek!

Uwierzyłem mu; moja matka, która tak długo wołała być nieszczęśliwą przy ojcu niż bez niego, dowodziła słuszności tej maksymy.

Jako gorąca wielbicielka miłosnych romansów matka próbowała nawiązać kontakt mediumiczny z każdym „świętym sercem” (tym terminem mieniła dzielne i cnotliwe niewiasty wszystkich epok).

Ołtarz jej wzruszeń zaludniony był bohaterskimi żonami dawnych czasów, jak Arria, małżonka skazanego na samobójstwo konsula rzymskiego, Paetusa, która dodała mężowi odwagi, przebijając się sztyletem i mówiąc: „*Paete, non dolet*”;

jak młodziutka Maria Wołkońska, co rzuciła dzieci, włości i luksusowe życie, i wędrowała sześć tysięcy wiorst po śniegu, by żyć w ziemiance, ale razem ze swym uwięzionym na Sybirze mężem, siedemnaście lat od niej starszym generałem Sergiuszem Wołkońskim; lub jak Margueritte Peters, żona „*króla śmiechu*”, Maxa Lindera, która pragnęła mu wszędzie towarzyszyć, więc tuż po nim przecięła sobie brzytwą żyły w paryskim hoteliku „Phrygien”. Matka miała album pełen portretów takich dam (album ten spłonął razem z naszą chałupą), a przy jedzeniu często tłumaczyła jak one żyły. Niby mnie i Robertowi, w rzeczywistości wszakże pragnęła uwrażliwić starego. Był to syzyfowy wysiłek — ojciec lekceważył matczyne przypowieści i perswadował żującymi szczękami:

— Moja miła, istota głupoty zakochanych polega na tym, iż żadne z nich nie uświadamia sobie, że ONA lub ON muszą choćby smarknąć lub pierdnąć od czasu do czasu, jak każdy!

Któregoś dnia, krótko przed ich rozwodem, stary zaprosił swego kumpla, pokerzystę, pachnącego jaśminem profesora uniwersytetu. Profesor, gdy już wrębał całą michę kawioru tudzież wszystkie desery, zrobił nam prelekcję w kwestii różnic między człowiekiem a kobietą. Staruszek ów bardzo subtelnie się wyrażał, zwąc kobiety niewiastami lub białogłowami. Dowiedzieliśmy się od niego, że w roku 1595 pewien anonimowy mędrzec, posługując się logiką i kilkudziesięcioma cytatami z Biblii, opublikował rozprawę zatytułowaną: „*Disputatio nova contra mulieres qua probatur eas homines non esse*”, gdzie udowodnił, że kobiety ludźmi nie są. Kwestię tę roztrząsano jeszcze wielokrotnie, choćby w roku 1690 traktatem „*Mulier homo*”, albo w roku

Paetusie, to nie boli.

1767 w Lipsku i Frankfurcie broszurą „*Odpowiedź na pytanie: czy biała głowa jest złem koniecznym?*”.

Matka tej odpowiedzi nie dosłyszała, wcześniej bowiem, trzasnąwszy drzwiami, zdążyła wyjść z salonu.

Kumpel ojca, mimo że profesor, nie zdołał zmienić mojego (nabytego bardzo wcześnie dzięki córce sąsiadki i służącej Lizie) przekonania o cudownej użyteczności białogłów. Nie zdołał ani swym wykładem, czyli sztuką krasomówczą, ani też kunsztem praktycznym. Pewnego bowiem razu, gdy nie zastał matki i ojca w domu, wziął mnie do altanki w sadzie. Wpierw długo mi truł a propos Michała Anioła, Leonarda, Wilde’a, Gide’a, Tennessee Williamsa i paru innych wielkich pedałów, po czym zaczął się rozdziewać i rozpinać moje spodnie, co mój delikatny żołądek skontrolował gradem wymiotów. Ubabrany od peruki do koronkowych majtek i podwiązek człowiek ten uciekł wyjąc. Był obrażony i więcej się w naszym domu nie pokazał.

Analogiczna przygoda dotknęła mnie pierwszego dnia spędzonego u

Francuzów. Ledwo się rozpakowałem, gdy brzęknął telefon hotelowy. Pewien nieznajomy, który bohatersko kaleczył język mego kraju, zaproponował mi, że pozna mnie z pewną ładną i młodą panią, która marzy o cudzoziemcu.

— Nie skorzystam! — burknąłem, puszczając perskie oko do rozbierającej się żony właściciela hotelu. — Powiedz jej, żeby sobie znalazła miłego francuskiego chłopca.

— Ach, rozumiem!... — odpowiedział pełen życzliwości. — Ty chcesz miłego francuskiego chłopca. Zobaczą, co da się zrobić, przyjacielu.

Rzuciłem słuchawkę. Minęło pół godziny i złotowłosa małolat wdarł się do mego pokoju, pałając ku mnie dziką żądzą. Wyrzuciłem go kopniakiem, by wrócić w ramiona hotelarki. On jednak tak łatwo nie zrezygnował — minutę później znowu zaskoczył nas swą pasją świadczenia usług.

— Och, merde alors! — wrzasnęła rozwścieczona patronka, ciskając weń butami, i to dopiero wyгнаło go skutecznie.

Mój konsumpcyjny stosunek wobec dam, płynący z własnych przeżyć, tudzież z nauk ojca, Krystiana i wuja Arnolda (który kpił jak Chamfort: „*Trzeba znać kobiety lub je kochać, trzecie nie istnieje*”) — uzewnętrznił się w Paryżu fascynacją tancerkami. Nie było to urzeczenie etnologa przeświadczonego, że taniec, z całym jego bogactwem atrybutów erotycznych, jest rodzajem seksualnego teatru, preludium kopulowania, swoistym wyzwaniem miłosnym ciała, dzięki czemu tancerka staje się kobietą dubeltową, arcysamicą. Była w tym raczej fascynacja historyka, który wie, jak duży wpływ wywierały tancerki na możnych tego świata i jak często zrzucały ich z tronów. Pierwsza zainteresowała mnie Salome. Pisząc pracę o Judaszu i wertując Pismo Święte, trafiłem u ewangelisty Marka na akapit tyczący Salome:

„A gdy weszła córka owej Herodiady i tańczyła, i spodobała się Herodowi i wspólnie siedzącym, rzekł król do dziewczęcia: Proś mnie, o co zechcesz, a dam tobie. I przysiągł jej: że o cokolwiek prosić będziesz, dam ci, choćby i połowę królestwa mego”.



Zażądała głowy człowieka, którego nienawidziła jej matka, Herodiada, i dostała ją na tacy. Z Herodem Antypasem, który nie umiał demonicznej tancerce odmówić niczego, spotkałem się jeszcze raz, gdy tematem mojej kolejnej rozprawy był Kaligula. To właśnie Kaligula pozbawił Heroda tronu i ukarał wygnaniem.

Moja wiedza o tancerkach łowiących serca władców czarem jednej nocy, po której nie smakuje już żaden inny rodzaj kobiet, stawała się wówczas imponująca i mogłaby współzawodniczyć z wiedzą Roberta na temat tortur. Wiedziałem wszystko, lub przynajmniej tak mi się wydawało, o Izadorze Duncan, Fanny Cerrito, Saharet, Ruth St. Denis, „Róży Sewilli”—*Otero*, Loie Fuller, Barbarinie, Marii Taglioni, Annie de Camargo i o innych gwiazdach



Gustave Moreau — „SALOME”

tańca, dzięki którym korony leciały z raju głupców w czelusć nędzy lub śmierci (prawdziwym wyjątkiem potwierdzającym regułę jest tu Peron, którego obie żony były tancerkami, a który wcale przez to nie ucierpiał!).

Litewski książę Radziwiłł oszalał dla łabędzich wdzięków tanecznej bogini

Romantyzmu, Carlotty Grisi, zabrał ją ze sceny, umieścił w podparyskim pałacu, gdzie miał ją tylko dla siebie, by stracić dla niej całą fortunę. Syn Napoleona Wielkiego, Napoleon II książę Reichstadzki, kochał tylko Fanny Elssler, cudowną baletnicę, którą

R=7t



bonapartyści fetowali za to w Paryżu jak królową, nie wiedząc, że jej gimnastyczna sprawność przyspieszyła wczesny zgon młodego suchotnika. Cleo de Merode, ulubienica monarchy Belgów, Leopolda II, zamąciła mu życie równie skutecznie, jak Gaby Deslys zdetronizowanemu Manuelowi portugalskiemu. Kapryśna i piękna niczym bóstwo Szkotka, Maria Dolores Gilbert, tańcząca jako Lola Montez, otrzymała tytuł hrabiny Zandsfeld od króla Bawarii, Ludwika I, który przypłacił ten romans koroną — musiał abdykować, gdyż inaczej nie można było uśmierzyć wywołanych przez Lolę fermentów rewolucyjnych.

Będąc władcą — bałbym się tancerek. Władza rozplywa się w tańcu zachłannej baletnicy niby perła w occie. Ale nie jestem władcą, dlatego mogłem

upajać się bezkarnie ich tanecznym sekretem, który stanowi wyzwanie, jak każda tajemnica. Mogłem się zastanawiać, czemu Fanny Elssler wyparła się na starość swego związku z Orlątkiem; jakie ambicje rozsadzały gorące piersi Loli Montez; czy Cleo de Merode wymyśliła swoją sławną fryzurę, żeby maskować brak uszu; i kim była kochanka Manuela portugalskiego — Gaby Deslys czy Jadwigą Navratil? Mogłem się tym wszystkim pasjonować, warząc afrodyzjak na długie noce z tancerkami. Tancerkami paryskich kabarecików i podrzędnych knajpek — drugorzędnymi kurewkami, co mnie nie raziło, bo ja i Robert już w młodości, u Lizy, kupowaliśmy kawałek żeńskiego krocza. Podrzędność takich dziewczyn wcale nie zmniejsza ich uroku. Drogie primadonny oper, primabaleriny i divy wielkich kabaretów były dla mnie za drogie, a jedyna taka gwiazda, która dała mi swoje ciało, zrobiła to wyłącznie gwoli wspomnieniom.

Właśnie jej sekrety stara się dziś rozwikłać tylu ludzi — tylu podwładnych pułkownika i kapitana Saturna.

Rzecz miała miejsce w najgłupszej chwili, jaką można sobie wyobrazić. Kilka tygodni wcześniej... wziąłem ślub! Oczywiście z tancerką, młodziutką uczennicą baletowej akademii. Wabiła się Mireille. Zaszła w ciążę moim klejnotem, więc naciskany przez jej rodziców, którzy grozili vendetta, poprowadziłem do ołtarza to głupie stworzenie mające buzię cherubinów Fra Angelica. Kląłem jak wszyscy diabli. W małżeńskim gniazdku byłem gościem, wołałem spędzać noce w mojej starej kawalerce hotelowej, lekceważąc płacz żony. I wtedy właśnie zjawiła się ona — wielka namiętność. Kiedy Mireille się o niej dowiedziała, poroniła i rzuciła ten bolesny padół, czym rozwiązała mi ręce.

Wszystko zaczęło się słówkiem Krystiana...

Krystian wypatrzył w jednym z ekskluzywnych kabaretów dziewczynę o pseudonimie „*Salome*”, która tańczyła, zonglując na tacy uciętą turecką głową. Poszedłem tam jedynie dlatego, że Salome była pierwszą bohaterką moich literackich fascynacji tancerkami. Wstęp kosztował fortunę. Wewnątrz lokalu łaskotało nozdrza to francuskie powietrze, które i dzisiaj rozpoznałbym bez trudu — wyrafinowane perfumy, wyborne wina, wyśmienite azalie, wykwinny styl („*haut ton*”) i wytworna elegancja, tudzież wszechobecna kremowa biel i dystygowane bogactwo, koktajl zapachów lekkich i oszczędnych, a jakże kuszących, jakże perwersyjnych, jakże przydatnych w intensywnym życiu.

Tańczyła po występie iluzjonisty, dobywana z mroku przez plasek reflektorowego światła. Tańczyła fenomenalnie, co mnie jednak zupełnie nie obchodziło, gdyż byłem półprzytomny i nie mogłem oderwać od jej fizys wzroku. Od fizjonomii, którą każdego dnia nad morzem pieściłem lornetką! Ani sekundę nie targała mną wątpliwość identyfikacyjna. Nie myliłem się!

Poszedłem za kulisy. Uchyliłem bez pytania drzwi do jej garderoby i stanąłem

w proggu, nie wiedząc, co rzec. Siedziała przed lustrem i zmywała warstwy pudru. Syknęła:

- Pan się pomylił!
- Nie, nie pomyliłem się.
- Czego pan chce?!... Jeśli szuka pan kogoś...
- Szukałem pani.
- Nie znam pana! Proszę wyjść i domknąć drzwi, bo zawołam pomoc!
- To ja chciałem pani pomóc, kiedy nakryła panią fala, ale nie zdążyłem...

Nie wiedziałem, że panią uratowano. To prawdziwy cud!

Spojrzała teraz inaczej, ze zdumieniem i z czymś jeszcze, szepcząc cicho:

— To niemożliwe... Pan się myli. Fala porwała moją matkę, ale pan musiał być wówczas w moim wieku, więc jak mógłby pan jej pomóc?... Zresztą nikt nie mógł jej wtedy pomóc, bo ona nie chciała żyć...

— Więc pani jest córką tej kobiety...

— A pan mnie tam widział?...

Zrozumiałem, że mam przed sobą dziewczynkę, która tańczyła na szczycie wzgórza piaskowego.

Od tego wieczora była dla mnie jednym z tych cudownych zjawisk, które istnieją we świecie — smukłą, gołą kobietą leżącą przy moim boku, pod lilipucim srebrnym krzyżykiem uczepionym nitki biegnącej wokół szyi. Prawie nic o niej nie wiedziałem, nie lubiła się spowiadać. Słyszałem, że jej ojca zamordowano, i że jej matka pragnęła zemsty, ale ponieważ nie mogła się mścić, gdyż zabójca był wysokim dygnitarzem — utraciła chęć życia. Gdy spytałem o brata, wzruszyła tylko ramionami. Czasem bawiła się w niemowę zupełną. Nawet właściciel kabaretu, gdzie tańczyła jako „*Salome*”, nic ciekawego nie wiedział — przychodziła wieczorami, przebierała się bez słowa, odwalala swój numer, ubierała i koło północy już jej nie było w lokalu. Próbowałem ją śledzić, ale każdorazowo niknęła mi gdzieś w mroku i nigdy nie zawędrowałem pod próg jej mieszkania.

Do mnie przychodziła tak samo jak do kabaretu — rozbierała się, kochała ze mną bez słów i wychodziła. Zostawały po niej przeróżne śmietki — karteczki, spinki, kobiece drobiazgi — które siała niby zwierzę, co instynktownie znaczy swoje terytorium. Którejś nocy przyszła ostatni raz. Czekałem tydzień, a gdy poszedłem do kabaretu, okazało się, że wymówiła pracę. Jej miejsce zajęła tancerka, której kazano używać tego samego pseudonimu. Barmanka powiedziała mi:

— Facet, dłużej fikać to ona już nie mogła, była w ciąży. Mnie nie trzeba mówić takich rzeczy, mam oko!

Czy ją kochałem? Wciąż jeszcze niezupełnie, mimo że mój czarny szalenic miotał się wewnątrz mojej duszy, chcąc wleźć do serca. Myślę, że wielbiąc tę

cudowną istotę, kochałem raczej siebie samego — siebie nastrojonego na bardzo wysoki ton, który nie był już dzieckiem potrzeby, lecz bękartem pragnienia.

Odkąd wróciłem z Paryża do kraju, widziałem ją tylko raz jeden, ale kiedy to się stało, wmówiłem sobie, że uległem przywidzeniu, bo niby skąd miałyby znajdować się właśnie tutaj? Pewnego dnia zobaczyłem kobietę wychodzącą z eleganckiego magazynu mody. Miała na twarzy woalkę, lecz posągowy profil Nefretete było widać. Miała również czarne włosy owinięte białym szalem, długą suknię i sylwetkę kobiety stworzonej do tronu. Przepełnęła między sklepem a luksusowym samochodem, w którym zniknęła i który wystartował rakietowo. Byłem tak oszołomiony, że nie patrzyłem na numery rejestracyjne. Przemierzając tych kilka metrów chodnika, uniosła powieki i spojrzała na mnie błyskiem krótkim jak żądło. Zostawiła za sobą moje osłupienie i woń perfum, których nie identyfikowałem z żadnym kwiatem, tylko z plażą i z tapetami paryskiego kabaretu.

Teraz już wiem, że to była ona. Przez cały czas znajdowała się tak blisko! O mało nie wpadła w moje ręce wewnątrz klasztornych ruin! Musiałbym ją wówczas wyekspediować do podziemi Roberta — ta myśl nie sprawia mi bólu. Nienawidzę jej. Nienawidzę!... Wuj Arnold parsknąłby wersem Katullusa: „*Odi et amo: quare id faciam fartasse requins. Nescio, sed fieri sentio et exrucior*” — „*Kocham i nienawidzę: jak to się dzieje? — spytasz. Nie wiem, lecz czuję, cierpię i szaleję*”. Wuj Arnold był wystarczająco stary, żeby móc tylko kpić, lecz mną targa ból. Nikczemna! Uciekła ode mnie, i chociaż wiedziała, że mieszkamy w jednym kraju, w stolicy tego kraju, być może w tej samej dzielnicy miasta — kryła się przede mną! Widać ktoś inny bardziej ją rajcuje, jakiś parszywy samiec, którego ciało budzi jej rozkoszne drżaczki, a który będzie mój, i niechaj zlituje się wtedy nad nim piekło, dając mu szybką śmierć w Sali Jednego Marzenia! Poproszę brata, by zespolił ich definitywnie wewnątrz którejś z tych średniowiecznych machin — przeżyją tak długotrwały orgazm, że gardła, płuca i wszystkie mięśnie wymówią im posłuszeństwo!

Jest w tym kraju duża liczba tancerek. Niektóre zwiedziły już moją sypialnię i wróciły do swoich kabaretów. Inne czekają. Słusznie robią. Lubię te mroczne lokale o czerwonych ślepiach łowiących tancerki z głębi sceny. Lubię kontemplować przez pół nocy (żrąc kawior i pijąc szampana) te piękne, wyzywające kobiety w obcisłych sukniach, tańczące dla mnie przy blasku fałszywych klejnotów, które chcą zamienić na prawdziwe. Lubię prosić je potem do mojego stolika, by patrzeć, jak drogie wina rozpalają im dekolty i wzrok błyszczący umiłowaniem siły oraz przepychu. Lubię ich wymowne spojrzenia w ciepłym półmroku tapetowanej kaszmirem wnęki, i ich podniecone profile na siedzeniu obok, kiedy wiozę je do mojego domu, gdzie będą płaszać raz jeszcze, robiąc baletowy strip-tease dla jednego widza. Lubię ich bezbłędne zestrojenie z

rytmem melodii, którą emituje magnetofon, gdy rozrzucają swoje szmatki wokół. Lubię czekać, aż zmęczone i głodne mojego penisa kładą się na wielką miękką sofę i oddychają ciężko, a ich skórę emaluje deszcz kropelek potu. Lubię suwać wzrokiem wzdłuż szyi łabędziej, przez

Tłum. A. Świderkówna.

wąwóz między piersiami, do źródlanego śladu pępownicy i do złotego mchu wieńczącego pełne uda... Lubię ich perlisty śmiech po spełnieniu, kiedy przypalają mi cygaro, a same piją wino. Lubię stać z nimi na balkonie, obserwując reflektory płonące wokół góry prezydenta i niebo haftowane gwiazdami...

Za każdym razem, kiedy turlam w moim łóżku którąś z tych młodziutkich zepsutych dziewcząt, przymykam oczy i wówczas, nie wiedząc o tym — jest moja!

Klnę moją namiętność, ale pozbyć się mojej namiętności nie umiem. Dlaczego pamięć jednego snu bądź zdarzenia robi ludzi za życia potępieńcami? Czemu strąca ku kloakom nasze bóstwa i spopiela nasze marzenia, by później odradzały się jak feniksy wysypisk, gdy zmartwychwstaje taneczny głód? Pokonujemy wzgórze i upadamy ku dolinom. Kto będzie nam towarzyszył, gdy krajobraz ostatecznie zamieni się w równinę?

Dawno już winienem stłuc porcelanową figurkę baletnicy (która tańczy na moim biurku), zamykając czarnemu robakowi jedyną drogę do mego serca.





8

Wchodzi pułkownik. Mój brat wita go i gada z nim w hallu. Słyszę przytłumione głosy, ale słów rozróżnić nie mogę. Idą do mnie. Pułkownik siada na brzegu łóżka i pochylony mówi:

- Brawo, synu, pięknie się spisałeś!... No więc, kim ona jest?
- Tancerką... Mam jej zdjęcie, tam, w dolnej szufladzie biurka.
- Coooo?!... Masz jej zdjęcie?!

Robert biegnie do biurka, klęka, otwiera szufladę i zaczyna przewracać stos papierów.

- Podaj mi tę zieloną kopertę — proszę go.

W kopercie jest kilka wycinków gazetowych, które przywiozłem z Paryża: tekst flecisty Rampala, jakiś artykuł o bliźniakach jednojajowych i „France-Soir”, w którym zamieszczono fotografię „Salome” obok recenzji jej spektaklu. Pułkownik rozprostowuje zżółkła płachtę i przygląda się fotografii...

Musiał pchnąć krtanią wielką porcję śliny, bo grdyka drży mu gwałtownie, ręce się trzęsą, a ślepia (nigdy dotąd nie miał takich patrzalek!) — wprost wychodzą mu z orbit. Dyszy jak ranione zwierzę, spazmatycznie, łapiąc tlen haustami astmatyka lub zawałowca.

— To niemożliwe!! — wyciska przez ledwo rozwarte zęby. — To jest, kurwa, n i e m o ż l i w e!!!

Unosi wzrok i patrzy Robertowi w twarz jak dziecko, które pod przebraniem Świętego Mikołaja odkryło własnego dziadka.

— To niemożliwe! !! — ryczy, zrywając się na nogi. — Czyście wszyscy zwariowali od jednego sztosu, kurwa?!... Przecież to jest kochanka Prezydenta!

Pcha Robertowi gazetę pod nos.

— Pamiętasz ją?

Robert kiwa głową, że tak. Pułkownik patrzy wzrokiem pełnym irracjonalnego marzenia, by to wszystko okazało się sennym koszmarem, później spaceruje od ściany do ściany, wreszcie rzuca gazetę, staje w progu balkonu i z rękami założonymi na plecach lustruje widok po drugiej stronie szyb.

Teraz Robert siada przy moim boku i opowiada mi historyjkę. Kilka lat temu, kiedy ja byłem jeszcze u Francuzów, tutaj aresztowano bandziora (żadną znakomitość, drugorzędnego hycła) i skazano. Miał wyrok śmierci. W ostatnim życzeniu prosił o kobietę. Dano mu pierwszą lepszą nierządnicę zwiniętą na ulicy. I ta dziwka zakochała się w skazańcu. Kilka godzin przed egzekucją przybiegła do dyrekcji więziennej, by kupić jego życie. Proponowała bajoński szmal. Dyrektor się zgodził, lecz chciał, żeby na miejsce kochanka wyszukała innego człowieka, bo kogoś trzeba było powiesić, dla kamuflażu. Dziewczyna bez wahania wciągnęła w zasadzkę swego alfonsa, którego stracono. Tydzień później pułkownik wiedział już o wszystkim (podkablowali mu funkcjonariusze łapownika, wściekli, bo dano im zbyt lichy dole) i bezzwłocznie przekazał dyra więziennego memu bratu. Pułkownik chciał zrozumieć jedną rzecz: skąd tania dziwka wzięła furę złota? Namierzyć ją było trudno, gdyż zapadła się jak kamień w wodę (jej kochaś również, a wszystkie jego zdjęcia i dane ulotniły się z kartoteki). Wszakże Mario ją znalazł. Tylko że jak ją znalazł, to ją zgwałcił po swojemu, co odebrało jej rozum. Znalezione też dom, gdzie wynajmowała kawalerkę. Właścicielką była piękna kobieta, która o niczym nie wiedziała. Pułkownik zdecydował sprawdzić jej prawdomówność w lochach Opery, ale kiedy drugi raz tam zajechano, dom miał już inną gospodynię. Dużo później wyszło na jaw, że tajemnicza piękność przeniosła się pod baldachim chmur, by umilać żywot władcy. Chociaż śledztwo zostało momentalnie wyhamowane, a wszystkie papiery i dyskietki spalono, pułkownik długo drżał o swoją skórę.

Brzmi to jak bajka z tysiąca i jednej nocy. A czas, ta wszystkożerna świnia, kradnie nam sekundy i minuty, których mamy tak niewiele. Trzeba podjąć decyzję bez dalszej straty czasu!

Pułkownik się odwraca. Jest już zimny i ma w oczach swoje zwykłe skurwysyństwo. Mówi twardo, kaprałskim tonem:

— Na razie nie zawiadamiamy Saturna, bo wykorzystaliby informację, żeby nas zniszczyć. Musimy wymyślić coś innego. Ale przedtem chcę wiedzieć jedno — czy jesteś pewien, synu?

— Tak, panie pułkowniku.

— Widziałeś też Prezydenta?

— Nie, lecz widziałem jej brata.

— Kto to jest?

— Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć, panie pułkowniku. To ktoś,

kogo widziałem niedawno na jawie, i kto przez chwilę budził we mnie strach. Nie, żebym się bał, ale jakiś dziwny lęk...

— Niedawno widziałeś Saturna... — szepcze Robert. — I wróciłeś od niego z krwawiącą głową.

— Właśnie! — podchwytuje pułkownik. — Czy to mógł być Saturn?

— Nie wiem, może... Nie mogę sobie tego skojarzyć, panie pułkowniku. Siedział obok niej, ale był małym chłopcem...

— Czy ktoś inny, prócz Saturna, napędził ci ostatnio strachu?

— Nie wystraszyłem się Saturna, panie pułkowniku!

— Nawet przez chwilę?... Powiedziałeś, że przez chwilę...

— No, tak... tak to czułem wtedy.

— Więc to Saturn?

— Chyba on...

Pułkownik gwizdże przez zęby jak król uliczników.

— Więc to tak!... Panu komendantowi zamarzyło się pofrunąć na szczyt skały i uwić tam sobie nowe, lepsze gniazdko. Gniazdko orła! Musiał w jakiś sposób przekupić tę kurwę... Cały czas grał komedię, popędzał nas, groził, a sam szykował obalenie Prezydenta! Interesuje się czarami, czyż nie wypytywał cię o to, synu?

— Tak.

— No właśnie! Ci zabici więźniowie, przemienieni w małpy, to jego sprawka! Bierze głęboki wdech.

— Ooooch! Nareszcie mam skurwiela! Cudownie się spisałeś, synu, kocham cię za to! Teraz policzymy się z panem komendantem!

— Jak? — pyta Robert. — Jak wejdziemy do pałacu bez jego zgody? Jak uprzedzimy prezydenta, czy choćby tylko Makisa, jeśli Saturn pilnuje wind i wszelkiej kablowej komunikacji z górą?

Pułkownik się śmieje.

— Nie docenialiście mnie, chłopcy! Dałem wam dużo samodzielności, więc nabraliście przekonania, że wszystko potraficie sami i że „stary” jest już tylko waszym szyldem. Rzadko wtrącałem się, nie korygowałem wam roboty, bo ona jest wasza, a wódz jest od pilnowania generalistów. Póki nie przychodzi taka awaria jak dziś — wtedy wódz musi być lekarzem lub iluzjonistą. Mam kanał! Mam wszędzie kanały, inaczej cóż byłbym wart, synkowie? Nigdy z niego nie korzystałem, bo potrzeby nie było. Hodowałem go dla takiego właśnie przypadku, kiedy nie będziemy mieli innego wyjścia. Mój kanał to Makis!

Makis, sekretarz prezydenta, łącznik między prezydentem a Saturnem, Boże, jakie to proste! I jakie cholernie trudne! Patrzymy na pułkownika z wdzięcznością. Dawno już mój wzrok i wzrok Roberta nie czuły takiej miłości do niego.

Pułkownik tłumaczy co jest grane:

— Każdego piątku Makis zjeżdża z góry i bawi się w mieście przebrany za frajera. Bawi się po knajpach, burdelach, mordowniach, gdziekolwiek. Lubi pić. Mój człowiek, Barabas, śledzi go wówczas. Barabas odkrył, że Makis zawsze wychodzi na miasto z pewnej kamienicy w śródmieściu i rano wraca do niej. Między tą kamienicą a górą musi istnieć podziemny korytarz! Nigdy nie wchodziliśmy Makisowi w drogę, lecz teraz trzeba będzie odbyć jakiś dialog, żeby uratować Pana Prezydenta przed ambicjami pana komendanta!

— Piątek to jutro, panie pułkowniku!

— Co znaczy, że szczęście wreszcie się do glin uśmiechnęło! Jutro spotkam się z Makisem.

— Proszę mnie dać tę rolę, panie pułkowniku. Jeśli opowiem mu swoje widzenia, to może on wyłowi w tej plazmie coś więcej...

Pułkownik zastanawia się głęboko.

— Jesteś chory, musisz leżeć, synu...

— Medyk Roberta postawi mnie na nogi, prawda, Robercie? Ten facet ożywia trupy, panie pułkowniku! Robercie, przyślij mi go jeszcze dziś, niech zastosuje jakiś swój sposób, jakiś zastrzyk, cokolwiek, bylebym jutro miał formę challenger!

Zgodzili się i wyszli. Pułkownik będzie teraz sprawdzał w koszarach dywizji gwardyjskiej czy grono wyższych oficerów zostało przez Saturna wciągnięte do spisku, a wieczorem da mi znać, gdzie szlaja się Makis.

Zastrzyk, który zrobił lekarz Roberta, usypia mnie. Winienem długo spać, relaksując ciało. Sen owija moją głowę jak balsamiczna inhalacja i porywa w świat wyzbyty rytmu codzienności, więzów grawitacji i okowów egoizmu, tam, gdzie rozbrykane zmysły gnają skroś przestrzeni wolne niczym promienie księżycy, lub pędzą jak głodne elektrony ku tęczowym horyzontom majaków. „Salome” leży pode mną, mrużąc oczy większe niż oczy gazel ze stepu Serengeti, a jej piękność jest pięknnością nieziemskich istot, na Ziemi tylko zabłąkanych, pięknnością hurys z haremu bagdadzkiego kalifa, pięknnością alabastrowych branek sławionych przez mity Sztambułu. Żadna kobieta nie ma tak gładkiego ciała, tak władczych skroni, tak lubieżnie falujących włosów i nosa tak misternie złamanego, że podobną doskonałość można odnaleźć tylko na medalionach starohebrajskich. Całuję jej harmonijnie wysklepione nozdrza, będące świadectwem niezawisłości ducha, jej senne usta i jej triumfalnie białe zęby, lśniące błyskami promiennych uśmiechów. Jej pocałunki są niby zachłanność głodnego dziecka, które wgryza się w jabłko. Czuję miękkość brody łaskoczącej mi szyję, twardość biustu gniotącego mi skórę i ostrość sutek dudniących jak dwa spocone zegary. Czuję bliskość zawładnięcia jej tajemnicą, lecz im głębiej wdzieram się w ciało „Salome”, tym bardziej rozmagnetyzuje

się moja świadomość i giną tropy rzeczywistości...

Budzę się koło południa i leżę, czekając na pułkownika. Przychodzi równo z wybiciem godziny dziewiętnastej.

— Makisa upolowano w knajpie „*PodPapugą*”, synu. Twój szofer wie, gdzie to jest, zawiezie cię tam. To speluna, można w niej oberwać kosą albo kastetem, lecz Makis takie szambo lubi, lubi hazard i brud, jakby był głodny jednego i drugiego. Widać doskwiera mu luksus pałacu i potrzebuje bardziej śmierdzącego wdechu raz na tydzień. Włóż kamizelkę pancerną i weź gnata. Obstawimy całą dzielnicę, wewnątrz lokalu są już nasi chłopcy. Gdyby co, to ci pomogą, choć nie sądzę, żeby była taka konieczność, synu... Tu masz jego fotografię, musisz rozpoznać klienta. Wsiądź jedną ulicę wcześniej i dalej idź pieszo, jak każe regulamin.

— A jeśli on zmieni adres nim dojadę, panie pułkowniku? Co wtedy?

— Przewidzieliśmy to. Pod knajpą siedzi Barabasz, udaje żebraka. Pójdzie za nim i krótkofalówką sprzeda nam nowy adres. No, ruszaj się, synu!

Nim wdzienę kamizelkę kuloodporną, chwytam elektryczną maszynkę do golenia.

— Nie gol się! — wstrzymuje mnie pułkownik. — I włóż wyświechtaną marynarę, żebyś pasował we wnętrzu speluny, tam nie kochają elegancików... Aha, jeszcze jedno. Nie daj się schlać! Uważaj! On pije jak smok, a kiedy ma towarzystwo, plecie różne idiotyzmy, gęba mu się nie domyka, lecz pijany, o dziwo, nigdy nie jest, a cholernie czujny jest zawsze. Nie zdziwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że to Prezydent wysyła go dla sondowania nastrojów...

— Jaką ma obstawę?

— Żadnej.

— Żadnej?!... Szwenda się po mieście sam, bez goryli?!

— Wyobraź sobie, że tak. Niewiarygodne, ale prawdziwe. Mówiłem ci, to hazardzista. Wierzy, że nie zostanie rozpoznany... Jeśli chcesz, możesz z nim rozmawiać po francusku, był, tak jak i ty, w Paryżu. Lubi mówiących tym językiem. To dlatego dałem tobie nawiązać z nim kontakt, bo sam nie władam francuskim. Pracował w Laroussie, przy encyklopedii, ale wyrzucili go za jakieś ciemne sprawy. Tyle wiem, a dodatkowych informacji nie szukam, bo mógłby zrobić ze mnie marmoladę mięsną. Posiada kolosalny wpływ na Prezydenta, stanowi dłoń Prezydenta, ucho Prezydenta, usta Prezydenta... Jesteś gotów?

— Jestem.

Jestem już kilka kroków przed wejściem, wyżej którego lampa o kształcie purpurowej papugi czerwieni swym światłem płaszczyznę szyldu. Kilka chwil stoję obok ślepeca, co siedzi przy kamiennych schodkach i gra na harmonijce ustnej (która funkcjonuje też jako mikrofon), rzucam mu do kapelusza monety i

słyszę podziękowanie:

— Siedzi z prawej, w samym rogu.

Wnętrze knajpy jest istotnie parszywe. Smród i półmrok. Niski, drewniany sufit leży nad stołami jak brunatne niebo, w którym jarzą się błędne ogniki papierosów. Dym ogranicza widoczność do kilku metrów. Nie ma elektryczności, łojowe lampki grzeją zaduch i kołyszają cienie. Przy kontuarze wisi trzciniowa klatka z papugą, która co raz to ożywia się i złorzeczy:

— Merde!... merde!... merde!...

Stolik w prawym rogu jest pusty. Dźwiga napoczętą butelkę i nie dokończone jadło. Pytam barmana, gdzie jest mój przyjaciel, który miał tu czekać. Barman patrzy ślepkami żaby i mamrocze:

— Znudziło mu się czekanie, poszedł na górę z Anitą.

— Kiedy zejdzie?

— Anita bierze za pół godziny. Chyba że loteria się przedłuży...

— Jaka loteria?

— Loteria. Nigdy nie słyszałeś o loterii? Tam są ciągnięcia. Jedno ciągnięcie, drugie ciągnięcie...

— Dobrze, poczekam tu. Proszę o kieliszek wina. Czerwonego.

— Słodkie, wytrawne?...

— Wytrawne.

Siadam przy stoliku. Czekam kwadrans. Wreszcie wyłania się z ciemności, wali na krzesło i uważnie lustruje mój dziób. Jest wciąż młody, lecz skronie noszą już przedwczesną siwiznę. Twarz oprycha (może to charakteryzacja), a jednocześnie — co za niespójność — myśliciela. Kanalia ze ślepiami mędrca.

— Czego pan chce? — pyta. — To prywatny stolik, a ja lubię samotność, mój panie! C'est grand malheur de ne pouvoir être seul ... To z La Bruyère'a. Rozumie pan?

— Rozumiem, panie Makis, znam francuski, studiowałem w Paryżu.

To wielkie nieszczęście nie móc być samym.

— Aaa, to co innego! Proszę bardzo, jest pan przypuszczony do kompanii. Tylko zaraz... kim pan właściwie jest, u diabła?! Skąd pan mnie zna, panie?...

Ten błysk w jego źrenicach — błysk ciekawości czy błysk niepokoju?

— Jestem szefem brygady dochodzeniowej policji — wyjaśniam.

— Uhhh! Aide-de-camp naszego kochanego pułkownika! To pewnie on pana tu przysłał, co, poruczniku?

— Tak jest, panie Makis.

— I pewnie chce się przez pana dowiedzieć, co grozi za śledzenie osobistego sekretarza Prezydenta? Proszę mu powiedzieć, że grozi za to niesłużbowe spotkanie z pańskim bratem, a dokładniej z jego cudowną aparaturą. Może ona każdego pułkownika przerobić na f r y t k i ! Mam rację,

poruczniku?

Ciarki pełzną mi grzbietem.

— Tak, proszę pana. Ale my zupełnie przypadkowo odkryliśmy pańską bytność tutaj, proszę mi wierzyć! I to duże szczęście, iż tak się stało!

— Duże szczęście panów detektywów, panów łowców, kłusowników, tropicieli śladów...

— Ależ skąd! Nie tylko nie ośmielilibyśmy się śledzić pana, lecz w ogóle kiedykolwiek niepokoić, gdyby nie konieczność wagi państwowej. Odkryliśmy spisek, który...

— C'est bon, za to bierzecie szmal. Natomiast pan k o m e n d a n t bierze pieniądze za przekazywanie takich informacji do pałacu. Już to zrobił, czego chcecie więcej?

— Znamy kierownictwo tego spisku...

— C'est très bon! Tylko wciąż nie rozumiem, dlaczego lezicie do mnie, zamiast informować drogą służbową, przez Saturna?

— Bo on jest wśród podejrzanych.

— Saturn?

— Tak. Dlatego ośmieliliśmy się...

Reaguje w zadziwiający sposób. Przerywa mi z furją:

— Sacrebleu! Musicie człowiekowi psuć relaks waszymi zasranymi rozgrywkami?! Prezydent wie doskonale, że pułkownik i Saturn lubią się jak pies i kot, i to bardzo dobrze, o to chodzi, by istniała na tej wadze równowaga. Ale gdy będziecie się wzajemnie kopsać takimi oskarżeniami, poruczniku...

— Przysięgam, panie Makis, że...

— Są dowody?... Konkretne dowody! Są?!

— Jeszcze nie, dlatego fatygujemy pana.

— Nieee? To na jakiej podstawie oskarżacie kapitana Saturna, panie oskarżycielu?!

— Bo miałem sen, w którym widziałem spiskowców i...

— I on był wśród tych spiskowców?

— Nie. To znaczy nie jesteśmy pewni do końca, ale...

— Czy pan jest pijany, poruczniku? Miał pan sen, niczego nie jest pan pewny, i to ma być...

— Proszę mi dać kilka minut, ja wszystko wytłumaczę, ja...

— Dosyć, poruczniku!... Wytłumaczy mi pan swoje sny przed wyjściem, jeśli już pan koniecznie chce, ale teraz ja chcę odpocząć i napić się toddy... Nie woli pan rozmawiać o rzeczach sensowniej szych niż jakieś zafajdane coups d'État? I napić się toddy ze mną? Co za świństwo pan pije?

— Wino, panie Makis.

— Merde!... merde!... merde! — wrzeszczy papuga znad szynkwasu.

— O, widzi pan, jak nasza kolorowa przyjaciółeczka określa wino? I ma rację, bo to jest gówno! Niech pan skosztuje toddy. Angielski wynalazek. Robią to z cytryny, rumu, cukru, gałki muszkatołowej i jeszcze jakiegoś świństwa. Pierwszorzędna rzecz.

Nalewa mi szklanekę po brzegi.

— Merde!

— O nie, ma petite, toddy nie jest merde! — tłumaczy papudze i znowu odwraca się w moim kierunku. — Zwrócił pan uwagę, przyjacielu, jak ona to czysto wymawia? Wpadam do tego szynku, bo lubię słuchać francuszczyzny, to piękny język. Natomiast Francuzi to świnię! Les canailles, n'est ce pas? Już dawno, jeszcze za ojczulka Combesa, przegonili krucyfiksy z sal sądowych, a u nas wiszą nawet w salach tortur! To świadczy o wyższości naszej kultury. Ale nie o wyższości naszego języka, niestety. Przyzna pan, poruczniku, że istnieje kilka języków dostatecznie zasobnych w słowa, by można było nimi wyrazić precyzyjnie każdą myśl, lecz jeśli chodzi o subtelne łgarstwo — francuski jest niezastąpiony. Czyż można sobie wyobrazić bardziej eleganckie tytuły niż te, którymi opatrzyli swoje koncepty wielcy francuscy f i l o z o f o w i e , la Rochefoucauld, Talleyrand, Descartes, Rousseau, Voltaire, Chamfort, Pascal, Lacordaire i inni? „Pansées”, „Maximes”, „Épigrammes”, „Méditations”, „Passions”, „Réflexions”, „Confessions”, i tak dalej. Niech pan mi wierzy, poruczniku — żeby kłamać przekonująco, trzeba znać całą prawdę, a zatem pilnie się uczyć i długo obserwować, zwłaszcza ludzi szczerych, którzy patrzą prosto w twarz i każde łgarstwo zdobią słodkim uśmiechem. Inaczej kłamstwa

Kanalie, czyż nie?

są tylko partaczeniem prawdy, a nie jej uwzniośnieniem, godnym artystów. By do tego kłamać błyskotliwie, należy znać francuski. Można, rzecz prosta, łgać i w innym języku, ale dzieła sztuki z tej mąki się nie stworzy, łatwo zaś wtedy ześliznąć się ku chamskiemu prostactwu zwykłego oszukiwania. Pan po jakiemu kłamię?

— Staram się nie kłamać w ogóle, panie Makis.

— Co pan mówi!... Będę musiał donieść o tym Prezydentowi, bo to znaczy, że jest pan w policji parszywą owcą... Chce mi pan wmówić, że jest pan uczciwy?

— Staram się, proszę pana.

— Wmówić, czy być uczciwym?

— Być uczciwym — kłamię, coraz bardziej wytracony z konceptu.

— Słusznie pan robi, poruczniku. Trzeba się starać, bo uczciwość jest w największej cenie. Najwyżej się za nią płaci. Wówczas, gdy się ją kupuje, i wówczas, gdy nie chce się jej sprzedać. Który z tych wariantów odnosi się do pana? Pan ją sprzedaje, gliniarzu, czy pan ponosi koszty swej uczciwości?

— Chwilowo to drugie, panie Makis, bo pan mi nie wierzy i wszystko

obraca pan w żart.

— Nie widzę tu niczego złego! Żart to najlepsze, co może nas spotkać, to sól zabawy! Najgorsza jest nuda, l'ennui, poruczniku!

— Panie Makis... proszę pana! To jest ważna sprawa, bo na czele spisku stoi kobieta, która... która...

— Która spiskuje, jasne. Kobieta, która nie spiskuje, nie jest kobietą.

— Błagam pana, proszę przestać kpić! Proszę mi wierzyć, że...

— Ależ ja panu wierzę, poruczniku! Na czele spisku stoi kobieta, słyszałem to już od Saturna. Wszakże gdy idzie o uczciwość, to, wybaczy pan, ale nie wierzę panu. Co to, to nie!... Jednak, tylko między nami, zdradzę panu coś, poruczniku. Czasami prześladuje mnie myśl, że gdzieś, w jakimś kącie, siedzi naprawdę uczciwy facet, i nie można skuć mu mordy!... Coś cienko pan pije! Nie smakuje panu toddy, poruczniku? Może za słabe?... No cóż, stuprocentowego alkoholu nigdzie nie ma, tak jak nie ma stuprocentowej prawdy. Świat nawet nie wie, kiedy go stworzono... À propos — czy pan się domyśla, jak rozmnażałoby się ludzkie w raju, gdyby nie byli zgrzeszyli?

— Nie wiem, nie myślałem o tym, proszę pana.

— Nie myślał pan o tym, poruczniku? To dziwne. Mój ojciec myślał o tym przez cały swój pierdzielony żywot. I jeszcze o tym, gdzie Adam i Ewa posiadali pępki, i gdzie znajdował się Bóg przed stworzeniem świata, i czy mógł wiedzieć więcej niż rzeczywiście wiedział, i jak dawał sobie radę z zarostem... Proszę się nie śmiać, poruczniku, to jest ważny problem naukowy.

Już w roku 1725 Georgius Fridericus Gublingius publikował w Wittenberdze dysertację pod tytułem „De barba Deorum”. W tym samym mieście drukowano też inną pracę o brodzie Stworzyciela — „De causis barbae Deorum”. Pan jest wierzący, poruczniku?

— Tak.

— Szkoda, towarzystwo ateuszów bardziej mnie rajcuje. Wobec ateusza wszystkie liche dowody istnienia Boga przychodzą mi na myśl, zaś widok wierzącego sprawia, że wszystkie liche dowody negujące istnienie Boga cisną mi się tłumem. Pozwoli pan, że przepłuczę gardło?

Jego błyskotliwy cynizm przypomina mi trochę wuja Arnolda. Gdyby nie drobna różnica w tembrze głosu, to zamknąwszy oczy dałbym słowo, iż wuj Arnold drażni się z ojcem Gasparem... Lecz żarty Makisa nie są chyba wygłupami dla wygłupów. Prowadzi jakąś grę, nie interesuje go spisek, o co tu biega?! Staram się kryć nerwowość. Papuga wrzeszczy bez ustanku:

— Merde!... merde!... merde!...

— Eh, bien, tu as raison, ma belle. Une merde de vie! ... Czyż nie jest rozkoszna, poruczniku? Przychodzę tu dla toddy i dla niej, lubię jak ktoś gawędzi francuszczyzną... Wracając do mojego ojca — źle skończył. Któregoś dnia, było

to jeszcze za Maurycydów, powiedział w towarzystwie, że chciałby widzieć ostatniego króla uduszonego jelitami ostatniego klechy. Nazajutrz aresztowano go i wypruto z niego flaki, przyjacielu. Nie miał, biedak, przyjaciół wśród rządzących, i to go zgubiło. Zna pan historię tego pijanego rosyjskiego arystokraty, który publicznie warknął, że ma cara w dupie? Miał na Sybir, został skazany na grzywnę za r o z p o w s z e c h n i a n i e
n i e p r a w d z i w y c h w i a d o m o ś c i o m i e j s c u
p o b y t u N a j j a ś n i e j s z e g o P a n a . Dlaczego? Bo miał znajomego dostojnika. Teraz pan rozumie, czemu przyjaźnię się z Prezydentem?

— Merde!... merde!... merde!...

— Nie uważa pan, poruczniku, że ta papuga ma coś z Cambronne’a? Między nami mówiąc, słowo Cambronne’a wynalazł Luter, za co go cenię, ale i tak Cambronne to był jedyny równy typ wśród żabojadów. Les salauds! Traktowali mnie podle... Nie domyślają się, kanalie, że kiedyś mój biust stanie w Akademii obok popiersia Molière’a, i z tą samą inskrypcją: „*Rien ne manque à sa gloire, il manquait à la notre*” .

— Merde!

— Masz rację, ślicznotko. Życie to gówno!

— Parszywcy!

— „*Nic nie brakowało jego chwale, to naszej brakuje*”.

Piorunuje papugę wzrokiem rozszerzonym przez atropinę gniewu, a jego gardło wyrzuca ryk:

— Ta gueule, putain!!

Jest autentycznie wściekły, co mnie dziwi, bo przed chwilą uwielbiał papugę, która teraz dostała czkawki, wpadła w rodzaj transu, i wcale nie ma zamiaru przymknąć dzioba.

— Merde!... merde!... merde!... merde!... merde!...

— Patron, do mnie! — wrzeszczy Makis.

Ja też zaczynam być wściekły — wszyscy gapią się na nas! Jedni się śmieją, szczerzą pyski, inni warczą i zwijają kułaki, gdyż pragną mordobicia zbiorowego. Do naszego stołu podbiega właściciel budy, staruszek w żydowskiej mycce, kłania się, coś tłumaczy, sepleniąc bez ładu. Makis, rozparty na krześle jak na tronie, wskazuje papugę gestem cezara:

— Obedrzeć bydlę z pierza, kuper przewiercić różnem i grzać ruszty! Do tego mogą być pieczarki, ale bez śmietany, s’il vous plaît... Aha, i podzielić na dwie porcje, jest nas dwóch!

Niedobrze, kilku drabów wstaje od stołów... Chłopcy pułkownika momentalnie są przy nich, robią sztuczną szamotaninę, ktoś dostaje hakiem i leci jak kłoda... Już dobrze, wszystko w porządku. Właściciel, cały czas się kłaniając, kiwa przecząco mycką i brodą, i tłumaczy Makisowi, że zamówienie jest niewykonalne.

— Coooo?!... — Makis unosi się z krzesła. — Coś ty powiedział, parchu?!
Mnie mówisz, że...

I raptownie milknie, nie kończąc, jakby tknięty obawą, że przeciąga struny. Zastygł, furia się w nim cofa. Siada i gardłuje już łagodniejszym tonem:

— Wynoś się, chamie przebrzydły! Nie czytałeś Dostojewskiego, tam nawet słowiki żrą... Ooooch, gdzie my żyjemy, psia mać!... Zna pan, poruczniku, Piotra Stiepanowicza Wierchowiewskiego?

— Nie.

— Szkoda, to ciekawy gość.

— Rosjanin?

— Tak. Terrorysta i nihilista, bohater „Biesów” Fiodora D. Wie pan, co on mówi? *„Każdy wasz krok winien zdążać ku temu, aby waliło się wszystko: i państwo, i moralność społeczeństwa. Zostaną tylko ci, którzy wyznaczyli się do zagarnięcia władzy...”*. I tak dalej.

Pieprzony prowokator! Czego on chce? Pewnie mnie sprawdza... Nie odpowiadam nic.

Zamknij się, kurwo!

— Co pan na to, poruczniku?

— Myślę, że u nas ten Wiercha...

— Wierchowiewski.

— Tak... U nas krótko by takie rzeczy gadał.

— Tak pan myśli, poruczniku?

— Tak, panie Makis. Prosta sankcja—judzenie do buntu.

— Aha... No tak, dobrze, karać trzeba... Ale i pić trzeba! Niech pan pije todody, poruczniku... Kiedyś ukarzę i tę papugę, i tego pigmeja żydowskiego! Zbrodnia i kara, c'est ça, dupki! Wie pan, w Japonii dali pewnemu gościowi czapę.

Trzydzieści lat siedział w celi śmierci i tam przełożył na alfabet Braille'a osiemset pięćdziesiąt dzieł, z Szekspirem włącznie, poruczniku! Wreszcie stracili cwaniaka, więc nie mógł ostatniego tłumaczenia dokończyć. I co pan powie — tą nie ukończoną pracą była „Zbrodnia i kara” Fiodora D.!... Zbrodnia i kara. To jak małżeństwo i żona... Pan jest żonaty, poruczniku? Przysiągł pan komuś na zawsze — do zgonu lub do rozwodu?

— Nie.

— C'est bon. Nie musi pan cierpieć przez zachcianki etatowej samicy, więc może się pan skupić na pracy dla ludu i dla Prezydenta, ale w kolejności odwrotnej!... Czyżby pan był równie mądry, co Freud? Freud pod koniec życia mówił: *„Wielkim pytaniem, na które nigdy nie znaleziono odpowiedzi, i na które ja również nie mogłem znaleźć odpowiedzi mimo trzydziestu lat badania kobiecej duszy, jest: czego chce kobieta?”*... À propos... właściwie czego chce dama, która kieruje sprzysiężeniem i której wy szukacie, przyjacielu? Obalenia Prezydenta,

zmiany stroju, uniwersalnej sprawiedliwości?...

— Właśnie, panie Makis, porozmawiajmy o tym. Ta...

— Przecież cały czas rozmawiamy o tym, poruczniku. Ale nie mogę rozmawiać suchym gardłem! Proszę mi dać swoje szkło... Salut!... Pańskie zdrowie!... Uuuuf! Wspaniałe jest tutejsze toddy, n'est ce pas?... Wracając ku naszym baranom — ja ich, doprawdy, nie rozumiem, poruczniku. Czego oni chcą, ci spiskowcy? Sprawiedliwości i równości? Obie te rzeczy są niemoralnie utopijne, czy oni tego nie kapują? Ils sont fichus! Niech pan prześledzi, poruczniku, dzieje kacerzy, którzy roili o sprawiedliwości uniwersalnej. Echnaton, Jezus, Hus, Savonarola. Każdego z nich zamordowano właśnie dlatego, że wyznawał Utopię, reklamując świat ideałów i sprawiedliwego Boga. Zresztą... może to i prawda, że świat poty nie będzie cywilizowany, póki do swoich włości nie przyłączy utopii, ale przecież wszystkie znane utopie to nudne konstrukcje, trudno je pogodzić z duchem gry,

Są skazani, wykończeni.

radości, beztroskiego śmiechu. N'est ce pas?... Ouupp!... Mille pardons... Barman!... Barman!!... Jeszcze butelkę!

Już się chyba upił, więc mimo zapewnień pułkownika poczynam wątpić, czy w ogóle będę mógł z Makisem sensownie rozmawiać. Ale on jest naszą jedyną szansą!

— Panie Makis...

— Tak, tak, jestem tutaj!... Pan się chyba dziwi, dlaczego ja tak błaznuję? Odpowiedź brzmi: bo tego chce moja dusza, poruczniku!... Nie dziwiłby się pan, gdyby pan pracował tam u szczytu, w zamku, w pancерnej klatce, cały tydzień wyizolowany ze świata, przekazując wszystkie doniesienia od Saturna Prezydentowi, a rozkazy Prezydenta Saturnowi, sporządzając raporty, wykazy, analizując setki państwowych spraw, i często podejmując decyzje, bo Prezydent ma do mnie zaufanie i coraz bardziej rozszerza wachlarz uprawnień sekretariatu... Tam muszę być komputerem, dlatego tutaj chcę być błaznem, chcę się bawić, zmywać w toddy brud wszystkiego, co jest serio. A pan lezie do mnie ze sprawą śmiertelnie poważną, żeby mi tę radochę ukraść, i jeszcze się pan dziwi, że odsuwam chwilę, kiedy będę musiał się zająć pańskim gównem!... Sacrebleu, świat zdycha przez nadmiar powagi, przyjacielu, i dlatego jest skazany dożywotnio! Żeby go ułaskawić, trzeba zrehabilitować zabawę, bufonadę, komedię dell'arte i wszystkich pogańskich bogów, szczególnie Bachusa i Zeusa. Z chwilą śmierci tych dwóch utraciliśmy talent odbierania świata w sposób naprawdę boski, kompletem zmysłów, nie znamy ani prawdziwej radości, ani solidnej witalności, ani smaku krzepkiego świętowania. Gdzie jest drugi Kaligula, co? Prezentują go jako szalonego ludobójcę, a to był geniusz zabawy, do czego nie muszę pana przekonywać, poruczniku, pan czytał i pisał o nim dużo.

Z chwilą śmierci Kaliguli nastąpiła jałowa ciemność! No, może trochę się mylę, były później wyjątki, choćby Święto Wariatów, słyszał pan?

— Tak, panie Makis — mówię, i widzę roztańczoną czeredę z biczami wewnątrz ruin klasztoru.

— O czym pan tak myśli, poruczniku?

— O tej sekcie, której członków łapaliśmy wokół klasztornych ruin.

— Tak, rozumiem. Słyszałem o nich, Saturn nam doniósł... Wie pan, ja im, z pewnego punktu widzenia, zazdroszczę. A dlaczego? Bo próbowali wskrzesić w kulcie świętość bachanaliów, radość orgiastyczną. Te tańce z knutami, te wzajemne...

— Przecież to była banda spiskowców!... Znaczący... chciałem powiedzieć, że to są spiskowcy.

— Owszem, lecz jakże niegroźni, zważywszy, iż tak łatwo dali się namierzyć i capnąć. Saturn lubi wszystko demonizować, i wy też wszędzie doszukujecie się tragedii. Très bien. Prezydent chce, abyście byli przeczuleni, taka jest wasza rola, ale tu, przy todty, możemy sobie powiedzieć szczerze... Zresztą nawet Chrystus był bardziej błaznem pana Boga niż bohaterem tragicznym, a odkąd umarł, ludzie zdeprecjonowali wartość wyobraźni i zaprzepaścili samych siebie. Mają krótkie zrywy, wtedy zmartwychwstaje prawdziwie atawistyczne poczucie humoru, jak choćby w czasie Rewolucji Francuskiej, która przemianowała katedrę Notre-Dame na Ś w i ą t y n i ę R o z u m u — sama ta nazwa jest dewiacją wystarczająco kuriozalną! Jednak, ogólnie rzecz biorąc, nie ma już wśród ludu Boga. Kiedy Bóg wchodzi w czyjeś życie, to się słyszy, łoskot jest ogromny, jak trzask batów tych klasztornych spiskowców, każdy rozpozna go natychmiast! A co się dzieje w tym kraju? Niech pan spojrzy dookoła — trumienna cisza!

— Panie Makis, za mniejsze słowa pułkownik, mój brat i ja katujemy codziennie ludzi...

Głaszczcie mnie rozbawionym wzrokiem i śmieje się cichutko, samymi wyszczerzonymi pieńkami zębów.

— Pan mi się coraz bardziej podoba! Być może jest pan głupi, ale nie jest pan tchórzem. Pan mnie straszy, mnie?! Jedno moje słowo i będzie pan garstką piachu, pan zaś nic nie mógłby mi zrobić, gdyż ja jestem pupilem Prezydenta. A mimo to pan warczy, poruczniku!

— Nie straszę pana, panie Makis, nie ośmieliłbym się. Chcę tylko zwrócić pańską uwagę na to, że tracimy czas.

— Nie, poruczniku, nie tracimy czasu. Przynajmniej ja nie tracę czasu. Skąd pan wie, co za grę prowadzę z panem? W jakim celu mówię panu to wszystko? Może pana sprawdzam? A może to wszystko istotnie jest tylko błazenadą, bo znudziły mi się już bale z kurwami i mam kaprys poigrać z gliniarzem? Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!...

Szczerzy zęby i cieszy się moją bezradnością.

— Niech pan tak nie drży, poruczniku, teraz się tylko wygłupiam. Karmię własną duszę, która milion lat czekała na swoją kolej i nie da sobie zarekwirować przyrodzonych człowiekowi praw do ubawu. Tak jest, poruczniku, milion lat trwało, nim moja dusza otrzymała paszport ziemski, jakże więc mógłbym ją teraz strofować: Nie zapominaj się, kochana, bądź stale serio! O, nie, mówię jej co innego: Baw się, mała, przyjemnej zabawy, moje kochanie, baw się, moja ty drogocenna, baw się we wszelki możliwy sposób! A jak nastanie już wieczór życia, odejdiesz ku bogom lub ku diabłom, lecz dopiero wtedy. Gdyż moje życie jest moim świętem, i jest całe moje, a nie

Boga lub szatana! Rozumie pan, poruczniku?... Coś panu zdradzę, przez sympatię: w tym kraju bawię się tylko ja. Właśnie tą ciszą. Tymi ludźmi, wami wszystkimi. Niech pan popatrzy na to społeczeństwo, którego pan pilnuje jak owczarek biegający wokół stada dla jednego celu — żeby utrzymać je w kupie. Istny bal maskowy, chociaż nikt się nie bawi! Oportunizm chowa się za maską pragmatyzmu, kompromis szuka usprawiedliwienia w sofizmacie mądrości życiowej, tchórzostwo ubiera kostium rozwagi, ignorancja mieni się naiwnością, a łajdactwo cnotą. Les mots et les choses . Małpi gaj!

— Merde!... merde!... merde!...

— Tu as raison, ma petite . Głupie małpy i jeden treser.

— Już to słyszałem, panie Makis. Dokładnie to samo powiedział mi kapitan Saturn.

— Tak? Co takiego?

— Że ludzie są małpami, a on jest treserem.

— No proszę! On jest treserem? Wysoko się ceni pan k o m e n d a n t , chociaż jest tylko czeladnikiem w tym fachu, tak jak pułkownik i jak wy jesteście gromadką terminatorów. Może sądzi, że strzelanie szpicrutą wyświęca czeladnika na mistrza... Poruczniku, czy pan ma pewność, iż Saturn przyłączył się do spisku przeciw Prezydentowi?

— Mam.

— A ta kobieta, kim ona jest według waszych ustaleń?

Nareszcie!

— Ta kobieta to była tancerka, dziewczyna z kabaretu. Teraz jest ona... przyjaciółką prezydenta, panie Makis.

— Coo?!... Klarysa?!

Przestał być pijany, momentalnie zmienił mu się wzrok. Zastygł. Patrzy w głąb sali, nad moim barkiem, sprężony i skupiony jak trącona żmija. Ślepie pełne zaskoczenia i niepokoju. Ale trwa to chwilę krótką niczym zgubiona myśl. Przenosi wolno źrenice na moją twarz. Znowu się uśmiecha.

— Kobieta, i to pod nosem Prezydenta, ho, ho! Ładnie obmyślane,

majstersztyk! Jeśli chcesz coś ukryć, schowaj to w oku słońca, mówi wschodnia mądrość. Aż trudno mi uwierzyć... Klarysa!... Pan to zobaczył we śnie, poruczniku?

— Dokładniej: w malignie, w swego rodzaju stanie hipnotycznym.

— Pan jest medium?

— Można to tak nazwać.

— Słowa i sprawki.

— Masz rację, moja mała.

— Pan się nie myli jako medium?

— Nie ma tu mowy o pomyłce, panie Makis, wiem, co mówię! Nie zawracałbym panu głowy, gdybym tej pewności nie miał. Ale to jest wszystko, co wiemy...

— Zatem wiecie gównu, przyjacielu.

— Dlatego zebrzemy u pana o pomoc, panie Makis. Co pan wie o tej damie?

— Też gównu. To czarująca lalka, która gra najuczciwiej jak tylko można grać poza małżeństwem i celibatem. Nie będąc gadułą i nie kosztując zbyt wiele, jest ona żywym świadectwem geniuszu Prezydenta. Mądrość stanu, drogi gliniarzu, najpełniej się ujawnia w doborze metres. Kiedy marszałek de Richelieu podsuwał Ludwikowi XV wielką damę jako nową faworytę, król zrezygnował, tłumacząc, że zbyt dużo kosztowałyby odprawienie takiej metresy. I, jak pan wie, nie spadła mu na głowę rewolucja...

— Panie Makis, proszę, skończmy już tę zabawę, jest mało czasu!

— Co? Przecież ledwie minęła północ... Pan znowu myśli, poruczniku, że ja rozmywam tragedię w głupstwach, gdy krwiożercza modliszka chce głowy Prezydenta. Czyżby?... Swoją drogą, jeśli to prawda, wówczas gość, który ją ułożył w wyrku numer jeden, zasługuje na miano czempiona rajfurskiego, certainement! Widzę, że go nie doceniałem... To mi przypomniało pewien wesoły fragment historii Birmańczyków. Birmański król Hsimbyushina rozbił chińskich agresorów i gwoli odszkodowania żądał, by dano mu córkę cesarza Chin. Jakiś czas później do Birmy zjechało chińskie poselstwo, wioząc luksusową lektykę, w której siedziała skromnie przesłonięta wachlarzem księżniczka. Król zawiódł ją do swoich komnat, a heroldowie obwieścili narodowi, że roszczenia reparacyjne zostały spełnione. Było to preludium skandalu, gdyż król stwierdził, że wysłanniczka Pekinu nie jest Córką Niebios, tylko agentką. Zdradziła ją sprawność zawodowa... Wróćmy wszakże we własne progi. Czy Klarysa jest Judytą? Być może jej skromność i niezachłanność winny stanowić ostrzeżenie dla Prezydenta, jak pan myśli, poruczniku? Kiedyś był niczym radar, prześwietlał ludzi, ale wiek musiał osłabić jego czujność...

— Merde!

— Tu as raison encore, petite coquine. Le roi s'amuse, mais le roi vieillit.

Czytałem gdzieś, że nie ma nic gorszego dla ludu niż nazbyt długie starcze panowanie. Podobno Bóg jest wieczny, to wszystko tłumaczy... Ale my

Znowu masz rację, szelmutko. Król się bawi, ale i starzeje.

jesteśmy kapłanami tej religii i musimy strzec ołtarza, bo bez niego staniemy się nicością!

To ostatnie zdanie! Warknął je głosem oficera rozwścieczonego na rekrutów. Rzucił sylaby tak twardo, jakby całe życie nosił mundur dowódcy kompanii karnej. Nie sądziłem, że umie szczekać. Korzystam z okazji:

— Panie Makis, jeśli chodzi o Saturna...

— Kiedy pan z nim gadał, poruczniku?

— Kilka dni temu.

— O czym?

— Składałem mu raport.

— I to wszystko?

— Nie. Chciał, żebym robił dla niego za jasnowidza, lecz kiedy powiedziałem mu, iż tego nie umiem...

— A nie umie pan? Przecież mówił pan, że... że widział ją pan w stanie hipnozy lub maligny! Czy nie może pan powtórzyć tego i dać nam więcej szczegółów?

— Nie mogę, panie Makis. Dużo nie brakowało, bym wykorkował. Takie seanse, takie eksperymenty, to balansowanie na granicy zgonu. Długo nie będę mógł tego powtórzyć, może nigdy. Ale to, co już widziałem, starczyło. Musi pan natychmiast ostrzec prezydenta, i musi pan sprawić, żeby prezydent zezwolił ją aresztować. Co do Saturna, to nie jestem pewien...

— Ale że Saturn szuka jasnowidza, jest pan pewien?

— Tak! Bardzo mu na tym zależy, chce widzieć dalej niż teleskopem, czytać w ludzkich głowach, szperać w zdarzeniach...

Znowu zastygł. Siedzi jak mumie siedzących faraonów. Sprawia wrażenie nieobecnego, myśli o czymś intensywnie.

— Czy pan mnie słyszy, panie Makis?

— Słyszę, słyszę, mam słuch absolutny, poruczniku! Słyszę nawet to, czego pan nie słyszy opowiadając mi o pragnieniach Saturna, usłyszałbym kota nocą! Ale nie chcę już słuchać, teraz pan mnie wysłucha. I nie będą to żarty, nie mam już humoru! Saturn jest bratem Klarysy i...

— Domyślałem się tego, panie Makis! — krzyczę, i widzę chłopca kucającego na piasku u stóp zamkowego wzgórka.

— Proszę mi nie przerywać, psiakrew!... — skanduje wódz kompanii karnej, Makis. — To on wprowadził ją do pałacu i do łóżka Prezydenta! Nie chciała, broniła się, ale zmusił ją. Wie pan, jak zmusił? Porwał i uwięził gdzieś jej dziecko, córkę faceta, którego kochała i którego chyba dalej kocha... Co panu,

poruczniku?!... Co panu jest, do cholery?!... Żle się pan czuje?... Dis donc, tu vas bien?! Słyszysz mnie pan?...

Pierwszy raz odpowiadam mu po francusku, machinalnie, nikogo się już nie bojąc (czasami tak mówimy, jakby to mówił ktoś, kto stoi obok nas i nie drży):

— Je m'écoute moi-même...

Wytrzeszcza wzrok.

— Co takiego?!

Staram się opanować, staram się całą siłą woli, mięśni i dumy, aż do bólu.

— Ile lat ma to dziecko? — pytam drewnianymi wargami.

— Miałoby siedem lub osiem, gdyby żyło. Nigdy go nie widziałem, poruczniku, przywiozła je z zagranicy. Zupełnym trafem dostałem wiadomość, że zmarło rok temu, o czym ten łotrzyk jej nie informuje, bo utraciłby możliwość kierowania marionetką tańczącą przy boku Prezydenta. Wszystko to razem wisiało mi jak worek kitu, nie chciałem się wtrącać, nie chciałem pakować rąk w te tryby. Myślałem, że Saturn trzyma ją na górze tylko dlatego, by mieć względy u Prezydenta. Nie wydawało mi się to groźne... Teraz widzę, że ona jest sztyletem Saturna!... Poruczniku! Przekaż pan pułkownikowi... Albo nie. Chodźmy razem do niego, zbudzimy pana pułkownika!

— Merde!

Wstaje, gwałtownym ruchem odrzuca krzesło, ciska na stół kilka banknotów i wlecze mnie ku wyjściu. Idę jak lunatyk. Mam gdzieś jego zaciętą twarz i zdziwioną gębę Barabasa, który nerwowo leje w harmonijkę ustną słowa meldunku.

— Gdzie są wasze samochody, poruczniku?

— Za rogiem.

— A obok kilku szpicli Saturna?

— Nie, panie Makis. Kontrolujemy całą dzielnicę. Jeśli psy Saturna tu były, to je zneutralizowano.

— Więc chodźmy, przyjacielu.

Pułkownik udaje zaskoczonego, a źrenice palą się mu jak triumfalne pochodnie, kiedy Makis mówi:

— Zlikwidujecie Saturna! To rozkaz, panie pułkowniku! Mam nadzieję, że wykonalny?

— Tak jest, ekscelencjo, wykonamy ten rozkaz! Czy mam zlikwidować zdrajcę bezzwłocznie?

— Mów, dobrze się czujesz?!

— Słucham siebie...

— Bezzwłocznie. Kiedy to nastąpi?

— Już za kilkanaście godzin, ekscelencjo. Urządzamy jutro... o, przepraszam, to już dzisiaj, mały koncert, na który pan kapitan czeka niecierpliwie, chcąc zobaczyć, czy jego wspólnicy będą śpiewać i co zaśpiewają. Posiadamy też

wystarczające środki do opanowania jego siedziby.

— A trzy dywizje gwardii?

— I to przewidziałem, proszę być spokojnym, ekscelencjo.

— Dużo pan przewidział, pułkowniku...

— Staramy się, ekscelencjo. Proszę powiedzieć Panu Prezydentowi, że my nigdy nie śpimy w służbie Pana Prezydenta. Że jesteśmy czujni zawsze!

— Prezydent będzie pamiętał o tym. A ja do czasu ukończenia waszych działań będę go pilnował przed Klarysą. Później razem, pan i ja, będziemy decydować o jej losie. Po zdobyciu centrali Saturna przejmie pan wszystkie jego kompetencje, pułkowniku — wywiad, kontrwywiad i ochronę góry, która musi być nieustannie strzeżona. I będzie pan czekał na dalsze rozkazy. Czy wszystko jasne?

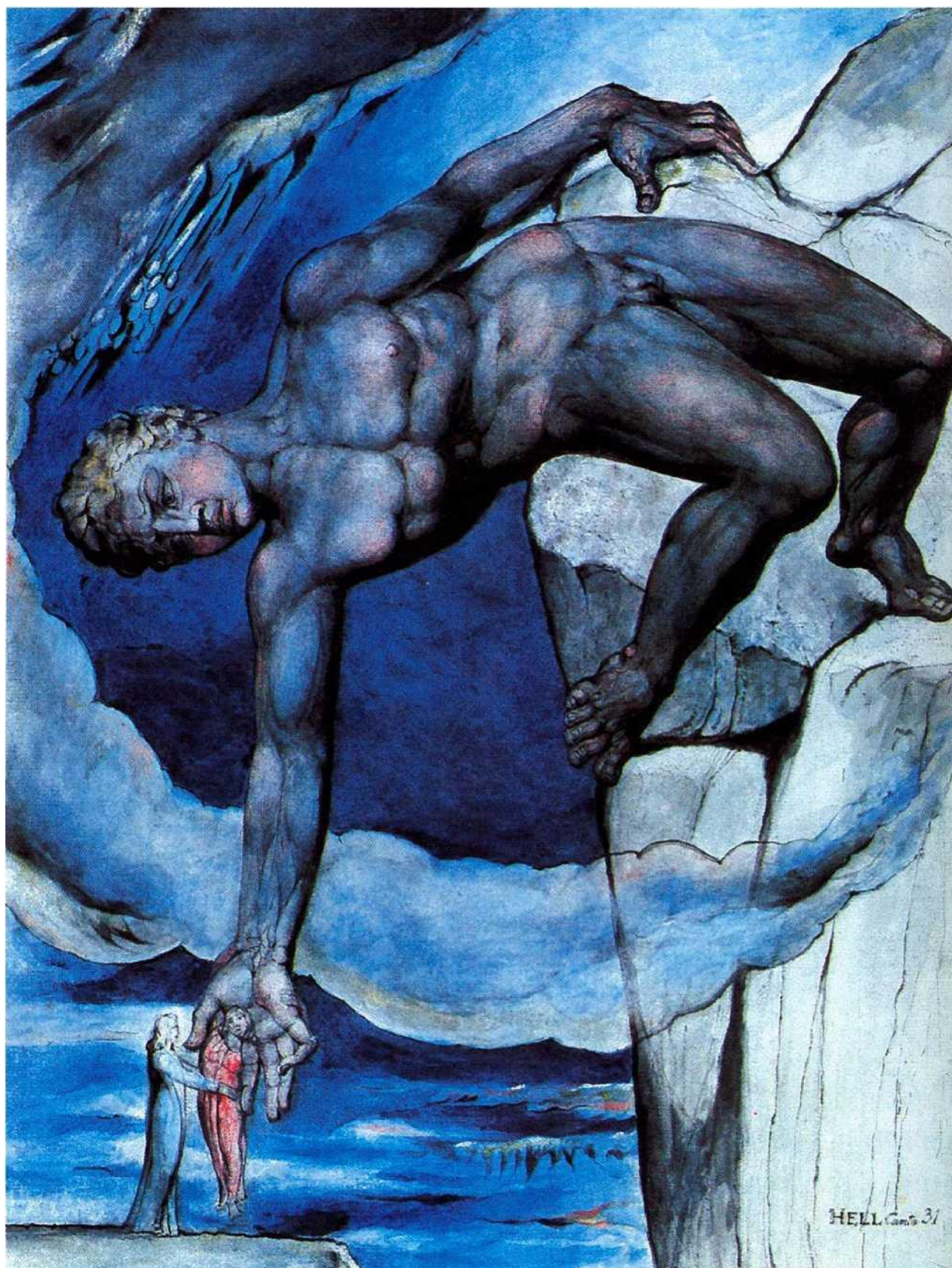
— Tak jest!

— Żegnam, pułkowniku, do zobaczenia za kilkanaście godzin. Proszę mi teraz dać jakąś gablotę, którą sam poprowadzę i zostawię gdzieś w środku miasta, a wy później znajdziecie sobie ją. I proszę mnie więcej nie śledzić, bo się rozgniewam! Życzę wszystkiego długiego. À bientôt, messieurs!

Pułkownik daje mi na sen całe cztery godziny. I tak nie zasnę już. Wracam do domu pełen gorączki nocnej. Letnia noc, kraina niepoprawnych handlarek, kupujących bogactwem własnych wdzięków, spowija mi głowę zapachem wędnącego kwiecica. Ciemność przetykana smugami księżycy ściele się pod nogi. W gasnącej atmosferze namiętne szepty ciał biegną spoza murów. Do uszu wdzierają się zmysłowe jęki rozgniatanych kobiet. Krew pulsuje wrzącą falą między każdym dachem a każdym chodnikiem miasta. Mimo że wszystko wokół otulone jest ciszą, skądś płynie niepokój targający prymitywne struny duszy. Zalatuje wonią plaży i mansardy, do której wbiegła „*Salome*”... Z jakiego to bytu?

Drobne pęknięcie w duszy i już mały robak szaleństwa wypełza na zewnątrz, szukając drogi ku sercu. Niesie go rwący żyłami strumień wspomnień, który gdzieś tam się zwęza i staje wodospadem krwi, by szaleństwo mogło runąć kaskadą i burzyć się pianą — tędy on dopłynie do celu. A kiedy już dopłynie — zacznie przegryzać ściankę, robiąc korytarz do wnętrza.

Do rychłego, panowie!



Znowu jestem w moim wielkim pustym mieszkaniu, gdzie biurko gabinetu zdobi porcelanowa figurka baletnicy. Patrzymy na siebie zachłannie, nieruchomi i rozmarzeni. Ona jest tancerką, a ja cynowym żołnierzem Andersena, kalekim jeszcze bardziej, serce mam bowiem zranione tak głęboko, że czymże jest przy tym brak nogi u żołnierza z bajki?

„Maleńka pani obie ręce wyciągała przed siebie, gdyż była tancerką; jedną nóżkę podnosiła wysoko w górę; żołnierz nie mógł jej wcale dojrzeć i myślał, że podobnie jak on miała tylko jedną nogę. To byłaby w sam raz żona dla mnie — pomyślał żołnierz. — Ale ona jest taka wytworna, mieszka w zamku, a ja tylko w pudełku... Nie jest to odpowiednie dla niej miejsce! Muszę ją jednak poznać” .

Zrozumiałem już wszystko. Tam, nad Sekwaną, byłem szczęśliwy, to była wiosna moja i jej. Potem przyszła długa zima rozłąki. Mróz nicował moją duszę, i moje serce, zamienione w kryształowy sopel nie do przebicia dla tysiąca czarnych tragarzy tkliwości. Teraz znowu nastąpiła wiosna i sopel taje. Wróci bezbronność, to cena, którą trzeba zapłacić życiu. Muszę ją jednak poznać!

Zbliża się świt. Biorę słuchawkę i wykręcę numer mojego brata...

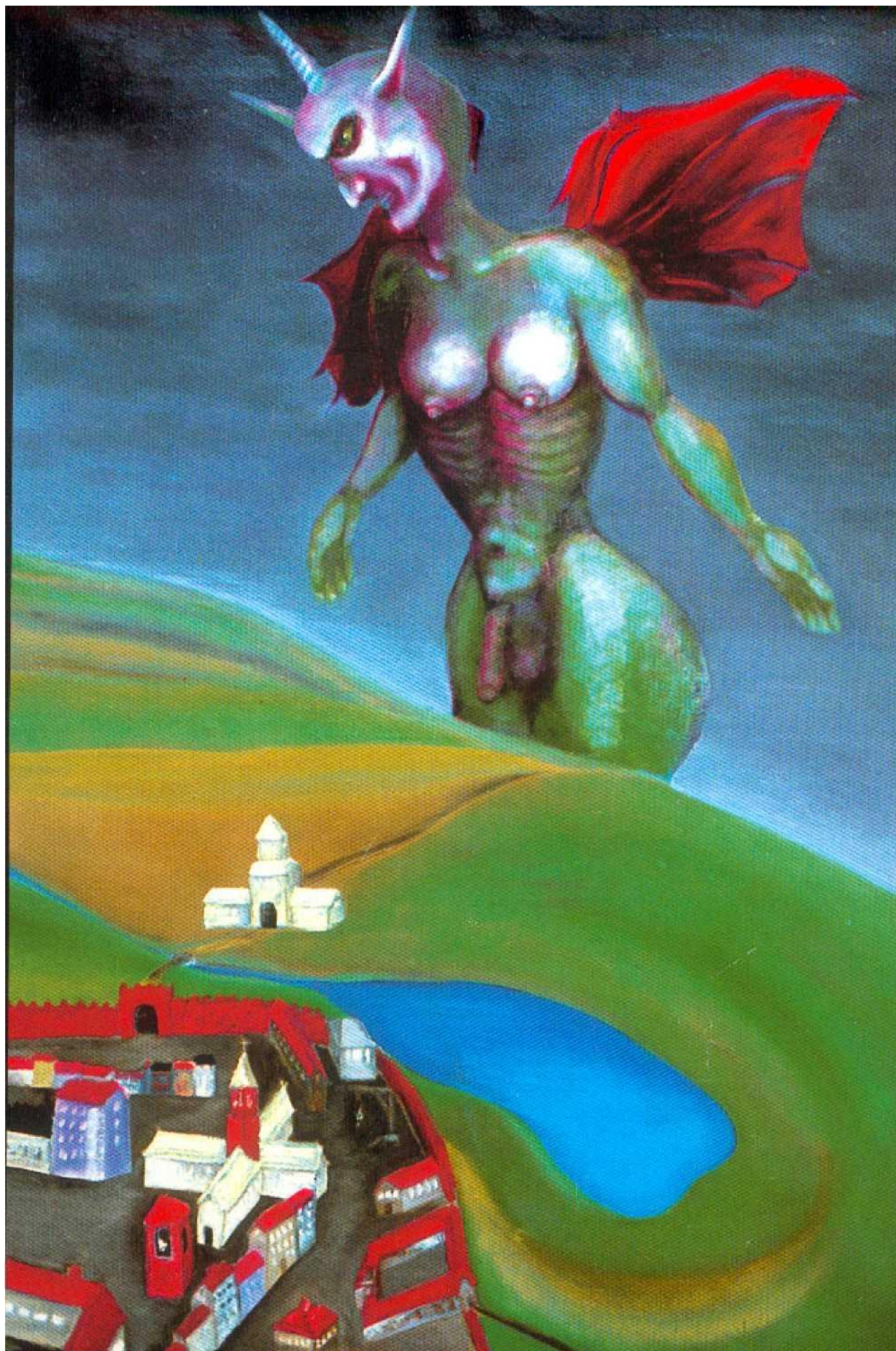


Tłum. Stefania Beylin.



Jan Marcin Szancer





9

Budzi się nowy dzień.

Pada monotonny deszcz, niebo skąpała ciężarna szarość, zniknęły ptaki i rysunek horyzontu. W popielatym świetle góra prezydenta majaczy niby dryfujący żagiel, co zachował ślad wiatru, tak jak łóżko zachowuje odcisk skulonego ciała.

Gotujemy z Robertem wielkie święto, gigantyczne odkupienie, furie pogańskiego karnawału, aby krew ofiar umyła nasze dłonie i dała nam pójść wyzwalającą autostradą egzystencji. Odkryjemy jakąś cząstkę świata przysypanego pyłem wśród nocy, zanurzymy ten dzień w oczyszczającym szkarłacie mordy i ześlemy mu drugą ulewę, krwawą łaźnię, by dotrzeć bardzo daleko — do sekretnych bocznic kolejowych, które wcześniej były wzbronione nam. Gdy zbłądzimy po drodze, gdy ich nie znajdziemy — wówczas śmierć wyzwoli nas obu.

Jechaliśmy przez życie rozpędzonym pociągiem, pełnym stukania kół i dzikiego zgrzytu osi, rozemocjonowani hukiem i gwizdem lotu, batożąc pasażerów bez opamiętania. Czuliśmy się ciągle w drodze — wzdłuż prostej linii, do której przyzwyczyły się nasze myśli tudzież łapy, i która modelowała większość naszych odruchów. Pchani po szynach terrorem, sami budowaliśmy terror, biorąc za sens życia łomotanie cudzych serc i cudze cierpienie. Aż przyszedł gwałtowny skręt torowiska i zdecydowałem się wyskoczyć w biegu, ale przedtem porachować z konduktorami, kontrolerem i maszynistą. Oraz wziąć wszystko, co moje. Zrobię to przy wsparciu mego brata. Decyzja była moja, lecz Robert zaakceptował ją bez sprzeciwu, mimo że nikogo nie chce uwolnić, prócz siebie samego. Starczył mu jeden rzut oka na moją twarz w pierwszym blasku świtu i kilka minut dialogu, byśmy doszli do porozumienia.

Ile trzeba przeżyć, by wreszcie mieć tych kilka minut czekających na człowieka, i jak długo musi serce boleć, by człowiek starał się nie ominąć tej chwili? Później, gdy już została podjęta decyzja, smakujesz satysfakcję, że rozterki są wreszcie za tobą, i gorączkuje cię głód czynu.

Będzie to dzień Apokalipsy. Pułkownik ułożył jej pierwszy scenariusz, ale pułkownik nie wie, że w scenariuszu złożonym przeze mnie i przez Roberta wyznaczono mu rolę odmienną. Te scenariusze są jak para gladiatorów, którzy się przyjaźnią na polu ćwiczeń i wewnątrz koszar, lecz na arenie muszą toczyć bój śmiertelny. Obok nich walczą inni gladiatorzy — może być kilka scenariuszy dramatu. Ile jest scenariuszy tego dnia? Saturn, Makis, ona, prezydent, może ktoś jeszcze, ktoś nieznany — każdy gra swoją grę. Będzie również scenariusz pisany przez Boga podczas Genesis i złożony w archiwum przeznaczeń. Stanowi on matrycę, nosi numer losu wygrywającego, cyfrę fatum. Jeśli nasz scenariusz ma

ten sam numer — wygramy. W przeciwnym razie zapłacimy na tej loterii fantem życia.

Nie czujemy wahań ni strachu. Nie będziemy żałować czegokolwiek ni kogokolwiek. Żaden z nas nie jest takim durniem, by nie rozumiał, co nam grozi. Ale dojrzeliliśmy już do tego zakrętu. Umrzemy lub urodzimy się jeszcze raz, lecz nikt nie będzie miał prawa gadać o przypadkowej reinkarnacji, o mimowolnym nareperowaniu dusz, gdyż swoje nowe człowieczeństwo wybudujemy z premedytacją i samodzielnie.

Wszystko to jest cudem, buntem niespodziewanym, a robi takie wrażenie, jakby było od dawna umówione i jakbyśmy na to czekali.

Być może więc moja tęsknota za „*Salome*” stanowi tylko pretekst dla pożegnalnego ceremoniału? Możliwe, iż gdzieś głęboko tkwiła w nas zawsze rebelia, kult buntu, nienawiść do nerwowej krzątaniny wokół tortur i draństw, i chęć wyzwolenia lepszych bóstw zagrzebanych wewnątrz wilgotnej próchnicy naszych jestestw? Jak to mówił ów ksiądz-motocyklista? „*Zbudować pomost do tego, co złem przytłumione i co winno się buntować w człowieku*”. A może to głód kreacji wielkiego terramoto, który trawi każdego człowieka, znalazł sobie ujście właśnie dzisiaj i determinuje nasze ruchy? Lub może po prostu jesteśmy już zmęczeni całym tym głównem!

Zbyt długo trwała nasza włóczęga bez sensu, dla samej nienawiści, dla barbarzyńskich żądz, dla krwiożerczych wyrachowań i złowieszczych festynów. Byliśmy zanurzeni w glebie, na której nic nie urośnie, i kiedyś musieliśmy to zauważyć, by odreagować — choćby z nudów. Mijały lata i jesienie, mijała nasza młodość, a my nic nie zyskaliśmy prócz znużenia i zgorzknienia. Dobra tej Ziemi sypały się nam przez palce jak pył piaskowych wydm, a my — zarażeni okrucieństwem i znieczulicą — taplaliśmy wszystko we krwi i w bólu. Kochaliśmy zwierzęta, nie postrzegając cierpień ludzi. Nie widząc, że istoty przywiązane do średniowiecznych machin — są zwierzętami i niczym więcej! Człowiek, któremu ukradziono wolność, staje się łańcuchową małpą z dzieła Bruegla, najniezwyklejszym zwierzęciem globu — dręczyliśmy zwierzęta! Mnie i mojemu bratu został ostatni już ładunek bestialstwa, ani mały, ani duży — w sam raz, by spełnił się ten dzień.

Będzie to dzień grozy — kataklizm, który wzbiera od rana posepnym wyczekiwaniem specjalnie zaprzysiężonych batalionów i runie jak tysiactonowy miot na miasto i na społeczeństwo, burząc wszystko, co skazali bogowie. Mimo to ludzie idą do pracy. Syreny fabryczne wyją, pociągi turkoczą, strugi deszczu rozwierają parasole, w biurach poirytowani szefowie klną biurokratów, z tanich nor prostytutki wypraszają ostatnich gości, by ułożyć się do spania. Żaki ziewają nad Goethem, matematyką i gramatyką, gospodynie szorują dywany i odkurzają szafy, gliniarze patrolują i korumpują, aktorzy próbują, symfonicy ćwiczą, kupcy

robią interesy, pederasci robią swoje, ktoś umiera, ktoś się stara, ktoś wali kapucyna, akuszerki wyjmują noworodki, grabarze kopią groby, lekarze stawiają diagnozy i macają pielęgniarki. Nikt z nich nie domyśla się, że ten dzień — to nie jest zwykły dzień.

Bez przerwy pada. Strach unosi się nad asfaltem niczym wąła smuga dymu; wszyscy ludzie, którzy zostali wtajemniczeni i wezmą udział w operacji, czują jego drażniący zapach — to trucizna dla nerwów. Rozpoznać ją można po przyspieszonym pulsie. Tylko my dwaj jesteśmy spokojni.

Regulujemy zegarki. Brakuje niecałego kwadransa. Agenci przyczajeni blisko góry prezydenckiej meldują szyfrem radiowym, że z siedziby Saturna ruszyła kawalkada wozów. Ostatnia lustracja funkcjonariuszy. Twarze blade i zacięte — wszystko na jednej szali. Repetujemy broń. Cichy szczeł pestek w magazynkach i komorach. Czekamy jak drapieźnik schowany wśród zarośli, gotowy do skoku. Oddechy tłumione paranoją, że Saturn ma łeb-radar, z którego wystaje gąszcz anten podsłuchowych.

Głęboka cisza, usłyszałbyś brzęk igły padającej na glazurę...

Rynną alei biegnie głuchy warkot kilkunastu motorów. Jada! Zgrzyt hamulców przed głównym wejściem do imperium Roberta. Gromada pretorianów Saturna wyskakuje z pierwszych furgonetek konwoju. Formują ciasny dwuszereg między purpurowym rolls-roycem a bramą. Zwróceni do siebie plecami, pilnują boków tego korytarza. Palce trzymają na spustach km-ów, chociaż ulica jest od rana zamknięta dla ruchu miejskiego i nie ma tu żywego ducha prócz nich.

Z limuzyny wyskakują dwie drapieżnice azjatyckie. Noszą skórzane pulowery, brezentowe szorty i tylko misterne sztyleciki przy ćwiekowanych paskach. Otwierają tylne drzwiczki wozu. Wychodzi pan k o m e n d a n t . Ma płaszcz przeciwdeszczowy z wysoko sterczącym kołnierzem i filcowy kapelusz. Rozgląda się czujnie wokoło, chwytając nozdrzami zapachy, jak dobry pies, po czym rusza zdecydowanym krokiem ku bramie. Jedna z dziewczyn trzyma mu nad głową czarny parasol, rozpostarty niby skrzydło nietoperza. Baldachim śmierci! — szepcze mi mózg.

Do bramy prowadzą niskie schodki. Jestem daleko, lecz bez trudu słyszę oddechy i chrzęst podeszw na wytartych kamieniach.

W bramie witają gości Robert i kilku jego chłopców. Mnie tam nie ma — Saturna mógłby drażnić mój widok. Robert prowadzi towarzystwo hallem Opery ku drzwiom po prawej stronie wejścia (te drzwi wiodą do westybulu muzeum). Cały czas idzie pierwszy. Pierwszy więc przekracza próg, za nim Saturn i obstawa Saturna złożona z dwudziestu kobiet i pięćdziesięciu mężczyzn. Kilkunastu zostało przy samochodach — tych później wystrzela zespół naszych snajperów sztucerami opatrzonymi w tłumiki.

Mój brat idzie wolno, skroś westybulu, do kolejnych drzwi. Uchyła je, robi półobrót, potężnym kopnięciem odrzuca Saturna i rygluje drzwi za sobą. W tej samej sekundzie grzmiały rygle drzwi, którymi weszli tu z hallu, i cała zgraja staje się pastwą hermetycznie przymkniętego wnyka. Pułapka zdała egzamin celująco! Teraz przez dziury sufitowe wałęsają się na pawimencie westybulu kruche pojemniki z gazem o bezwładniającym, eksplodującym jak deszcz granatów, i kamienne akwarium wypełnia gęsta mgła. Ręce unoszące się do gardeł, ciała falujące sennie, zwolnionym rytmem, nogi osuwające się na kamienną szachownicę — i wszyscy nieruchomieją. Minęło ledwie dwadzieścia sekund i już jest spokój! Daję znak, rozsuwają się bezszelestnie lufciki okien i snajperzy-tłumikowcy grają swą delikatnie morderczą kanonadę.

Pierwszy etap za nami. Cisza, tylko bębniące łzy deszczu. Z westybulu procesja „pielęgniarzy” dźwiga do sali koncertowej nosze pełne śpiących ciał. Robert-arcykapłan tej ceremonii wskazuje właściwe maszyny dla wszystkich klientów. Uśpionych wsadza się lub kładzie, wiąże się skórzanymi pasami lub żelaznymi klamrami, a gdy już każdy jest trybikiem swego instrumentu — przychodzi czas budzenia. Amoniak wtykany pod nosy cuci ich kolejno. Otwierają gały i patrzą wokoło z niedowierzaniem, które przeradza się w ciarki zimnego lęku. Niektórzy zaczynają skowyczeć cicho, chociaż nie dosięgnął ich jeszcze żaden ból — może czują go już w kiszkiach i w stawach? Inni płaczą bezgłośnie. Inni twardo milczą, przełykając raz za razem ślinę.

Obudzony Saturn zostaje rozebrany i wepchnięty do klatki stojącej pośrodku westybulu. Goły wcale nie jest śmieszny. Jest piękny, ma harmonijne, dyskretnie muskularne ciało. Patrzy spokojnym wzrokiem. Sięga ręką do ust, grzebie palcem wewnątrz gęby — bez skutku, nie zdążył rozgryźć kapsułki z trucizną. Mój brat trzyma ją na dłoni przed nosem Saturna...

Pułkownik robi krok ku klatce. Jest bardzo dumny, łapy wspiera na biodrach, gapi się dwiema wyrzutniami triumfu. Plecy głaszcz mu zimny wzrok Roberta, ale pułkownik nie czuje tego.

— Jesteście skazani! — informuje Saturn. — Skazaliście się wszyscy! To, co robicie tutaj, zostanie ukarane śmiercią! Śmiercią i wieczną hańbą wszystkich zdrajców!

Odpowiada mu milczenie.

— Daję wam ostatnią szansę, chłopcy! — krzyczy Saturn do funkcjonariuszy, a nim wykrzyczy drugie zdanie, wskaże głową Roberta i pułkownika: — Jeżeli natychmiast obezwładnicie tych dwóch, nie spadnie wam żaden włos! W przeciwnym razie wszyscy zapłacicie śmiercią! Prezydent wam tego nie daruje! Jeżeli nie posłuchacie mnie teraz, skażecie się sami, wszyscy!

— Skazaliśmy wszystkich — szepcze Robert. — Ciebie, twoich fagasów i twojego prezydenta.

Pułkownik odwraca się gwałtownie.

— Jak śmiesz mówić, że skazałeś Prezydenta?! Czyś...

— Mam go w dupie, pułkowniku — przerywa mu Robert, dając jednocześnie znak ręką.

Dwóch komandosów Roberta wykręca pułkownikowi dłonie tak mocno, że słysząc chrzęst kości, trzeci wyjmując z kabury jego pistolet. Adiutant pułkownika odbezpiecza swoje parabellum, lecz tłumik przystawiony do skroni już wypływa pocisk i przewraca adiutanta jak plastikowego manekina. Tłumikowe strzały brzmią ciszej niż solidne pstryknięcie palców; reszta chłopców szefa ginie.

Teraz zbliżam się ja. Pułkownik toczy wokół wybałuszonymi gałami. Łapie powietrze ciężko, jeszcze się szarpie, w ogóle ma coś ze schwytanego siecią tygrysa. Przeżył krótką chwilę triumfu, którą każdy człowiek przeżywa na wieść o czyjejś śmierci (triumfu rangi tak wielkiej, jak wielka była jego niechęć wobec Saturna), i spod słońca runął niczym bezskrzydły kamień w czeluść tego samego grobu. Jeszcze nie może całkowicie zrozumieć — jeszcze nie pojął wszystkiego, co się stało. Zauważa moją obecność i rozstrzeliwuje mnie ślepiami. Z ustawionego do krzyku gardła wypływa cienki, zdławiony szept:

— I ty przeciwko mnie, skurwysynu?...

Jest mi go żal, był dla mnie dobry. Proszę brata:

— Robercie, daj mu spokój...

Co znaczy: daj mu umrzeć z godnością, nie męcz go.

Robert patrzy na mnie swym nieodgadnionym wzrokiem. Później bierze pułkownika pod ramię, delikatnie jak dziewczynę żądną spaceru, prowadzi do płytkiej niszy, gdzie stoi autentyczny fotel Borgiów, sadza łagodnym pchnięciem i wręcza kapsułkę Saturna. Pułkownik bierze ją ostrożnie dwoma palcami, unosi na wysokość żrenic niby badacz studiujący próbkę pod światło, wreszcie kieruje spojrzenie ku twarzy Roberta i pyta błagalnie:

— Czy już nic...

Robert kręci przecząco głową.

Pułkownik wreszcie skapował. Filuje do góry, jakby tam szukał ratunku. Lecz nie znajdując bogów, u których mógłby złożyć apelację, kładzie głowę na oparciu fotela i łyka kapsułkę, zamykając powieki. Szczęki wykonują gwałtowny skok; trucizna toczy się przez krtań, by karmić żyły i arterie. Jej łagodne działanie miesza mu myśli i rodzi stan sennego omdlenia, pełnego zjaw z dzieciństwa, ludzi zakutanych w puszyste futra i znajomych kątów. Ściele się przed nim dawno opuszczona kraina Północy, ziemia skuta mrozem, biała, bezkresna, malowana cieniami oszronionych drzew i łuną księżycową. Mróz szczypie policzki, a zimny tlen wpada przez siniejące nozdrza do płuc. Wokół tak cicho, że słysząc, jak w sąsiedniej wsi skrzypią żurawie. Wszystko znane na pamięć, każdy trop, każdy wykopany dołek kuropatw, pola i lasy można czytać jak otwarte

księgi. Albo ten wielki kamień przy drodze, od którego liczył kroki do szkoły, ucząc się rachować w ten sposób. Im dalej, tym więcej było kroków, i musiał zwalniać, żeby się nie pomylić. A kiedy wracał — zawsze wychodziło bliżej niż w drugą stronę. Dziwne, że ten kamień wciąż stoi tam, gdzie stał, nic się nie zmieniło. Ktoś może liczy wedle niego, ile kroków... Trochę boli, że opuścił samotnego przyjaciela. Gdyby wrócił, czy byłoby tak samo?... O, inaczej! Teraz widzi całą drogę, każde drzewo, każdy zakręt, wszystko to, na co wzrok obojętnie padał, dziś jawi mu się cudem pełnym tajemniczego uroku. Przed sobą widzi dziwny płomyk, który coraz słabiej świeci.... Jutro Gwiazdka. Drzewko z lasu owinie biały sznur, zawieszają jemiołę nad progiem i będą się pod nią całowali, ale nie on.... Kula u szczytu choinki rośnie, zajmuje całe niebo, tłumi wszystkie głosy... Coraz ciszej, a dookoła tylko ta srebrna księżycowa poświata, trochę bledsza, coraz bledsza... Milczenie zupełne, błogość i spokój...

Głowa opada mu na piersi, wiotczającą rękę, pułkownik został zdegradowany do stopnia zwłok. Jego szorstka twarz wydaje się być sumą wszystkich wiecznych snów tej Ziemi, zamyśleń marmurowych greckich wizerunków i dostojęstwa mumii faraonów. Przydymiona srebrzystość włosów czyni go majestatycznym, ale również dzięki pozie znudzonego sułtana, co się na moment zdrzemnął, by wyłączyć wrzaskliwy gwar Wielkiego Dywanu. Okradziony z trucizny komendant pierwszy raz w swoim życiu zazdrości pułkownikowi.

Stając przy klatce i mówię zjadliwym głosem:

— Patrz, jak niewiele się zmieniło! Wciąż jest między nami ta sama relacja, o której mówiłeś, relacja dupy i kija! Z tą tylko różnicą, że kij stał się dupą, a dupa kijem! Pamiętam też inny twój bon-mot. „*Rzecz w tym, by należeć do treserów, oto cała sztuka rządzenia*”. Ale zamienić tresera w małpę, którą dręczą Pigmeje, to dopiero sztuka! Sztuka magiczna, czarnoksięska, prawdziwy cud, dzieło dwóch genialnych iluzjonistów-synów czarownicy. Podoba ci się to, panie komendancie?

Milczy kilka sekund, jakby czekał na kolejną złośliwość. Później mówi, głosem lekko przytłumionym, jednak twardym:

— Wypuść mnie!

— Tak po prostu, za dobre słowo?

— Za stanowisko szefa glin.

— Aż tyle, panie komendancie?... A ja, dureń, myślałem, że już jestem szefem szefów... No dobra, zrobię to, lecz za coś innego.

— Za co?

— Za cud z twojej strony. Myśmy zrobili cud, teraz ty zrób cud!

— Jaki?

— Wskrześ moją córkę, to zwrócę ci wolność.

— Pańską córkę?... O czym pan mówi?!...

— Nie wiesz? O moim wuju też nic nie wiesz?... Przypomnę ci, kazałeś go zamordować.

— Wypełniłem tylko rozkaz Prezydenta!

— I to prezydent cię zmusił, byś prostytuował swoją własną siostrę?

— Pan oszalał, poruczniku! Nigdy nie miałem siostry!

— I nigdy nie miałeś matki, która utonęła w morzu. I nigdy nie budowałeś góry z piasku, która uratowała cię przed zalewem. I nigdy nie szantażowałaś swojej siostry, porywając jej dziecko. Nigdy nie planowałaś...

— O czym pan mówi, na miłość boską?!!

— O przeszłości, panie komendancie. Chciałeś mieć jasnowidza? Będziesz miał, wywróżę ci: i m o r d u j e s i ę p i ę k n y c h ś p i ą c y c h k o m e n d a n t ó w !

Robert znowu daje znak. Jego ludzie targają metalowe kosze, pełne rozżarzonych do białości węgielków. Łapią te węgle azbestowymi rękawicami i celują w Saturna. Jest mądry, nie ucieka. Na plecach, piersiach, barkach i ramionach, na udach i stopach, na zadku i na brzuchu, eksplodują mu płomyki, kwitną dymiące oparzeliny, tryska krew. Swąd palonej skóry gwałci nasze powonienia. A on stoi jak wyprężony monument, nie skacze, nie kuli się, nie robi żadnego z tych gestów, które nic by mu nie dały — trwa prawie nieruchomy, drżąc ledwo dostrzegalnie, ze szczękami zwartymi kurczowo, i jest wspaniały! Jest królem ognioodpornych bogów!

Kończą się węgle. Saturn ląduje na krześle sprzężonym z „*Pianinem*” (udoskonaloną przez Roberta wersją „*Hiszpańskiego kozła*”) i z „*Hiszpańskimi butami*”. Żelazne cholewy krępują jego golenie, a palce wędrują w przedziały klawiatury, zaśrubowywane sygnałem pulpitu sterowniczego. Ten pulpit nosi u Roberta nazwę „*Elektronowych organów*”. Kolorowe gałki ze skalą milimetrową dla dziesięciu palców dłoni, a dwie dźwignie, jedna po lewej, druga po prawej stronie blatu, dla nóg delikwenta. Robert idzie do Saturna i mówi:

— Zabawa się jeszcze nie skończyła, panie komendancie, ale ty sam decydujesz, czy będziesz dalej cierpieć. Gdy odpowiesz mi na kilka pytań, będziesz mógł wymierzyć sobie śmierć własnoręcznie, jak pułkownik. Rozpocniemy od hasła gwardyjskiego. Chcę znać wezwanie dla dowódców dywizji gwardyjskich, bo chcę ich zaprosić do stołu... Słucham.

Saturn wypełnia źrenice wzgardą.

— Nie zdążysz! — parska. — W moim sztabie czekają na mój sygnał, a jeśli go nie dostaną, uruchomią wojsko i zostaniesz zgnieciony. Opamiętaj się, człowieku!

— Zaryzykuję, panie komendancie. Teraz chcę usłyszeć odpowiedź, bo trochę mi się spieszy!...

— Nie powiem niczego!

- Taaak?... Zobaczymy. Daję ci dziesięć sekund dla namysłu.
- Nie powiem, nie pamiętam.
- Okey — szepcze Robert. — Pomogę ci. Przypomnisz sobie, z całą pewnością.

Cofa się do pulpitu sterowniczego i przesuwając żółtą gałkę po lewej stronie — zaczyna miażdżyć Saturnowi prawy kciuk. Potem kolejno czyni to samo z resztą palców i z nogami, wpieryw leciutko, następnie coraz mocniej, stopniuje ból, niektóre palce chwilowo uwalnia, inne zgniata bez przerwy, rozluźnia kleszcze i ściska znowu — gra. Wczesny, delikatny chrzęst stopniowo ulega zwielokrotnieniu. Twarz Saturna tężeje; zamknął wewnątrz płuc dużo powietrza, jak nurek łowiący perły, stara się wytrzymać długo. Być może istotnie wierzy, iż wkrótce przyjdzie ktoś, kto udzieli mu ratunku. Szybki drobny pot zalewa jego czoło, ramiona i półspalony tors. Robert dociska. Cienka struna krwi strzela na metr wysoko spomiędzy uwięzionych palców...

Wątpię, by mój brat widział w swym życiu drugiego tak bóloodpornego człowieka. Chwilami zaczynam wątpić, czy Saturn powie cokolwiek. Lecz Robert ma twarz spokojną, żadnym gestem się nie niecierpliwi — gra. Sprawia wrażenie dziecka bawiącego się kolorowymi kulkami bez celu. Od czasu do czasu rzuca krótkie, badawcze spojrzenie na pysk ofiary i przykręca lub wykręca jakąś gałkę. Chrzęst kości brzmi coraz głośniejszy, słychać trzask, palce już pękają. Saturn to zaciska, to rozwiera zęby, łapiąc tlen seriami haustów, mięśnie skroni kurczą się spazmatycznie, krew tętni gwałtownie pod skórą, a zlepione włosy jeszcze bardziej wilgotnieją, jakby wewnątrz głowy miał zbiornik potu. Twarz trupio blada, muskuły ramion bliskie pęknięcia, bo napięte niczym postronki diabłów, w jego wypełnionych bólem źrenicach odbija się nieludzka deformacja rzeczywistości ziemskiej. Robert dociska. Z gardła tamtego bucha makabryczny skrzek, pędząc po sklepieniach sali echem, które ginie gdzieś w korytarzu niczym szatański grzmot upiornego śmiechu. Robert włącza maksimum mocy. Saturn dławi się i bulgocze, zgniata sobie zęby zębami, skóra pęka mu w kilkunastu miejscach naraz, a krew tryska świszczącymi nitkami wokół. Porusza dziwacznie dolną wargą, by wydobyć z piersi ochrypły krzyk:

— Neeeeeeeeeee!!!... eeeee!!!...

Mój brat cofa kleszcze, uwalniając przez moment zmiażdżone paluchy, i sekundę później ponownie włącza maksimum. Cała twarz Saturna drga niby mozaika rozsypująca się wskutek hydraulicznego ciśnienia. Źrenice się rozszerzają, żyły karku i szyi puchną, pot nabiera różowej barwy. Coś się w nim łamie, jak gdyby prąd elektryczny zgalwanizował go, budząc inną prawdę we wszystkich mięśniach, łądźwiach i stawach. Robert odkręca i czeka znowu. Spazm łagodnieje i Saturn zaczyna mówić wolno, spoglądając na mego brata zdumionymi oczyma, jak gdyby dar mowy został mu zesłany bez udziału jego

świadomości i sprawiał identyczny ból, co milczenie. Męczy się bardzo, i zrazu jego bełkot jest nieprzetłumaczalny.

Po kilkudziesięciu sekundach urywa raptownie — dotarło doń, że wygadał. Budzi się zde gustowany swą słabością. Otwiera szeroko popękane wargi, niby wyjęta na brzeg ryba, i zaczyna krzyczeć całą mocą, która przetrwała w jego udreżonym cielsku, wieszcząc tym krzykiem swój koniec. Świat, który emanuje teraz z jego płuc, ma charakter granitowego dudnienia wewnątrz katedry. Trwa to minutę. Później gaśnie, jak gdyby ktoś odciął dopływ prądu. Saturn nam zemdłał.

Wraca Robert. Wyszedł, by telefonicznie wezwać szefów trzech dywizji. Jeśli nie wzbudził u kóregoś podejrzeń, to wkrótce wszyscy tu będą. Kładzie sobie partyturę na stojaku, przebiega oczami czarne znaki i ruchem uniesionej ręki przykazuje wszystkim ciszę. Ręka opada — rozpoczyna się pierwsza część spektaklu. Koncert. Każdy dyrygencki gest mojego brata ciągnie za sobą fonetyczny cień o innym brzmieniu. Pracują śruby, liny, kolce i kołowroty, w ściany uderza wycie i rżenie kilkudziesięciu gardeł, ale ciężko łowić z tego chóru melodię komponowaną przez Roberta. Większość torturowanych bez ustanku wyje, słyhać jednostajny charkot i ryk, kakofonię dźwięków pomieszanych, nie prezentujących wyrazu artystycznego. Nie jest to wszakże klęska, lecz konieczność — przygotowanie ciał. Dopiero gdy skutek cierpień członki się zmęczą, po kilku omdleniach, po stępieniu wrażliwości na ból, będzie można uzyskać czyste efekty, bo krzyk zostanie wyrwany z gardła już nie samym strachem, tylko precyzyjnie wwierconym kolcem lub subtelnie zaciśniętą śrubą. Tę klarowną fazę Robert pragnie osiągnąć do czasu przybycia generałów.

Stawiają się w komplecie przed upływem pół godziny. Witam ich wewnątrz hallu, rekwiruję broń i prowadzę ku sali koncertowej. Tu otrzymują fotele i stają się widzami. Jeszcze nie bardzo rozumieją. Chcę im wytłumaczyć, czego od nich żądamy, gdy wtem zza pleców słyseż kaleki, skrzekliwy ryk Saturna:

— To zdrada!! Zdradaaaaa!!!... To zamach stanu, zamach na życie Prezydenta!! Prezydentaaaaa!!!!...

Podrywają dupska i mają ślepią pełną furii.

— Co to znaczy?! — grzmią zgodnie.

— To znaczy, proszę panów, że chcemy użyć waszych żołnierzy do zlikwidowania prowincjonalnych komórek policji i placówek pana komendanta, to jest do oswobodzenia więźniów politycznych i do aresztowania, a następnie rozstrzelania bez sądu, pracowników aparatu represji we wszystkich wspomnianych filiach, tak miejskich, jak i wiejskich. Panowie przekażą ten rozkaz telefonicznie stąd, jako rozkaz prezydenta, swoim zastępcom, którzy podzielą dywizje na grupy operacyjne i bezzwłocznie przystąpią do wypełniania misji. To wszystko.

Pobledli. Jeden odważa się spytać:

— A jak tego nie zrobimy?

— Zrobicie, panowie. Mój brat ma niewiarygodny dar perswazji! Kara za brak posłuszeństwa dotknęłaby nie tylko was, lecz i wasze rodziny, które już są w rękach naszych agentów.

Dla wzmocnienia blefu sprawdzam zegarek, i kontynuuję:

— Gdy będziemy musieli, nie oszczędzimy nikogo! Zostaliście tu zaproszeni na koncert, jako widzowie, i jako tacy możecie stąd wyjść. Robiąc trudności lub mówiąc swoim zastępcom coś nieodpowiedniego, zmienicie własne role i los waszych familiantów, staniecie się wszyscy wykonawcami koncertu, i n s t r u m e n t a m i ! Wyrażam się jasno, prawda?

— Koncertu?... — pyta drżącym głosem jeden z tych rzekomych fanatyków.

— Tak. Serwujemy dzisiaj concerto grosso. Zechcą panowie spocząć, przyjrzeć się i posłuchać. Będziemy mieli także balet klasyczny w stylu średniowiecznym, współczesną wersję danse macabre, gdzie znalazłoby się jeszcze miejsce dla waszych córeczek, dupczek i żon, choć nie polecałbym im uczestnictwa. To już wszakże zależy wyłącznie od panów... Robercie, Alfons-y!

Drugą, główną część koncertu inicjuje ciche, leniwe adagio głosów ze zmęczonych ciał, macanych delikatnie trybikami narzędzi, by wolno, moderato, przejść ku rytmom coraz szybszym, coraz bardziej gorączkowym, ku tonom wysokim, rozbrzmiewającym pełnią gardeł, huczącym i wibrującym, odbijanym przez kasetony sufitu, co zdwaja efekt. Wrażenie jest fantastyczne, uwzniośla wszystkich i zmusza do pokory wobec geniuszu ludzkiego cierpienia. Robert ma natchnioną twarz renesansowych wynalazców, cała jego anatomia śpiewa wraz z torturowanymi. Kocha ich w tej chwili gorąco, tak jak wielki dyrygent obdarza sercem orkiestrę, która go nie zawiodła. Kwadrans wirtuoza bólu. Formidable!

A teraz coś innego, bardziej pikantnego — wielki balet. Daję znak Mariowi. Mario i jego ludzie wrzucają do akwarium gołe Azjatki Saturna, dwadzieścia cudownych samic o skórze koloru miodu i czekolady, o piersiach jak dzbany pełne szlachetnego wina, i o złocistych udach tudzież ramionach, których wykrój jest tak perfekcyjny, że każdy obserwator z rozkoszą zamieniłby się w piranię.

Saturn patrzy przekrwionymi ślepiami na to, co się dzieje wokół niego. Już chyba nie wzywa anioła stróża czy innych strażaków, żeby go zbawili.

Podchodzę ku niemu.

— Przypomniałem sobie coś jeszcze, komendancie. Pan mnie zapewniał, że rybki mojego brata tchórzliwie by się rozpierzchły, gdyby spotkały grono tych rekinic z oceanu azjatyckiego. Umówiliśmy je więc, dajemy im to rendezvous, by sprawdzić wiarygodność obietnic kapitana Saturna. Proszę filować tam!

W płytkiej wodzie kotłuje się szarańcza żywych śrubokrętów. Woda błyskawicznie barwi się czerwienią. Jeszcze przed chwilą nieodparcie

perwersyjne kształty rozlatują się na kawałki, fruwią, trędownacieją, obnażają piszczele, żebra, jelita, farfocle mięśni i skóry. Dziewczyny biegają rozpaczliwie wśród gładkich ścian, próbując przebić pancerne szyby ciosami karate i kung-fu, kopią, wspinają się jedna na drugą, któraś wyrywa sobie rybę z ciała i rozdziera ją zębami, miotają się ośleple, padają, nikną, krzyczą opętańczo, lecz zza szyb nie dochodzi ani jeden szmer — balet jest całkowicie pantomimiczny, i to przydaje mu grozy. Holbein miał jego wizję, kiedy rysował swój „Taniec szkieletów”.



Po kilku minutach purpurowa piana opada ze ścian i uspokaja się do wtóru końcowych akordów symfonii Roberta. Pełny sukces, żadnych braw, śmiertelne milczenie.

— Kolej na was, panowie — zwracam się do generałów. Nie mają sił unieść się z foteli.

— Szybciej! — popędzam.

Wstają, trzy manekiny, które w ciągu kwadransa postarzały się o dwadzieścia lat.

— A Saturn?... — pyta jeden z nich ledwo słyszalnie.

— Co Saturn?

— Żyje... Jego ludzie mogą tu przyjść...

— Jego ludzie za godzinę pójdą do piachu!

— Ale wciąż żyje... To diabeł!...

Więc o to biega! Boją się nawet Saturna gołego, spalonego, pociętego i połamanego, bez całych kości i ścięgien! Nawet w takim stanie budzi lęk nie mniejszy niż ten strach, który serwuje para zdziczałych bliźniaków! Nie można go nie podziwiać.

Szukam wzrokiem wzroku Roberta, a on milcząco przyznaje mi rację i podchodzi do Saturna, szepcząc:

— Widziałeś jak moje kanibalki zjadły twoje kanibalki? Daję ci wybór: te małe ryby lub obiecaną śmierć z własnych rąk. Proponuję śmierć azjatycką, kochasz Azję, prawda? Popelnisz „*seppuku*”, a ja będę twoim „*kaishaku*”, mam samurajski miecz. Krótka sprawa, robię ci łaskę, daję ci prezent pogrzebowy. Później, kiedy już skonasz, dostaniesz drugi, od mojego brata — spalimy cię na

stosie trupów. Będą to trupy twoich sług i tych maszyn, z którymi kochali się tak głośno. Będiesz miał swój stos Sardanapala. Co wybierasz?

Saturn dźwiga wzrok na twarz Roberta, i przysięgłbym, że w jego zmęczonych ślepiach widziałem wdzięczność. Chce coś mówić, ale nie może otworzyć ust.

Robert dostrzega to i pyta:

— „*Seppuku*”!

Saturn wykonuje potakujący ruch głową, lecz zaraz unosi swoje zmiażdżone palce.

— To nic — tłumaczy Robert. — Damy ci parę znieczulających zastrzyków, a nóż przywiążemy ci do dłoni lub do nadgarstków.

Minęły już dwie godziny od chwili zjawienia się Saturna, czas atakować jego centralę. Według mojego rozkazu Mario gotuje zespół szturmowy, którego trzon stanowi brygada pościgowa Maria, banda niezrównanych gwałcicieli, sadystów i zwyrodnialców, eks-lokatorów wszystkich więzień kraju ojczystego. Wystarczy im wiadomość, że w domu Saturna czeka jeszcze kilkadziesiąt Azjatek takich samych jak te, których tutaj nie wolno było tknąć penisami. Mogli je tylko rozebrać i rzucić piraniom na papu — tak rozgrzaliśmy ich seksualny apetyt do temperatury wrzenia. Teraz nie powstrzymałyby ich czołgi.

Mój czas również się zbliża. Wciąż myślę o niej, ale zaczekam jeszcze chwilę, bo czyż mógłbym zrezygnować z zobaczenia autentycznego „*seppuku*”! I to w wykonaniu samego komendanta?

„*Seppuku*”. Robert jest artystą, używa szlachetnej japońskiej nazwy, którą prostytuujemy, posługując się barbarzyńskim terminem „*harakiri*” („*hara*” znaczy: brzuch, „*kiri*” znaczy: rozcięcie). Źródła tego zwyczaju kryje mgła tajemnicy. Dawni japońscy kronikarze wzmiankują średniowiecznego rycerza, co będąc otoczonym przez wrogów, „*rozpruł swój brzuch mieczem i kiszki wyciągnął*”. Później przyjęli tę formę zadawania sobie śmierci samurajowie; ich symbolem był kwiat wiśni, który kwitnie krótko i momentalnie wyzbywa się płatków. Samurajski kodeks „*bushido*” mówi: „*Prawdziwy szlachcic nie upiera się przy życiu i daje dowód życzliwości ludzkiej, zabijając własne ciało*”. Nożem, swoim lub słanym przez shoguna, samobójca rozcinał sobie kałdun i samopatroszył się, a stojący nad nim asystent („*kaishaku*”) jednym uderzeniem miecza rycerskiego ścinał mu głowę wtedy, gdy zaczynały się drgawki konania.

Mój brat nie odtworzy całkowicie tradycyjnego japońskiego rytuału — nie zapali kadzideł, nie rozkaże Saturnowi pisać pożegnalnych wierszy „*tanka*” i siedzieć z podkulonymi nogami na dywanie lub na czerwonym filcowym kobiercu — ale cały proces rzeźniczy będzie taki sam.

Komendant leży już na ławie. Głowa mu zwisa, a dłonie i przeguby tworzą jedność z nożem dzięki szybko tężejącym masom plastycznym i drutom. Mój brat stoi obok, trzymając długi, łagodnie wygięty miecz. Wokół tłum funkcjonariuszy

(ci wstrzymują dech sportowo) i półprzytomnych ofiar (tym dech kradną tryby maszyn i świadomość bliskiego zgonu). Saturn wolno, z wysiłkiem, unosi ramiona i spuszcza na brzuch. Klinga tonie po rękojeść w pępku i nieruchomieje.

— Dalej ! — każe mój brat.

Komendant szarpie ostrze ku klatce piersiowej, otwierając widok straszny — kłębowisko żółto-czerwonych flaków. Z wnętrza jamy bucha cuchnąca para i leją się potoki krwi tudzież tłustej mazi koloru nieokreślonego. Wstrętne!

Kapitan Saturn odchodzi. Wraca do swojego piekła taki, jaki był — wspaniały diabeł, co nie płacze i nie żebrze, bez jęku, chociaż ból kaleczy mu twarz. Zrobił karierę półboską — wyszedł z nicości i osiągnął nicość przez najwyższy stopień władzy. Nożem — bliźniakiem noża, który patroszy wielką rybę (tę ze sztychu Bruegla na ścianie jego gabinetu) — wykastrował wszystkie swoje marzenia i sukcesy. Wszystkie olśniewające plany, jakie kreślił jeszcze wczoraj, wyfruwają mu z otwartego ciała niby stado nietoperzy spłoszonych przez płomień pożaru. Wszystkie krajobrazy zapisane jego wzrokiem i pamięcią — wirują, tańczą, mdleją w przepastnej głębi oczodołów i mózgu, by już nigdy nie wrócić na światło dzienne. Grdyka wędruje rytmicznie między sterczącą brodą a lejącą ku ziemi szyją i nie może się doczekać pocałunku miecza. Robert unosi ręce wysoko. Samurajska klinga chwyta blask kandelabrow i świszcząc tnie wszechobecną woń jamy brzusznej. Głowa komendanta spada na płyty pawimentu i turla się jak piłka pod moje nogi.

Nie ma wewnątrz tej sali, prócz torturowanych, człowieka, który (choćby tylko w duchu) nie westchnął z ulgą. Śmierć Saturna wymiotła każdego cykora. Ostatecznie. Chciałem, by moi komandosi ujrzeli to. I chciałem to sam zobaczyć, bo również i mnie dręczył ów irracjonalny strach. Nie przyznałbym się moim chłopcom, a tym bardziej memu bratu. Dziwne — będąc u Saturna, nie bałem się go. Dopiero trzymając Saturna w kajdanach — zacząłem się go bać.

Mario już ruszył z brygadą swoich łotrów. Teraz moja kolej. Biorę dwudziestu ośmiu ludzi. Jedenastu wyborowych gliniarzy i siedemnastu zabijaków Roberta. Mamy panterki koloru khaki, kamizelki kuloodporne, granaty, broń maszynową i trzy bazooki dla rozbijania bram i murów.

Na ulicy witam Barabasa. Barabas poprowadzi nas do owego domu w śródmieściu, skąd wynurzał się Makis. Winniśmy już biec, ale tknął mnie raptowny niepokój — czy jeszcze zobaczę Roberta? Wracam, by go uścisnąć, lecz Robert wyszedł (wziął generałów do centrali telefonicznej lub radiowej), a jego ludzie demontują królestwo tortur.

Ostatni widok tego wnętrza, jaki zapadnie mi w pamięć, to pierwsza warstwa stosu układanego Sardanapalowi bez głowy. Nie wrócę tu nigdy, gdyż świat Opery przestanie istnieć — zmogą go płomień i kostki dynamitu. Był to nasz stary świat, uchwytny wszystkimi zmysłami, zawsze obecny, ciągle bliski,

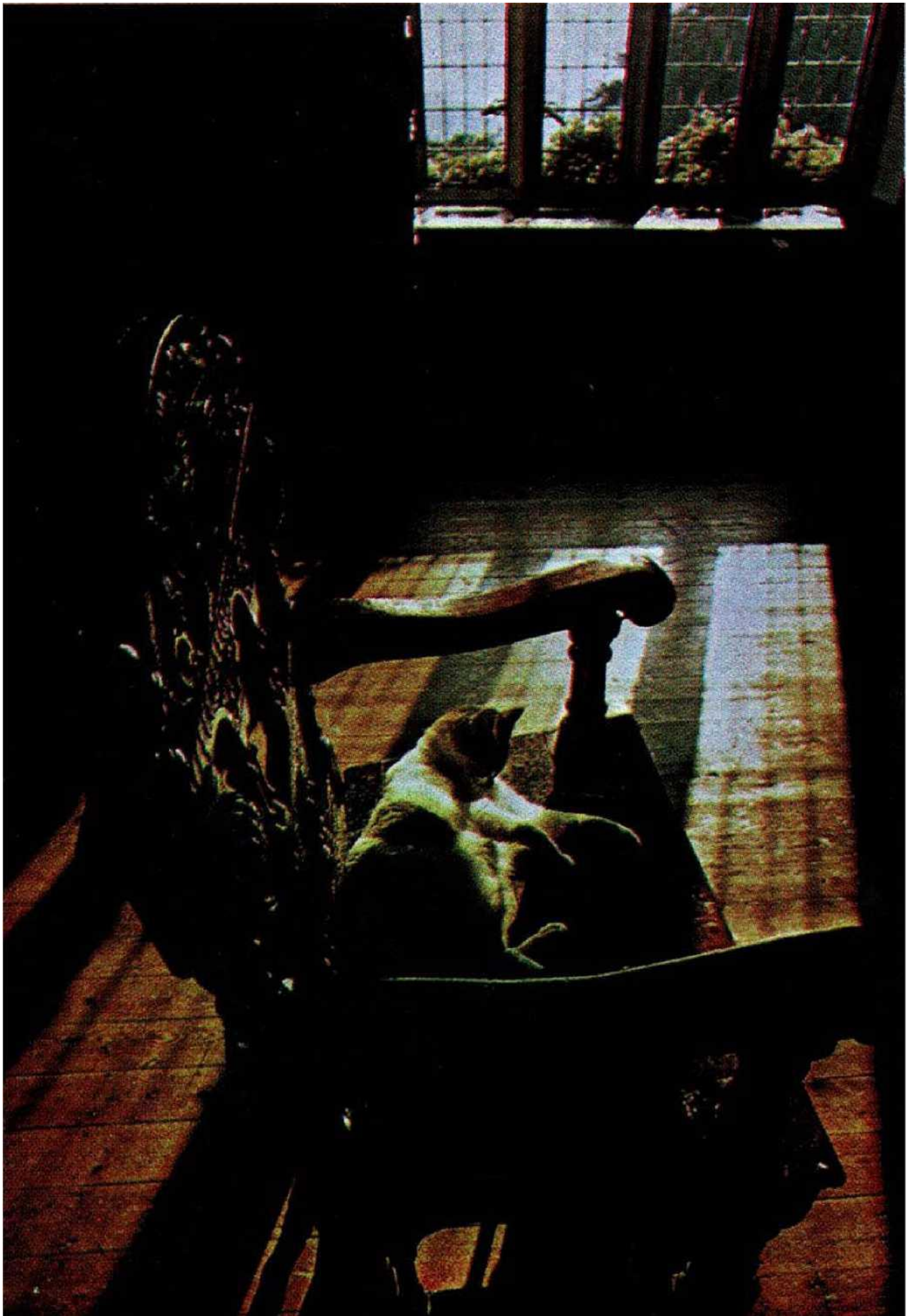
żyliśmy i walczyliśmy tutaj, był naszym stanowiskiem pracy i drugim domem. Był plugawy tak bardzo, jak tylko może być pałac cierpienia, bezduszna katownia zbryzgana juchą, pojona męczarnią tysięcy ludzkich wraków. Ale był nasz, stanowił naszą tarczę i pancerz, nasze gniazdo i łożę, był naszym azylem przez wszystkie minione lata. Świat, ku któremu teraz maszeruję, świat wiszący pod chmurami, gdzie czeka moja tancerka, jeszcze się we mnie nie narodził, wciąż jest nieuchwytny, płynny, ledwie rysowany zorzą, z której utkane są moje marzenia, pragnienia, koszmary moich snów. Jest niczym obłok miotany przez gwałtowne wichry: głód miłości, nienawiść, szczęście, fantazję, los i metafizyczną surreality. Nie wiem, jak będę się orientował w głębi tego ładu, co mnie tam czeka, co znajdę i co wyjdzie mi naprzeciw. Wszystko jest tam zagadką, nie znam przecież rozkładu sal i korytarzy, nie znam gabinetów i schodów, nie znam pułapek — nic nie wiem! Winienem czekać, aż Mario i jego ludzie zdobędą podnóże góry, opanowując wstęp do elewatorów, lecz wówczas Makis i prezydent mogliby skrzywdzić „*Salome*” z zemsty. Wybieram więc zaskoczenie.

Nie wątpię, że siedziba prezydenta roi się od wnyków. Te pułapki czekają na mnie. Skonstruowano je myśląc o mnie. Ile tedy mam szans, pięćdziesiąt procent czy kilka?... Lecz jeśli nie wyzwolę mojej tancerki, nie będę miał już żadnej szansy — żaden świat nie zechce mnie przyjąć na swoje łono.

Nie wrócę już także nigdy do mego domu, dlatego muszę po drodze zabrać stamtąd mój flet i figurkę baletnicy. Jedno gwoli szczęścia, drugie gwoli przeznaczenia.

To byłaby w sam raz żona dla mnie — pomyślał żołnierz. Mieszka w zamku, który nie jest odpowiednim miejscem dla niej. Muszę więc ją odszukać i zabrać ze sobą. Panie, spraw, bym nie zrobił błędu. Bo może ona jest z cudzego snu, gdzie nie wskrzesza się pokoi w nędznych paryskich hotelikach...





10

Pada, cały świat płacze.

Wszystko niby zwyczajne, a jednak inne. Jakby samochody gnały bardziej gorączkowo, jakby prąd elektryczny wędrował nurtem rynsztoków, jakby okna kamienic udawały ślepią ślepców, jakby deszcz miał purpurową barwę, jakby latarnie chciały kogoś zaatakować. W mokrym powietrzu drży nieuchwytnie napięcie, rodzaj przeczucia, owa inność analogiczna do niezwykłości dni, które poprzedzają wielką mistykę Bożego Narodzenia i które są już wypełnione jej zapachem, a dzięki temu tak różne od wszystkich pozostałych dni roku.

Pisk hamulców.

— To tutaj, szefie — wskazuje Barabasza. — Z tej kamienicy wyłaził. To ten dom.

Ten dom?!... Zdumiony widzę starą przyjaciółkę, późnosecesyjną fasadę, która się chełpi bogatym kartuszem piętra.

— Ten dom?!...

— Tak jest, szefuniu! Od frontu znajduje się antykwariat, a dalej mieszkanko i podwórko.

To dom mojego wuja, rezydowałem tu niegdyś. Wszystko jest mi tu bliskie. Framugi toczone przez korniki, wykruszenie tynku (o kształcie siedzącego kota!), kamienny schodek żłobiony butami tak długo, aż zyskał formę przydepniętego jaśka, mosiężna lampa wisząca nad wejściem, i mroczna sień, z której wchodzi się do sklepu. Niziutko, blisko cokołu, widać jeszcze ślad białego kółka, rysunek-symbol kobiecego sromu, machnięty kredą przez ulicznego gawrosza, a starty chustką przez księdza Gaspara i odtworzony farbą sprayową przez wuja Arnolda rozeźlonego tym „*klerykalnym aktem wandalizmu*”. Pamiętam jego grzmiący głos:

— Uczniaki wyobrażają kobiecą... dla księdza niech będzie narządy rodne, rysując przecięte kreską kółko i stawiając kropkę pośrodku krechy. Ksiądz traktuje to jako obscenizm, jako wulgarną manifestację zepsucia smarkaczy, jako projekcję zatrutej duszy młodzianków i tak dalej. A według mnie jest to najlepszy przejaw dziecięcego geniuszu, demonstracja intuicji estetycznej zupełnie pierwotnej, całkowicie atawistycznej, jeszcze nie zdegenerowanej szkołą! Ten rysunek to genialna kwintesencja! Jego trafność i lapidarność budzą mój zachwyt. Żaden zramolały grafik nie umiałby dać takiej syntezy o znamionach emblematu! Prostota, tylko prostota, godna jest najwyższego szacunku, klecho!

Otwieram skrzypiące drzwi, nad którymi budzi się ten sam, co niegdyś, mały strażnik — srebrny dzwonek z dubeltowym sercem. Wewnątrz nic nie zmieniło miejsca. Wszystko jest, jak było. Gabloty pełne numizmatów, szafy uginające się pod brzemieniem bibelotów, brązy i srebra, obrazy w złożonych ramach,

gobeliny, stojaki pełne muszkietów i rapierów, kamienne biusty, wachlarze z kości słoniowej, palankin mandaryna, rogi myśliwskie okute złotą blachą, katarynka, cymbały, wielka harfa, hełmy nasadzone jeden na drugi, moździerze i fajansowe solniczki, mahoniowe sekretery i fotele z książącą tapicerką, pyszne rzędy końskie, wypchane orły pod sufitem, dokumenty o plecionych sznurach i czerwonych pieczęciach, i Tytus na ścianie, ale bez fletu.

Dźwięk dzwonka unosi zza biurka siwowłosego mężczyznę. Staruszek idzie w moim kierunku, jakby chciał grodzić mi drogę. Powłóczy nogą, wytrzeszcza staromodne druczane okulary i mówi:

— Przepraszam pana, ale chwilowo sklep jest nieczynny. Nie ma właściciela. Chwilowo nie ma właściciela.

— A kto jest właścicielem? — pytam.

— Właściciel jest zawsze ten sam, proszę pana — to pan Arnold.

— Ja zaś jestem siostrzeńcem pana Arnolda.

— No właśnie. Mówiłem panu, że pan Arnold jest właścicielem siostrzeńca.

— Mówił pan, że jest właścicielem sklepu.

— Tak?... No tak! Coś podobnego!

Staruszek kiwa głową, zdziwiony lub zdegustowany, lub może zupełnie obojętny.

— No dobrze, a czego pan szuka, młody człowieku? Pańskiego wuja nie ma.

— Wiem, przecież zamordowano go! Patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem.

— Kogo zamordowano?

— Mojego wuja!

— Ależ gdzie tam! On tylko wyszedł.

— Kiedy?

— Ooo, będzie już kilka lat. Pojechał do zakładu dla umysłowo chorych, żeby odwiedzić chorego kuzyna. Ale wróci, wróci...

— Jakiego kuzyna?

— Nie wiem, chyba siostrzeńca albo bratanka, młody człowieku.

Przestał się interesować gościem. Człapie w stronę biurka, siada i zagłębia znowu w lekturę starej książki. Nie rozumiem tego wszystkiego.

— A kim pan jest? Co pan tu robi, do licha!

Starzec unosi okulary znad pergaminu, trochę zdziwiony, że wciąż nie wyszedłem, i jakby trochę zły, że zakłócam mu skupienie filozofów.

— Jestem księdzem, przyjacielem pana Arnolda. To znaczy kiedyś byłem księdzem-kapłanem, a teraz jestem księdzem-emerytem. Odkąd usztywniono mi nogę po wypadku drogowym, nie mogę już jeździć na motocyklu, i dlatego zgodziłem się dopilnować sklepu, póki nie wróci Arnold.

— Pamiętam księdza! Mieszkałem wtedy u wuja, a księdza przyprowadził ojciec Gaspar. Później widziałem księdza na cmentarzu, w czasie pogrzebu.

— Tak, to był pogrzeb księdza Gaspara. Byłem wtedy młody, mój motocykl warczał najgłośniej w całym mieście. Zdjąłem mu tłumik, bo słowa Bożego nie należy tłumić. Mój motocykl głośił je wraz ze mną...

— To nie był pogrzeb ojca Gaspara, tylko pogrzeb wuja Arnolda!

— Możliwe, proszę pana, to było bardzo dawno, czterdzieści lat temu. Pana Arnolda chwilowo nie ma, wyszedł. Lecz wróci! Pojechał odwiedzić bratanka u czubów.

— Bratanka czy siostrzeńca?

— Siostrzeńca, siostrzeńca, pan Arnold nie ma żadnych bratanków!

— Ja jestem siostrzeńcem pana Arnolda!

— Tak? Trzeba było mówić od razu. Pan Arnold zostawił dla siostrzeńca wiadomość.

— Gdzie?

— W swoim pokoju. Chodźmy.

Drepczemy korytarzem, którego tynk mnie pozdrawia, obok drzwi do łazienki, a dalej wzdłuż wielkiego kufra pełnego rupieci, fotografii i żółknących papierów. Na stoliku w sypialni wuja leży mała zalakowana koperta, którą staruszek wskazuje mi głową. Wewnątrz jest stronica wyrwana z tomiku poezji. U góry, ręką wuja, kaligrafowane chybotliwie: „*Auden Wystan Hugh*”; niżej wiersz „*Pani płacząca na rozstaju*”. Słowo „*płacząca*” przekreślone tym samym brązowym tuszem i zastąpione wyrazem „*tańcząca*”.

*„Pani tańcząca na rozstaju,
Z kochankiem spotkasz się o zmroku? A przy nim jego charty dwa,
Na rękawicy sokół.
Więc ucisz ptaki na gałęziach,
Choćby z przekupstwa pomocą. Wystrasż oczami słońce z nieba,
Niebo niech stanie się nocą.
Nocne podróże są bez gwiazd,
Wiatr w zimie barwę ma cynową.
A wielki strach przed sobą pędź,
A żal pozostaw za sobą.
Pędź, aż usłyszysz oceanu Krzyk, który nie ucicha;
Choć tak głęboka jego gorycz,
Dopij wielkiego kielicha.
Wyteż cierpliwość do ostatka W najgłębszych morskich wykrotach, A wśród
rozbitych wraków znajdziesz Klucz cały ze złota.
Dobij się, dobij do świata końca, Groźnych strażników dotknij ustami; Przebądź
spróchniały most, który wisi Nad przepaściami.*

*Stoi tam zamek opuszczony,
 Gotów, by zwiedzać jego blanki; Przebiegnij schody marmurowe I dotknij klamki.
 I przeleć pustą salę balową,
 Strach już ci w myślach nie zagrziebie; I zdmuchnij z lustra pajęczynę,
 I wreszcie zobacz siebie.
 I sięgnij ręką za boazerię,
 Twój trud już skończył się gorliwy;
 I znajdź scyzoryk i go utop*

W twym sercu nieprawdziwym ”

Składam kartkę i wsuwam pod panterkę, do wewnętrznej kieszeni.

— Kiedy wróci wuj?

— Niedługo, niedługo, proszę pana.

— To znaczy kiedy?

— Niedługo.

— Dzisiaj?

— Może dzisiaj. Ale może nie dzisiaj. Kto to wie, proszę pana?... Zaczeka pan?

Chciałbym, lecz mi nie wolno. Nie mogę nawet dłużej gadać z tym świrem — nie mam czasu!

— Wie pan, gdzie w domu jest wejście do podziemnego korytarza?

— Nie wiem, proszę pana. Pan Arnold mówił, że pan wie, gdzie jest to wejście, i że pan ma klucz, co otworzy wszystkie drzwi prócz ostatnich. Dlatego zostawił panu ten list na biurku.

— Jaki klucz?

— Klucz z mandragory. Mówił, że z mandragory, proszę pana.

Mon Dieu! Taaak! Durniu! Teraz przypominam sobie! Wuj kiedyś bąknął, że pod piwnicą istnieją lochy, konstrukcja templariuszy, później używane przez różokrzyżowców...

Wołam moich ludzi i Barabasha. Schodami z sieni złazimy do piwnicy wuja. Trzymał tam kilka rozklekotanych szaf, jakieś serwantki, komody, kulawe krzesła; w politurze odbijają się światła latarek. Wyjmuję flet i dmucham cichutki ton. Drzwi największej szafy rozwierają się, skrzypiąc niemiłosiernie. Miast tylnej ścianki widać w ceglanym murze wielki otwór. Za tą dziurą schody prowadzące jeszcze niżej. Repetujemy broń i złazimy. Wąski, nisko przesklepiony korytarz. Wieszam sobie latarkę na piersi i sunę wolno, macając ręką wilgotne kamienie ścian. Buty chlupią w kałużach wody, a każdy szmer odpowiada echem z dalekiej czeluści tunelu. Światło latarki liznęło załamanie muru, ujrzałem gotycką służkę sklepienną biegnącą gdzieś ku górze, i skręcamy niemal pod kątem prostym. Korytarz jeszcze kilkakrotnie skręca, głównie w lewo, a później wznosi łagodnie, ruchem falistym. Trzeba się garbić, by nie

zbierać włosami pleśni ze sklepień; szkoda, że nie kazałem wziąć hełmów. Mija kwadrans marszu, drugi kwadrans, karki sztywnieją i tępy ból promieniuje wokół krzyża.

Po czterdziestu minutach docieramy do kręconych wzwyż schodów, które zdają się nie mieć kresu. Jakieś dwa tysiące stopni! Już drętwieją stopy i uda, a

Tłum. Jan Rostworowski.

wyżej będzie gorsze piekło. Jest piekło. Coraz szybsze oddechy, klucie w uszach, świst w nozdrzach, słabsi krztuszą się i kaszlą niczym chorzy. Wyborny test na kondycyjną sprawność.

Wreszcie żelazna kłapa, prawie trzy metry nad podestem. Otwieram ją melodią fletu. Dwie ciężkie płyty rozsuwają się, dając wyjście do góry. Unosi mnie dwóch komandosów. Chwytam rękami krawędź włazu i podciągam ciało. Staję na kamiennym pawimencie niedużej, bezokiennej komnaty. Promieniem latarki liżę pustkę ścian. Nikogo tu nie ma. Klękam, by dać Barabaszowi ramię, gdy wtem płyty zatraskują się z szybkością spadającego noża gilotyny. Małe kółko światła prezentuje mi dłoń Barabasza uciętą przy nadgarstku. Zaciśnięte kurczowo palce zdają się drgać, jakby ta dłoń była ogarnięta agonálną konwulsją.

Wkładam flet do ust, dmucham, lecz tym razem dźwięk jest bezradny. Widocznie jest zbyt słaby. Na króciuteńki moment otwieram dwie dalsze dziurki, ryzykując, że stracę przytomność. Włazu nie ruszyłem, uchyliły się jednak drzwi pokoju, wpuszczając lawinę dziennego światła. Zwalniam jeszcze jedną dziurkę, dmucham ostrożnie... Kłapa tylko drgnęła, a niżej rozległ się głuchy grzmot, jakby waliły się góry, później paniczny krzyk moich chłopców, i wszystko ucichło. Zostałem sam.

Gaszę latarkę i przyzwyczajam wzrok. Światło wpadające przez drzwi razi mnie; po tak długim obcowaniu z ciemnością zdaje mi się piecem słonecznym, którego soczewka skoncentrowała wiązkę promieni na mojej twarzy. Idę tam, do dużej sali, której ściany zdobią wielkie malowidła wyobrażające sceny bitew. Między nimi gigantyczne okna, a u góry plafon pełen znaków Zodiaku, maszkar i motywów roślinnych na ciemnoniebieskim tle. W samym centrum tego sufitu wyrasta szklana kopuła, u której zwornika wisi kryształowy żyrandol. Brak mebli tudzież innych mieszkalnych śladów. Na wprost wejścia, którym tu wszedłem — kolejne drzwi. Kolejny więc raz leciutko dmucham w ustnik fletu, i po raz kolejny otwiera mi to drogę.

Sala równie obszerna i równie martwa, lecz jakże różna — przypomina wewnątrz obserwatorium astronomicznego, halę badawczą naukowego instytutu, laboratorium elektroniczne lub sterownię nowoczesnej fabryki. Pod ścianą rzędy komputerów, monitorów, głośników, magnetofonów, centralki telefoniczne, jakieś tajemnicze pulpity pełne guzików, cyferblatów i osłon lampek sygnalizacyjnych, pawiment zawalają stopy perforowanych taśm wypluwanych

przez metalowe gardziołka maszyn, a na środku — niby sarkofag z czerwonego porfiru — króluje masywne biurko, dekorowane rzeźbionymi okuciami w kolorze złota. Wszystko to jest chyba ośrodkiem dyspozycyjnym, elektronowym „mózgiem” pałacu, gabinetem roboczym prezydenta. Nie ma tu wszakże nikogo, ani prezydenta, ani jego sługusów. Gdzie się podziali?

Prawa boczna ściana przypomina „*ścianę światła*” w malarskim atelier. Nachyla się do zewnątrz, jest całkowicie pleksiglasowa, a byłaby zupełnie gładka, gdyby nie przebijały jej lunety o rozmiarach małych teleskopów. Widać stąd metropolię leżącą u podnóża góry. Stąd prezydent może obserwować miasto nocą i dniem — nocą reflektory umieszczone na zboczach zalewają place i ulice kaskadami blasku.

Pcham oko do wizjera lunety i mam tak kolosalne przybliżenie fragmentu śródmieścia, że mogę czytać tytuły ulicznych plakatów.

Trzon lunety rusza się w płaszczyźnie szyby dzięki gumowo-harmonijkowym uszczelkom. Zmieniam jej kąt i wodzę po dachach, jezdniach i ogrodach, szukając centrali Saturna... Jest! Widać kilka płonących budynków, snują się dymy, widać chłopców Maria wdzierających się na dziedziniec przed domem komendanta, widać barbarzyńską walkę. Wokół willi trwa wymiana ognia, rozpoczynają się ucieczki i łowy wśród drzew, ziemię zalega mnóstwo trupów, czołgają się ranni, granaty rozkwitają eksplozjami jak pomarańczowe róże. U samego wejścia do domu, tudzież na tarasie od strony parku, komandosi i dziewczęta Saturna ładują sobie straszliwe ciosy karate. One już wystrzeliły wszystkie pestki, a oni nie chcą strzelać do tych ciał, po które przyszli niosąc sterczące drogowskazy w kroczu. Mają przewagę liczebną. Raz za razem któraś Azjatka zostaje powalona, obnażona i rozkrzyżowana niczym goła kilkucentymetrowa laleczka, której rączki i nóżki można wykręcać w dowolną stronę. A później przykrywa ją jedno, drugie i dziesiąte ciało gwałciciela, którego tyłek trzepocze z pasją nakręcanych arlekinów, co mają w brzuchu sprężyny.

Kibicuję parę minut tej gremialnej kopulacji, i przypominam sobie o „*Salome*”. Idę ku drzwiom flankowanym przez dwa komputery sięgające sufitu. Mijając biurko widzę duży magnetofon. Między szpulami lśni pasemko czarnej taśmy... Kusi... Przyciskam guzik. Cichy szum i nagle z głośniczka wyfruwają słowa namaszczone jak czoła władców:

— Rodacy! W tym świątecznym dniu serca nasze przepełnia radość! Odżywa pamięć tych chwil, które zmiotły podłą dynastię Maurycydów i całkowicie wyplenili brudne ziarna chaosu, jaki był udziałem ludu za soldateski armijnej. Pamiętamy te słoneczne dni, które dały nam wolność! Od tamtej pory kraj żegluje nieprzerwanie na fali ogólnospołecznego szczęścia i dobrobytu, a jego dynamiczny rozwój stanowi wielką lekcję historyczną i może być modelem dla ludów całego świata. Pragnę was zapewnić, drodzy bracia i siostry, że nasze jutro

nie tylko terażniejszości dorówna, lecz będzie kolejnym krokiem na tej imponującej drodze, jaką wytyczyliśmy wspólnym staraniem rąk i umysłów! Albowiem nie istnieje w życiu nic cenniejszego od...

Coroczne przemówienie prezydenta! Każdy zna je niby modlitwę poranną, lub dokładniej, bo nie tylko słowa, lecz i odcienie słów, nie tylko zdania, lecz i tonację zdań, długość przerw oddechowych, drobne wahnięcia modulacji i ważniejsze akcenty. Zawsze takie same, bo zawsze z tej samej taśmy tego samego magnetofonu!

Wyłączam gadające pudło. Flet otwiera mi kolejne drzwi, do małego, ciemnego hallu, a stąd drzwi następne, do komnaty, której posadzkę maluje światło wdzierające się przez czterodzielne okno. Stoi tam wielki, dębowy, cudownie rzeźbiony fotel, a w nim siedzi... „*Salome*”!

Siedzi bez ruchu, jak gdyby grała rolę w teatralnym „*żywym obrazie*”, i milcząco świdruje moją sylwetkę wzrokiem pełnym czegoś wybornie mi znanego, a jednak nieokreślonego — spojrzeniem radosnym lub może dziękczynnym wobec kosmicznych bóstw, które mnie przyniosły tutaj. Chyli głowę do przodu, chcąc spenetrować lepiej mój wzrok, lub kłaniając się Posejdonowi, który przekracza linię horyzontu jej marzeń wraz ze swą brodą pełną uwikłanych ryb i z chrypliwym rozgwarem swego orszaku. Siedzi tyłem do światła, więc półmrok nie daje mi wyraźnie zobaczyć jej twarzy. Boję się przestąpić próg i podejść bliżej, czuję paraliżujący strach. Moje samotne życie źle mnie przygotowało na spotkania tego rodzaju.

Patrzemy sobie w twarze, dwoje niewolników minionego. Między wargami jej malinowych ust i wargami moich zaciśniętych ust wisi pajęczy hamak milczenia, delikatnie kołysany drżeniem serc i rytmem oddechów. Nagle wymówiła moje imię. Zdawało mi się, że powiedziała je tonem umyślnie obojętnym. Może nie była pewna, czy to rzeczywiście ja, więc rzuciła to imię pytająco w ciemność, próbując mnie z niej wyłuskać niczym oporne i kłopotliwe wspomnienie, które wśliznęło się do jej egzystencji?

Ja rozpoznałem głos „*Salome*” od razu. Ten znajomy głos jest dla mojego lęku jak przełamanie pieczęci barykadującej furtkę. Robię krok, pierwszy, drugi, trzeci, coraz bliżej fotela, ruchem człowieka, którego raptownie wyrwano ze snu trwającego kilka wieków. Bliżej i bliżej...

Ubrała się na czarno, tylko między szyją a piersią leży srebrno-biały muślinowy szal, który wcześniej — gdy stałem dalej — brałem za bluzkę. Mam wrażenie, iż bardzo schudła. Wyciąga ku mnie ręce, a ja pochylam się i owiewa mnie zapach perfum. Równocześnie dostrzegam jaskrawe plamy sztucznej czerwieni policzków, kontrastujące mocno ze śmiertelną bladością przesadnie upudrowanej twarzy, i to mną wstrząsa. Jej zielone oczy są rozwarłe, a wyglądają na zamknięte! Matowe źrenice kobiet, których młodość minęła bez powrotu...

Zobaczyłem zmęczone oblicze mojego wspomnienia.

— Bardzo się zmieniłam?

Mówi cicho, śpiewnym, monotonnym głosem, niby oślepy muezzin. Zmieniła się bardzo. Tylko wargi zdołały zachować część swej sennej wilgotności i smak lubieżnego wnętrza ostryg, chociaż pocałunek był zimny jak witanie lub żegnanie umarłego. Trzymam jej bicie serca w moich dłoniach i czuję, że coś w moim wnętrzu topnieje — staję się dzieckiem trzymającym w rękach bryłkę lodu. Głaszczę jej włosy, dziwnie naelektryzowane, miotające drobne iskierki, jakbym głąskał sierść zwierzęcia. Zmuszam się, by powiedzieć te słowa piekące niczym spirytus lany na żywą ranę, lecz oczyszczające jak każda prawda, słowa niosące jej wolność i zarazem ból, bo przecież kimkolwiek był — był jej bratem:

— Przed chwilą zabiłem twego brata.

— Wiem, że go zabiłeś. Ale nie przed chwilą. Utopiłeś go w jeziorze obok klasztoru. Nie darowałam ci nigdy. Kiedy przychodziłam do ciebie, każdej nocy pragnęłam cię zamordować, lecz nie było mi wolno. Teraz mogę...

Plecy i kark liże mi cichy, bawełniany chichot. Uskakuję jak oparzony i rozglądam się. Nikogo nie ma, tylko drzwi falują, być może muśnięte podmuchem wiatru. Odwracam się znowu do fotela. W miejscu, gdzie siedziała „Salome”, siedzi kot. Ten sam, czarno-biała kocica, którą wziąłem z cmentarza i gościłem w moim mieszkaniu. Unosi się wolno, jeży, pręży, ślepia ma płonące i syczy jak kobra. Przez moment widzę poharataną twarz Maria i piramidę lemurów z rozdartymi gardłami. Nie zdążę się zasłonić. Furkocząca rakieta wali mnie w pierś i wywraca na ziemię, a ostre zęby jednym szarpnięciem rozrywają kołnierzyk i rwą coś jeszcze, coś szarpia, zapewne skórę mojej grdyki, ale nie czuję bólu, gdyż tracę przytomność, to chyba śmierć, to już koniec...

Nie wiem, po jakim czasie się ocknąłem — leżałem długo. Dotykam ręką szyi, jest cała. Palce chwytają skórzaną linkę. Matka tą linką przewierciła amulet z mandragory. Amulet z mandragory! Na gładkiej powierzchni odcisnięte głęboko ślady zębów. Matko, uratowałaś mi życie! Te zęby, które miały rozdrzeć mi gardło, wbiły się przypadkowo w twój talizman, tak jak chciałaś! O, matko moja...

Nie rozbity łokieć to dobra dźwignia, unoszę lekko swą potłuczoną anatomię. Przy mnie leży ona. Znowu ma figurę ludzką. Jej wyszczerzone zęby zdają się szukać w powietrzu czegoś, na czym mogłyby się zacisnąć i uspokoić. Straszny widok dla człowieka, który tyle razy goły leżał obok niej. Dla człowieka kochającego. Dla marzyciela. Ta, co kiedyś była w moich



oczach uosobieniem erotyzmu, leży teraz nieruchomo, jak bezbronny pacjent na stole operacyjnym. Widzę obok siebie jej twarz, którą wykrzywił przedśmiertny ból. Musiała cierpieć, nim wypluła trujący amulet. Dawniej kładła się przy mnie tak samo, wtulona w moje ramię, spocona, rozluźniona, piękna urodą wszystkich baletnic świata... Wymawiam szeptem jej imię. Ze zdumieniem odkrywam, iż mój miłosny żar zniknął bez śladu. Jak gdyby nigdy nie istniała, nigdy nie wzbudzała we mnie pożądania, nigdy nie gorączkowała mego mózgu i hormonów. Po prostu wody zamknęły się nad nią... Szepczę:

— Salome!... Salome!... Salome!!

Słyszę tylko swój głos — słyszę, jak to śliczne imię rozbrzmiewa echem w pustce mego serca. Daremnie je przywołuję. Kiedyś miało tak czarodziejską moc, że na sam ów dźwięk krew zwalniała bieg w moich żyłach, a teraz nie wywołuje wzruszeń żadnych. Czuję się winowajcą. Próbuje jeszcze — zwyczajem sentymentalistów — przywołać siłą woli obraz tamtych spotkań, wskrzesić pamięcią choćby jeden z tych księżycowych uścisków w paryskim hotelu. Znowu daremnie. To imię postradało całą swą siłę, przeszłość jest bladym cieniem, a ona stała się tylko kobietą i leży na wznak, skalana, sponiewierana, niby martwy gołąb w rynsztoku. Zimne, żelazne drzwi zatrzasnęły się w moim sercu, zostawiając głuchą ciszę — melodię nie do tańca.

Jakieś drobne ostrza dziurawią mi biodro. Koszula krwawi... Spodnie krwawią również... Sięgam tam i wydaję kilka ceramicznych odłamków. Moja mała porcelanowa tancerka, którą — gdy brałem ją z domu — zawinałem w chustkę i włożyłem do kieszeni, przy upadku rozłukła się na milion zgasłych gwiazd.

Szukam mojego fletu. Leży blisko mnie. Które drzwi trzeba teraz wyważyć jego melodią?... Z ciemnej czeluści westybulu biegną dudniące frazy:

— ... respektować święte prawa jednostki i społeczności zagwarantowane wszystkim obywatelom naszego kraju — prawo do wolności, prawo do pracy, prawo do swobodnego kształcenia się i rozwoju duchowego, prawo....

Cichy trzask i znowu cisza, inkrustowana tym samym złośliwym chichotem, który już wcześniej sączył się ze ścian. Ktoś uruchamia i wyłącza magnetofon na prezydenckim biurku.

Przebiegam ciemność, wpadam do sali komputerów i lunet. Przy biurku stoi Makis. Uśmiecha się, wskazując palcem taśmę magnetofonu.

— Szary człowiek posiada tylko jedno uczciwie zagwarantowane prawo — prawo do śmierci! Lecz człowiek nieprzeciętny, człowiek wyjątkowy, człowiek, którego los obdarował autentyczną fantazją, ergo: niezwykle rzadki gość na tej planecie — ma prawo do wielkiej zabawy, którą komponuje sam. To ja, panie gliniarzu!

— Kim pan jest, panie sekretarzu?

— Tym, kim się uczyniłem. Błaznem wszechświata, wielkim lalkarzem,

który capnął wszystkie nici i poruszał nimi tak długo, jak długo chciał... Kiedyś byłem szefem nierządu w tym kraju, królem sutenerów, zaś jeszcze wcześniej handlowałem bronią w Afryce i w Azji jako ręka pewnego człowieka, który miał plany większe niż wówczas były moje. Później nasze drogi się rozdzieliły. Wylądowałem w Paryżu, by realizować swoje marzenie o karierze naukowej, ale źle mnie tam traktowano... Wtedy poznałem Klarysę. Tymczasem on wrócił do kraju i stał się Prezydentem, faraonem was wszystkich. Kiedy i ja wróciłem, skontaktował się ze mną, proponując stanowisko przy swoim boku. Ufał mi, gdyż nigdy go nie zawiodłem. Lecz ja mu odmówiłem, bo po tylu przewrotach nie chciało mi się wierzyć w trwałość jego rządów. Zwyczajnie nie lubię nadstawiać łba. Bawiło mnie coś innego — zostałem faraonem alfonsów. Miałem w ten sposób całe państwo pod kontrolą równą jego kontroli, lub może nawet większą. Tymczasem przez głupi przypadek zostałem aresztowany i skazany na śmierć. Wtedy zdrząłem, bo to mógł być koniec balu, la fin tragique de mon carnavales ... Uwolniła mnie jedna z moich dziewczyn, zapewne opowiadano ci o tym, poruczniku. Zrozumiałem wówczas, że tylko przy moim dawnym chlebodawcy stanę się bezpieczny. Dlatego wetknąłem mu Klarysę do łóżnicy, a później ona zrobiła mnie jego sekretarzem. I tak rozpocząłem największą grę mego życia, gliniarzu. Klarysa była moją lalką numer jeden. Pomagała mi wraz z swym bratem, gdyż przed laty Prezydent zamordował ich tatusia. Nigdy nie dowiedziała się, że uczynił to moimi rękami... Mam kontynuować czy nudzę pana, poruczniku?

— Proszę sobie folgować sans scrupules excessifs, sekretarzu .

— No więc... Klarysa i jej brat szukali zemsty, i ja im ją dałem. Dałem im łeb smoka. Lecz żeby gra trwała dłużej, również po śmierci Pana Prezydenta, musiałem zarazić Klarysę jakąś inną nienawiścią. Zaraziłem ich sektą, która miała na celu coś, co ma na celu każda sekta odkąd powstała pierwsza sekta globu — zbawienie ludzkości. Wodzem sekty został braciszek. Wie pan czemu? Tylko dlatego, aby pan mógł go wykończyć, tylko dlatego. Odtąd nienawidziła pana. Przemieniała się w kota i śledziła pańskie posunięcia, zaczarowała i zagryzła własnych ludzi, byście nie mogli ich torturować, psuła

— ... tragiczny koniec mojego karnawału...

— ... bez zbytich skrupułów, sekretarzu.

wam grę. Realizowała moją. Nie wiedziała, biedactwo, że jedynie ja znałem każdy ruch w tym tańcu. Wyłącznie ja...

Wyłącznie on. Mówi i mówi, a słowa przestają do mnie docierać. Znowu widzę chłopca i dziewczynkę na zgasłej plaży, i brodatego kapłana, którego tonące oczy dziurawią moje ciało. Gdybym wiedział... Dałem się podejść jak król głupców, więc Makis słusznie triumfuje. Mówi, mówi i mówi, i kończy szyderyczym śmiechem:

— Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha!!!...

Ten śmiech budzi mnie z chwilowego letargu. Nie mogę jeszcze uwierzyć:

— Zamordowałeś prezydenta?

— Tylko fizycznie, tylko fizycznie!

Podchodzi do biurka, otwiera drzwiczki, wyjmuje srebrną tacę, na której leży czaszka, i unosi ją ku malowidłom sufitu, jakby chciał wręczyć trofeum bogom zwycięstw królewskich.

— Oto wasz Prezydent!

— Raczej twój, sekretarzu! Robert i ja mieliśmy go za nic, wymawiamy tę godność przez małe p. A ty przez duże!

— Czyż inaczej mógłbym szanować mój triumf? I samego siebie? Zwyciężyć małego przeciwnika to gówno, nie sukces. Tak — szanuję Prezydenta, zawsze szanowałem i zawsze będę szanował, poruczniku!... Wie pan jak się spełniło? Klarysa odgryzła mu ten łeb podczas jednej z upojnych nocy... Dawno temu, już parę lat. To coś więcej niż „*być albo nie być*”, czy pan to rozumie?

— Nie rozumiem, sekretarzu.

— Ten magnetofon i ta czaszka to jego być i nie być równocześnie, bo nie było go przez kilka minionych lat, a zarazem był, sprawował władzę nad wami, baliście się go wszyscy! I wszyscy podążycie jego śladem — zaszyliście się z trupem do jednego worka!... Odkrywam ci, chłopcze, absolut rządzenia, największą tajemnicę władzy, jej uniwersalny sekret! Człowiek, który zdobywa władzę i chce skupić w swych rękach jej część nadprzyrodzoną, jest niczym Ikar — wznosi się coraz wyżej i wyżej, staje się coraz bardziej dumny i coraz bardziej ślepy, traci z oczu palmy, później oazy, wreszcie całą Ziemię, a Ziemia jego, i wówczas grozi mu ten śmiertelny pocałunek słońca, który strąci go w przepaść. Może to być jeden pocałunek kobiety... Tak było z Prezydentem. Ale od dołu nikt tego nie zauważył, bo dzięki takiej wysokości szybowania Prezydenta — on i społeczeństwo nie mają już bezpośredniego kontaktu. Jego władza stała się anonimowa, uosabiał ją nie człowiek, lecz system przezeń stworzony, strach i prawidła gry, które noszą jego imię. Tak właśnie ludzkość korzy się wobec panteonu bóstw, których nikt nie widział, wszelako każdy, nawet ateści, lęka się boskiego gniewu. I ten właśnie lęk sprawuje władzę pierwszorzędną. Wystarczy puścić raz do roku taśmę z głosem faraona, przypomnieć, jak to czynią Arabowie: „*Wahed Dhu*” (Jeden Bóg), a wszyscy odpowiedzą: „*La Iliach Iliā Allah*” (Nie ma Boga prócz Jedynego Boga), i będą dalej trwać w niewolniczym marazmie, poruszani drutami telefonów. Ta cywilizacja, którą stworzyliśmy, poruczniku, nie jest cywilizacją rakiet, komputerów, telewizora i samochodu, jak się powszechnie uważa, lecz cywilizacją telefonu, kulturą rozkazu płynącego ze słuchawki. Człowiek taki jak ja, genialne dziecko fortuny, alpinista, któremu udało się zdobyć prezydencką górę, może całe lata być pasożytem na ciele trupa i nikt tego nie zauważy, gdyż władza Prezydenta nie ginie wraz z jego fizyczną

śmiercią. On żyje dalej w strachu milionów, póki funkcjonuje telefon na jego biurku. Decyzją Prezydenta wszystkie rozkazy dla Saturna miałem przekazywać ja. Tą decyzją Prezydent sygnował swój własny wyrok śmierci. Jeszcze tego samego dnia zezwoliłem Klarysie pomścić tatusia i Klarysa odgryzła prezydencki łeb. Później ruszałem milionami marionetek, używając słuchawki telefonu i służbistości kapitana Saturna, a głowę Prezydenta złożyłem na tej tacy, gdzie jest wyryta historia moja i jego... To obraz Hoffmana von Vestenhofa „Król Jehu”.
Prawda, że piękny?

Raczej demoniczny. Winien zdobić muzeum Roberta. Po lewej stronie kadru, na najniższym stopniu monumentalnych schodów, siedzi zgarbiony, półnagi mężczyzna w starowschodnim hełmie. Długą, prawie dwumetrową laską grzebie wśród kilkunastu odciętych głów leżących na ziemi. Głowy trzech mężczyzn i jednej kobiety leżą trochę wyżej, na górnej krawędzi schodów. Przy tym człowieku o zasępionej twarzy, krogulczym nosie i grubych, mięsistych wargach, klęczy zupełnie goła kobieta, uwiązana do jego pasa cienką linką za prawe ramię. Gęsta fala czarnych, spadających bezwładnie włosów, kryje twarz kobiety. Z bezwładnej dłoni wysuwa się gigantyczny wachlarz. Wszystko w niej jest bezwładne, całe podtrzymywane przez mur ciała, ramiona i palce rąk. Żyje, a jest w niej więcej śmierci niż w uciętych głowach, które rozwierają martwe wargi, jakby protestując, przeklinając i błagając niebiosy o pomstę.

— Znasz historię Jehu, gliniarzu? Studiowałeś historię, więc pewnie znasz...

— Nie bardzo, sekretarzu!

— Był sługą królów izraelskich, Achaba i Jorama, którzy ufali mu bezgranicznie. Zamordował Jorama i wyrznął plemię Achaba, by rządzić samemu. Popatrz na ten zwój papyrusu w zębach jednej z głów — to podeptane prawo. I spójrz na samotność zwycięzcy — jest znudzony. Ja też jestem

najlepszy dowcip, jaki słyszałem od paru wiosen!

— I ostatni. Podnóże góry jest w naszych rękach. Wojsko też, a ty jesteś sam, nie ujdiesz przeznaczeniu, Makis!

— Mylisz się, głupcze, nie jestem sam. Jest tu ktoś ze mną.

— Blef nie ocali ci dupy, Makis...

— Blef by nie ocalił. Tylko że to nie jest blef — to jest twój pech, glino.

— Gówno prawda — to jest twoje łgarstwo! Łżesz!

— Czasami łżę, kłamstwo to sól zabawy... Na koniec dzisiejszej zabawy postanowiłem sprezentować wam wielki fajerwerk. Ale wracając do łgania... Otóż gdy łżę, łżę skutecznie, glino. Chociaż jesteś j a s n o w i d z e m , uwierzyłeś, że Saturn to jej brat, i uciąłeś mu łeb, moja ty kukielko, oraz wiele innych łbów, tak jak chciałem, precyzyjnie według planów sekretarza Makisa!... Być może jeszcze jakiś czas rządziłbym, jeszcze szarpałbym linki przywiązane do waszych karków, kontemplując z wyżyny tego wierzchołka wasze mrowisko, ale kiedy powiedziałaś mi, że Saturn szuka jasnowidza, natychmiast zrozumiałem... Widzisz, od trzech lat nie było żadnego bezpośredniego kontaktu między Saturnem a Prezydentem, Saturn nie widział go i nie słyszał jego głosu, wyjąwszy przemówienie rocznicowe, czyli kawałek taśmy. Rozmawiał tylko ze mną. Musiał wreszcie zacząć się niepokoić, podejrzewać coś, ale nie miał wstępu do pałacu, niczego nie mógł sprawdzić. Dlatego szukał jasnowidza, który by tu przeniknął mediumicznym wzrokiem i złożył mu raport. Więc kazałem eksterminować pana Saturna. I dobrze zrobiłem, bo, wierz mi — tym razem bez kłamstwa — zaczęło mnie to już nużyć. Jak długo można się bawić w to samo? Poszukam sobie innej sceny, świat jest wielki, a tutaj osiągnąłem już wszystko, gliniarzu. Została tylko eksplozja... Przedtem jednak muszę cię prosić, byś wezwał tu swego braciszka, no już!

Odbezpieczam spluwę.

— Wkrótce go zobaczysz, Makis, ale nie tutaj. Pójdziemy do niego!

— Tylko we dwóch? Mówiłem ci, że jest tu ktoś jeszcze.

— O kim ty gadasz?

— O twoim miocie, glino.

— Jakim miocie?

— O twojej córce!

— Przecież ona nie żyje...

— Powiedziałem ci już, że czasami nie mówię prawdy! Rzadko, bo rzadko, ale jednak. Wtedy zełgałem. Ona żyje i chwilowo ma się dobrze, gliniarzu!

— U kogo ją trzymasz?

— U siebie! Tam — pokazuje dłonią w stronę komnaty, gdzie zostawiłem zwłoki „*Salome*”. — Idź zobacz ją.

— Idź pierwszy!

— Bien, aie nie dziurkuj mi pleców, bo wyrządzisz jej krzywdę!

Idziemy do komnaty dębowego fotela. Ciało tancerki zniknęło. W fotelu siedzi kilkuletnia dziewczynka, sobowtór „*Salome*”. Jest identyczna niby reprodukcja fotografii, tylko o zmniejszonym formacie. Ma piękną twarz „*Salome*”, z cudowną krzywizną nosa, z uchem jak spirala morskiej muszli, z brwiami według wzoru jaskółczych skrzydeł, z wargami modelowanymi przez małże w ich czułym zbliżeniu. Kiedyś wyrośnie na baśniową kobietę i odejdzie do innego mężczyzny, ale nim to nastąpi — będzie moją córką! Będzie się ze mną dzieliła każdą myślą, niczego nie zachowa wyłącznie dla siebie, nawet porozumiewawczego spojrzenia, które kobiety zwykły wymieniać tylko z lustrem. Przedtem jednak muszę ją uwolnić, zerwać te klamry, którymi jest przywiązana do fotela!

Teraz już wiem, w kim jestem zakochany i komu mały robak szaleństwa wybudował w moim sercu świątynię. I dlaczego zjawiłem się tutaj. Boże Wszechmogący, istniejesz czy nie — pomóż mi uratować moje dziecko!!!

Twarz Makisa promienieje humorem.

— Spłodziliście ją w burdelowym hoteliku, przy jakiejś rue de coś tam, a wygląda, jakby poczęto ją w Wersalu! Félicitations, mon flic!

— Makis!... Rozwiąż ją natychmiast, bo przestrelę ci łeb! Zdejmuj te klamry!

— Strzeliłbyś, gdybym zdjął! To nie są zwykłe klamry, mój chłopcze, to przewodniki impulsów elektrycznych. Popatrz na to pudełeczko, które trzymam. Tych pięć białych guzików to różne stopnie bólu, jaki mogę jej zadać, kopiąc prądem. Jeśli wcisnę czerwony — prąd uczyni z niej kupkę popiołu! Zdązę zgiać palec, nawet gdy dosięgnie mnie kula...

Powinienem ryzykować — nie celując rozwalić mu skroń. Trafiłbym, zawsze trafiałem. Wątpliwe, czy zdążyłby zgiać paluch. Ale jeśli by zdążył? Jeśli sam nerw lub jakiś mięsień dłoni zgiałby mu ten paluch? Lub jeśli pierwszy raz w życiu spudłuje? Lub jeśli nadajnik uderzy posadzkę czerwonym

Gratulacje, glino!

guzikiem, gdy wypadnie Makisowi z łap?... Robi mi się słabo na samą myśl o tym.

— Tak więc zaczynamy, gliniarzu, bo czas galopuje, już się zmierzcha. Zaczynamy prośbą: rzuć broń pod moje nogi.

Rzucam. Rewolwer bębni o kamienne płyty i hamuje przy jego zelówce.

— Bardzo ładnie, uratowałaś ją. Teraz nie grozi jej śmierć, tylko ból. Zbliź się do okna. Na parapecie stoi telefon, obok leży kartka z numerami. Wykręć centralę Saturna i rozkaż swoim ludziom, żeby przestali się dobierać do wind.

Wykręcam pierwszy numer. Żadnego sygnału. Wykręcam drugi, znowu nic.

— Nie ma połączenia! Tam jest piekło, wszędzie ogień, więc...

— Próbuje! Niemożliwe, by przerwały się wszystkie łącza! I módl się w duchu,

bo jak nie uzyskasz kontaktu...

Za czwartym razem dostaję sygnał. Ktoś odzywa się meksykańskim akcentem. Duży fart, to Mario!

— Mario, słuchaj, musisz...

Ze słuchawki bluzga wrzask:

— Odpieprz się, nie mam czasu!

— Cooo?!

— Posłuchaj, hombre! Mario nie żyje, a ja mam tu pełne łapy roboty! Czego chcesz?!

Tukian, zastępca Maria! Też Meksykanin — kumpel Maria, ganiany w swoim kraju dzięki dwóm morderstwom. Mario ściągnął go do naszego zespołu. Krzyczę kim jestem. Z tamtej strony chwila ciszy.

— Przepraszam, señor, nie rozpoznałem pana. Objąłem dowództwo po Mariu...

— Jak zginął?

— Miał królewską śmierć, panie poruczniku!

— Co to znaczy?

— A la Maurycy IV, panie poruczniku. Wysiadł na jednej z tych dziewczyn, chyba serduszko...

— Opanowaliście cały teren?

— Tak, panie poruczniku. Przebiliśmy się już do dwóch wind, do innych dostaniemy się lada chwila. Trzeba było odkuć piekielnie dużo skały, żeby się kapnąć gdzie są wyjścia korytarzowe. Spryciarz to budował!

— Wystarczy, wstrzymajcie się i cofnijcie, nie tykajcie wind! Koniec tej roboty!

— Nie wjeżdżamy, señor?

— Nawet o tym nie myśl, Tukian! Wyczyść teren, zbierz trupy, zaopiekuj się rannymi...

— Już to zrobiłem, panie poruczniku. Ranni są w szpitalach, a...

— No i pięknie! Teraz nie ruszaj się i czekaj na rozkazy!

— Tak jest, panie poruczniku!

Odkładam słuchawkę i świdruję wzrokiem twarz Makisa. Czego jeszcze zechce ten łotr?

— Bien, mon lieutenant! Jesteśmy coraz bliżej Apokalipsy, którą sobie wyśniłeś, tylko że po przebudzeniu zawieruszył ci się scenariusz, skorzystamy więc z mojego. Łącz się teraz ze swoim bratem i każ mu tu przybyć. Niech się spieszy i niech nikogo tu nie zabiera, bo w windach są fotokomórki rejestrujące każdego wchodzącego, a ja czytam to na pulpicie w tamtym pokoju. Jeśli mrukniesz mi choć jedno szyfrowane słowo, lub zwyczajne słowo ostrzeżenia, skatuję ci córkę prądem. Dzwon!

Nie mogę tego zrobić. Ale jeśli tego nie zrobię, on będzie ją dręczył tak długo, aż złamię moją miłość do brata i zrobię to, bo dla niej zrobię wszystko. Słałem na męki setki ludzi, i teraz, tak późno, poczynam rozumieć czym jest makabra tortur. Płacę za lata okrucieństwa, i to nie może być przypadek — to znak istnienia Boga! Jak mam przebłagać Niebo?! O, matko moja, mów do mnie!!!

— Nie zrobię tego, Makis...

Cisza pęka niczym uderzona szyba. Z gardła dziecka wyrywa się krzyk bólu, który rozdziera mi mózg, serce i całe ciało. Jej ciało drga, a źrenice żebrzą o litość. Matko, gdzie jesteś?!!!

— To tylko pierwszy guzik, poruczniku. Czy musimy nacisnąć drugi?

— Nie!... Nie...

— Dzwon!

Przegrałem wszystko, myślę, że jestem bardzo daleko od domu. Zapomniałem, tak jak mój stary, że najgorzej jest ufać samemu sobie. Wykręcam numer Roberta.

— To ja, Robercie.

— Dobrze, że się odzywasz, już się niepokoiłem, braciszku. Dzwonisz z pałacu?

— Tak.

— Jak tam pan prezydent?

— Trup... Jak tam wojsko?

— Zgodnie z planem rżnie na prowincji.

— A generałowie?

— Nie żyją. U ciebie wszystko dobrze, braciszku?

— Tak.

— To zjedź tutaj, a ja zapalam stos.

— Zapal i przyjedź na górę. Tukian odkrył wejścia do wind.

— Czemu mam tam jechać?

— Bo cię proszę o to!

— A czemu prosisz?

— Bo jesteś mi tu potrzebny, i to zaraz!

— Przecież mieliśmy się spotkać...

— Ale spotkamy się tu! Robercie, przyjedź szybko!

— Dobrze, wezmę kilku moich...

— Nie! Przyjedź sam!... Sam, rozumiesz? Zu-peł-nie sam!

Milczy. Pyta swoim szeptem:

— Słuchaj, co jest?... Coś się stało?...

— Piorunem! — krzyczę do słuchawki. — Nic już nie truj, tylko przyjeżdżaj!

Makis podnosi moją broń.

— Chodźmy spojrzeć na miasto, gliniarzu.

Wyprowadza mnie do gabinetu prezydenta. W drzwiach odwracam się na moment. Po policzkach dziecka płyną ciche łzy. Za szybami mrok. Wzeszła noc, raptownie, bez zorzy wieczornej, która by ją zwiastowała. Wysoko — szafirowa ciemność rozgwieżdżonego nieba. Nisko — metropolia spowita czernią. Wewnątrz parku Saturna dopala się jakiś budynek, coraz słabiej, niczym ognisko, na które już chluśnięto kubłem wody, lecz trochę zbyt małym. Gdzieś w śródmieściu wykwita lichy płomyczek. Rośnie wolno, staje się większy i większy, jak pochodnia zapalona w pieczarze nocy. To Opera gore od stosu bezgłowego Sardanapala.

— Twój brat już wystartował. Zobaczymy teraz, co robią obywatele, poruczniku.

Unosi dźwigienkę na pulpicie sterowniczym. Sztych reflektorowego światła tnie ciemność. Ruszając dźwignią, Makis wodzi białe koło po wymarłych ulicach. Tylko gdzieniegdzie widać przebiegające szybko sylwetki — to z pewnością ludzie mojego brata lub grupy moich komandosów.

— Widzisz, gliniarzu, pusto! Lud sra ze strachu, słysząc jak wilki mordują wilki, i barykaduje się w domach. Wkrótce go ośmielimy, musimy tylko zaczekać na pańskiego brata. Zobacz pan do czego zdolny jest tłum, z którego wypuszczono strach. Widział pan może, jak woda przerywa tamę?

Na ekranie monitora migoczą komputerowe szyfry.

— Ooo!... Pański brat już do nas jedzie, gliniarzu! Teraz muszą wykazać posłuszeństwo pańscy ludzie u podnóża góry, i ci, którzy zostali w gmachu głównym świętej bezpamięci pułkownika. Niech rzucą całą broń i mogą sobie iść, gdzie tylko zechcą, rozumie pan? Ma pan dwie minuty na wydanie im tego rozkazu, i to w taki sposób, by nie próbowali go sabotować, inaczej mała zginie śmiercią męczeńską tout court. Ma pan też moje słowo, że jeśli ten rozkaz zostanie wykonany, otrzymacie szansę przeżycia.

Łapię za telefon. Na dole słuchawkę podnosi przyboczny Tukiana.

— Dawaj dowódcę! Piorunem!!

Czekam.

— Tukian?... Słuchaj uważnie! Macie zostawić broń tam, gdzie jesteście teraz, i wieście dokąd oczy poniosą! Za kilka minut każdy, kto będzie przyłapany z bronią w ręku, da głowę! Kapujesz, Tukian?

— Ależ, señor!...

— Chcesz to przeżyć, Tukian, czy nie?! Pieprznijcie broń i chodu, albo wszyscy pójdziecie do ziemi!... Nie próbuj kombinować, przeżyją tylko chłopcy bez spluw! Nie bądź samobójcą, dobrze ci radzę, hombre!

Drugi telefon, do centrali policyjnej, i ten sam rozkaz. Wykonają, gdyż są już zmęczeni tym wszystkim, co się dzieje od świtu. Rzucą broń i ukryją się jak szczury w norze, cały czas to właśnie biegało im po łbach.

Makis pilnuje ekranu monitora. Raptownie przyciska jeden z wielu guzików pulpitu.

— Bien! Pański brat został zamknięty wewnątrz sali balowej! Proszę mu rzec, by spokojnie czekał na nas. Nie więcej niż kwadransik.

Biorę mikrofon.

— Robercie, słyszysz mnie?

Z głośniczka pulpitu wypływa:

— Słyszę. Gdzie jesteś, do cholery?!

— Czekaj tam. Przyjdę za kilkanaście minut.

Stałem się istotnie bezwolną kukłą, wasalem tego diabła, najprzebieglej szego z diabłów — robię wszystko, czego żąda. Ale robię dlatego — niech mnie osądzi najsurowszy z bogów — by uchronić moje dziecko przed torturą i by dać losowi czas. Wciąż się modłę, by najmiłosierniejszy z bogów zesłał cud.

Makis liże reflektorem szczątki centrali Saturna i kieruje tam oko lunety, sprawdzając, czy Tukian posłuchał rozkazu. Sprawdził. Teraz bierze do ręki mikrofon wielkich, prezydenckich głośników, i woła:

— Ludzie! Mieszkańcy grodu stołecznego! Obywatele! Ludzieeee! Jesteście wyzwoleni! Prezydent nie żyje, komendant Saturn nie żyje, szef policji nie żyje, nie żyją generałowie, a wojsko rozprawia się na prowincji z resztą oprawców! Ludzieeee! Jesteście wolni! Nie ma już w stolicy żadnego uzbrojonego gliniarza, nie ma szpicli, nie ma nikogo — miasto jest wasze! Pałac tortur płonie, centrala Saturna to już tylko kupa popiołów i gruzów, reszta gmachów rządowych czeka na was! Zniszczcie wszystko, weźcie wszystko — wszystko, co chcecie! Sklepy są wasze, towary są wasze, wszystko jest wasze! Kto pierwszy, ten lepszy i bogatszy! W zamku Prezydenta zostało ledwie dwóch nie uzbrojonych katów, tych z Opery, tych torturujących bez miłosierdzia! Wicie, co ci dwaj tu mają? Skrzynie pełne złota, srebra, brylantów i szmaragdów! Wszystko, co oni mają, może być wasze! Wejdźcie tu, do pałacu Prezydenta, i bierzcie! Bierzcie wszystko!

Jego słowa dudnią za szybą i pędzą ku miastu z kolosalnych głośników umieszczonych na zboczach góry, z głośników na rogach ulic i na placach, na latarniach i na słupach ogłoszeniowych, wdzierając się do mieszkań, piwnic, strychów, zaułków, do nor i salonów, do tysięcy uszu — wszędzie.

Makis powtarza apel jeszcze raz, tym samym głosem, majestatycznie chrapliwym głosem szatana-wodzireja, i odkłada mikrofon.

— Niedługo zacznie się wielka Totenmesse, gliniarzu. Mówiłem panu, gdy piliśmy toddy, że trzeba przywrócić rangę zabawie. Takiego balu, jaki ujrzy pan teraz, jeszcze pan nie widział. Ale też czy widział pan większego tresera niżli Makis le Grand, co?... Proszę o cierpliwość, moje chef-d'oeuvre już się rodzi.

Małpy już drgnęły w swoich domach. Wkrótce wychyną i nieśmiało ruszą ulicami, by zbadać grunt. Kiedy to uczynią i nie zobaczą wilków, a zobaczą swą masę — nic ich nie powstrzyma. Jeśli się mylę, będzie pan mógł mnie tytułować hersztem idiotów, nie obrażę się.

Nasłuchujemy.



arcydzieło.





Alfred Rethel — „Smierć dzwonnika”

11

Nasłuchujemy.

Raptownie, jakby znak dało niebo, gdzieś w oddali niedosiętej dla wzroku drgnęły dzwony. Wpierw samotne uderzenia, które jeden rozbudzony kościół podaje drugiemu niby grajek grajkowi w orkiestrze przed rozpoczęciem koncertu, a później cały gejzer tonów, które się widzi — gdyż w takiej chwili słuch ma wzrok — jak wędrują falami ku górze i rzucają na wszystkie strony swe złowróźbne, rozhuśtane tryle. Zrazu wibracja każdego dzwonu jest czysta i samodzielna, lecz po chwili cała masa tych brzmień zlewa się i przenikając kruche pory sklepiennych łuków, wiąże się, wzajemnie moduluje, śpiewa razem, z dzwonu na dzwon skaczą oktawy i stretta, grmiąc siłą krzeszących iskry kowadeł i młotów, i lśnią niczym snop gwiazd pędzący w kosmiczną studnię. Teraz już jedna wielka horda muzycznych drgań wydobywa się bez ustanku z nieprzeliczonych dzwonnicy i płynie skroś ciemności, faluje, podrywa się i spada, wirując nad miastem, rozszerzając daleko za niewidoczny horyzont ogłuszające kręgi swego koncertu.

Słyszę to, lecz widzę Makisa. Jego ślepie są tak pijane triumfem, że Makis mnie nie widzi. Stoi wyprężony jak struna, z rozwartą gębą dziecka zachwyconego bogactwem prezentów. Odsłonięte dziąsła i zęby zdają się pytać: — Powiedz, czy znasz we świecie coś wspanialszego niż ten cudowny zgiełk, ten grom metalu, te szeregi spiżowych głosów wydobywanych równocześnie z kamiennych fletów? Czy znasz takie miasto, które oszalało przez kaprys jednego człowieka i stało się harfą nadciągającej makabry, zwiastunem burzy, organami świata po krańce widnokregu?...

Jego fosforowe ślepie palą, a jego wargi drżą, gdy mówi:

— Słyszysz, gliniarzu?... Rozpoczyna się! Teraz zobaczysz prawdę unikalną i namacalną, zaklętą w krwawej ekstazie motłochu. Zobaczysz Apokalipsę jako bal! Nie ma nic poza tym! Nic! Sprawiedliwość to urojenie! Wolność to urojenie! Miłość bliźniego to urojenie! Święty Franciszek z Asyżu to urojenie! Tylko szaleństwo tłumu jest Bogiem, a Bóg jest zabawą! Zobaczysz!... O, przyjacielu! Zgłębiłem wiele nauk tego świata, pisałem encyklopedię, i powiadam ci: nicość! Nicość! Ciało ludzkie, społeczeństwo, demokracja i tyrania — wszystko nicość! Merde! Kaligula i paru innych diagnozowali to dobrze, lecz kim oni są wobec Makisa!

Rozszerzone lufy źrenic rzucają wyniosły blask na jego oblicze, a wargi formują grymas zaiste cudowny, wstrząsająco demoniczny, plasujący go nad panteonem wszystkich ludzkich twarzy, co zjawiały się w oknach wszechświata, próbując sprostać ideałowi potworności kreowanemu przez ekscytowane szaleńcy zabawy wyobraźni. Nie wiem już, jakie upiory on widzi — potomność

składającą mu hołdy bluźniercze, czy anioła piekiel zepchniętego szczebel niżej, na klepisko diabelskich maskarad?

Spizowe larum zostanie przepołowione symfonią jeszcze bardziej złowieszczą — to syreny fabryczne zawyły głosem, z którym kojarzy się lament potępieńców. Jako odpowiedź dla tego sygnału rozbłyskują światła w kilku punktach metropolii. Zrazu płonące solo, pokorne wobec wielkiego stosu Opery, później rozlewające się wstęgami i smugami, wreszcie buchające wulkanem — już nie do ugaszenia. Miasto goreje entuzjastycznie na czarnym tle niebios. Krwawe języki liżą chmury, a wiatr dmucha zapachem spalenizny, jakby po drodze ukradł hałdy gorących węgielków. Całe śródmieście zostaje rozświetlone niby pierwszy plan sceny wielkiego teatru. Raz po raz wybuch wstrząsa atmosferą, tumany złotego i szkarłatnego pyłu unoszą się ku tłustym pośladkom chmur, palce płomieni krzyżują się, kłają, macają gwiazdy. Noc płonie jak fosforowa żagiew, czka oddechem hutniczego pieca, pluje w przestwór tysiącem pożarów. Tak musiały ginąć Kartagina i Rzym. Tak konał Babilon.

— Widzisz, poruczniku?! Było was tylu, armia uzbrojonych bestii, a na drugiej szali człowiek! Jeden człowiek! Jeden przeciwko wam wszystkim, przeciwko katom i ofiarom, i któż okazał się cięższy? Jak nazywa się faraon tej zagłady? Czyj to jest spektakl? Czyj ciężar złamał wagę? Co możecie przeciwstawić woli Wielkiego Makisa?!...

Usta zwarł grymasem już nie złośliwym, lecz straszliwym. Jest coraz piękniejszy — on, ten sierota, wypędek, król alfonsów, i wreszcie mocarz skazujący na zagładę miasto, które było mu wrogiem, nim nie stało się haniebnie posłuszne, a w którego sprawy wtrącił się — przez szczęśliwy dlań zbieg faktów — tak władczo i skutecznie, czyniąc zeń arenę i ofiarę wbrew całej sile państwa, wbrew zbirom, sędziom i katom, wbrew wszystkim papierowym tygrysom zmuszonym do żucia pustki w pyskach, wbrew tej rzekomo niezłomnej strukturze, którą on, nędzarz bez ojca i matki, złamał za pomocą sprytu i telefonu. Czuje się teraz cesarzem chaosu, Attylą i Tamerlanem, babilońskim bogiem-stworzycielem grozy, i ma prawo!

Gdzieś daleko, ze środka feerycznego tutti dzwonnicy, z trzewi ogniska, zaczyna rosnać szmer o tonacji innej — pchany nad miastem żaglami płomieni głos motłochu. Jak odwieczna skarga rzek płynie wąwozami ulic, staje się grzmotem tłumionym jeszcze odległością, tylko pomrukiem dzikiej bestii, lecz tężeje, pęcznieje i przybliża się bez ustanku. W samym sercu tego zgiełku słychać dziwną muzykę — ostre, przenikające wszystko ćwierćtony, konkurujące zwycięsko z łoskotem walących się gmachów. Makis nasłuchuje owego dźwięku wszystkimi tkankami swej skóry, wzrokiem, kącikami ust, drganiem rozdętych nozdrzy, palcami mocno zaciśniętymi w kułak.

— Idą tu, chcą Bastylii! Czyż to nie cudowne, gliniarzu? To są ci sami

milczący pigmeje, których tresowaliście na obraz i podobieństwo chińskich kulisów, ślepi i niemi, bierni niczym rośliny uprawne, warzywa! Doglądałem tej tresury jak ogrodnik dogląda sadu, a wy braliście to wszystko serio! Błąd — życie jest zbyt okrutne, żeby można je było traktować serio. Lecz wy nie rozumieście tego, historia niczego was nie nauczyła. Zdawało się wam, że ich bierność nie posiada granic. Posiada, jak wszystko, a mnie interesują właśnie granice. Granice zbiorowego paraliżu, masowej psychozy, gremialnej bojaźni, sztucznej moralności, wszystkich tych świństw, za których granicą rozpościera się cudowna kraina tańczących wariatów. Trzeba tylko trochę prawdziwej wyobraźni, trochę szczęścia, trochę geniuszu i sposobnej chwili, by podpalić tłum, wypchnąć go za tę linię graniczną i rozpędzić na trzecim biegu! To jest instynkt szaleństwa, gliniarzu, który jest jak dzuma, rozprzestrzenia się niczym mór, od głowy do głowy. Ten, któremu spalono dom, biegnie palić domy sąsiadów. Ten, którego ograbiono, pędzi grabić innych, i razem z nimi przyjdzie tutaj, na górę, po swój łup. Tak!... Oto historyczny dzień, mój chłopcze! Durnie w togach przezwą go kiedyś erupcją demokracji i będą się rozwodzić na temat bohaterstwa motłochu. Pardon — ludu! Dzieci będą wkuwać datę tego spektaklu. I wszyscy oni będą mieli słuszność, choć mieliby dużo większą traktując całą tę hecę nie w kategoriach polityczno— społecznych, tylko wyłącznie estetycznych... Mais oui, mon pauvre lieutenant! Un visage furieux de la danse des sauvages, dite démocratie, est presque toujours une image merveilleuse, un assez beau spectacle — le plus beau de tous les spectacles!

— Ależ tak, mój biedny poruczniku! Rozszalałe oblicze tańca dzikusów, zwanego demokracją, jest prawie zawsze cudownym obrazem, pięknym spektaklem — najpiękniejszym ze spektaklów.

Głos zamiera mu w krtani, ślepia wilgotnieją niewysłowionym szczęściem. Jest głęboko wzruszony skalą barbarzyństwa, które wybudował, co udziela się podekscytowanej mordzie i czyni go najpiękniejszym z demiurgów. On, w którego sercu jeziora wszelkich wzruszeń były zawsze suche, bo każdego ranka wypalane bez litości, rozwarł teraz śluzy całkowicie.

Noc dyszy lękiem, przerażona furią tłumy. Morze ludzkich namiętności wre, faluje, burzy się, zbiera i dudni głucho, żłobiąc sobie koryta biegnące do stóp góry. Tylko on to zaprojektował we właściwej skali, a później on sam tak to wyreżyserował. Mnie i mojemu bratu, chociaż i my projektowaliśmy zagładę, nie śniło się coś równie epickiego i patetycznego, nie domyślaliśmy się, ile wrzącej, wściekłej, gorącej lawy ukrywa się głęboko pod miedzianym czołem tego miasta.

Rozszalałe procesje są coraz bliżej, wkraczają już tam, gdzie niegdyś była forteca Saturna i gdzie teraz jest tylko pełne ruin pobojuwisko. Makis odstępuje od pulpitu.

— Czas, gliniarzu. Chodźmy do sali balowej.

— A ona?

— Weźmiemy ją ze sobą, naturellement.

Wprowadza mnie po raz ostatni do komnaty rzeźbionego fotela i daje mi uwolnić małą.

Zdejmuję klamry z jej rąk i nóg.

— Jak masz na imię? — pytam.

Dziewczynka patrzy migdałowymi oczami saren i nic nie mówi.

— No, powiedz, jak masz na imię?

— Ma brzydkie imię Anna, gliniarzu.

— Dlaczego brzydkie?

— Już w Renesansie majstrowano wokół imienia Anna śmiałe epigramaty, choćby ten: „*Zarówno moje imię, jak i ciało, każdy odwróci bardzo łatwo*”...

— Bydlę!

— Winienes mi dziękować! Sama nic ci nie powie, bo jest niemową. Ma język, ale nie mówi.

— Co?!... Czemu?

— Niech pan się spyta o to w prokuraturze Sądu Ostatecznego, może tam wiedzą. Urodziła się jako niemowa... No już, idziemy! Szybciej!

Idziemy długim korytarzem, flankowanym wielkimi płaszczyznami stiuków. Wątła dłoń dziecka grzeje się w mojej dłoni. Za nami kroczy Makis, lufą drapie moje plecy wyżej krzyża. Buty wzbudzają echo. Z zewnątrz nie dochodzi żaden dźwięk, ale ja czuję każdym nerwem huczenie ludzkiego ukropu, co oblewa fundament góry, i wiem, że ten wrzątek wspina się już na szczyt.

Stajemy przed żelazną płytą grodzącą korytarz. Makis szarpie dźwignię we wnęce muru. Płyta unosi się bezszelestnie, odsłaniając biało-złote drzwi.

— Żegnaj, glino. Z sali, która czeka na ciebie, są dwa wyjścia. Pierwsze — to, którym wszedł twój brat — prowadzi do windy. Windą za kilka minut wjedzie tam łaknący waszej krwi motłoch. Drugie — to, które mamy tutaj — żelazna kurtyna przymknie tak, jak kamienna płyta przywała grób. Jest ciężka, nie podniesiesz. Pułapka dla trzech myszy. Gdyby wszakże udało ci się namówić stado kotów, które zobaczysz za te kilka minutek, żeby was oszczędziły — mes congratulations! Jednego kota wysłałeś już dzisiaj do piekła. Powtórz tę sztuczkę w większej skali, i przeżyjesz! Tak czy owak — daję ci szansę, glino. Wiem, że minimalną, ale dotrzymałem słowa.

— Jesteś łotrem, Makis, sprowadzasz temu dziecku śmierć!

— Poruczniku, ty zamordowałeś mu matkę, i wątpię, czy była to na twoim koncie ofiara z numerem tylko trzycyfrowym... Jesteś prawie identyczną kanalią. Prawie, bo jesteś kanalią głupią. Właż!

— Makis...

— Co jeszcze?

— Zapłacisz za to wszystko, inaczej Bóg nie byłby Bogiem, ty pieprzony sraluchu!

— A wy?... Ty i twój braciszek-książę pałacu tortur, szukacie niemowlęctwa, drugiego dziewictwa czy tylko rozgrzeszenia? Też macie za co płacić! Rychło w czas przypomniałeś sobie o Bogu... Ale nie pękaj, nie jest tak źle. Bo jeżeli Bóg nie istnieje, to nie ma sprawy, a jeżeli istnieje, to wierz mi, głupku — im większy zbrodniarz, tym skrucha miłsza podniebieniu Pana Boga. Wyłączna różnica między nami leży w tym, że ty masz już cholernie niedużo czasu na skruchę, ja zaś jeszcze pożyję ciut-ciut!

— Makis, proszę cię...

— Nie trać śliny, kurdupłu, niczego nie wyżebrzesz, tu sais... Cytowałem ci Wierchowiewskiego, nic nie zrozumiałeś. „*Każdy wasz krok winien zmierzać ku temu, aby waliło się wszystko: i państwo, i moralność społeczeństwa. Zostaną tylko ci, którzy wyznaczyli się do zagarnięcia władzy: mądrych zyskamy, a pojedziemy na plecach głupców*”. Chciałem zyskać ciebie i twego brata, ale okazaliście się parą złodziejską, a później jeszcze parą głupców, bo chcieliście mnie zabić! Mnie! Mnie zabić, gdy już się mnie okradło, tak?...

— Nic ci nie ukradliśmy, bydlaku!

— Ukradliście mi mój pomysł! Moją najcenniejszą własność! To był mój wynalazek, moja gra, moja zabawa, a wy chcieliście stać się jej autorami i pierdyknąć mnie za burtę! Mnie! Chcieliście zastąpić moje arcydzieło swoim partackim plagiatem, nędzny gliniarzu! Nie daruję wam tego! Właź!

Ruszył dźwignię i tona żelaza zsuwa się wolno na nasze głowy. Robię krok przez próg, ciągnąc córkę. Kiedy między pawimentem a płytą zostaje już tylko kilkunastocentymetrowa szpara, pod nogi leci mi z trzaskiem jakiś przedmiot i słyszę złośliwy krzyk:

— Prezent ode mnie, na pamiątkę!

Pułapka zatrzasnęła się jak grób. Macam ciemność, szukając klamki. Wymacałem. Uchyłam drzwi. Żrenice razi światło. Widzę mojego brata. Robert trzyma pistolet gotowy do strzału. Blisko moich stóp leży to parszywe pudełko z sześcioma guzikami — narzędzie, którym Makis mnie złamał, zniewolił i poniżył. Kopię je furiacko. Patrzę wokół. Jesteśmy wewnątrz sali balowej.

— Mów — prosi brat.

Milczę, nie ma czasu na wyjaśnienia i anegdoty. Rozglądam się gorączkowo. He zostało minut, jedna, dwie? Dookoła zakurzony Barok, wklęsły plafon z głębią iluzjonistycznego nieba, kupa przetłuszczonych amorków, złotych listków, winogron, ciężarnych waz, kwiecistych serc, ptaków niosących dzióbkami gałązki, wężów pełzających, chimer skrzeczących, tudzież kryształowe żyrandole i powyginane meble.

Chwytam flet i staję blisko żelaznej kurtyny. Dmucham w mandragorę.

Uzyskuję dźwięk wibrujący na granicy zemdlenia. Żadnego skutku...

Ogarnia mnie bezradność. Zupełny bezwład. Zrobiłem wszystko, co mogłem, i nie mam już nadziei. Czemu się upierać przy tej męczarni, jaką jest życie? Starczy zamknąć wzrok i strzelić sobie w usta, by zawrzeć pokój ze światem, wymazać wszystkie nikczemności, ciosy i upadki, lęki i nie spełnione obietnice. Po co mam być wołem ciągnącym brzemie tych trucizn?

Słyszę oddech Anny, która szuka schronienia blisko mego serca... Coś najbardziej cennego i delikatnego tuli się we wnętrzu mego ciała, a ja rezygnuję, chociaż mam jeszcze kilkadziesiąt sekund i mózg?!... Podrywam myśli do lotu.

Cisza jest mordercza. Każdy szmer wypełnia całą przestrzeń niby dźwięk dzwonu. Zza drzwi, którymi wszedł mój brat, słysząc stukanie mechanizmów windy. Czas mi się kończy!

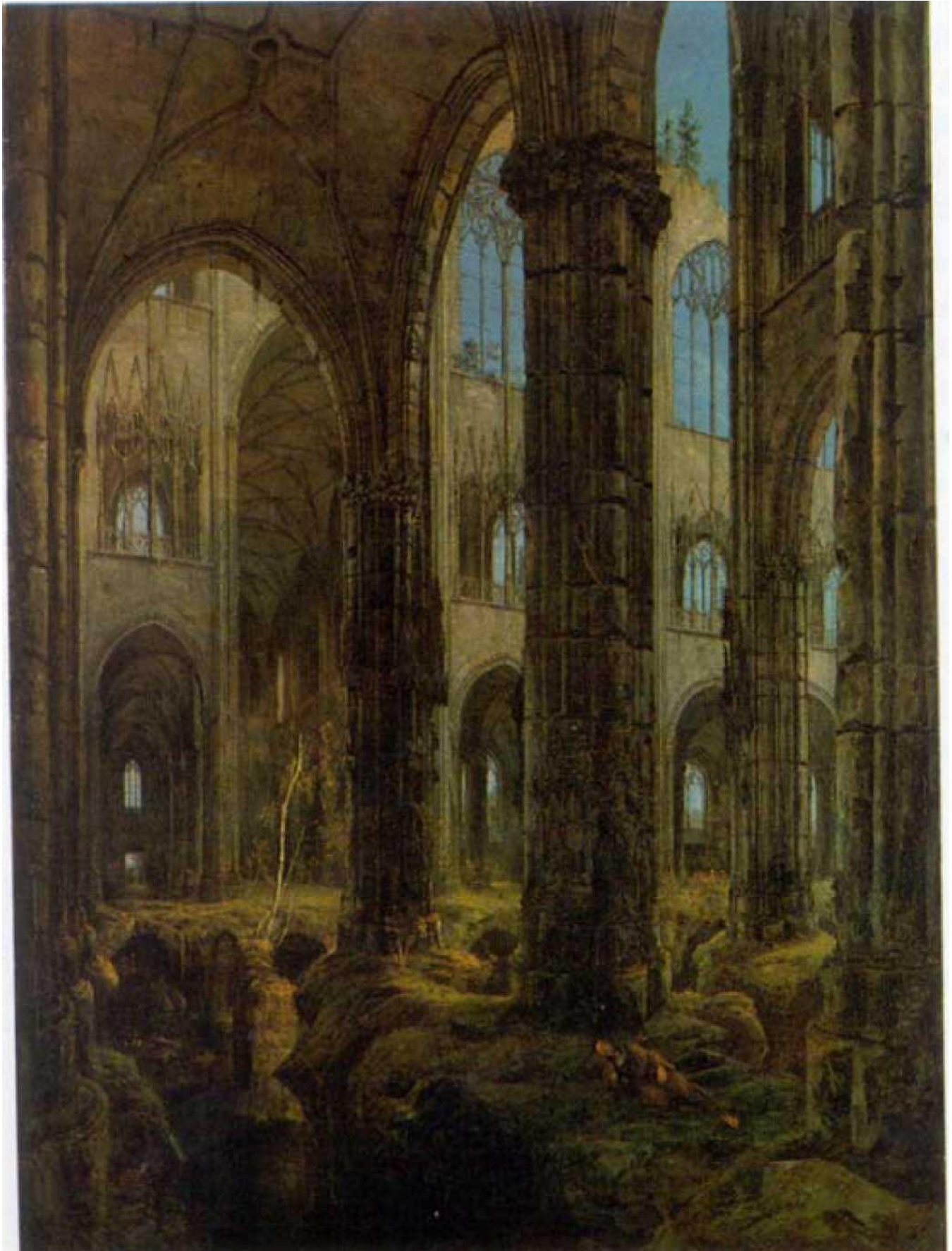
Nagle przypominam sobie — bo w takiej chwili, kiedy ścigają się wszystkie zegary, strach odmładza instynkt pamięci korodowany paniką — słowa sędziwego księdza z antykwariatu wuja Arnolda: „... i że pan ma klucz, który otworzy wszystkie drzwi prócz ostatnich”. To o flecie, lecz wuj zostawił mi także rymy Audena... Penetruję dłonią wnętrze kieszeni... Jest! Czytam...

*„Stoi tam zamek opuszczony,
Gotów, by zwiedzać jego blanki;
Przebiegnij schody marmurowe I dotknij klamki.
I przeleć pustą salę balową,
Strach już ci w myślach nie zagrzebie;
I zdmuchnij z lustra pajęczynę,
I wreszcie zobacz siebie.
I sięgnij ręką za boazerię,
Twój trud już skończył się gorliwy...”*

Lustro!... Niewielka elipsa na ścianie, patynowana grubą warstwą kurzu. Biegnę tam, wycieram kurz rękawem i patrzę w głąb odbicia. Za moimi plecami widać fragment złotej listwy rzeźbionej arabeską. Pędzę skroś sali ku przeciwległej ścianie, chwytam listwę i szarpnię z całą mocą, bez sensu, gdyż rozwiera się łatwo na ukrytej zawiasie, odsłaniając metalową rączkę podobną do hamulcowego uchwyty wagonów kolejowych. Ciągnę ją — ani drgnie. Kręcę nią wokół osi... Żelazna kurtyna zaczyna sunąć wzwyż... Chyba szybciej opadała — podnosi się straszliwie wolno, trwa to całą wieczność. Od strony wind słysząc dziki ryk tłuszczy i tupot wielu butów. Mamy już metrowy prześwit między posadzką a dolną krawędzią kurtyny. Zakrywam rączkę listwą, biorę Annę i wypycham ją pod kurtyną na drugą stronę. Grzmot ciężkich uderzeń rykoszetuje wibracją żyrandoli i murów. Drzwi drugiego krańca sali balowej już trzeszczą, będą pękać. Łapię dźwignię, której użył Makis, cofam ją — kurtyna staje. Cofam do oporu — kurtyna zaczyna wędrowkę w dół, by ucałować swe progi.

— Robercie! — krzyczę. — Robercie!!!

Nie ma Roberta. Znowu metr prześwitu. Wkrótce nie będzie i tego, bo teraz kurtyna złośliwie się spieszy. Zaglądam do sali. Robert uklęknął, ręce ma wyciągnięte prosto przed siebie i złożone wokół kolby pistoletu. Mierzy ku dudniącym, drgającym, pękającym drzwiom. Jeszcze chwila i te drzwi gwałtownie wylatują z zawiasów, waląc się na podłogę. Robert trzy razy ugina palec wskazujący, trzy razy bije echem głośny huk, i trzy ciała fikają kozła jak potracone manekiny. Reszta gości odruchowo się cofa, a mój brat wykonuje tygrysi skok w moją stronę, pada i siłą rozpędu, froterując brzuchem lśniące płyty posadzki, prześlizguje się pod kurtyną! Miał mniej niż półmetrowe światło i się zmieścił!



Karl Blechen — „GOTYCKA RUINA”

Anna stoi oparta o filar; patrzy z chłodnym zaciekawieniem. Nie wiem, co dalej robić. Jedyne droga to długi tunel korytarza. Lecz co potem? Dokąd iść,

którędy uciekać, gdzie jest wyjście, jakim Makis opuścił wnętrze zamku?

Mój brat trzyma przedmiot, w który uderzył głową, robiąc swój brawurowy ślizg. Uderzył i wypchnął do korytarza ze strefy między drzwiami a kurtyną. To ów cholerny sześcioguzikowy nadajnik Makisa. Gdybyśmy mieli teraz psy, mogłyby wachać pudełko i prowadzić nas właściwym tropem.

Nagle z głębi korytarza dobiega szczekanie psa! Sen czy cud?... A może Vlad? Może przybiegł śladami swego pana? Wytężam wzrok. W odległości kilku metrów, niczym duch, zjawia się pies. Widać go słabo, jakby był bladym porannym widmem, produktem bagiennych oparów. Nie jest to Vlad, jest dużo mniejszy, lecz ja znam tego psa! Gdzieś go już widziałem! Robert biegnie do niego, klęka i przytula, szepcząc:

— King!!... King, mój kochany, wróciłeś! King, pieseczku...

— Daj mu powąchać to draństwo! — krzyczę. — Niech nas prowadzi!

King przytyka nos do białych guzików, merda ogonem i biegnie w głąb korytarza. My również truchtamy. Po kilkudziesięciu metrach pies skręca ku czemuś, co brałem — idąc z Makisem — za głęboką niszę, a co jest bocznym korytarzykiem, dziurawionym u krańca schodami w dół. Rozpoczynamy długi marsz. Stopnie są krzywe, skalne, wykute niechlujnie — diablo niebezpieczne.

King pognał na złamanie karku i zniknął. Wokół nas pleni się mrok wchodzący do oczu i uszu, przenikający całe ciało, tak intensywny, że czerń smoły mogłaby być ledwie jego cieniem.

Idę pierwszy, trzymając dłoń mojej córki, a za nami kroczy Robert. Wolną ręką macam chropawą skałę po obu stronach, co nie jest trudne, bo granitowa lawa modeluje schody tak ciasno, iż drapiemy ją ramionami i łokciami. Każdy mój krok jest bojaźliwym, sondującym otchłań stąpieniem człowieka zaskoczonego w górach przez mgłę. Ale wiem już, że będziemy uratowani — że gdzieś tam na dole czeka azyl i spokój. Czuję to. Jestem jak wędrujący ślepiec, którego wyciągnięte dłonie czują ogień i prowadzą ku ciepłu ogniska. Nie zna barw płomieni, lecz bezbłędnie lokalizuje ich źródło.

Co kilkanaście minut stajemy dla krótkiego wypoczynku i ruszamy dalej. Zaczynam się orientować, że robimy coraz większe koła wokół góry, pod której naskórkiem ryto ten spiralny loch. Mija godzina, dwie, trzy, może cztery — nie mam w zegarku fosforyzujących wskazówek. Łatwo jednak wyczuć, dzięki zmianie ciśnienia, że jesteśmy coraz bliżej ziemi. Loch się rozszerza, nie sięgam już ścian ręką. Przedłużam ją sobie czarodziejskim fletem — stukam jego końcem o skały.

Raptem widzę, tuż przed moim nosem, światełko! Wyciągam dłoń, lecz chwytam pustkę. Uświadamiam sobie, że krzywizna się skończyła, a światełko jest dalekim wlotem do skalnej rury. Będziemy teraz iść prosto. Bliskość świeżego powietrza dynamizuje krok.

Wychodzimy ze szczeliny w skałach, między gęstwą krzewów, na zieloną tację. Jest to rozległa łąka, przy której wznoszą się jakieś dramatyczne ruiny. Blisko nich leży człowiek sterroryzowany przez psa. Leży i patrzy dzikim wzrokiem, a pies siedzi obok i nie zezwala mu się ruszyć. Gdy podchodzimy — pies chowa igły kłów i biegnie ku klasztorным gruzom.

— King! — woła za nim Robert. — King!!...

Lecz pies nie reaguje, krzyk mojego brata nie odwrócił mu nawet pyska. Ginie mi z oczu wśród potrzaskanych murów. Mężczyzna wstał. To Makis! Zrywa się do ucieczki.

— Braciszku, chcę go mieć!

Uzbrojone ręce mojego brata prostują się w huku wystrzału. Makis robi dwa kroki więcej niż powinien, ale nie urodził się jeszcze człowiek, który mógłby kulę prześcignąć. Trzeci krok skręca go w miejscu i pan sekretarz koziołkuje nad niskim żywopłotem, który utworzyły dzikie krzewy.

Podbiegam. Jest ranny w biodro. Celuje do mnie z mojego rewolweru, lecz miast wystrzału rozlega się ciche: klang! Drugi raz, i znowu: klang! Trzeci — to samo. Przewraca się na plecy i zezuje oczami pełnymi łez, które wyciska mu ból.

— Wystrzeliłem... wystrzeliłem wszystkie kule, gliniarzu... — tłumaczy takim tonem, jakby chciał mnie przeprosić za brak jeszcze jednej kuli. — Sześć razy trafiłem to bydlę, a ono nawet nie drgnęło!...

Siadam przy Makisie.

— Koniec gry, Makis. Tobie dostał się Czarny Piotruś.

Próbuje się uśmiechnąć. Uśmiech przez łzy nie jest łatwym uśmiechem, nie wyszło jak trzeba.

— Zaniosę tego Piotrusia ku bramom niebios, może tamten Piotr uzna go za przepustkę, gliniarzu...

— Wątpliwe, Makis... Teraz tobie brakuje czasu na skruchę. Musiałbyś dokonać wielkich rzeczy...

— Zdążę... zdążę. Uratuję wam życie, a Bóg mi to policzy, jest królem matematyków. Wobec Niego dwa i dwa nigdy nie równa się cztery, bywa, że jedynka to więcej niż czwórka... Może uzna wasze trzy życia za równowartość tysięcy... Która to już bije, glino?

Patrzę na zegarek i mówię mu.

— Macie jeszcze dwie minuty, góra trzy... Goście są już w pałacu Prezydenta... Przygotowałem dla nich niespodziankę... Biegnijcie do klasztoru, do krypty, szybko!... Szybko, gliniarzu!... I pomódl się czasami za mnie...

— O czym ty mówisz, Makis?!

— O końcu zabawy... Była piękna, prawda, poruczniku? Przyćmiłem igrzyska Rzymu, przyćmiłem Nerona, Tyberiusza i Kaligulę, stworzyłem nieludzkie piękno!...

Jest w tych słowach nadzieja i prośba. Ogarnia mnie litość, serce mam już zupełnie inne, nie umiem mu odmówić.

— Tak, Makis, była bardzo piękna, dzięki tobie. Była twoja, a Kaligula był twoim cieniem, jesteś faraonem wszystkich pieczęci apokaliptycznego imperium.

Patrzy z wdzięcznością. Biała mgła pływa w jego spojrzeniu. Świadomość opuszcza wolno wszystkie obszary jego ciała, które dotychczas było bezbłędnym aparatem, teraz zaś nabiera chłodu kamienia i trwałości mgły. Przestaje oddychać — patrzy na mnie trup.

Zostanę jeszcze chwilę z tym geniuszem krwawej łaźni, który tak bardzo przypominał mi wuja Arnolda. Obaj rzadko mylili pozory i prawdę, co w końcu musiało sprawić im kłopoty. Obaj byli bezgranicznie zafascynowani korowodem życia ludzkiego, i każdy na swój sposób robił raczej to, do czego czuł się stworzony, niż to, czego wymagały konwencje, potęgi i regulaminy świata.

Z zamyślenia wyrывa mnie Robert. Robert rzadko krzyczy, a teraz krzyczy. Wstaję, chwytam Annę i biegniemy ku ruinom. Pragnę dosięgnąć krypty klasztoru, i chociaż nie zdążymy, to jednak chroni nas łuk biforium, kiedy wysoko, gdzieś pod kopułą nieba, eksploduje straszliwy grzmot. U szczytu prezydenckiej góry monstrualny tęczowy jeź rozkwitł tysiącem kolców. Makisa „*niespodzianka dla gości*”. Dookoła furkoczą odłamki, padają bryły gruzu, rzną ziemię fragmenty zamku i jego zdobywców, tłuką klasztorne mury lub rozplaszczają się na nich, lub odbijają z hukiem, a ziemia drży w posadach. Kulimy głowy. I raptownie wszystko ucicha, tylko z rozszarpanego wierzchołka snuje się komin dymu, upodabniający górę do żywego wulkanu. Tam, gdzie leżał Makis, piętrzy się stos kamieni i barwnego tynku w kłębach kurzu. Ostatnia budowla Makisa — własna piramida jako grobowiec.

Wspinam się na zdruzgotaną dzwonnice kościoła przyklasztornego. Poznałem ten klasztor — to gotycka ruina tancerzy z biczami, tutaj utonął brat „*Salome*”. Niewiele widać — dużą część miasta, w tym śródmieście, zasłania zbocze góry. Widoczne stąd przedmieścia są jednym wielkim pogorzeliem, nad którym falują wątle, rozpędzane wiatrem pasemka dymów.

Z drugiej strony ruin, przy brzegu jeziora, koczuje olbrzymia horda psów rozmaitej maści. Wszystkie rasy, kundle obok pudli, psy domowe i myśliwskie, cały psi naród, który wyemigrował z miasta, porzucając swych właścicieli ogarniętych morderczą pasją. Uformowały aeropag wokół psiego króla, władcy stada, kolosalnej bestii, której sylwetka wydaje mi się znajoma!...

— Robercie, chodź tu!

Robert i Anna pną się na górny podest dzwonnicy. Wskazuję dłonią. Mój brat patrzy przez moment w milczeniu i drze gardło:

— Vlad!... Vlaadü...

Pies drgnął. Zwraca ślepią w naszym kierunku i wstaje. Jakby szarpnął linką — wstają wszystkie psy. Ruszył — ruszają za nim. Odchodzą. Prowadzi je wzdłuż brzegów jeziora ku kotlinie i ku gęstwie drzew. Śledzimy długo ich zwarte szeregi, które ciągną wstęgami pól i krawędziami lasów.

Nam także pora iść. Ruszymy tą samą drogą ku sekretnym celom, i nie będzie to ucieczka. Ucieka się dla poszukiwania wolności. Ale wolności nie można znaleźć. Trzeba ją zbudować i ożywić. Nie wystarczy wznieść kościół — to jest łatwe. Trzeba jeszcze sprawić, by zamieszkał w nim Bóg.

Postaramy się sprawić to wspólnie, ja, i mój brat, i moja córka, którą wychowam na boginię, i która będzie pięknnością, cnotą, królową całego Universum. To nic, że jest niema. Będziemy milczeć. Ziarna, które tkwią w ziemi, też milczą.

Spoglądam wokół. Lato przepaliło się już, dając wczesną jesień. Świerki, które chłód nocy okrył żalobną rosą, będą się suszyć promieniami słońca. Jego złote żądła dziurawią wszystkie warstwy atmosfery i dosięgają naszych serc niczym przebudzenie. Zjawia się znowu błękitne niebo, wspaniale ostatnie niebo, na którym tańczą poślubione sobie ptaki. Przyplłynęło okreźną drogą, jak gdyby z dawno zapomnianych i cudownie jeszcze raz odkrytych lądów. Zjawiło się niby wyśniony balon, co u dna tego krajobrazu cisnął kotwicę.

Wielki ciężar spada z mej duszy. Wszystko wokół pachnie lekkością. Otwarły się drogi i rozjaśniła się linia horyzontu. Mój statek zrzucił balast. Przede mną starożytna kraina, pustkowie ledwie muśnięte pochodami wieków, gdzie w całkowitym spokoju, prawie w letargu, wypełnia się los kolejnych generacji ptaków i zwierząt. Tędy pójdziemy.

Ogarnia mnie melancholijna radość powrotu do zdrowia, coś rozpierającego serce i mroczącego duszę, jakbym pił ze źródła, które



Kabała zwie „*Źródłem Wszechrzeczy*”. Myślałem już, że jestem zgubiony, myślałem, że

dosięgnąłem dna bólu, i kiedy pogodziłem się z losem — czuję, że nie jestem samotny! Wyszło mi naprzeciw dziecko, by zastąpić matkę, kochankę, fortunę, cały pożegnany już świat. I oto ja, który sądziłem, że dobro nie spotka mnie już nigdy — czuję się przyjacielem siebie samego!

Skąd więc ta resztką smutku w duszy, przykryta peleryną radości, co płynie nurtem rozgrzanego serca?

Opuścimy nasze miasto. Zostanie podniesione z ruin i zwróca mu taki sam kształt — sylwetkę Babilonu — a nasze miejsca zajmą jakiś inny Saturn, inny Makis, inny pułkownik, inny porucznik, inny Robert. Będziemy szukać nowego świata, by tam budować swoją wolność. Ale gdzie jest pewność, że go znajdziemy? Nikt go nie widział, tylko ludzie marzący inaczej twierdzą, że on istnieje. Może powstanie dopiero za tysiąc lat, kiedy już ślady naszej wędrówki przykryje pył stuleci? Kiedyś musi nastąpić ta chwila wielkiego rozbudzenia. Ludzkie zwierzę opuści klatkę i wy zbędzie się krwiożerczej hierarchii jako formy życia, zastępując ją wspólnotą idealną, hierarchiczną, lecz sprawiedliwą, a duch człowieka, rozpylając światło i śmiech, stąpać będzie lekko niczym natchniona tancerka po wszystkich zakamarkach Świątyni Radości. Kiedyś ów duch będzie umiał współżyć harmonijnie ze wszystkimi formami natury i czasu, tak jak węże, czczone w Afryce za to, że całym ciałem dotykają gleby, poznają jej tajniki łbem, brzuchem i ogonem, łączą się z nią — stanowią jedność z macierzą. Ale czy mogę kłamać memu dziecku? Czy mogę obiecywać, że na ten cud zdążymy? Ile miast trzeba byłoby przedtem spalić, by wykarczować grunt pod tę

roślinę? Jaką mądrość trzeba byłoby wpoić pracownikom wszystkich ogrodów? Ludzie zawsze dobrze wiedzieli, co burzyć, ale nie znaleźli jeszcze choćby widma tego, co trzeba wznosić na ruinach. Żaden prorok nie umiał ofiarować ludzkości niczego więcej niż hasła — im mniej konkretne, tym głośniejszy prorok. Jaką więc mamy szansę, gwiazdo moja?...

Schodzimy ku kotlinie. Wokoło cudowność przyrody. Duży motyl śmiga z jednej plamy słońca na drugą, głosy ptaków biegną niby kamienie puszczane płasko po tafli jeziora, łany traw rytmicznie falują, łąka szumi wiatrem, głowy owiewa magia nadziei. Tylko we mnie, przebudzonym już z pierwszej euforii — rodzi się zwątpienie i strach. Chcę ujrzeć tę przyszłość. Chcę wiedzieć, czy dojdziemy.

Każę im siąść na trawie, w pełnym słońcu, i czekać. Idę do klasztoru, do tej ruiny wypatroszonej z tancerzy, z trzasku biczów i z chóralnego śpiewu, siadam na stopniach pod ołtarzem i przytykam mój flet do warg...

Ujrzałem siebie wędrującego drogami świata.

Ocknąłem się kwadrans później. Byłem spokojny. Byłem jak człowiek, który po długiej, rozpaczliwej gonitwie za baśniowym mirażem odwraca się i widzi ślady swoich stóp biegnące w nieskończoność przez martwe piaski pustyni. Lub raczej jak człowiek, który był szalony, póki pewnego wieczoru nie spojrział w głąb lustra innym wzrokiem, smutnym i pogodnym, rozumiejącym wszystko.

Starość zagościła na mojej twarzy.

Warszawa 1978, Warszawa 1996.



SPIS TRESCI

PRZEDMOWA DO WYDANIA III.....	7
1	19
2	35
3	49
4	69
5	91
6	113
7	135
8	157
9	181
10	197
11	221

236

SPIS TRESCI

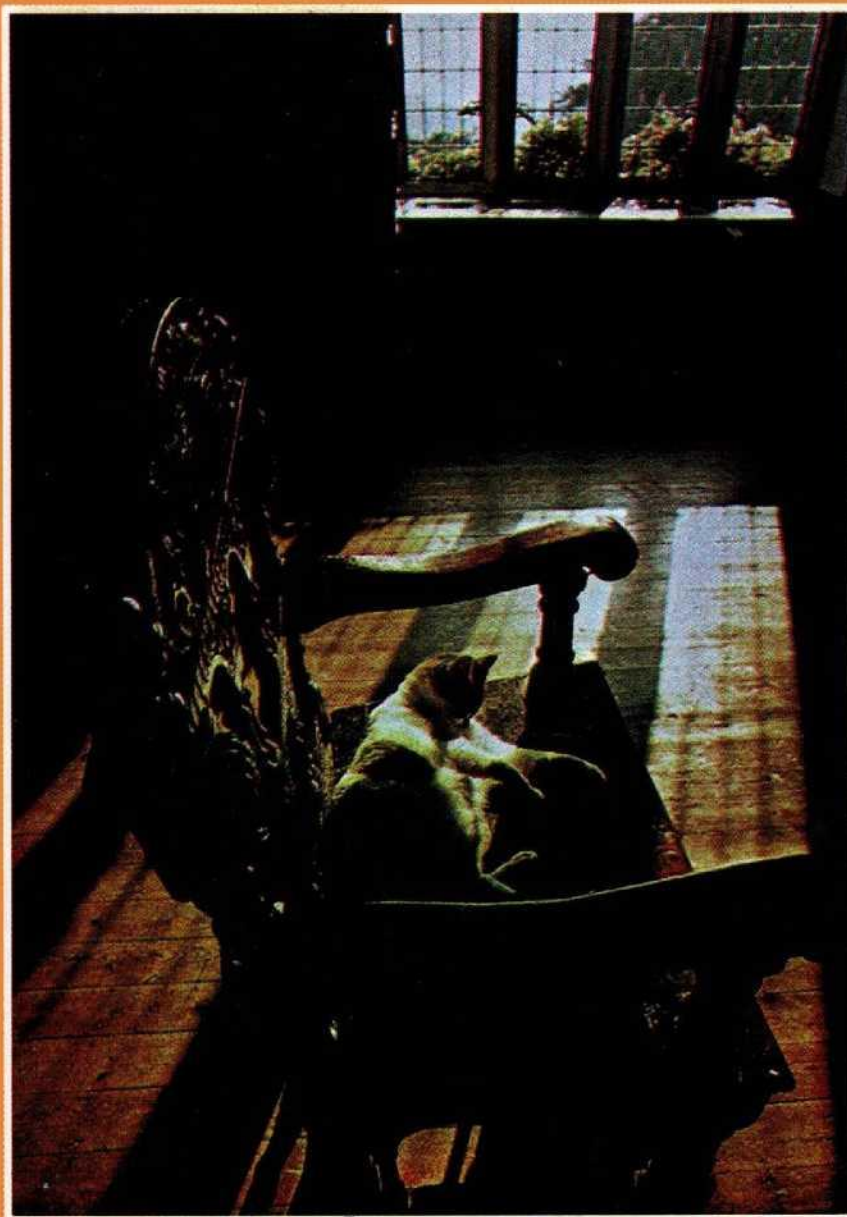
Waldemar Łysiak
„Flet z mandragory”

237

„Napisanie własnej powieści na nowo, tylko i wyłącznie ze względów «muzycznych» — to ewenementy który przejdzie do historii literatury

Andrzej Banasik

Na nowo napisana!



Bogato ilustrowana!

+ *yy*Forma artystyczna tej powieści jest wyborna^{r\}

+ *„Warstwy poetycka, psychologiczna i nadrealistyczna są całkowicie dominujące*

4 *„Senne koszmary perforują rzeczywistość, zacierając granice między jawą, maligną i stanem obłądu 4 „«Flet z mandragory» to swoista zapowiedź «Statku»”.*

Andrzej Banasik